



EDITH
WHARTON
LŚNIENIE
KSIĘŻYCA



Edith Wharton

Lśnienie księżycy

CZEŚĆ I

Rozdział 1

Wzeszedł dla nich – ten miodowy miesiąc – ponad wodami jeziora słynącego jako cudowne tło dla miłosnych uniesień, więc rozpierała ich duma, że i oni wybrali sobie tę scenerię.

– Żeby zaryzykować taki eksperyment, trzeba było być albo całkowicie pozbawionym poczucia humoru, albo mieć je tak świetne jak my – stwierdziła Susy Lansing, kiedy stali oparci o nieodłączną w takich przypadkach marmurową balustradę i patrzyli, jak to opiekuńcze ciało niebieskie rozsunęła w dole, na wodzie, magiczny dywan.

– Owszem... Nie wspominając o tym, że Strefford udostępnił nam willę – dorzucił jej mąż, po czym uniósł wzrok, by spojrzeć przez gałęzie na długą, niską smugę bladej, która dzięki światłu księżyca przybierała kształt białej fasady domu.

– Oj, przecież mieliśmy aż pięć miejsc do wyboru. Wliczając w to mieszkanie w Chicago.

– Owszem... Aż dziw bierze. – Położył dłoń na jej dłoni, a jego dotyk pobudził w niej na nowo uczucie zadziwionej euforii, które zawsze ogarniało ją, gdy omawiali szczegóły tej przygody... Swoim zwyczajem dodała jedynie, jak zawsze żartobliwym tonem:

– A nie licząc tamtego mieszkania (w końcu nie lubię się chwalić), pomyśl tylko o pozostałych: wersalskie lokum Violet Melrose, willa twojej ciotki w Monte Carlo... No i na dodatek wrzosowisko!

Zdawała sobie sprawę, że wrzosowisko dorzuciła niepewnie, a jednocześnie z przesadnym naciskiem, jak gdyby nie chciała, by mąż posądził ją o próbę przemyślnego odwrócenia uwagi od tego szczegółu. On jednak widocznie wcale nie miał takiego zamiaru, stwierdził jedynie:

– Biedny Fred!

Susy niedbale westchnęła:

– No cóż...

Wciąż ścisnął jej dłoń i przez dłuższą chwilę, kiedy nic nie mówiąc, trwali w otaczającym ich pięknie nocy, Susy zdawała sobie sprawę jedynie z ciepłych prądów przebiegających między nimi, podczas gdy światło księżyca rzucało magiczną strugę przez całą długość jeziora.

Wreszcie Nick Lansing przemówił znowu:

– W maju Wersal nie wchodzi w grę: w ciągu dwudziestu czterech godzin zostalibyśmy zdeptani przez całą naszą paryską zgraję. Monte Carlo odpadło, ponieważ właśnie tego się wszyscy po nas spodziewali. Tak więc, z całym szacunkiem, nietrudno było zdecydować się na Como.

Jego żona natychmiast przeciwstawiła się takiemu umniejszaniu jej zasług.

– Pozwól, że ci przypomnę, jak strasznie cię trzeba było przekonywać, że możemy zaryzykować kompromitację nad Como!

– Cóż, sam wołałem coś skromniejszego, przynajmniej tak myślałem, dopóki tu nie dotarliśmy. Teraz, gdy już tu jestem, mogę spokojnie stwierdzić, że o ile nie jest się całkowicie szczęśliwym, to miejsce rzeczywiście może wydawać się zupełnie groteskowe, natomiast gdy już się tu przybędzie... Wtedy, cóż... Wtedy nada się jak każde inne.

Przytaknęła mu z radosnym westchnieniem.

– I trzeba przyznać, że Streffy przepięknie tu wszystko urządził. Nawet te cygara... Jak

myślisz, od kogo je dostał? – zapytała, po czym dodała w zamyśleniu: – Będzie ci ich strasznie brakować, kiedy przyjdzie nam stąd wyjechać.

– Nie rozmawiajmy dziś o wyjeździe! Przecież teraz nie podlegamy władzy czasu i przestrzeni... Powąchaj tylko! Wokół tyle bezcennych woni... Toż to warte gwinei za flakon. Co to jest? Stefanotis?

– T...tak... Chyba. Albo gardenie... O! Popatrz! Świetliki! Tam... przed taflą księżycowej poświaty, na jeziorze. Srebrne jabłka w sieci złotej... – Nachylili się oboje. Od ramion po koniuszki palców stanowili jedno ciało, a ich oczy utkwione były w kuszącym połysku fal ogromnego jeziora.

– W takiej chwili – stwierdził Lansing – zdzierzyłbym nawet śpiew słowika...

Z magnolii za nimi doszło ciche ptasie pocharkiwanie. Powyżej w laurowym gąszczu rozległa się długa, przeciągła odpowiedź.

– Na ich śpiew już trochę za późno: my dopiero zaczynamy, ale one już kończą.

Susy roześmiała się.

– Mam nadzieję, że kiedy nadejdzie chwila naszego rozstania, my równie słodko się pożegnamy.

Jej mąż już miał wyjaśnić, że ptaki wcale się nie żegnają, jedynie kończą koncertowanie, by zająć się sprawami rodzinnymi. Jednak jako że ani on, ani Susy nie mieli tego w planach, zaśmiał się tylko i mocniej przytulił żonę.

Wiosenna noc ogarnęła ich swym ramieniem i złączyła w uścisku. Stopniowo zmarszczki na jeziorze wygładziły się, a powierzchnia wody stała się jedwabście gładka. Wysoko ponad górami, na niebie utkanym niknącymi gwiazdami, księżyc ze złotego zmieniał się w biały. Po przeciwnej stronie jeziora jedno po drugim gasły światła małego miasteczka, odległy brzeg stał się dryfującą w oddali ciemnością. Lekka bryza musnęła ich twarze, niosąc ze sobą zapachy, a wraz z nią ponad wodą unosiły się co chwila kolejne wielkie, białe ćmy, przypominające dryfujące płatki magnolii. Słowiki zamilkły i nagle ciurkanie przydomowej fontanny wydało się niezwykle natarczywe.

Susy pod wpływem wizji, które ją otoczyły, odezwała się przeciągłym głosem:

– Tak sobie pomyślałam... – rzekła – że jeszcze rok powinno nam się udać.

Jej mąż nie zareagował na to zdziwieniem czy gniewem. Jego odpowiedź świadczyła nie tylko o tym, że ją zrozumiał, ale że i jego myśli cichaczem pomknęły w podobnym kierunku.

– Ale to nie licząc pereł po twojej babce? – zapytał.

– Owszem... nie licząc pereł.

Rozmyślał przez chwilę, po czym szepnął czule:

– Powiedz mi więc jak?

– Usiądźmy. Nie, nie tu... wołę na poduszkach.

Nick rozsiadł się na wiklinowej ławie, a ona usadowiła się na stercie poduch, po czym położyła głowę na kolanach męża. Gdy podniosła powieki, zobaczyła nad sobą oblane księżycowym blaskiem niebo, niczym srebro inkrustowane mocnym czarnym wzorem cedrowych gałęzi. Zewsząd emanował spokój, piękno i stabilność. Susy odczuwała własne szczęście tak intensywnie, że nieomal z ulgą przypomniała sobie niepewne podwaliny z rachunków i długów, na których wzrosła ta sielska konstrukcja.

– Ludzie z pieniędzmi na koncie nigdy nie mogą czuć się aż tak szczęśliwi – stwierdziła, pozwalając, aby blask księżyca oświetlił jej leniwie spuszczone rzęsy.

Susy Branch zawsze bała się ludzi z dużymi kwotami na koncie. Los chciał, że dla Susy Lansing też mieli stać się postrachem, i to w niebezpieczniejszy sposób. Nienawidziła ich, i to podwójnie: jako naturalnych wrogów ludzkości oraz jako tych, przed którymi zawsze trzeba było

się płaszczyć. Spędziła wśród nich większą część życia – wiedziała o nich prawie wszystko i oceniała ich z wyrobioną przez dwadzieścia lat poddaństwa jasnością i pogardą. W tej jednak chwili jej nieprzychylność uśmierzał nie tylko łagodzący wpływ miłości, ale i to, że właśnie od takich ludzi udało jej się uzyskać znacznie, znacznie więcej, niż ona i Nick kiedykolwiek odważyli się zamarzyć, gdy snuli swe jakże ryzykowne plany.

– W końcu jesteście im to szczęście dłużni – stwierdziła.

Jej małżonek zatracił się w upojnym błogostanie chwili i nie ponowił pytania, ale ona nadal o tym rozmyślała. Rok – była pewna, że jeśli się trochę przyłoży, udałoby jej się załatwić wszystko tak, aby mogli zachować to wszystko jeszcze jeden calutki rok! „To” odnosiło się do ich małżeństwa, ich bycia razem z dala od nudziarzy i trosk. Łączyła ich przyjaźń, w której oboje już dawno rozpoznali źródło wielkiej przyjemności, a przynajmniej ona dotychczas nie domyślała się nawet, że tego typu relacja może pociągać za sobą aż tak głęboką harmonię.

Już podczas jednego z ich najwcześniejszych wspólnych spotkań – na którejś z kolacyjek uporczywie nazywanych przez Gillowów „literackimi” – gdy los zechciał, że posadzono ich obok siebie – Nick Lansing (o którym mówiło się, że „pisuje”) wydał jej się luksusem, na który Susy Branch-dziedziczka mogłaby sobie pozwolić tylko w szczytowym przejawie głupoty. Susy Branch-żebaczka uwielbiała wyobrazać sobie, jak jej wyśniony sobowtór zarządzałby wymagowanymi milionami – jednym z jej największych zarzutów wobec bogatych przyjaciół było to, że swoje fortuny wydawali w sposób tak pozbawiony wyobraźni.

„Wolałabym takiego męża niż jacht parowy!” – pomyślała pod koniec rozmowy z tym „pisującym” młodzieńcem. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nic, co kiedykolwiek wyszło lub wyjdzie spod jego pióra, nie będzie w stanie zapewnić jego potencjalnej małżonce niczego kosztowniejszego od drewnianej łódki (być może z parą wiosł).

„Jego małżonce!” – pomyślała. „Jeśli taka kiedykolwiek się objawi! Bo nie wydaje mi się kimś, kto ożeniłby się dla jachtu”.

Mimo burzliwej przeszłości Susy udało się zachować tyle wewnętrznej niezależności, że była w stanie wyczuć jej uśpione sygnały u innych oraz instynktownie przypisać je przedstawicielom płci przeciwnej, którzy akurat ją zainteresowali.

Żywiła swego rodzaju wrodzoną pogardę dla ludzi, którzy obnoszą się dumnie, że są w stanie zdzierżyć coś, co tak naprawdę jest dla nich jedynie lekką niedogodnością. Sama zamierzała kiedyś w końcu wyjść za mąż – ostatecznie nie da się do końca życia żerować na bogaczach. Postanowiła jednak poczekać z tym, aż uda jej się znaleźć kogoś, kto posiada jak największy majątek, a którego towarzystwo będzie przy tym choć odrobinę znośne.

Od razu zdała sobie sprawę, że Lansing jest przeciwieństwem tego ideału: biedny jak mysz kościelna, za to ze świecą by szukać lepszego kompana. Postanowiła więc widywać go tak często, na ile pozwalało jej pogmatwane i niecierpliwe życie – czyli dzięki jej przemyślnym knowaniom raczej często. Przez całą zimę spotykali się jednak tak wiele razy, że pewnego dnia pani Fredowa Gillow nagle i ostro dała Susy do zrozumienia, że „wystawia się na pośmiewisko”.

– Czyżby?... – Susy westchnęła głęboko, spoglądając swej przyjaciółce, a zarazem mecenasce, prosto w mocno umalowane oczy.

– A i owszem! – zawołała Ursula Gillow i wybuchnęła płaczem. – Zanim zaczęłaś się wtrącać, to mnie Nick tak strasznie lubił... Ja oczywiście nie zamierzam ci robić wyrzutów... Ale kiedy pomyślę...

Na to Susy nic nie odpowiedziała. Nie mogła odpowiedzieć, bowiem pograżyła się we własnych myślach. Sukienkę, którą miała na sobie, dostała w podarku od Ursuli, i to jej samochód zawiózł je na przyjęcie, z którego właśnie wracały. Liczyła na to, że spędzi nadchodzący sierpień z Gillowami w Newport... Jediną alternatywą było udać się do Kalifornii

z Bockheimerami, którym dotychczas odmawiała nawet, gdy zapraszali ją na kolację.

– Cóż za nonsens, Ursulo! Wydaje ci się! A co do mojego wtrącania się... – Susy zawahała się, po czym dodała cicho: – Jeśli ma ci to sprawić radość, powiem mu, że nie będę go już tak często widywać... – Oddając Ursuli wdzięczny pocałunek, zniżyła się do najgłębszych nizin poddaństwa...

Susy Branch miała wręcz męski szacunek dla własnego słowa, toteż już następnego dnia przywdziała swój najbardziej twarzowy kapelusz i odwiedziła Nicka Lansinga u niego w mieszkaniu. Zamierzała dotrzymać złożonej Ursuli obietnicy, ale chciała przy tym wyglądać jak najładniej.

Wiedziała, kiedy można było zastać go w domu, jako że ostatnio ślęczał nad nużącym zleceniem dla popularnej encyklopedii (tomy od V do X) i powiedział jej, w które godziny poświęcał tej znieawidzonej robocie.

„Gdyby to przynajmniej była powieść!” – pomyślała, wspinając się na górę po jego obskurnej klatce schodowej. Zaraz jednak stwierdziła, że gdyby to była książka, którą dałaby radę przeczytać, nie wzbogaciłby się na niej tak jak na encyklopedii. Panna Branch miała wobec literatury dość wysokie oczekiwania...

Mieszkanie, do którego została przez Lansinga wprowadzona, okazało się znacznie czystsze od klatki schodowej, choć niewiele mniej obskurne. Wiedząc, że pasją gospodarza jest archeologia orientu, Susy wyobrażała sobie, że zastanie go w pustym pokoju przystrojonym jedynie samotną, nieskazitelnie kształną chińską wazą czy też innym cennym okazem azjatyckiej ceramiki. Jednak w mieszkaniu nie było takich uszlachetniających elementów, a właściciel nawet nie próbował ukryć szczerego ubóstwa swej sypialniobawialni.

Lansing przywitał ją z nieklamana radością, natomiast najwyraźniej zupełnie nie obchodziło go zdanie gościa o jego meblach. Zdawał się jedynie uważać, że spotkało go niebywałe szczęście, że dano mu tak niespodziewanie ją zobaczyć. Przez to tym przykrzej było Susy dopełnić złożonej Ursuli obietnicy; i tym bardziej rada była, że ma na sobie najpiękniejsze nakrycie głowy. Przez chwilę milczała, przyglądając mu się tylko spod kapelusza.

Choć darzyli się nawzajem bardzo ciepłymi uczuciami, Lansing dotychczas nie wspominał o miłości. To jednak nie mogło powstrzymać jego gościa, bo Susy nie miała w zwyczaju owijać niczego w bawełnę – o ile nie stały za tym jakieś towarzyskie czy finansowe powody. Dlatego też po chwili wyjawiała mu cel wizyty. Było jej bardzo przykro, ale przecież sytuacja wydawała się jasna. Ursula Gallow jest zazdrosna, więc muszą przestać się spotykać.

Wybuch śmiechu był dla Susy niczym balsam dla uszu – w końcu skrycie obawiała się, że oddanie Ursuli mogło być dla niego równie cenne i ważne co praca nad encyklopedią.

– To jakaś szaleńcza pomyłka! Słowo honoru! Poza wszystkim nie wierzę, żeby ona mogła akurat mnie mieć na myśli... – bronił się Nick. Susy jednak, odzyskawszy pewność, odzyskała również trzeźwość myślenia, i czym prędzej ucieła jego zapewnienia.

– Proszę mi uwierzyć, w takich chwilach Ursula mówi niezwykle jasno i wyraźnie. A pana osobiste zdanie na ten temat nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, w co ona sama wierzy.

– Bzdura! Przecież ja też muszę tu mieć coś do powiedzenia!

Susy powoli i w skupieniu rozejrzała się po pokoju. Nie było w nim nic, co by świadczyło, że mężczyzna kiedykolwiek posiadał choć pół zbędnego dolara... Ani że zwykły przyjmować jakiegokolwiek podarki.

– Z mojego punktu widzenia nic a nic – odrzekła w końcu.

– Jak to? Ja jestem wolny jak ptak...

– Ale ja nie.

Zamyślił się.

– Cóż, w takim razie... Jedyne, co mnie dziwi – dodał oschle – to że akurat pani Gillow składa zażalenia.

– A nie mój narzeczony milioner? Och, nie mam żadnego narzeczonego. Pod tym względem jestem tak samo wolna jak pan.

– W takim razie czyż nie wystarczy, byśmy oboje pozostali wolni?

Susy zmarszczyła brwi. Wyglądało na to, że zadanie będzie trudniejsze, niż przewidywała.

– Powiedziałam tylko, że akurat pod tym względem jestem wolna. Nie wychodzę z mężem... Pan też, o ile mi wiadomo, się nie żeni?

– Przebóg! Oczywiście, że nie! – zawołał gorąco.

– Ale to nie zawsze oznacza wolność całkowitą...

Stał tuż nad nią. Opierał się łokciem o paskudny czarny marmurowy łuk zdobiący wygasły kominek. Kiedy podniosła oczy na Nicka, zauważyła, że jego twarz poważnieje, i zarumieniła się.

– I to właśnie przysłała mi pani zakomunikować? – zapytał.

– Och, nie rozumie mnie pan... I zupełnie nie pojmuję, dlaczego nie. Przecież już tyle czasu mamy do czynienia z tymi samymi ludźmi... – Wstała i instynktownie dotknęła jego ramienia. – Chciałabym, aby pan mi to ułatwił...

Ani się nie poruszył, ani nie dotknął jej dłoni.

– Mam pani pomóc? Pomóc pani powiedzieć, że biedna Ursula to marny pretekst, że naprawdę jest ktoś, kto z takiej czy innej przyczyny ma rzeczywiste prawo przeciwstawić się temu, byśmy się zbyt często widywali?

Susy zaśmiała się niecierpliwie.

– Przemawia pan jak bohater jakiejś powieści, i to z tych, które zwykła czytywać moja guwernantka. Po pierwsze, ja nigdy nie uznałabym takiego prawa, jak to pan ujął. Nigdy, przenigdy!

– A jakie prawo pani uznaje? – spytał, a jego oblicze zaczęło się rozjaśniać.

– Jakie? Cóż, takie, jakie zapewne pan uznaje wobec swojego wydawcy! – Słyszając to, Lansing zaśmiał się głucho. Susy ciągnęła dalej:

– Nazwijmy to prawem interesów. Ursula robi dla mnie niemało. Pół roku z niej żyję. Mam na sobie sukienkę, którą od niej dostałam. Jej auto zawiezie mnie dziś wieczór na kolację. Najbliższe lato spędzę w Newport właśnie z nią... Bo w przeciwnym razie będę musiała pojechać do Kalifornii z Bockheimerami. Tak więc: żegnam pana!

Nagle cała we łzach wymknęła się na klatkę schodową i zbiegła trzy piętra, nim zdołał ją powstrzymać – choć gdy potem o tym myślała, nie mogła sobie przypomnieć, czy nawet próbował. Pamiętała jedynie, że przez dłuższą chwilę stała w ostrym zimowym świetle na rogu Piątej Alei i – czekając, aż będzie mogła przekroczyć rwący potok aut wiozących modne damy – myślała gorzko: „A przecież mogłam obiecać Ursuli i mimo to go widywać...”

Jednak gdy nazajutrz Lansing napisał do niej, błagając o spotkanie, Susy zareagowała przyjazną, lecz nieugiętą odmową. Wkrótce udało jej się załatwić, aby ktoś zabrał ją na dwa tygodnie na narty do Kanady, a potem na sześć tygodni na barkę na Florydę...

Wspomnienie Florydy natychmiast przywołało wizję wody lśniącej w blasku księżyca, zapachu magnolii i ciepłego powietrza. To wszystko łączyło się teraz z otaczającą ją ze wszech stron słodyczą i rzucało senne zakłęcie na jej powieki. Owszem, musieli pokonać wiele przeciwności, ale wszystko to już mieli za sobą. Teraz była tu, bezpieczna i szczęśliwa, i do tego

z Nickiem. Jej głowa spoczywała na jego kolanach, a mieli przed sobą rok... Cały, calutki rok...
– I to nie licząc pereł... – szepnęła, po czym zamknęła oczy...

Rozdział 2

Lansing wyrzucił do jeziora końcówkę drogiego cygara Strefforda i nachylił się nad żoną. Biedna dziecina! Zasnęła... Odchylił się i raz jeszcze zerknął na zalane srebrną poświatą niebo. Jakie to dziwne – jak niewysłowienie dziwaczne! Pomyśleć, że ten blask pochodzi od ich miodowego miesiąca! A przecież gdyby rok wcześniej ktoś wywróżył mu, że zaryzykuje taki wybryk, sam prosiłby, by przy pojawieniu się pierwszych objawów zamknąć go u czubków...

Wciąż nie miał najmniejszych wątpliwości, że ich obecna przygoda jest istnym szaleństwem. Susy mogła mu oczywiście dwadzieścia razy dziennie przypominać, że im się udało – a więc na cóż mogły się zdać dalsze obawy? Jednak mimo dalekowzroczności i sprytu żony, mimo obecnego szczęścia zdawał sobie sprawę, że w przyszłości czekają ich chwile, w których trzeźwe myślenie na nic się nie zda. Siedząc teraz w letnim blasku księżyca, z głową Susy na kolanach, próbował podsumować zwyczajne kroki, które zaprowadziły ich na taras Streffy'ego z cudownym widokiem na jezioro.

U Lansinga wszystko bez wątpienia zaczęło się od tego, że skończywszy Harvard, powziął gorące postanowienie, aby niczego nie przegapić. W zasięgu ręki miał wiecznie zielone Drzewo Życia, spod korzeni którego wypływały Cztery Rzeki, a on po każdej chciał płynąć swym małym skiffem. Na dwóch nie udało mu się dopłynąć zbyt daleko, żeglując po trzeciej prawie utknął w błocie, czwarta natomiast zawiodła go do samego centrum wspaniałości. Ta czwarta rzeka była potokiem jego bujnej wyobraźni, niewyczerpanym strumieniem zainteresowania każdą formą piękna, osobliwości czy głupoty. W tym nurcie, usadowiony w swej statecznej, choć ubogiej łupince uprawianego rzemiosła, swej nieistotności i niezależności, przeżył najznakomitsze wyprawy... I kiedy Susy Branch – z którą zadawał się przez cały nowojorski sezon, jako że była najładniejszą i najdowcipniejszą dziewczyną w polu widzenia – zaskoczyła go tym, że łączyła w sobie sprzeczne poglądy: nowoczesny oportunizm i staroświecką uczciwość, Nick poczuł nieodpartą chęć wyruszenia w kolejny rejs w nieznanne...

Właśnie w świetle tej przygody postanowił po jej krótkiej wizycie dotrzymać obietnicy i zrezygnować z prób doprowadzenia do kolejnego spotkania. Bezpośredniość dziewczyny niekoniecznie pchnęła go do naśladowania tej postawy, rozumiał jednak położenie Susy – i jej współczuł. Doskonale zdawał sobie sprawę, że popularność tych, co nie mają grosza przy duszy, jest niesamowicie krucha, i rozumiał, jak bardzo dziewczyna w położeniu Susy uzależniona jest od cudzych humorów i zachcianek. Łączyło ich to, że aby spełnić swe pragnienia, oboje często musieli znosić przykrości. Jednak dotrzymanie słowa okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Susy Branch stała się jego cudownym nałogiem, fascynującym wyjątkiem, jako że inne stałe elementy jego życia okazały się niezmiernie nudne. Jej brak nagle uświadomił mu, że i jego własne środki się kurczyły. Większość tego, co kiedyś sprawiało mu przyjemność, teraz bawiło go coraz mniej. To, co kiedyś uważał za wspaniałe i interesujące, teraz wydało mu się równie powszednie i pospolite jak jakieś wiejskie przedstawienie. To natomiast, co nie straciło dla niego uroku – dalekie podróże, podziwianie dzieł sztuki, poznawanie nowych miejsc i dziwacznych kręgów – stawało się coraz mniej osiągalne. Lansing nigdy nie dysponował dużymi pieniędzmi, a i tak większą część szczątkowych funduszy wydał w pierwszych latach młodości. Najlepsze, co go mogło czekać w wieku średnim, to kiepsko płatne pisanie na zamówienie, uśmierzone krótkimi i oszczędnymi wakacjami. Wiedział, że jest ponadprzeciętnie inteligentny, ale równocześnie zdawał sobie sprawę, że jego talenty wcale nie należą do gwarantujących intratny zarobek. Wydany po znajomości cienki tomik sonetów sprzedawał się jedynie w siedemdziesięciu egzemplarzach, a choć wokół jego eseju pod tytułem *Wpływy chińskie w sztuce greckiej* zrobiło

się trochę szumu, zaowocowało to jedynie kontrowersyjną korespondencją oraz kilkoma zaproszeniami na kolację i nie przyniosło żadnych materialnych korzyści. Krótko mówiąc: nic nie wróżyło, by kiedykolwiek mógł mieć nadzieję na jakiegokolwiek solidne zarobki. Ta wizja pełnej ograniczeń przyszłości sprawiła, że tym bardziej cenił swą przyjaźń z Susy Branch. Tak jak wszyscy – choć nie tak powierzchownie jak pozostali – czerpał przyjemność z patrzenia na nią i słuchania jej; ponadto wyczuwał jednak pomiędzy nimi coś w rodzaju wolnomularskiej więzi wynikającej ze wspólnego, wyjątkowo tolerancyjnego, a zarazem ironicznego podejścia do życia. Oboje we wczesnej młodości poznali się na świecie, w którym przyszło im się obracać, wiedzieli, ile był dla nich wart i dlaczego. Ta wspólnota poglądów i celów ostatecznie scementowała ich zażyłość. A teraz przez jakąś zazdrosną zachciankę niezaspokojonej idiotki – co do której, jak każdy młody mężczyzna mający zwyczaj odpłacać za kilka smacznych posiłków dobrymi manierami, Nick nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia – miał stracić jedyną prawdziwą, pełną przyjaźń, jakiej dane mu było doświadczyć...

Jego myśli nie zatrzymały się na tym wspomnieniu. Przypomniał sobie tę długą, zmudną nowojorską wiosnę po rozstaniu z Susy, to męczące dopracowywanie ostatnich artykułów, te poniżające poszukiwania najtańszych i możliwie najmniej nudnych wakacji. W końcu pomyślał, jakim niebywałym szczęściem okazała się podjęta niechętnie i na ostatnią chwilę decyzja, aby tamtą niedzielę spędzić z nieszczęsnymi Natami Fulmerami w dziczy New Hampshire. Bowiem tam zastał Susy – czyli ostatnią osobę, którą spodziewał się zastać w gronie znajomych Fulmerów!

Dziewczyna zachowała się bardzo grzecznie – i on potrafił ładnie się znaleźć – lecz nie ulegało wątpliwości, że to niespodziewane spotkanie sprawiło obojgu zdecydowanie zbyt dużo radości. Do tego jakże dziwnie było przebywać z nią w domu Fulmerów, z dala od wielkich luksusów, do których oboje przywykli, w zatłoczonej chatynce, gdzie na werandzie gospodarz urządził sobie pracownię, a gospodyni ćwiczyła grę na skrzypcach w jadalni, gdzie ich pięcioro wszechobecnych dzieci włączyło w każdy kąt, krzyczało, trąbiło i wrzucało kijanki do dzbanków z wodą, gdzie obiad był zawsze spóźniony o dwie godziny, a w dodatku niesmaczny, bo włoski kucharz pozował akurat Fulmerowi.

W pierwszej chwili Lansing stwierdził, że spotkanie Susy w takich okolicznościach będzie najlepszym lekarstwem na żal z powodu decyzji o rozstaniu. Przypadek Fulmerów był doskonałą nauką, idealnym przykładem tego, co się dzieje z ludźmi, którzy potracili dla siebie głowy i zmysły. Biedny Nat, którego obrazów nikt nie kupował, strasznie zdziałał, a Grace – zaledwie dwudziestodwuletnia! – mogła już jedynie budzić westchnienia współczucia i wspomnienia, że przecież kiedyś była taka śliczna.

Jednak pech chciał, że teraz Nat jak nigdy dotąd był duszą towarzystwa, a Grace jak nigdy dotąd była beztroska i żyła muzyką. Na domiar złego, mimo tego harmidru i chaosu, złego jedzenia i szaleńczych niewygód w ich towarzystwie i Nick, i Susy bawili się stokroć lepiej niż na tych wszystkich eleganckich, dopiętych na ostatni guzik przyjęciach, podczas których tak często ziewali.

Prawie z ulgą przyjął to, że już drugiego popołudnia panna Branch zaciągnęła go do wąskiej sieni i szepnęła:

– Naprawdę nie mogę już dłużej zdzierżyć tego połączenia skrzypiec Grace z klaksonikiem Nata juniora... Ucieknijmy stąd, nim ten duet się skończy!

– Ciekawe, jak oni to wszystko znoszą? – zapytał nieczule, gdy szli ścieżką wśród drzew za domem.

– Może przydałoby się spróbować odkryć ten sekret – stwierdziła z zadziornym uśmiechem.

On jednak postanowił być nieugięty sceptyczny.

– Och, daję im jeszcze rok, góra dwa... Więcej nie wytrzymają! Jego obrazów przecież nikt nigdy nie kupi, nawet nie posyła ich na wystawy.

– Może i racja... A ona nigdy nie znajdzie czasu, żeby mieć jakikolwiek pożytek ze swoich uzdolnień muzycznych.

Dotarli do skupiska sosen wysoko ponad skalną półką, na której stał dom. Wokół roztaczał się dziki krajobraz wypełniony nieskończoną liczbą identycznych zalesionych wzgórz.

– Pomyśleć, że oni muszą tu mieszkać cały rok! – jęknął Lansing.

– Prawda? Ale nie zapominajmy, że alternatywą jest tułanie się po świecie z okropnymi ludźmi!

– O, tak. Ja na przykład byłem w Indiach z Mortimerem Hicksem i jego rodziną. Ale to była jedyna okazja, więc, do diabła, co innego mogłem zrobić?

– Chciałabym wiedzieć! – westchnęła, pomyślawszy o Bockheimerach. Nick zwrócił się do niej pytająco.

– Co takiego?

– Chciałabym znać odpowiedź na to pytanie. Co można zrobić, kiedy zna się obie strony medalu... Gdy zna się wszystkie strony tego problemu.

Usiedli pod sosnami na skale z widokiem, Lansing widział jednak tylko ruch jej brązowych rzęs ocieniających policzki.

– Być może więc Nat i Grace mogli mimo wszystko znaleźć najlepsze wyjście z sytuacji?

– Jak mogę to stwierdzić, skoro mówiłam, że widzę wszystkie strony... Ja oczywiście – dodała pospiesznie – nie wytrzymałabym w takich warunkach nawet tygodnia. Ale to wspaniałe, że im to wcale nie przeszkadza.

– Nie ulega wątpliwości, że Nat nigdy wcześniej tak nie błyszczał. A ona jeszcze lepiej się trzyma – stwierdził. – Cóż, z pewnością to po części nasza zasługa.

– Owszem... Chyba że to oni mają na nas dobry wpływ. Ciekawe, co okaże się prawdą!

Nick przypomniał sobie, że siedzieli wówczas przez dłuższy czas bez słowa, a ciszę przerwał dopiero jego chłopięcy wybuch przeciwko tyranii panującego porządku, zakończony gorącym pytaniem, czy skoro ani ona, ani on nie są w stanie tego ładu zmienić, i oboje zdają sobie sprawę, jak się rzeczy mają, głupstwem byłoby nie skorzystać z możliwości osiągnięcia szczęścia jedyną dostępną im metodą. Nie pamiętał, czy Susy udzieliła na to jakiejś jednoznacznej odpowiedzi, pamiętał natomiast, że po milczeniu, które potem zapanowało, zwieńczonym nagle pocałunkiem, usłyszał, że dziewczyna szepce pod nosem:

– Cóż, nie wiem, czy ktoś kiedyś próbował zrobić coś takiego, ale właściwie moglibyśmy...

Wtedy też wyłożyła mu plan eksperymentu, którym od tej chwili się zajmowali.

Zacząła od oświadczenia, że sama nigdy nie przystanie na życie w tak skrytym szczęściu, i podała powody z typową dla siebie jasnością rozumowania. Po pierwsze, zamierzała kiedyś wyjść za mąż – a gdy tak się stanie, chciała, aby był to, jak ujęła, uczciwy interes. Po drugie: jeśli chodzi o miłość, to nigdy nie odda się nikomu, na kim by jej nie zależało, a jeśli miała ją już ta radość spotkać, nie pozwoli, aby konieczność kłamania, knucia i ukrywania przyćmiła jej przyjemność.

– Za dużo już takich rzeczy widziałam. Połowa moich koleżanek mających kochanków ma ich właśnie dla samej przyjemności ukrywania się i kłamania. Za to druga połowa jest przez to nieszczęśliwa. Ja w takiej sytuacji na pewno byłabym nieszczęśliwa.

I teraz wyjawiała mu sedno swego planu. Dlaczegoż nie mieliby się pobrać? Wtedy, choć na krótko, należeliby do siebie otwarcie i uczciwie; a obiecaliby sobie, że jeśli któreś z nich

będzie miało okazję związać się z lepszą partią, to zostanie natychmiast przez drugie zwolnione. Prawo obowiązujące w ich kraju ułatwiało takie konszachty, a i społeczeństwo zaczęło przyjmować je równie pobłażliwie co legislatura. Mówiąc o tym, Susy coraz bardziej przekonywała się do swego pomysłu; na poczekaniu wprowadzała doń coraz to nowe ulepszenia i dostrzegała kolejne możliwości.

– Uważam, że w pewnym stopniu będziemy dla siebie pomocą, a nie przeszkodą – tłumaczyła z zapałem. – Oboje dobrze wiemy, jak działa ten świat, a to, co umknie jednemu, zapewne drugie zauważy. Mam na myśli przeróżne okazje. A do tego pomyśl, jaką sensację wywoła nasze małżeństwo! Nie owijajmy w bawełnę: oboje cieszymy się wyjątkowym powodzeniem. A dla urządzających przyjęcie nie ma nic lepszego niż obecność pary, której żadna połowa nie jest nijaka! Tak, naprawdę uważam, że we dwoje będziemy popularni w dwójnasób. Przynajmniej – dorzuciła zalotnie – o ile pozostaje nam jeszcze coś do dopracowania. Jak sądzisz? Wiem, że powodzenie kawalerów nie jest tak kruche i ulotne jak dziewcząt, ale jeśli o mnie chodzi, jestem pewna, że jako mężatka będę miała znacznie większe szanse.

Susy spojrzała na chwilę w głąb znajdującej się pod nimi długiej doliny, po czym dodała ciszej:

– I chciałabym chociażby na chwilę poczuć, że mam coś, co jest tak całkiem, zupełnie moje; coś, czego nikt mi nie pożyczył jak sukienkę czy auto, czy płaszcz do opery.

Z początku ten pomysł wydał się Lansingowi równie szalony co czarujący; prawdę mówiąc, całkowicie go przeraził. Jednak argumenty Susy były niepodważalne, a jej pomysłowość niewyczerpana.

Spytała, czy sam nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiał.

Nie.

Cóż, ale ona owszem i czy mógłby jej nie przerywać? Po pierwsze, mogliby liczyć na prezenty ślubne.

Czy ma na myśli klejnoty, samochód, srebrną zastawę?

Ależ skąd! Doprawdy – chyba rzeczywiście nigdy się nad tym nie zastawiał. Czeki, najdroższy! Dostaną tylko czekci – już ona to załatwi! Z jej strony może liczyć na jakieś pięćdziesiąt czeków, a może i jemu udałoby się trochę zebrać. W każdym razie już to wystarczyłoby im na bieżące wydatki, bo przecież mieliby gdzie mieszkać, a w dodatku na pewno będzie w czym wybierać, o to się mogła założyć. Wszyscy zawsze z taką radością uczynają domu nowożeńcom! Można ich tam odwiedzać, czuć się tak radośnie i romantycznie. Wystarczyło tylko po kolei przyjmować wszystkie propozycje: mogliby zamiast miesiąca mieć cały miodowy rok! Czego się boi? Przecież chyba będą razem na tyle szczęśliwi, by chcieć to podtrzymać! Warto zaryzykować. Na początek zaręczyc się i zobaczyć, co będzie dalej. A nawet jeśli się myli, jeśli plan spali na panewce, to przecież tak miło będzie pomarzyć – choćby przez miesiąc czy dwa wyobrażać sobie, że mogą być szczęśliwi!

– Sama często wyobrażałam sobie szczęście – zakończyła. – Ale móc wyobrażać sobie, że mogłabym być szczęśliwa z tobą... To byłoby coś innego, coś niezwykle wspaniałego...

I tak się wszystko zaczęło – to właśnie doprowadziło ich do tego bajecznego snu nad jeziorem Como. Ziściły się wszystkie jej fantastyczne, nieprawdopodobne przewidywania. Były co prawda elementy tej układanki, które Lansing nie do końca rozumiał, pewne układy i knowania, o które warto byłoby dopytać; stwierdził jednak leniwie, że kiedyś, później, poprosi żonę o wyjaśnienie. Na razie wszystko to było warte dawnych wyrzeczeń, warte każdej przyszłej kary – wystarczy, że teraz mógł delektować się tu ciszą i słodyczą, z jej śpiącą główką spoczywającą na jego kolanach, owitą jego radością, podczas gdy cały ucichły świat tkwił

w księżycowym blasku.

Nachylił się i pocałował żonę.

– Obudź się – szepnął. – Pora spać!

Rozdział 3

Ich miesiąc nad Como dobiegał końca, zostało już tylko kilka godzin. Aż do ostatniej chwili mieli nadzieję na przedłużenie pobytu; jednak gościnnie Streffy nie był w stanie udostępnić im willi na dłużej, udało mu się wynegocjować niebotyczną cenę za wynajem jej jakimś paskudnym tułającym się po świecie bogaczom, którzy mieli czelność upierać się przy ustalonym zawczasu terminie.

O wschodzie słońca Lansing zostawił śpiącą Susy i zszedł do jeziora, aby popływać w nim po raz ostatni. Gdy skierował się w stronę domu, spojrzął na rozciągający się powyżej ogród pełen kwiatów, na długi, niski budynek, ponad którym wznosił się las cyprysów, w końcu na okno sypialni, gdzie wciąż spała jego żona. Ten miesiąc był wspaniały, a ich radość równie wyjątkowa, równie niewyobrażalnie pełna, co roztaczający się przed Nickiem widok. Lansing zanurzył brodę w rozświetlonych słonecznym światłem falach i westchnął z ukontentowania...

Żał było wyjeżdżać z miejsca, w którym było im tak cudownie, jednakże czekający ich kolejny cel zapowiadał się nie mniej wspaniale. Susy była prawdziwą czarodziejką: wszystkie jej przepowiednie się spełniły. Wręcz zasypywano ich propozycjami mieszkania: zewsząd pojawiały się dobre dusze, które oferowały im wszystko, od *piano nobile* w Wenecji po wakacyjną chatę w górach Adirondacks. Na chwilę obecną postanowili przyjąć pierwszą propozycję. Poza wszystkim innym nie chcieli ryzykować wydatku w postaci podróży przez Atlantyk; tak więc teraz kierowali się do *palazzo* Nelsonów Vanderlynów na Giudecce. Ustalili, że ze względów finansowych najrozsądniej będzie spędzić najbliższą zimę w Nowym Jorku. To pozwoli im pozostać na widoku, a niewykluczone, że zaowocuje kolejnymi zaproszeniami. Susy miała nawet na oku pewne wygodne mieszkanie należące do dość często wyjeżdżającej kuzynki, którą (przy odrobinie taktu i po złożeniu obietnicy, że nie przemęczą kucharki) na pewno uda się skłonić do złożenia im propozycji zaopiekowania się lokum. Chwilowo jednak konieczność takiego planowania majaczyła wciąż daleko na horyzoncie, a tym, co Lansingowi najlepiej udało się wypracować przez dwadzieścia osiem lat żywota, była zdolność do całkowitego i beztroskiego życia chwilą...

Ostatnio być może częściej niż zazwyczaj próbował spoglądać w przyszłość, głównie ze względu na Susy. Kiedy się pobierali, zamierzał i do siebie, i do niej stosować swe zwykłe filozoficzne podejście, zdawał sobie też sprawę, że miałyby mu za złe, gdyby wiedziała, że ich partnerski układ jest dla niego źródłem pewnego niepokoju. Jednak odkąd byli razem, żona odsłoniła przed nim pewne elementy swej przeszłości, które wzbudziły w nim zażartą chęć chronienia i zabezpieczenia jej przyszłości. Nie mógł znieść myśli, że przez konieczność zawierania kompromisów, na które oboje byli skazani, tak wspaniała i dzielna istota mogłaby podupaść na duchu i stracić blask. Dopóki to dotyczyło tylko jego samego, Lansing zupełnie się tym nie przejmował, ułożył sobie prowizoryczne zasady postępowania, krótki zestaw przyzwoleń i zakazów, który niezmiernie ułatwiał mu funkcjonowanie. Istniały rzeczy, na które gotów był się zgodzić, aby osiągnąć konkretne i niedostępne bez tych wyrzeczeń cele, oraz zasady, których nie złamałby za żadne skarby. Teraz jednak zauważył, że w przypadku kobiet sprawa zapewne wygląda trochę inaczej. Po pierwsze pokusy mogą być silniejsze, a ich koszt odpowiednio wyższy. Do tego granica pomiędzy tym, na co można się zgodzić, a na co nie, jest znacznie lżej zarysowana i bardziej zmienna. Susy została rzucona na pastwę świata w wieku lat siedemnastu, a jedyną osobą, która mogła dawać jej jakiegokolwiek moralne wskazówki, był jej ojciec, nędzny utracjusz. Choć na każdym kroku los kusił ją, by przekroczyć tę mało widoczną granicę przyzwoitości, udało jej się dotychczas tego nie zrobić – głównie dlatego, że żywiła wrodzoną

pogardę dla większości pokus popychających ludzi do popełniania głupstw. „Że też posypał się dla takiego blichtru!” – tak oschle podsumowała przedwczesne zejście swego rodziciela. Co prawda już z góry zaakceptowała konieczność poddania się w imię jakichś korzyści, zawzięcie rozróżniała jednak, dla których celów to się opłacało, a dla których nie.

Lansing z początku uważał to podejście za urocze – teraz jednak zaczęło ono wywoływać u niego niejasny niepokój. Na razie solidny pancerz skrupulatności zdołał ją ochronić od napotkanych dotychczas niebezpieczeństw, jednak co się stanie, jeśli inne, subtelniejsze zagrożenia natrafią na pęknięcie? Czy w jej delikatnych przekonaniach można znaleźć odpowiednik jego własnych zasad? Czy jej umiłowanie tego, co najlepsze, najpiękniejsze i najbardziej wyjątkowe, zawiedzie ją kiedyś na manowce? A co się stanie, jeśli żona napotka coś, co nie będzie „blichtrzem” – czy aby wtedy zawaha się, zanim się dla tego „posypie”?

Postanowił dotrzymać umowy, że żadne z nich nie stanie drugiemu na drodze do wykorzystania napotkanej „okazji”. Jednak co, jeśli ona takową napotka, a on jej nie zaaprobuje? Z całego serca pragnął dla żony tego, co najlepsze, jednak w ciągu wspólnego miesiąca – niepostrzeżenie i niemądrze – jego pojęcie na temat tego, co „najlepsze”, uległo zmianie.

Leniwie zmierzał ku brzegowi. Było jednak tak wspaniale, że kilka jardów od pomostu chwycił się linki cumowniczej łódki Streffy’ego i unosił się na wodzie, z głową zaprzątą myślami... Straszna szkoda, że muszą już jechać, zapewne to ten żal skłonił go do tego bezsensownego szukania dziury w całym. Przecież w Wenecji też będzie przepysznie... Choć nigdzie równie słodko co tu. A do tego mieli przed sobą cały rok... choć z tego roku miesiąc już minął.

Niechętnie dopłynął do brzegu, wszedł do domu i otworzył okno utrzymanego w chłodnych barwach salonu. Wokół widać już było oznaki zbliżającego się wyjazdu. W korytarzu stały kufry, na schodach leżały rakiety tenisowe. Na werandzie kucharka Giulietta próbowała obiema rękami dopiąć wciąż odmawiającą posłuszeństwa torbę. Wszystko to dało mu chłodne poczucie odrealnienia, jak gdyby miniony miesiąc był jedynie oglądanym w teatrze przedstawieniem, a teraz scenografię ściągano i odwożono za kulisy, by po chwili wnieść inne dekoracje – do sztuki, w której ani jemu, ani Susy nie dane już było odgrywać żadnej roli.

Kiedy ubrany i głodny zszedł na taras, gdzie czekała go już kawa, odzyskał swoje zwykłe, przyjemne poczucie bezpieczeństwa. Siedziała tam i Susy, rześka i radosna, z różą przypiętą do piersi i promieniami słońca we włosach. Była pogrążona w lekturze przewodnika kolejowego Bradshawa, ale zamachała do niego czule zza śniadania. W końcu podniosła wzrok i rzekła:

– Załatwiłam! Tak... Myślę, że może nam się udać.

– Co może nam się udać?

– Zdążyć na pociąg w Mediolanie. Jeśli punkt dziesiąty wsiądziemy do auta.

Zdziwił się.

– Auta? Jakiego auta?

– Auta tych nowych gości... Lokatorów Streffy’ego. Nie powiedział mi, jak się nazywają, a szofer twierdzi, że nie potrafi wymówić ich nazwiska. On natomiast nazywa się Ottaviano, zaprzyjaźniliśmy się. Przyjechał w nocy. Powiedział, że jego państwo dotrą tu dopiero pod wieczór. Strasznie się ucieszył, że będzie mógł nas zawieźć do Mediolanu.

– Na miłość boską! – zawołał Lansing, gdy żona przestała mówić.

Ona, śmiejąc się, wstała od stołu.

– Wiem, że to wyścig z czasem, ale jeśli popędzisz teraz i dopakujesz swój kuferek, to musi się udać.

– Dobrze, ale zrozum... Ile to nas będzie kosztować?

Susy radośnie uniosła powieki.

– Na pewno znacznie mniej niż bilety kolejowe. W Mediolanie mieszka ukochana Ottaviano, a biedaczyna nie widział jej aż pół roku. Kiedy mi to powiedział, od razu domyśliłam się, że i tak by się tam wybierał.

To bardzo sprytne z jej strony. Zaśmiał się. Ale dlaczego za każdym razem, gdy widział dowody, że jego żonie zawsze „uda się wszystko załatwić”, ogarniało go poczucie lęku? „Cóż – pomyślał – ona ma rację: kierowca i tak by pojechał do Mediolanu”.

Na górze, w drodze do garderoby, zastał Susy w chmurze eleganckich fatalasek, które właśnie zręcznie i stanowczo dopychała do kuferka. Nigdy jeszcze nie widział kogoś, kto potrafiłby się równie przemyślnie spakować. Udało jej się zmusić odporne przedmioty do zmieszczenia się w kufrze zupełnie tak, jak potrafiła pomieścić liczne sprzeczności we własnym życiu.

Często powtarzała:

– Kiedy już stanę się bogata, najbardziej będzie mnie denerwowało, gdy jakaś głupia służąca będzie próbowała mnie spakować.

Kiedy koło niej przechodził, żona spojrzała na niego przez ramię. Jej twarz była aż różowa z wysiłku. Z otchłani wydobyła pudełko cygar.

– Kochanie, weź, proszę, kilka do kieszeni na napiwek dla Ottaviano.

Lansing osłupiał.

– Co ty, na miłość boską, wyprawiasz z cygarami Streffy’ego?

– Pakuję je, naturalnie... Chyba nie sądzisz, że chciałby je zostawić dla tych obcych? – Popatrzyła na niego z niekłamanym zdziwieniem.

– Nie wiem, jaki on miał zamiar... Ale one nie są nasze...

Żona dalej wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

– Nie rozumiem, dlaczego traktujesz to wszystko tak śmiertelnie poważnie. Przecież te cygara raczej nie należą do Streffy’ego... Z pewnością wycygał je od jakiegoś podejrzanego koleżki. A przecież z pewnością nie chce, aby dostały się w cudze ręce.

– Nonsens! Jeśli nie są Streffy’ego, to tym bardziej nie są moje. Proszę, kochanie, oddaj mi je.

– Jak chcesz. Choć według mnie to zmarnowanie dobrych cygar... Możesz mieć pewność, że ci nowi też ich nie dostaną... Na pewno zatroszczy się o to szanowny pan ogrodnik na spółkę z kochaniem Julietty!

Lansing odwrócił od niej wzrok i przeniósł go na fale koronek i muślinów, spośród których Susy wyłaniała się niczym nereida.

– Ile pudełek zostało?

– Tylko cztery.

– Wypakuj je, proszę.

Zanim się ruszyła, nastąpiła długa, pełna napięcia chwila, podczas której Lansing zaczął zdawać sobie sprawę, że ten gniew jest nieproporcjonalny do całego problemu. To jednak tylko rozgniewało go jeszcze bardziej.

Podawała mu pudełko.

– Pozostałe są na dole, w twoim bagażu. Już wszystko zamknięte i pozwiązywane.

– A więc daj klucz.

– A nie możemy ich odesłać już z Wenecji? Ten zamek jest taki okropny: będziesz się z nim szamotał z pół godziny...

– Daj klucz, proszę.

Poddała się.

Zszedł na dół i – jak przewidziała Susy – walczył z zamkiem dokładnie pół godziny.

Przyglądała się temu zadziwiona Giulietta oraz złośliwie szczerzący się szofer, który raz po raz stawał na progu i uprzejmie przypominał, ile zajmuje podróż do Mediolanu. Wreszcie klucz udało się przekręcić i Lansing – spocony i z połamanymi paznokciami – wyciągnął cygara i pokuśtykał z nimi do opustoszałego salonu. Ogromne bukiety złocistych róż, które dzień wcześniej nazbierał z Susy, zrzuciły już swe płatki na marmurową posadzkę, pomiędzy oknami stały alabastrowe *tazze* z wodą, po której pływały blade kamelie, a bryza znad jeziora przywiodła ku niemu zniewalające zapachy z ogrodu. Jak nigdy, niewielka rezydencja Streffy'ego przypominała gniazdko rozkoszy. Lansing odłożył pudełka z cygarami na kominek i pobiegł na górę, aby zabrać swoje pozostałe drobiazgi. Kiedy znów zszedł, zastał żonę siedzącą z dumnym spojrzeniem zdobywcy w pożyczonym rydwanie. Bagaże zostały już przemyślnie pochowane, a Giulietta i ogrodnik całowali jej dłonie i żegnali się wśród szlochów.

„Ciekawe, co im dała” – pomyślał. Wskoczył do samochodu na miejsce koło niej i ruszyli przez pełny słowików gaj w stronę bramy.

Rozdział 4

Willa Charliego Strefforda była niczym gniazdko w różanym krzewie; pałac Nelsonów Vanderlynów wymagał bardziej wyszukanych porównań.

W zestawieniu z ich poprzednim miejscem pobytu ten rozmiar i luksus wydał się Susy wręcz przytłaczający. Po przyjeździe wylądowali u stóp ogromnych, ocienionych markizą schodów, zjedli kolację w przyziemnej jadalni, z której sufitu łypali na nich olimpijscy bogowie, a następnie spędzili chłodny wieczór w salonie, który aż prosił się, by tańczono w nim menuety. To wszystko ostro kontrastowało z radosną przytulnością willi nad Como, zupełnie tak jak nagłe poróżnienie małżonków gryzło się z wzajemną bliskością dnia poprzedniego.

Podróż do Wenecji przebiegła nadzwyczaj wesoło: zarówno Susy, jak i Lansing mieli taką wprawę w sztuce zamiatania pod dywan, że z wyjątkowym zacięciem starali się ukryć przed sobą nawzajem spustoszenie ich pierwszej niezgody; ono jednak pozostało, kryjąc się gdzieś głęboko.

Teraz Susy siedziała przed zmatowiałym lustrem w swojej sypialni. Na ścianach wisiały gobeliny, a sklepienie było wyjątkowo okazałe. Rozczesywała włosy, a jej sercem targały wyrzuty sumienia, że to z jej winy się pokłócili.

„A wydawało mi się, że lubię wzniosłość. To wszystko jednak jest dla mnie zdecydowanie za wielkie” – dumiała, przyglądając się odbiciu, którego blada dłoń poruszała się w tę i we w tę w zamglonej otchłani zwierciadła.

„A przecież – myślała – Ellie Vanderlyn jest ode mnie najwyżej pół cala wyższa... I z pewnością nie jest poważniejsza... Może to miejsce wydaje mi się tak okropnie wielkie, bo po prostu dziś czuję się, jakbym była potwornie mała...”

Susy lubowała się w luksusach – wytworne przedmioty zawsze sprawiały, że czuła się piękna, a wysokie stropy dotychczas czyniły ją wręcz arogancką. Nie pamiętała, aby splendor i dobrobyt kiedykolwiek dotąd ją przytłaczał.

Odłożyła szczotkę i oparła brodę na splecionych palcach... Nawet teraz nie była w stanie zrozumieć, dlaczego właściwie wzięła te cygara. Zawsze wysoko ceniła sobie wrodzone skrupuły: jej wykombinowane opinie były niezwykle zmienne, jednak w kwestiach, które nie podlegały dyskusji, pozostawała zazwyczaj dziwnie nieustępliwa. A mimo to zabrała cygara Streffy'ego! A wzięła je – tak, taki przecież miała cel – właśnie dla Nicka; dlatego że chciała mu sprawić przyjemność. Jej głównym pragnieniem było uczynić jego życie – nawet w najdrobniejszych szczegółach – prostym, pełnym radości i luksusu. To właśnie dla niego popęłiła to drobniutkie świństwo, na dodatek takie, którego najbardziej by się wstydziła popęłnić tylko dla siebie. Skoro on od razu tego nie wyczuł, ona nigdy nie będzie w stanie mu tego wytłumaczyć.

Wstała, westchnęła, machnęła głową, wokół której zatańczyły rozpuszczone już włosy, po czym rozejrzała się po wspaniałej, ozdobionej freskami komnacie. Służąca wspomniała coś wcześniej o tym, że signora zostawiła dla gościa list. Rzeczywiście, leżał na biurku, razem z pocztą do niej i Nicka. Była to gruba koperta zaadresowana dziecinnymi kulfonami Ellie, a z boku złowieszczo widniał napis „prywatne!”

„Przecież ona tak nie znosi pisać!” – zdziwiła się Susy. „Co też ma mi do przekazania?”

Rozerwała kopertę. Wypadło z niej kilka zamkniętych i opatrzonych znaczkami listów. Wszystkie były zaadresowane – pismem Ellie – do szanownego pana Nelsona Vanderlyna. W rogu każdej leciutko ołówkiem zapisana była data i cyfra: jeden, dwa, trzy, cztery – a pomiędzy datami zawsze był tydzień różnicy.

„Na miłość boską...” – westchnęła Susy, natychmiast pojmując, o co chodzi.

Opadła na fotel przy biurku. Przez dłuższą chwilę wgapiła się tylko w ponumerowane listy. Spomiędzy nich wyleciała kartka pokryta pismem Ellie, Susy jednak jej nie podniosła; i tak wiedziała, niestety, co było na niej napisane! Znała, rzecz jasna, tajemnice swojej przyjaciółki; tylko biedny Nelson był ich nieświadom. Nigdy jednak nie przypuszczała, że Ellie zniży się do tego, by ją tak wykorzystać. To niewiarygodne... Cóż za podłość... Poczzerwieniła, z wściekłością wyskoczyła z fotela, już prawie chciała podrzeć te listy na strzępy i wrzucić wszystko do kominka.

Usłyszała pukanie męża do drzwi łączących ich sypialnie. Natychmiast ukryła niebezpieczną paczuszkę pod bloczkiem bibułki.

– Och, nie wchodź, kochanie! – zawołała. – Jeszcze nie skończyłam się rozpakowywać i mam paskudny bałagan!

Zebrała gazety i listy do Nicka, przebiegła przez pokój i rzuciła je przez drzwi.

– Masz, tym się zajmij! – Zaśmiała się w prog, rozpromieniając się na chwilę dla niego.

Gdy się odwróciła, ze wstydu zrobiło jej się aż słabo. Na podłodze leżał list od Ellie. Niechętnie schyliła się i podniosła go. Znalazła tam to, czego się spodziewała.

„Przysługa za przysługę... Naturalnie możecie z Nickiem zostać tu całe lato... Nie będzie Was to nic kosztować, poinstruowałam służbę... Bądź tylko taka dobra i wysyłaj te listy... Wieki całe czekałam na taką okazję... Gdy się spotkamy, wszystko wyjaśnię... A za miesiąc najpóźniej wrócę po Clarissę...”

Susy przysunęła list bliżej lampy, aby się upewnić, czy dobrze przeczytała. Wróci po Clarissę! A więc zostawiła tu córkę? Tutaj, w tym domu, pod ich opieką?

Wściekła, czytała dalej: „Mała tak się cieszy na Wasz przyjazd, bidulka. Musiałam zwolnić tę małpę, jej guwernantkę (paskudna impertynentka!), więc gdyby nie Wy, zostałyby samiotka, tylko ze służbą (której zbytnio nie ufam). Zlituj się więc i bądź dobra dla mojego dziecka, wybac, że ją Wam zostawiłam. Ona myśli, że pojechałam na kurację do wód. Wie, że ma nic nie mówić tatusiowi o moim wyjeździe, bo tylko by się niepotrzebnie zamartwiał, że jestem chora. Można jej zaufać, sama się przekonasz, jaka z niej grzeczna bystrula...”

Poniżej, już w samym dole kartki, dopisano pospiesznie postscriptum: „Susy, złotko! Jeśli choć trochę zależy Ci na mnie, jeśli czujesz się choć troszkę mi zobowiązana, na miłość boską, nie mów nic a nic nikomu, nawet Nickowi. Wiem, że mogę liczyć, że wymażesz cyferki”.

Susy podskoczyła i rzuciła list pani Vanderlyn w ogień, po czym powoli wróciła na fotel. Tam czekały cztery feralne koperty. Teraz musiała zdecydować, co z tym fantem zrobić.

Najpierw stwierdziła, że koniecznie trzeba je zniszczyć: to może ocalić skórę i jej, i Ellie. Jednak zdała sobie sprawę, że gdyby tak zrobiła, musieliby wyjechać nazajutrz i zawiadomić gospodynię. Przed spaleniem bezskutecznie szukała w liście adresu. Cóż, może zna go bona Clarissy... Przecież nawet Ellie nie mogłaby wyjechać bez zapewnienia sobie jakiegokolwiek możliwości kontaktu z córeczką. W każdym razie tego wieczoru nie da się już nic zrobić, pozostawało tylko opracować szczegóły porannego wyjazdu i wykombinować, z czyjej gościny mogliby skorzystać w zamian.

Susy nie kryła przed sobą, jak bardzo liczyła na mieszkanie u Vanderlynów tego lata: ta okazja niezwykle ułatwiłaby im dalsze życie. Znała szczodrość Ellie, doskonale wiedziała, że póki byli jej gośćmi, ich jedynymi wydatkami mogły być okazjonalne prezenty dla służby. I gdzie mogli się udać w zamian? Oboje tak bardzo nastawili się na tę letnią beczynność na lagunie, na gorące godziny plażowania na Lido, na wieczory pełne muzyki i marzeń na tym giudeckim balkonie! Sama myśl, że musiałaby zrezygnować z tych przyjemności i do tego pozbawić ich Nicka, napełniła Susy wielkim gniewem, tym silniejszym, że mąż wyznał jej, że

w Wenecji „zamierzał pisać”. W jej piersi zaległo się już zażarte pragnienie pisarskiej żony, by bronić męzowskiego spokoju i ułatwiać mu spotkania z Muzą. Cóż za podłość, prawdziwa podłość, że ta Ellie Vanderlyn zastawiła na nią takie sidła!

Cóż – nie pozostało nic innego, jak wyznać Nickowi całą prawdę. To głupstwo z cygarami – teraz tamta sprawa wydała jej się doprawdy błahostką – pokazało, jakie z pewnością będzie stanowisko Nicka, nauczyło ją, że mąż potrafi być zaciekle nieustępliwy. Rano opowie mu o wszystkim, razem wymyślą wyjście z tej sytuacji – Susy z niezachwianą pewnością wierzyła, że uda jej się znaleźć jakieś rozwiązanie. Nagle jednak przypomniał jej się dopisek pod listem pani Vanderlyn: „Jeśli choć trochę zależy Ci na mnie, jeśli czujesz się choć troszkę mi zobowiązana, na miłość boską, nie mów nic a nic nikomu, nawet Nickowi...”

Było to, rzecz jasna, coś, o co prosić nikt nie miał prawa; jeśli oczywiście cokolwiek „prawego” można powiedzieć w związku z tym galimatiasem nieprawości. To jednak przypomniało jej, że rzeczywiście była Ellie wiele dłużna, a to była pierwsza zapłata, o którą upomniała się przyjaciółka. Znalazła się dokładnie w tym samym położeniu co wówczas, gdy Ursula Gillow – używając tego samego argumentu – błagała Susy, aby ta zrezygnowała ze znajomości z Nickiem. Szkopuł w tym, że teraz tyle zawdzięczała również Nelsonowi Vanerlynowi, bo pieniądze umożliwiające Ellie hojność należały również do jej nieszczęsnego małżonka... Dziwna konstrukcja zasad moralnych Susy zadrzała w posadach i dziewczyna z ręką na sercu nie mogła stwierdzić, jak znaleźć właściwą drogę pośród tej całej ohydy.

Bezmiar rozterek wprawił ją w osłupienie. Wielokrotnie bywała już w „tarapatach”; prawdę mówiąc, rzadko się zdarzało, ażeby w nich nie była! Przeszłość zdawała się jej wielką siecią ciągłych ustępstw i knowań, teraz jednak po raz pierwszy czuła się, jak gdyby ktoś ją chwycił, zakneblował i z całej siły przycisnął do ziemi. Wciąż bolała ją kwestia cygar, a teraz to wielkie upokorzenie wlewało się w otwartą ranę. Nie ulegało wątpliwości, że drugi miesiąc podróży poślubnej rozpoczął się w niepogodzie...

Zerknęła na stojący na toalecie emaliowany podróży zegarek – jeden z nielicznych ślubnych podarków, które zgodziła się przyjąć w naturze – i aż podskoczyła, zobaczywszy, jak jest późno. Lada chwila przyjdzie Nick. Niemiłe uczucie w gardle ostrzegło ją, że przez zwyczajne nerwy i zmęczenie mogłaby coś pochopnie wypaplać. Od lat przyzwyczajona była do stanu ciągłej gotowości, zwróciła się więc do lustra. Była blada i wyglądała doprawdy mizernie. Przy pomocy odpowiednich specyfików szybko i sprawnie podkreśliła oznaki zmęczenia, po czym podeszła do drzwi sypialni męża i po cichutku je otworzyła.

Siedział w świetle lampy. Gdy weszła, odłożył czytany list. Jego twarz miała grobowy wyraz. Susy była pewna, że wciąż rozmyślał o cygarach.

– Kochanie... Jestem taka zmęczona... Do tego strasznie boli mnie głowa, przyszedłam więc tylko powiedzieć dobranoc... – Podeszła do oparcia fotela i położyła dłonie na ramionach małżonka. Chwycił je natychmiast, lecz kiedy odwrócił się do niej, spostrzegła, że wciąż jest poważny, prawie że rozkojarzony. Tak jakby po raz pierwszy między jej i jego oczami znalazła się niewidzialna woalka.

– Tak mi przykro... To był dla ciebie męczący dzień – powiedział i jak gdyby odruchowo pocałował dłonie żony.

Serce Susy złowieszczo skoczyło do gardła.

– Nick! – zawołała, tuląc go tym mocniej. – Zanim pójde, przysięgnij, daj słowo honoru, że wiesz, że dla siebie nigdy nie wzięłabym tych cygar!

Lansing przez chwilę wpatrywał się w żonę, a ona w niego z równą powagą. W końcu jednak oboje ogarnęła nieunikniona wesołość i wichura śmiechu rozdmuchała wyrzuty sumienia dziewczyny.

Kiedy Susy obudziła się następnego ranka, słońce wyglądało już zza starodawnych brokatowych zasłon, a jego odbicie od fal Canal Grande rysowało złote łuski po zdobionym stropie. Służąca właśnie postawiła tacę na niedużym zdobionym nachtkastliku. Przy tacy Susy dostrzegła małą, poważną twarzyczkę Clarissy Vanderlyn. Na widok dziewczynki obudziły się drzemiące jeszcze troski.

Clarissa miała zaledwie osiem lat i jak na swój wiek była bardzo mała: jej okrągła bródka ledwo sięgała imbryczka z herbatą, a brązowe oczęta zerkały na Susy spomiędzy stojaka do grzanek i pojedynczej herbacianej róży tkwiącej w antycznym wazoniku z murańskiego szkła. Nie widziały się dwa lata i przez ten czas dziewczynka zdawała się wyrosnąć z zamyślnego dziecka na dojrzałą, doświadczoną przez los kobietę. Na przyjaciółkę matki zerkała z aprobatą.

– Tak się cieszę, że pani przyjechała – powiedziała słodkim głosem. – Tak bardzo panią lubię. Wiem, że nie będzie mi wolno często z panią bywać, ale przynajmniej rzuci pani na mnie czasem okiem, prawda?

– Czy rzucę okiem? Jeśli będziesz mi mówić tak miłe rzeczy, to nigdy nie będę chciała stracić cię z pola widzenia! – Susy zaśmiała się, po czym podniosła małą i usadowiła ją obok siebie.

Clarissa uśmiechnęła się i rozsiadła się wygodnie na jedwabnej narzucie.

– Och, wiem, że nie wolno mi ciągle się tu kręcić, bo jesteście nowożeńcami. Ale czy mogłaby pani dopilnować, żebym regularnie dostawała posiłki?

– Ojej! Biedactwo! A nie dostajesz?

– Nie, kiedy mama wyjeżdża się kurować. Służba nie zawsze mnie słucha... Widzi pani, jestem taka mała, nie wyglądam na moje lata. Oczywiście za kilka lat będą musieli... Nawet jeśli nie uda mi się wiele urosnąć – dodała poważnie.

Wyciągnęła łapkę i dotknęła wiszących na szyi Susy pereł.

– Jakie małe, ale jakie ładne! Zapewne w podróż nie wozi pani innych?

– Innych? Ależ ja nie mam innych... I zapewne już nigdy nie będę mieć...

– Żadnych pereł?

– W ogóle żadnej cennej biżuterii.

Dziewczynka osłupiała.

– Naprawdę? – spytała, jak gdyby usłyszała coś niewyobrażalnego.

– Niestety, to podła prawda – wyznała Susy. – Ale i tak myślę, że uda mi się sprawić, by służba mnie słuchała.

Jednak ten temat przestał interesować Clarissę, która wciąż uważnie przyglądała się towarzyszce. Po chwili znów postanowiła zadać pytanie:

– Czy musiała pani oddać wszystkie klejnoty po rozwodzie?

– Po rozwodzie? – Susy odchyliła głowę i wybuchła śmiechem. – Co ci przyszło do głowy? Nie pamiętasz, że jak ostatnio się widziałyśmy, to nawet nie wyszłam jeszcze za mąż?

– Pamiętam. Ale to było dwa lata temu. – Mała zawiesiła rączki na szyi Susy i przytuliła ją czule. – W takim razie pewnie niedługo się pani rozwiedzie? Obiecuję, że jeśli to ma być tajemnica, nikomu nie powiem!

– Czy się rozwiodę? Oczywiście, że nie! Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

– Bo wygląda pani na tak strasznie szczęśliwą! – odparła Clarissa Vanderlyn.

Rozdział 5

Było to głupstwo, nie żaden znak – mimo to zapadło Susy w pamięć, że pierwszego poranka w Wenecji Nick zamiast przyjść do niej, wyszedł bez słowa. Długo siedziała w łóżku i rozmawiała z Clarissą, cały czas oczekując, że lada chwila otworzą się drzwi i stanie w nich mąż. Kiedy dziewczynka wreszcie sobie poszła, Susy wyskoczyła spod kołdry i zajrzała do sypialni Nicka. Zastała ją pustą, a na toaletce leżał liścik, w którym mężczyzna tłumaczył, że wyszedł, aby wysłać depeszę.

Fakt, że stwierdził konieczność wytłumaczenia swej nieobecności, był dziecinny, coś takiego zrobiłby prawdopodobnie niepewny kochanek. Dlaczego po prostu nie wstąpił do niej i nie powiedział jej tego? Instynktownie skojarzyła tę drobnostkę z cieniem zmartwienia, którego poprzedniego wieczoru dopatrzyła się w jego twarzy, gdy zastała go pogrążonego w czytaniu jakiegoś listu. Ubierając się, wciąż dumiała, co takiego tam było i czy depesza, którą tak spieszo było Nickowi wysłać, nie stanowi przypadkiem odpowiedzi na ten właśnie list.

Tego nigdy się nie dowiedziała. Kiedy Nick wrócił – przystojny i wesoły niczym poranek – nie zaoferował żadnych wyjaśnień, a ona sama z zasady nie zadawała nieproszonych pytań. Nie chodziło tylko o to, że zazdrośnie chroniła własną niezależność i odpowiednio szanowała wolność innych. Po prostu tak długo pływała już wokół towarzyskich raf i ławic, że doskonale zdawała sobie sprawę, jak wąska jest cieśnina prowadząca do spokoju ducha; usilnie chciała więc utrzymać swą łupinkę w głównym nurcie. Ten incydent rozgościł się jednak w jej głowie, nabywając pewnego rodzaju symbolicznego znaczenia, był jakby punktem zwrotnym w jej relacjach z mężem. Nie żeby teraz czuła się mniej szczęśliwa, zaczęła jednakże widzieć ich związek tak, jak dawniej postrzegała tego rodzaju radości: niczym wysepkę pośród wzburzonego morza. Nadal była niezwykle szczęśliwa, zaczęła jednak odczuwać ciągłą udrękę z powodu tego, co ukrywa przed Nickiem, oraz tego wszystkiego, co – jak podejrzewała – on przed nią zatajał...

Właśnie o tym rozmyślała pewnego popołudnia jakieś trzy tygodnie po ich przyjeździe do Wenecji. Słońce powoli zachodziło, a ona siedziała samotnie na balkonie i patrzyła, jak na wodzie światła łączą się w świetlisty wzór ponad rozpalonymi odbiciami starych pałacowych suterren. O tej porze prawie zawsze była sama. Nick nabrał zwyczaju pisania popołudniami – udało mu się dotrzymać postanowienia, a więc widocznie towarzyszyła mu Muza. Schodził do żony dopiero o zachodzie słońca, kiedy to udawali się na wieczorną przejażdżkę łódką po lagunie. Tego dnia Susy jak zwykle zabrała Clarissę do Giardino Pubblico, gdzie grzeczne dziecko „bawiło się”, choć bez większego zaangażowania – dziewczynka brała udział w zabawach właściwych swojemu wiekowi zupełnie tak, jak gdyby z czystej uprzejmości przystawała na przestrzeganie przestarzałych rytuałów. Potem wróciły, by zdążyć na lekcję muzyki, której echa dochodziły teraz Susy z odległego okna.

Okazało się, że jest bardzo zadowolona z obecności Clarissy. Gdyby nie dziecko, dumę z pracowitości małżonka mogłoby nieco skazić poczucie, że bywa zapomniana i opuszczona. A przecież zostali tu ze względu na tę pracowitość, postąpiła tak a nie inaczej właśnie, aby ją umożliwić, była więc wdzięczna Clarissie, że dotrzymuje jej towarzystwa i chroni ją przed samotnością. Do tego dziewczynka stanowiła drugą połowę jej usprawiedliwienia: Susy trzymała język za zębami, została w Wenecji, a raz w tygodniu wymykała się, by wysłać kolejny z ponumerowanych listów Ellie nie tylko przez wzgląd na Nicka, ale i na Clarissę. Wystarczył dzień w Palazzo Vanderlyn, aby się przekonała, że nie może opuścić małej. Z długiego doświadczenia wiedziała, że często w najbardziej zatłoczonych rezydencjach kryją się najsamotniejsze pokoje dziecinne, że dziecko bogaczy narażone jest na niebezpieczeństwa obce

mniej rozpieszczanym dzieciom. Dotychczas zdawała sobie z tego sprawę, ale widziała to jako kolejny paskudny element wśród najpodlejszych elementów płataniny życia. Teraz jednak nie tylko widziała i osądzała; jej niebezpieczny stan szczęścia pociągał za sobą nowy ciężar: współczucie.

Rozmyślała o powyższym, o zbliżającym się powrocie Ellie Vanderlyn oraz o wnikliwych prawdach, które zamierzała przedłożyć swojej gospodyni na osobności, gdy nagle zauważyła, że poniżej przycumowała jakaś gondola. Wyrzała i spostrzegła, że właśnie wyskakuje z niej wysoki, obskurnie ubrany jegomość; zobaczywszy ją, pomachał radośnie lekko zatęchłą panamą.

– Streffy! – zawołała równie wesoło. Popędziła na dół i w pół schodów spotkała Strefforda i objuczonego bagażem gondoliera.

– Nie macie nic przeciwko? Ellie powiedziała, że mogę przyjechać – tłumaczył się piskliwym, radosnym głosem. – I kazała umieścić mnie znowu w zielonym pokoju z papugami, jako że ostatnio tak wstrętnie splamiłem tam meble moją płukanką do włosów...

Susy uśmiechała się serdecznie, przepelniona głębokim zadowoleniem, które Streffy zawsze wywoływał u przyjaciół. Bez dwóch zdań – co do tego wszyscy byli zgodni – nie było na tym świecie kogoś, kto byłby choć w połowie tak brzydki, bałaganiarski i uroczy jak on; kto tak łączyłby wygadany egoizm z niezmordowaną wesołością, kto umiałby tak mistrzowsko przekonać kogoś, że się do niego przymila, równocześnie zmuszając go do przymilania się jemu.

Poza tymi uroczymi cechami – których nikt nie cenił tak wysoko i akuratnie jak on sam – Strefford w oczach Susy miał jeszcze jedną zaletę, z której zresztą sam najprawdopodobniej nie zdawał sobie sprawy. Był bowiem jedyną zakorzenioną i stabilną osobą pośród przewijających się przez jej światek płynnych i zmiennych postaci. Susy od urodzenia żyła wśród ludzi wynarodowionych: ci, których zwykło brać się za Rosjan, zwykle okazywali się Amerykanami, a ci, których uważało się za nowojorczyków, tak naprawdę pochodzili z Rzymu czy Bukaresztu. Te kosmopolityczne ludy zamieszkujące w cudzych krajach domy wielkości hoteli lub hotele, których goście stanowili równie międzynarodową mieszankę co kelnerzy, pobierali się, zakochiwali i rozwodzili po całej Europie, zgodnie ze wszystkimi zasadami mającymi na celu regulację więzów międzyludzkich. Strefford też pomieszkiwał w tym światku, ale miał w nim tylko jeden ze swoich domów. Drugi – o którym wspominał nieczęsto, a myślał zapewne jeszcze rzadziej – stanowiła wielka, nudna wiejska rezydencja na północy Anglii, gdzie, pokolenie za pokoleniem, płynęło życie w takim stopniu monotonne i zamknięte, w jakim jego własne było różnorodne i rozproszone. Właśnie świadomość istnienia tego drugiego domostwa i tego, co symbolizowało, nawet przy całym włączęństwie i beztrójce Streffy'ego co jakiś czas przebiegało w jego słowach albo nastawieniu wobec kogoś lub czegoś; to wszystko sprawiało, że wydawał się solidniejszy i bardziej wyrazisty od innych marionetek biorących udział w tym całym przedstawieniu. Z pozoru był bardzo do nich wszystkich podobny, równie skory, aby prześcignąć wszystkich w dystansowaniu się i przystosowywaniu do otoczenia. Wyśmiewał się z porzuconych rodowych uprzedzeń, z ludzi własnego pokroju, pod otoczką lekkiej ustępliwości zachował jednak szkielet dawnych wiar i starych mód. Susy kiedyś powiedziała o nim: „On jak my wszyscy włada każdym językiem, ale przynajmniej jednym włada najlepiej”. Kiedy doniesiono to Streffordowi, ten zaśmiał się, nazwał ją idiotką i był bardzo, ale to bardzo zadowolony.

Kiedy teraz razem wspinali się po schodach, Susy znów pomyślała o tej cesze przyjaciela, tym razem doceniając ją bardziej niż dotychczas. Nawet ona i Lansing, mimo ich niczym nierozcieńczonej amerykańskości i niebłahego tła, które stanowili bardzo staroświeccy krewni z Nowego Jorku i Filadelfii, byli tak samo umysłowo od kraju oddzieleni i wszędzie czuli się

równie swobodnie jak naganiacze na Wystawie Światowej. Zazwyczaj rozpoznawano, że są Amerykanami, ale tylko dlatego, że tak dobrze mówili po francusku, a Nick był zbyt jasny na „cudzoziemca” i miał zbyt ostre rysy, by mógł być Anglikiem. Natomiast angielskość Charliego Strefforda miała w sobie potężną siłę odwiecznego zwyczaju, a Susy nagle zaczęła sobie na wpół świadomie zdawać sprawę z piękna zwyczajów.

Gdy odpoczywali na balkonie – gdzie poszedł od razu, nie udając się nawet wpierv zmyć podróznego kurzu – Strefford wykazał wielkie zainteresowanie ostatnim rozdziałem jej życia. Wielką radość sprawiło mu, że spora część tej historii rozgrywała się właśnie pod jego dachem, a stanowczość, z jaką Susy zabroniła przeszkadzać Nickowi, aż ten skończy pisanie na dziś, wywołała u niego niemałe i dość nonszalanckie rozbawienie.

– Pisze? Bzdury! Niby co? On cię tylko, moja droga, bajecznie ustawia! Wyrabia alibi. O ile się założysz? Obstawiam, że tylko siedzi, pali i czyta *Le Rire*! Chodźmy się przekonać! Susy była jednak nieustępliwa.

– Przeczytał mi już pierwszy rozdział, jest cudowny. To taki filozoficzny romans... Wiesz, trochę w stylu *Mariusza epikurejczyka*.

– Och, wiem, wiem! – zawołał Strefford, śmiejąc się przy tym, według niej kretyńsko. Poczzerwieniała jak rozszlączone dziecko.

– Ale jesteś niemądry, Streffy. Zapominasz, że ja i Nick nie potrzebujemy żadnych alibi. Pozbyliśmy się tej całej hipokryzji, umawiając się, że każde z nas pomoże drugiemu, jeśli to drugie zamarzy o zmianie. Nie pobraliśmy się po to, aby się śledzić, okłamywać i uprzykrzać sobie życie: zawarliśmy partnerski związek dla obopólnych korzyści.

– Ach tak. Wybornie, po prostu wybornie. Ale skąd możesz mieć pewność, że jeśli Nickowi zamarzy się zmiana, to ty uznasz, że będzie akurat na jego korzyść?

– Cóż, mam nadzieję, że mam na tyle zdrowego rozsądku... – zaczęła.

– Och, oczywiście. Z pewnością kłócąc się z tego czy innego powodu oboje będziecie kierować się tylko zdrowym rozsądkiem.

Ten błysk przenikliwości zaniepokoił ją, więc odparła, lekko zdenerwowana:

– A ty co byś zrobił, gdybyś był żonaty? Ciii... Zabraniam ci być tak głośno. Aż gondole się zatrzymują!

– Jak mam się powstrzymać? – Streffy bujał się w tę i we w tę na krześle. – Ona ma czelność pytać się: „Streffy, co zamierzasz począć, jeśli nagle kompletnie stracisz rozum?”.

– Nic takiego nie powiedziałam. Gdyby nagle zmarł twój stryj i twój kuzyn, już jutro stałbyś na ślubnym kobiercu, nie próbuj mi wmówić, że nie.

– No, teraz mówisz do rzeczy. – Długimi rękami chwycił za balustradę i wychynął za balkon. Przyglądał się upstrzonym ognistymi błyskami falom koloru zmierzchu. – Gdyby tak się stało, rzekłbym: „Susan, najdroższa Susan! Teraz, skoro, jak każe łaska miłościwej Opatrzności, stałaś się hrabiną Altringham dla arystokracji brytyjskiej, a do tego baronową Dunsterville i d’Amplay według ksiąg szkockich i irlandzkich, musisz pamiętać, że należysz do jednego z najstarszych rodów Zjednoczonego Królestwa... i że nie możesz dać się zdemaskować!”.

Susy zaśmiała się.

– Oboje dobrze wiemy, co oznaczają takie przestrogi! Współczuję mojej imienniczce.

Obrócił się i rzucił jej spojrzenie małych, wstrętnych, błyszczących oczu.

– Czy jest na tym świecie jakaś inna kobieta o twym imieniu?

– Mam nadzieję, że tak... Zwłaszcza jeśli zamierzasz się przy nim upierać. Nie masz co na mnie liczyć, nawet jeśli Nick mnie rzuci. Zbyt dużo już widziałam takich przypadków.

– Cóż... I tak, o ile mi wiadomo, w Altringham wszyscy zdrowi. – Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął wieczne pióro obwiązane poplamioną atramentem chustką oraz paczkę

pogniecionych papierosów. Jednego z nich zapalił, włożył pozostałe przedmioty z powrotem do kieszeni, po czym spokojnie ciągnął: – Opowiedz mi, proszę, jak udało ci się pogodzić z Gillowami. Zeszłego lata w Newport Ursula aż toczyła pianę z ust... To było wtedy, kiedy ludzie zaczęli mówić, że wybierasz się za męża za Nicka. Aż bałem się, że wsadzi ci coś między szprychy, a teraz doszły mnie słuchy, że zamiast tego wręczyła ci tłusty czek.

Susy milczała. Odkąd Strefford się pojawił, wiedziała, że prędzej czy później zada to pytanie. Był z niego prawdziwie wścibski małpiszon, a kiedy postanowił się czegoś dowiedzieć, na nic zdały się jakiegokolwiek próby odwrócenia jego uwagi.

Po chwili wahania wyznała:

– Zaczęłam flirtować z Fredem. Nie było to przyjemne, ale on zachował się bardzo przyzwoicie.

– Nie wątpię. Biedaczek. I nieźle udało ci się przerazić Ursulę!

– Cóż... wystarczająco. A wtedy szczęśliwym trafem przyjechał z Rzymu ten młody inżynier Nerone Altineri. Zjawił się w Nowym Jorku szukać pracy, a Ursula zmusiła Freda, by go zatrudnił w hucie żelaza. – Znów przerwała, po czym zawołała nagle: – Oj, Streffy! Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo nie lubię takich rzeczy. Już wołałabym, żeby Nick powiedział mi prosto z mostu, że mnie rzuca dla...

– Dla Coral Hicks? – zaproponował Strefford.

Susy zaśmiała się.

– Dla nieszczęsnej Coral Hicks! Dlaczego pomyślałeś akurat o Hicksach?

– Bo dopiero co natknąłem się na nich na Capri. Pływają po okolicy. Mówili, że i tu się wybierają.

– Masz ci los! Mam nadzieję, że nas nie nakryją. Byli tak paskudnie mili dla Nicka, kiedy wzięli go ze sobą do Indii, a są tak prostoduszni, że na pewno spodziewają się, że on się z nimi zobaczy.

Strefford rzucił wypalonym papierosem w stronę kapelusza turysty spoglądającego na ich pałac znad przewodnika. Zobaczywszy, że trafił, mruknął coś do siebie z satysfakcją, po czym dodał:

– Coral Hicks wyrasta nam na całkiem niebrzydłą panienkę.

– Och, nie przewidziało ci się, Streff? Ta mała okularnica z grubymi kostkami? Jej nieszczęsna matka wciąż powtarzała Nickowi: „Kiedy wraz z małżonkiem edukowaliśmy Coral, spodziewaliśmy się, że w Europie większą wagę przykładają się do kultury”.

– Cóż... Jej akurat edukacja nie przeszkodzi, jak już dziewczyna trafi na salony. A więc przypuścimy, że Nick oznajmi ci kiedyś, że cię rzuca...

– Wówczas będę bardzo wdzięczna, jeśli okaże się, że dla takiej brzyduli jak Coral! Ale wiesz... – dodała z uśmiechem – umówiliśmy się, że jeszcze przez rok nam to nie grozi.

Rozdział 6

Susy zauważyła, że po tym pierwszym wybuchu niedorzeczności Strefford zrobił się wyjątkowo miły i ożywiony. Wykazywane przez niego zainteresowanie przyszłością jej i Nicka zdawało się wynikać tym razem nie z jego zwykłej naukowej ciekawości, ale po prostu z przyjaźni, którą ich darzył. Dostał zaszczytu przeczytania pierwszego rozdziału książki Nicka i miał o nim tak dobre zdanie, że później z pełną powagą wyłożył Susy, jak ważne jest, by przestrzegala godzin pracy męża. Był tak pozytywnie usposobiony, że wykazywał wręcz ojcowskie zainteresowanie Clarissą Vanderlyn. Zawsze miał miły stosunek do dzieci, zazwyczaj jednak zwracał na nie uwagę przelotnie i ostrożnie, pilnując swojej niezależności i biorąc pod uwagę, że lada chwila mogą mu się znudzić. W stosunku do Clarissy – jak zauważyła Susy – po raz pierwszy całkowicie porzucił swe zwykłe środki ostrożności.

– Biedactwo! Kto się nią zajmuje, kiedy wy wychodzicie razem? A więc Ellie wyrzuciła guwernantkę i wyjechała bez znalezienia zastępstwa?

– Chyba oczekiwała, że ja się tym zajmę – powiedziała Susy, a w jej głosie można było usłyszeć nutkę szorstkości. Były chwile, kiedy zobowiązania wobec Clarissy dość jej ciążyły; za każdym razem, kiedy gdzieś wychodziła sama z mężem, prześladowała ją wizja małej istotki tęsknie machającej do nich z balkonu.

– Znając Ellie, wcale nie jestem zaskoczony. Mogłaś się spodziewać, że kiedy wam to wszystko wynajęła, zadbała też o to, by jej się zwróciło. Ale wątpię, aby spodziewała się, że będziesz wypełniać zadanie aż tak sumiennie.

Susy zadumała się.

– Ja również wątpię. Pewnie rok temu zachowywałabym się inaczej. Ale zrozum... – Zawahała się. – Nick jest tak strasznie dobrym człowiekiem: dzięki temu mam teraz trochę inne podejście do wielu rzeczy...

– Do diabła z dobrocią Nicka! To wszystko wyłącznie zasługa twojego szczęścia, moja droga. Jesteś po prostu jedną z tych osób, na których szczęście ma dobry wpływ.

Susy rozparła się w fotelu, odchyliła głowę i spomiędzy długich rzęs przyjrzała się uważnie jego nierównemu, ironicznemu obliczu.

– W takim razie co ma dobry wpływ na ciebie, Streffy? Nigdy jeszcze nie widziałam, żebyś zachowywał się tak... po ludzku! Chyba dostajesz jakąś niebotyczną kwotę za wilę.

Strefford zaśmiał się i poklepał lekko kieszonkę na piersi.

– Byłbym głupcem, gdybym o to nie zadbał. Mam tu właśnie depeszę, że koniecznie muszą pomieszkać u mnie kolejny miesiąc, cena nie gra roli.

– Ale masz szczęście. Gratuluję! A tak przy okazji: kim są ci lokatorzy?

Strefford podniósł się z kanapy, na której wylegiwał się powykręcany, po czym spojrzał na nią z uśmiechem.

– A, to tylko kolejna para zakochanych na zabój idiotów, jak ty i Nick... Słuchaj, zanim przehulam wszystko, co z nich ściągnąłem... Chodźmy może kupić Clarissie coś niesamowitego!

Dni mijały tak prędko i promiennie, że gdyby nie wzgląd na małą, Susy prawie by nie zauważyła, że ich gospodyni przedłużyła swą nieobecność. Pani Vanderlyn pisała, że wróci „najpóźniej” po czterech tygodniach, ale miesiąc minął, a ona ani nie wróciła, ani nie pisała, tłumacząc się z „nieobecności”. W rzeczy samej: od wyjazdu nie dała nawet znaku życia, poza jedną pocztówką, którą Clarissa dostała dzień po przyjeździe Lansingów i w której mama przykazała, aby dziewczynka była niezwykle grzeczna i nie zapomniała karmić mangusty. Susy zauważyła, że wiadomość wysłano z Mediolanu.

Opowiedziała Streffordowi, że się niepokoi.

– Nie ufam tej zielonookiej bonie. Cały czas zadaje się z tym młodym gondolierem, a Clarissa przecież jest taka bystra! Nie rozumiem, dlaczego Ellie wciąż nie ma, miała wrócić w zeszły poniedziałek.

Jej towarzysz zaśmiał się, a było w tym śmiechu coś, co sugerowało, że prawdopodobnie wie o poczynaniach Ellie równie dużo, jeśli nie więcej, co Susy. Ten temat zawsze wywoływał u niej obrzydzenie, więc szybko odwróciła się, by nie widzieć jego tolerancyjnego uśmiechu. W tej chwili oddałaby wszystko, ażeby tylko móc wyjawić Nickowi, czego dowiedziała się tuż po przyjeździe, i wyjechać stąd razem, gdzie ich oczy poniosą. No ale przecież Clarissa...

Aby nie wodzić się na pokuszenie, postanowiła skupić myśli na mężu. Nie miała wątpliwości, że Nick jest tu szczęśliwy. Uwielbiał ją, rozkoszował się Wenecją, praca sprawiała mu radość. A co do jakości tego pisania – była pewna swego osądu tak jak własnych uczuć. Dalej miała wątpliwości, czy kiedykolwiek uda mu się cokolwiek na pisaniu zarobić, natomiast była już całkowicie pewna, że jej mąż stworzy wybitne dzieło. Sam fakt, że zajął się romansem filozoficznym, a nie jakąś tam zwykłą powieścią, zdawał się świadczyć o wrodzonej wyższości jej małżonka. Może nie do końca wierzyła w swoją bezstronność w tej kwestii, jednak teraz potwierdziła ją pochwałą Strefforda. W gronie znajomych uchodził on bowiem za autorytet w tych kwestiach: jego piewcy zawsze podkreślali, że „sam pisuje”. Choć, prawdę mówiąc, płacąca publika dość chłodno przyjęła nieliczne opublikowane przez niego artykuły. Obracał się jednak wśród ludzi, którzy zwykli mylnie uważać dobry gust za przejaw talentu i którym łatwo zaimponować nawet najprostszymi literackimi próbami. Choć sam udawał, że gardzi zdaniem pochlebców, Susy wiedziała, że uwielbiał, jak wzdychają: „Ach, gdyby Streffy tylko zechciał...”.

To, że Strefford pochwalił powstający tu romans filozoficzny, przekonało ją, że przez wzgląd na Nicka warto zostać w Wenecji. Miała jednak nadzieję, że Ellie prędko wróci i zabierze Clarissę do Sankt Moritz czy do Deauville – wtedy z pewnością ten wstrętny epizod, któremu zawdzięczali obecne szczęście, zniknie z horyzontu niczym przewiana wiatrem chmura i nareszcie będą mogli żyć pełnią szczęścia.

Ellie jednak nie przyjechała, zjawili się natomiast Mortimerowie Hicksowie. Jak przewidziała Susy, Nicka zaczęły nękać związane z tym skrupuły. Wróciwszy pewnego wieczoru z Lido, Strefford zameldował, iż w rozrywkowej części zewnętrznego portu zauważył potężny zarys „Ibisa”, ich jachtu. Już następnego wieczoru, kiedy akurat goście Palazzo Vanderlyn spożywali mrożone specjały w kawiarni Floriana, na horyzoncie Placu Świętego Marka ukazała się rodzina Hicksów.

Susy bezskutecznie błagała męża, by pamiętał, że potrzebuje spokoju.

– Nie zapomnij, że przyjechałeś tu pisać. Twoim obowiązkiem jest chronienie się przed wszystkim, co może ci w tym przeszkodzić. Dlaczego nie możemy powiedzieć im, że właśnie wyjeżdżamy?

– Bo to i tak na nic się nie zda. Na pewno ciągle będziemy na siebie wpadać. Poza tym nie mogę unikać Hicksów! Przez pięć miesięcy mieszkałem na „Ibisie”. Może chwilami mnie nudzili, ale za to Indie nigdy!

– Poza tym możemy ich nakłonić, by zwieźli nas do Aquilei – odparł filozoficznie Strefford. Chwilę później cała bezbronna trójka znalazła się pod okupacją Hicksów.

Prezentowali się niezwykle dostojnie, i to nie tylko ze względu na ich fizyczne przymioty – oboje byli w równym stopniu majestatycznie trójwymiarowi – lecz również dlatego, że nigdy nie udawali się za granicę bez eskorty dwóch prywatnych sekretarzy (z których jeden miał władać obcymi językami), nadwornego medyka, niezamężnej damy przezywanej powszechnie „Eldoradą” Tooker – krewnej i stenotypistki pani Hicks – i wreszcie ich córki, Coral.

Susy ostatni raz widziała Coral Hicks na jakimś przyjęciu. Dziewczyna zapadła jej w pamięć jako gruba pensjonarka w okularach, która zawsze z pewnym ociąganiem łąziła za rodzicami, a za nią niechętnie dreptał pudel. Teraz pudła nie było, lecz to właśnie jego pani wiodła prym w całej procesji. Pulchna pensjonarka przemieniła się w młodą damę o zarysie być może nie bardzo zgrabnym, za to dość zwartym. Okulary zostały zastąpione przez wytworne lorgnon na długiej rączce, przez które dziewczyna rzucała światu pewne, a zarazem krytyczne spojrzenie. Sprawiała przy tym wrażenie tak silnej i pewnej siebie, że Susy (która od razu to doceniła) zrozumiała, że miejsce Coral na czele pochodu nie jest przypadkowe, i pomyślała: „Chwała Bogu, że na domiar złego nie jest zbyt ładna!”.

Może ładna nie była, na pewno jednak była dobrze ubrana. Może była też zbyt dobrze wykształcona, ale – jak stwierdził Strefford – chyba i ten niewątpliwie niefortunny fakt potrafiła wykorzystać na swoją korzyść. W każdym razie nie zamierzała go ukrywać – gdy cała gromada rozsiała się przed świeżą dostawą lodów (Eldorada i sekretarze zajęli stolik trochę z tyłu), nie minęło pięć minut, a ona już wciągnęła Nicka w dyskusję na temat badań archeologicznych w Mezopotamii.

– Dziwne dziecko z tej Coral – stwierdził Nick, kiedy wypalali z żoną ostatniego papierosa na balkonie. – Powiedziała mi dziś, że wiele rzeczy, które mówiłem w Indiach, zapadło jej w pamięć. Wtedy wydawało mi się, że obchodzą ją tylko wielbłądy i puzzle! Ona jednak musiała się wszystkiemu przysłuchiwać, a do tego przeczytała na ten temat, co tylko wpadło jej w ręce. Złapała takiego bakcyła archeologii Orientu, że w zeszłym roku zapisała się na kurs w Bryn Mawr. Na wiosnę chce się wybrać do Bagdadu, a potem wrócić przez Wyżynę Perską i Turkiestan.

Susy śmiała się do rozpuku: siedzieli, trzymając się za ręce, a późny księżyc – ich kolejny miesiąc – roztaczał swój pomarańczowy blask nad wieżą kościoła San Giorgio.

– Biedaczka! Jakie to nudne... – mruknęła.

– Nudne? Jak to? Według mnie taka wyprawa to jeden z najciekawszych sposobów spędzenia czasu!

– Och, mam na myśli, że to musi być strasznie nudne bez naszego towarzystwa... – Zaśmiała się, po czym leniwie wstała, by udać się do środka. Szeroka smuga księżycowego światła dzieliła jej sypialnię na dwie mroczne połowy, spoczęła też na zaścienionym malowanym weneckim łożu, na zabytkowej damaszkowej narzucie i poduszkach w koronkowych powłóczkach. Susy poczuła, że Nick otacza ją ciepłym ramieniem i zwróciła ku niemu twarz.

Hicksowie zachowali najczulsze wspomnienia z pobytu Nicka na „Ibisie”. Ich szczerą radość, że znów dane im było się spotkać, rozczuliła Susy, która cieszyła się teraz, że mąż nie poszedł za jej radą i nie próbował ich unikać. Zawsze podziwiała bezwzględny talent Strefforda do wykorzystywania i porzucania napotkanego po drodze materiału ludzkiego, teraz jednak zaczynała mieć nadzieję, że Nick zapomni o tym, że radziła mu zastosować to podejście wobec Hicksów. Ich uwielbienie Nicka tak ich jej zjednało, że Susy zapewne z radością zniosłaby ich obecność nawet, gdyby nie mogli zaoferować im możliwości korzystania z wielkiego jachtu w te długie złociste dni oraz noce pełne srebrnych płomieni. Zaczęła nawet zdawać sobie sprawę, że coraz bardziej ich lubi, i to dzięki cechom, które dawniej przyniosłyby efekt wprost przeciwny. Susy miała duże doświadczenie w lubieniu pospolitych ludzi o dużych portfelach; w takich przypadkach jej zapas wymówek i okoliczności łagodzących był niewyczerpany. Ale ci pospolici ludzie musieli cieszyć się powodzeniem. Szkopuł tkwił w tym, że Hicksowie – przynajmniej według przyjętych przez Susy kryteriów – byli nieudacznikami. Nie chodziło o to, że byli niedorzeczni – broń Boże! Nie bardziej niż ich rywale. Byli natomiast niedorzecznymi nieudacznikami. Uparcie opierali się naciskom bardziej doświadczonych doradców; tych, którzy

próbowali ułatwić im wypłynięcie na szerokie towarzyskie wody. Ciągłe zadawali się z nieodpowiednimi ludźmi, urządzali nie te przyjęcia i wydawali miliony na rzeczy, na których ani trochę nie zależało tym, z którymi należało się liczyć. Cała rodzina gorąco wierzyła w „ruchy”, „cele” i „ideały”; nieustannie towarzyszyli im reprezentanci ich najnowszych pasji; wciąż tylko urządzali odczyty wygłaszane przez wymizerowane kobiety w peplum, wciąż malowali ich jacyś niedorobieni malarze, którzy nigdy nie stawali się modni.

Niegdyś wszystko to pogłębiłoby tylko pogardę Susy; teraz stwierdziła, że lubi ich właśnie najbardziej za te potknięcia. Urzekła ją ta prostolinijność i ufność, to odcięcie od świata, otaczanie się chmurą dziwacznych apostołów i pasożytów, to spokojne dryfowanie po obcym i obojętnym świecie w ścisłym stadzie, na którego skraju krążyła Eldorada Tooker, medyk i dwóch sekretarzy. Urocze wydało jej się, że oni sami widzieli się jako swego rodzaju zbiorową reinkarnację jakiejś dawnej kultury książęcej, której symbolem był według pani Hicks „renesansowy dwór”. Eldorada naturalnie była jednym z ich naczelných proroków; jednak nawet intensywnie „bystrzy” i nowocześni sekretarze (pan Beck i pan Buttles) w ujmujący sposób podzielali ten pogląd i uważali pana Hicksa za „mecenasa sztuki”, tak jak Pandolfino wychwalał pod niebiosą szczodrość Medyceuszy.

– Zaczynam naprawdę lubić Hicksów. Śmiem wręcz twierdzić, że byłabym dla nich miła nawet, gdyby zatrzymywali się w hotelu Danieli – wyznała Streffordowi.

– Nawet gdybyś to ty była właścicielką jachtu? – mruknął. Tym razem stwierdziła, że jego złośliwość nie trafiła celu.

W te niekończące się czerwcowe dni „Ibis” wiódł ich daleko wzdłuż zaklętych brzegów. Spacerowali po Wzgórzach Euganejskich, zwiedzili Aquileię, Pomposę i Rawennę. Ich gospodarze z radością zawieźliby ich i dalej, przez Adriatyk, aż po złocistości Morza Egejskiego, ale Susy upierała się, by nie naruszać czasu Nicka przeznaczonego na pisanie, a i on wołał nie przerywać pracy. Teraz jednak pisywał wczesnym rankiem i prawie codziennie wyruszali gdzieś przed południem i dopiero późno zawracali ku rozświetlonemu łańcuchowi laguny. Nick robił postępy, a Susy niejasno, lecz z uporem uważała, że każda kolejna zapisana kartka jest przejawem jakiejś tajemnej energii, że w jej mężu powstaje coś, co kiedyś może zmienić życie ich obojga. Sama nie wiedziała, jak miałyby wyglądać ta zmiana, teraz po prostu czuła, że wyznaczenie sobie zadania i trzymanie się go, choćby jedynie przez te kilka różowych letnich tygodni, zaowocowało nowym sposobem zgdzania się i odmawiania.

Rozdział 7

Nick Lansing również zdawał sobie sprawę, że pojawia się w nim jakiś nowy ferment. Lepiej mógł osądzić dzieło, które właśnie próbował stworzyć, niż Susy czy Strefford; znał jego słabości, jego zdradzieckość i tendencję, by wymknąć mu się akurat, kiedy się Nickowi wydawało, że trzyma je w najciaśniejszym uścisku. Wiedział jednak, że chwilami, kiedy myślał, że polegnie, natchnienie niespodziewanie wracało, muskając go po twarzy swymi skrzydłami.

Bynajmniej nie łudził się co do komercyjnej wartości pisanej książki, a porównanie jej przez Susy do *Mariusza epikurejczyka* raczej zirykowało go niż mu pochlebiło. Zamierzał zatytułować je: *Pochód Aleksandra*. Urzekł go pomysł pokazania przejścia młodego zdobywcy przez bajeczne krajobrazy Azji. Lubił tworzyć opisy, miał też niewyraźne poczucie, że pod płaszczem fikcji może rozwinąć swą teorię orientalnych wpływów w sztuce Zachodu bez konieczności tak rozległego czytania, jakie byłoby potrzebne, gdyby chciał przekazać je w formie eseju. Znał się na tyle na obranym temacie, aby zdawać sobie sprawę, że jego wiedza jest niewystarczająca do pisania naukowo. Pocieszał się jednak, że i *Wilhelm Meister* Goethego przeżył figurowanie w wielu ciężkich tomach traktujących o estetyce, tak więc pomiędzy chwilami zniechęcenia sobą przyjmował punkt widzenia żony i czerpał z wykonywanego zadania niezmaconą radość.

Nigdy – naprawdę nigdy! – nie był tak bezgranicznie, tak fundamentalnie szczęśliwy. Pisanie dla pieniędzy nauczyło go przykładać się do pracy, a teraz wyrobionemu zwyczajowi pracowitości przyświecał blask inspiracji. Dotychczasowe próby literackie były nieśmiałe i lękliwe; ta natomiast rosła i na jego oczach stawała się coraz mocniejsza. Musiała to być zasługa nowych warunków życia. Teraz czuł się swobodnie, bezpiecznie, był zadowolony. Również po raz pierwszy od wczesnej młodości, od śmierci matki, czuł, że jest ktoś, kim może się zająć, kto jest pod jego osobistą opieką – ktoś, przed kim odpowiada za siebie i swe poczynania. Dotychczas, wobec tych rozproszonych i obojętnych ludzi, wśród których postanowił żyć, nigdy nie miał takiego poczucia.

Susy miała takie same jak oni standardy, mówiła ich językiem, ale rozumiała inne narzecza; pożądała tych samych co oni rozrywek, lecz niekoniecznie czciła ich bogów. Jednak odkąd stała się jego, Nick zaczął sobie wyobrażać, że podlega jakiejś głęboko zakorzenionej potrzebie uwielbiana jej. Była jego żoną, to on ją wybrał, zajęła miejsce w długim szeregu kobiet kochanych, czczonych i zapewne okłamywanych przez setki minionych Lansingów. Nawet nie próbował udawać, że rozumiał kryjącą się za tym logikę, jednak fakt, że Susy była jego żoną, nadał cel i ciągłość jego rozproszonym instynktom i rzucił tajemniczy, święty wręcz blask na jego pracę.

W pierwszych dniach ich małżeństwa zastanawiał się z lekkim drżeniem, co by się stało, gdyby nagle Susy zaczęła go nudzić. W końcu dotychczas inne kobiety zawsze prędzej czy później nudziły go, a przecież jego uczucia wobec nich były nie mniej gorące niż to, którym teraz pałał do żony. Rolę, którą odgrywał w swych dotychczasowych romansach, najlepiej podsumowywał znany wers: „Jam jest myśliwym, a także ofiarą” – za każdym razem w końcu przestawał się widzieć w tej pierwszej roli i obsadzał w drugiej. Za każdym razem szczerze z tego powodu cierpiał, jako że współczucie wobec polującej ustępowało tylko jego ubolewaniu nad własnym losem. Jako że jednak zawsze trochę bardziej żał mu było siebie, w końcu zmykał przed nagonką.

Teraz wszystkie poprzednie doświadczenia wydały mu się zupełnie nie pasować do nowego człowieka, w którego się przeniósł. Nie był w stanie sobie wyobrazić, że Susy mogłaby

go znudzić albo że on chciałby od niej w takim wypadku uciec. Nie mógł myśleć o niej jako o wrogu ani nawet współniku – bo każdy współnik to potencjalny przeciwnik. Była po prostu kimś, z kim – za sprawą jakiegoś tajemniczego, niebywałego cudu – dane mu było kosztować niewyobrażalnych radości przyjaźni, a równocześnie kimś, kto nawet w trakcie tych ulotnych uniesień był zawsze po prostu i niewątpliwie jego przyjaciółką.

Te nowe uczucia nie zmieniły jego ogólnego stosunku do życia, jedynie potwierdziły jego wiarę w to, że koniec końców jest ono „klawe”. Rzeczy, które go zawsze bawiły, teraz sprawiały mu wyjątkową radość. Smakołyki smakowały jak nigdy, piękne zachody słońca były jeszcze piękniejsze, a on wciąż szczyił się tym, że potrafi rozkoszować się i jednym, i drugim z równą przenikliwością. Jak nigdy dotąd rozpiekała go duma z tego, że Susy jest taka błyskotliwa i wolna od uprzedzeń – teraz, skoro już była jego, nie mogła przecież być zbyt „nowoczesna”. W pełni podzielał jej namiętną radość z terażniejszości i to gorączkowe pragnienie, by obecna chwila trwała dłużej. Zauważał, kiedy głowiła się nad sposobami przedłużenia ich złotych możliwości, i potajemnie sam się nad nimi zastanawiał, co owocowało wciąż nowymi pomysłami. Cieszył się, że Ellie Vanderlyn nie wraca, i zaczynał żywić nadzieję, że uda im się mieć cały ten pałac dla siebie do końca lata. Wtedy zdoła dokończyć książkę, a Susy udałoby się zgromadzić trochę odsetek z otrzymanych w prezencie ślubnym czeków, dzięki czemu ich bajeczny rok można by przeciągnąć aż do dwóch.

Choć sezon miał się już ku końcowi, obecność ich i Strefforda ściągnęła do Wenecji wielu tułających się po świecie znajomych. Cechą charakterystyczną tych obojętnych, lecz stadnych istot było to, że zawsze czuły się nieswojo, jeśli dłużej pozostawały bez swojego towarzystwa. Lansing dobrze znał to uczucie. Sam doświadczał czasem związanych z nim ukłuc, często musiał łagodzić jego symptomy u innych. Nie był to ból wiele silniejszy niż lekkie ssanie w żołądku, które zwykle oznajmiać zbliżający się podwieczorek tym, którzy mają za sobą porządny obiad i wiedzą, że czeka ich obfita kolacja, dodawał jednak trochę sensu bezsensownym, pomógł też wielu niepewnym duszom w dokonaniu ciężkiego corocznego wyboru: czy jechać do Deauville, czy do Sankt Moritz, do Biarritz czy na Capri.

Nie zdziwiło Nicka, że tego lata szczytem mody było wpadnięcie do Wenecji na „oglądanie Lansingów”. W końcu przykład dał Streffy, a jego zawsze wypadało naśladować. A do tego fakt, że Susy wyszła za mąż, wciąż pozostawał tematem przyjaznych spekulacji. Historia ślubnych czeków była ogólnie znana i z dużą ciekawością zastanawiano się, na ile im wystarczą. Główną rozrywką tego roku miało być pomaganie tej parze awanturników przedłużyć podróż poślubną. Jeszcze przed końcem czerwca Lansingowie wygrzewali się na Lido otoczeni grupką znajomych.

Przyjazd gości niespodziewanie rozdrażnił Nicka. Chcąc uniknąć komentarzy i docinków, odłożył na bok swą książkę i zakazał Susy wspomniania o niej, tłumacząc, że potrzebuje odpoczynku. Żona od razu i w wyolbrzymiony sposób przyjęła ten pogląd i teraz równie usilnie chroniła go przed pokusą wzięcia się do pracy, jak niegdyś pilnowała, aby się nie lenił. Nie chciał wyjawiać żonie, że ta zmiana zwyczajów akurat zbiegła się z dotarciem do trudnego momentu w dziele. Choć nie żał mu było, że nie pisze, czas wolny niespodziewanie zaczął mu strasznie ciążyć. Po raz pierwszy stadne rozrywki straciły w jego oczach urok; nie dlatego, żeby to stado było mniej niż zwykle towarzyskie, lecz dlatego, że zaznał już czegoś bezwzględnie wartościowszego. Zawsze uważał się za trochę lepszego od swych zwykłych kompanów, lecz teraz ta przewaga wydała mu się zbyt ogromna – naprawdę, było to wręcz wobec nich niesprawiedliwe.

Pochlebiał sobie, że Susy podzieli jego uczucia, z pewną irytacją jednak spostrzegł, że przyjazd znajomych zwiększył tylko jej aktywność. Zupełnie jak gdyby ta wewnętrzna jasność,

która nadała jej nowej urody, teraz dzięki obecności tych osób, od których przecież chcieli w Wenecji uciec, odbijała się i ponownie ją oświeślała.

Lansing był lekko poirytowany, a rozdrażnienie wzrosło, kiedy zapytana, jak jej się podoba, że znów są w towarzystwie ich starej paczki, żona zaśmiała się i odparła, że miała nadzieję, że biedactwa nie poznały, jak strasznie ją nudzą. Lansing zdziwił się, słysząc to oczywiste kłamstwo. Doskonale zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę Susy wcale się nie nudzi; rozumiał, że ona po prostu odgadła jego uczucia i odruchowo je przyswoiła, że odtąd zawsze będzie myśleć dokładnie to co on. Aby potwierdzić swoje obawy, rzucił od niechcenia:

– Ale i tak dość klawo będzie chwilę z nimi pohulać.

Na to Susy od razu odpowiedziała z równym przekonaniem:

– Prawda? Biedactwa... ale mimo wszystko...

Lansinga ogarnął zimny lęk wobec przyszłości. Wśród cech, które najbardziej go pociągały w Susy, była jej niezależność i samowystarczalność – gdyby miała zamienić się w jego echo, ich smakowity duet mógłby zamienić się w najnudniejszy monolog. Zapomniał, że pięć minut wcześniej sam miał jej za złe, że cieszy się ze spotkania ze znajomymi, i w tej chwili w oszołomieniu próbował rozgryźć zagadkę sentymentalizmu: to, że niezgoda w związku jest wyczerpująca, a zgoda nudna.

Znów zaczął dumać, czy może po prostu sam z gruntu nie nadaje się do stanu małżeńskiego. Od popadnięcia w stan skrajnej rozpacz uratowało go uświadomienie sobie, że przecież – znając żonę – to podporządkowanie się jego nastrojom nie mogło trwać wiecznie. Jednak i teraz nawet przez myśl mu nie przeszło, że wszelkie obawy są płonne, skoro przecież i tak założyli, że ten związek nie będzie trwał wiecznie. W głowie Nicka nie został nawet ślad po tym wyjątkowym porozumieniu, na którym przecież zbudowali swe małżeństwo. Pomysł, że którekolwiek z nich mogłoby kiedykolwiek zerwać z drugim dla obopólnego dobra, skurczył się do rangi starego, zapomnianego już kawału.

Po tygodniu czy dwóch nieprzerwanych kontaktów towarzyskich Nick zdał sobie sprawę, że ze wszystkich starych znajomych to Mortimerowie Hicksowie nudzą go najmniej. Przeprowadzili się z „Ibisa” do mieszkania w wielkim, rozwalającym się *palazzo* nad Canareggio. Wynajęli je od pewnego malarza (jednego ze swych „najnowszych odkryć”) i cierpliwie znosili brak nowoczesnych udogodnień, aby móc cieszyć się bezcenną „atmosferą”. Do oddychania tym ekskluzywnym powietrzem spraszali jak zwykle różnorodne towarzystwo: zarówno cichych, pilnych poszukiwaczy wiedzy, jak i głośnych piewców nowych teorii. Sami zupełnie nie zdawali sobie sprawy z rozbieżności pomiędzy poszczególnymi gośćmi i płomienieli radością w przekonaniu, że nareszcie znaleźli się w kolebce mądrości.

Dawniej Lansing bawiłby się wyśmieniem przez pół godziny, a następnie do końca wieczoru umierał z nudów, przyglądając się, jak pani Hicks – przestronna i obwieszona klejnotami – siedzi pomiędzy sprawiającym wrażenie cichego profesorem archeologii a jakimś kompozytorem z okazałymi brwiami czy wielkim kapłanem najnowszego tańca, podczas gdy jej mąż – rozpromieniony w swej obszernej białej kamizelce – czuwa, aby szampan lał się obficie niż wymiana zdań, a sekretarze pracowicie starają się „być na bieżąco” z wirującymi i mieszającymi się nurtami prorocत्व i erudycji. Teraz jednak w Nicku nastąpiła przemiana. Dotychczas Hicksowie wydawali mu się najbardziej nie do zniesienia właśnie w porównaniu z innymi znajomymi. Teraz stanowili od nich wytchnienie, stali się nagle nie tylko sympatyczni, lecz wręcz interesujący. W końcu przyjemnie było znaleźć się wśród ludzi, dla których Wenecja była nie tylko miejscem oferującym wyjątkowe możliwości morskich kąpiei i wszelkiego rodzaju rozpusty, lecz którzy z pełną czcią (choć i pewnym zdezorientowaniem) zdawali sobie sprawę, że znajdują się w obecności czegoś wyjątkowego i nieopisywalnego, i zamierzali jak

najlepiej wykorzystać ten zaszczyt.

„No bo w końcu – stwierdził pewnego wieczoru, kiedy kolejno wodził oczami po ich wielkich, ufnych obliczach ze swego rodzaju radością rekonwalescenta – przynajmniej mają jakąś religię...”

To zdanie uderzyło go w chwili pojawienia się jako znak nowego stanu umysłu, a zarazem klucz do jego nowego nastawienia do tej rodziny. Ich pogmatwany zapał wobec wspaniałości był pokrewny nowemu pogładowi Nicka na temat Wszechświata: ci, co odczuwali – chociażby lekko i niewyraźnie – cudowność i wagę istnienia, musieli być mu po wiek wieków bliżsi niż ci, którzy patrzyli na życie wyłącznie przez pryzmat zawartości rachunków bankowych. Po głębszym zastanowieniu stwierdził, że chyba o to mu właśnie chodziło, kiedy pomyślał, że Hicksowie mają „jakąś religię”...

Kilka dni później przybycie Freda Gillowa niespodziewanie zakłóciło dobre samopoczucie Nicka. Lansing zawsze tolerował, a nawet lubił tego wielkiego, uśmiechniętego, małowównego młodego człowieka, który usilnie i z pełną powagą pragnął nie przegapić niczego, co leżało w zasięgu jego fortuny i pozycji. Jak był w stanie wykorzystać te doświadczenia? Tego Nick – który swoje skromne przygody zawsze starał się spożytkować jak najskrupulatniej – mógł się tylko domyślać, lecz zawsze podejrzewał, że Fred marnotrawny jest niewiele więcej niż dobrze przebrany gapiem. Teraz po raz pierwszy oglądał go w innym świetle. Prawdę mówiąc, Gillowowie byli kolcem w Nickowym sumieniu. Od początku razem z Susy rozmawiali o nich mniej niż o innych członkach kręgu ich znajomych; unikali wspomnienia ich nazwiska od dnia, w którym Susy odwiedziła Lansinga, by oznajmić mu, że Ursula Gillow poprosiła ją o zerwanie z nim kontaktu, aż do dnia tuż przed ich ślubem, kiedy żona przywitała go radosnym okrzykiem: „Oto i nasz pierwszy ślubny prezent! Cóż za wielgachny czek od Freda i Ursuli!”

Dobrze wiedział, że znalazłoby się wielu życzliwych, którzy z chęcią opowiedzieliby mu ze szczegółami, co wydarzyło się w międzyczasie, specjalnie jednak nie pytał. Udawał wręcz, że jest tak wtajemniczony w całą sprawę, że zniechęcił skorych do oświecenia go znajomych: bez wątplenia wiedział więcej niż oni. Stopniowo sam w to uwierzył i rzeczywiście był przeświadczony, że wie najwięcej.

Teraz dotarło do niego, że tak naprawdę nie miał o niczym pojęcia. Powitalny okrzyk Susy („Czołem, Freduś! Jak się masz, staruszk?”) mógł być zarówno tradycyjnym plemiennym przywitaniem – w końcu w obowiązującym prywatnym żargonie wszyscy byli „staruszkami” i wszystkich się zdrabniało – jak też przykrywką mającą osłonić nieprzejrzyste głębie współwiny.

Widać było, że Susy cieszy się ze spotkania z Gillowem. Jednak w tamtym okresie cieszyła się dosłownie ze wszystkiego i tak chętnie tę radość okazywała! Ten fakt rozbroił jej męża, który zawstydził się własnego niepokoju.

„Trzeba było to wszystko przemyśleć wcześniej, a teraz zostaje tylko niemyślenie o tym w ogóle!” – Mądrze, acz nieskutecznie radził samemu sobie dzień po przyjeździe Gillowa, po czym od razu zabrał się za szczegółowe roztrząsanie całej sytuacji.

Po Fredzie nie było znać, aby zdawał sobie sprawę, jak bardzo zaburza czyjąkolwiek pogodę ducha. Dzień po powrocie z wielogodzinnej wędrowki po piaskach Lido leżał z rękami za głową, słuchał bzdurnych wywodów Streffy’ego i spod sennych powiek przyglądał się Susy, nie wykazał jednak najmniejszej chęci bycia z nią sam na sam czy też odciążenia jej od grupy. Jak nigdy dotąd wydawał się ukontentowany z bycia radosnym widzem drogiego przedstawienia wystawianego wyłącznie dla jego rozrywki. Dopiero pewnego ranka, kiedy Susy narzekała na rosnący upał i plagę komarów, Fred oznajmił, zupełnie jak gdyby sprawa została już dawno obgadana, a teraz miał ją tylko zatwierdzić:

– Wrzosowisko jest do waszej dyspozycji po pierwszym sierpnia.

Nickowi wydało się, że Susy lekko się zarumieniła i gwałtowniej niż zwykle podniosła się, puściwszy kaczkę po usypiających falach.

– W Szkocji będzie wam chłodniej – dodał Fred z nietypową dla siebie jednoznacznością.

– Czyżby? – odparła radośnie, po czym dodała tajemniczo i dumnie, obracając się na wysokim obcasie: – Nick ma dużo pracy, dlatego pewnie zostaniemy tu całe lato.

– Pracy? Bzdura! Umrzecie w tym smrodzie. – Gillow popatrzył z konsternacją w niebo spod postawionego na bakier kapelusza. Potem dodał jak gdyby z otchłani rosnącego żalu: – Myślałem, że wszystko już ustalone.

Tej nocy, kiedy po późnej kolacji na Lido wrócili do chłodnego saloniku Ellie, Nick spytał żonę:

– Dlaczego Gillow myślał, że było już zaklepane, że w sierpniu przyjedziemy do niego na wrzosowisko? – Zdawał sobie sprawę, jak dziwnie brzmi mówienie o przyjacielu po nazwisku, i poczerwieniał.

Susy otuliła się koronkową narzutką i stała przed nim w półmroku bawialni, zgrabna i połyskliwie biała w swych czarnych przezroczyściach.

Beztrosko uniosła brwi.

– Przecież już dawno mówiłam, że zaprosił nas na sierpień.

– Nie wspomniałaś, że przyjąłś zaproszenie.

Uśmiechnęła się, jak gdyby powiedział coś równie głupiego co Fred.

– Przyjęłam wszystkie zaproszenia... Od wszystkich!

I cóż mógł na to odrzec? Przecież właśnie na tym polegała cała umowa. A gdyby powiedział: „Tak, wiem, ale to co innego, bo jestem zazdrosny o Gillowa”? W jakim świetle postawiłby wówczas swoją przeszłość? Zazdrosnym – o ile w ogóle można było obronić tak staroświeckie podejście – trzeba było być przed ślubem, przed przyjęciem tych wszystkich szczodrych darów, które to wszystko umożliwiły. Teraz zdziwił się, że wówczas nie odczuwał podobnych skrupułów. Własna niekonsekwencja drażniła go i zwiększyła zirykowanie Gillowem.

„On pewnie sądzi, że ma nas w kieszeni!” – narzekał w myślach.

Opadł na fotel, a Susy podeszła do niego po błyszczących arabeskach posadzki, uklękła u jego stóp, przytuliła się do niego, po czym patrząc mu w oczy, z ustami przy jego ustach, szepnęła:

– Jeśli nie masz na to ochoty, to nigdzie nie musimy jechać.

Tym razem ta jej uległość była mu słodką, więc odszepnął w pół pocałunku:

– A więc nie mam.

W odpowiedzi poczuł zgodę całego jej radosnego jestestwa na jakąkolwiek przyszłość, jaką dla nich widział, o ile było w niej wystarczająco dużo chwil takich jak ta. Kiedy tkwili tak razem we wspólnej ciszy, cała niedawna nieufność i wahania zaczęły mu się wydawać głupią niesprawiedliwością.

– Zostańmy tu tak długo, jak tylko Ellie nam na to pozwoli – rzekł, jak gdyby te cieniste ściany i błyszczące podłogi tworzyły magiczną granicę jego szczęścia.

Zamruczała twierdząco, po czym wstała, przeciągając się.

– Jak okropnie późno... Rozepniesz mnie, proszę? O! Depesza!

Podniosła telegram ze stolika, rozerwała kopertę i przez chwilę wpatrywała się w kartkę.

– To od Ellie. Przyjeżdża jutro.

Odwróciła się do okna i wyszła na balkon. Nick poszedł za nią i objął ją ramieniem.

Poniżej, tam gdzie kanał ogarnięty był bezkسیężycowym cieniem, widać było tylko kilka wytrwałych światełek. Z oddali dobiegły ich ostatnie nuty pieśni gondolierów niesione gorącym podmuchem.

– Kochana Ellie... Ale mimo wszystko... Szkoda, że to wszystko nie jest tylko nasze... –
westchnęła Susy.

Rozdział 8

Trudno winić panią Vanderlyn za to, że po jej przyjeździe rezydencja wydawała się w mniejszym stopniu należeć do Lansingów.

Kobieta roztaczała wokół nastrój ogólnej dobroci, tak że Susy, kiedy wreszcie udało jej się zostać z nią na osobności, nie mogła się powstrzymać przed postrzeganiem ostatnich wyczynów gospodyni w najlepszym świetle.

– Wiedziałam, że będziesz nader dobra w tej sprawie, kochana. Wiedziałam, że mnie zrozumiesz... zwłaszcza teraz – rzekła. Smukłymi dłońmi ścisnęła dłonie Susy, a jej wielkie oczy (jakże podobne do oczu Clarissy!) lśniły wspomnieniem przeszłych przyjemności i przyszłych planów.

Nieoczekiwanie ten wyraz poufałości wydał się Susy – która nigdy nie pisała się na tak gorące zwierzenia – przykry. Zawsze wyobrażała sobie, że bycie szczęśliwą sprawą – jak widocznie uważała pani Vanderlyn – że w większym stopniu toleruje się szczęście u innych, jakkolwiek wątpliwe byłyby jego elementy, i prawie wstydziła się, że na wynurzenia przyjaciółki zareagowała tak niemrawo. Ale skoro ona sama nie zamierzała w najmniejszym stopniu spowiadać się Ellie ze swojego szczęścia, dlaczego ta nie mogłaby wykazać się podobną powściągliwością?

– Było wręcz doskonale! Widzisz, kochana... moim przeznaczeniem jest bycie szczęśliwą – ciągnęła gospodyni, jak gdyby to ostatnie było niezwykle rzadkością i wobec tego należały jej się wyjątkowe przywileje.

Susy z pewną oschłością odparła, że jest to chyba coś, co dotyczy wszystkich.

– Ależ nie, najdroższa! Na pewno nie guwernantek, teściowych, dam do towarzystwa i ludzi tego rodzaju. Choćby próbowali, i tak by nie zdołali... Ale my, moja droga, to co innego...

– Och, ja wcale nie uważam, żebym była wyjątkowa – wtrąciła Susy. Bardzo chciała dodać: „przynajmniej nie na twój sposób...”, ale kilka minut wcześniej pani Vanderlyn oświadczyła, że zostawia im wenecką rezydencję do dyspozycji na całe lato, że pozawraca im tu głowę – jeśli pozwolą – tylko do czasu, aż uda jej się skompletować wszystkie niezbędne bambetle na wyjazd do Sankt Moritz. Skutkiem tego oświadczenia język Susy trochę stracił na ostrości, a ona sama postanowiła skierować rozmowę na bezpieczniejszy, acz mniej ciekawy temat, czyli ile trzeba spakować dziennych i wieczorowych sukienek na sezon w szwajcarskim kurorcie.

Śluchając przyjaciółki – która potrafiła rozmawiać na ten temat równie elokwentnie jak na każdy inny – Susy zaczęła zdawać sobie sprawę z przepaści dzielącej jej dawne życie od obecnego.

„Przecież i ja taka kiedyś byłam... Te rzeczy i mnie wydawały się niegdyś równie ważne...” – myślała, stojąc przed rozpostartymi wykwinotnościami garderoby pani Vanderlyn. Nie żeby już jej na tym wszystkim w ogóle nie zależało: wciąż nie mogła przyglądać się koronkom, jedwabiom i futrom Ellie bez wyobrażania sobie, jak sama by w nich wyglądała, wciąż odruchowo zaczynała się głowić, jak mogłaby się urządzić, aby przynajmniej sprawiać wrażenie, że ubiera się u tych samych wytrawnych mistrzów krawiectwa. Teraz jednak były to myśli bardzo poboczne. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nabrała nowej perspektywy i teraz bardzo dziwiło ją i niepokoiło, że dla Ellie miłość, luksusy, brydż i prośzone kolacje wydawały się mieć równą wagę.

Przegląd sukni trwał bardzo długo. W tym czasie pani Vanderlyn przeżywała wiele zmian

nastroju, od umiarkowanej nadziei po całkowitą rozpacz i przeświadczenie, że nic w jej szafie się do niczego nie nadaje. Przecież nie można pokazać się w Sankt Moritz w lachmanach! Już nie miała czasu zamówić niczego w Paryżu, a kto jak kto, ale ona nie zniży się do tego poziomu, by pojawić się w Szwajcarii z garderobą chałupniczo poprzerabianą w domu.

Nagle jednak Ellie rozpromieniła się i klasnęła radośnie.

– Przecież Nelson może mi przywieźć, co trzeba! Na śmierć o nim zapomniałam! Jeśli natychmiast wyślę do niego depeszę, to jeszcze zdążymy!

– To Nelson dołączy do ciebie Sankt Moritz? – zapytała zaskoczona Susy.

– A gdzie tam! Przyjeżdża tu po Clarissę i zabierze ją do jakichś koszmarnych wód w Austrii, gdzie kuruje się jego matka. Naprawdę wybornie się złożyło: akurat starczy czasu, żeby mu kazać przywieźć, co trzeba. Nie planowałam na niego czekać, ale to mnie wcale wiele nie opóźni: góra dzień lub dwa!

Susy zrzędała mina. Nie bała się zbytnio samej Ellie, jednak razem ze swoim mężem stanowiła nieobliczalne niebezpieczeństwo. Nikt nie był w stanie przewidzieć, ile przy ich zderzeniu może się ulotnić prawdy. Susy stwierdziła, że jest w stanie poradzić sobie z obiema trudnościami, ale osobno i nie równocześnie.

– Ale Ellie, dlaczegoż byś miała czekać? Jestem pewna, że uda nam się znaleźć tu kogoś, kto też się wybiera do Sankt Moritz i dostarczy ci wszystko, co Nelson tu przywiezie. Szkoda by było, żebyś przez takie głupstwo ryzykowała, że przepadnie ci miejsce.

Ten argument na chwilę przemówił do pani Vanderlyn.

– Masz rację. Słyszałam, że już teraz trudno tam znaleźć porządny pokój. Moja droga, ty zawsze jesteś taka praktyczna! – Przyciągnęła Susy do uperfumowanej piersi. – I wiesz co, kochana? Jestem pewna, że z radością się mnie pozbędziecie... Ty i Nick! Oj, tylko bez hipokryzji, nie mów, że to bzdura! Bo widzisz, kochana: ja cię doskonale rozumiem... Tak często o was dwojgu myślałam... podczas tych cudownych dwóch tygodni, kiedy i my byliśmy całkiem sami...

Nagle łzy wezbrały w pięknych oczach Ellie. Groziło, że zmyją otaczający je błękit, który spłynie i zmiesza się z karminem poniżej. Widząc to, Susy zaczęła odczuwać lekkie wyrzuty sumienia.

„Oj, biedactwo! Biedactwo!” – myślała. Usłyszała wołanie Nicka – mieli swoim zwyczajem udać się na oglądanie zachodu słońca w lagunie – i ogarnęła ją fala współczucia dla tego biednego, pełnego złudzeń stworzenia, któremu nigdy nie dane będzie zakosztować najwspanialszej z wyobraźalnych radości.

„Tak czy siak – stwierdziła jednak, biegnąc po schodach do męża – i tak się cieszę, że udało mi się ją przekonać, by nie czekała na Nelsona”.

Już kilka dni Susy i Nick nie mogli cieszyć się we dwoje zachodem słońca. Dzięki temu teraz jeszcze raz doceniła wyjątkowość łączącej ich sympatii. Inne aspekty życia wydały im się jedynie przedstawieniem – bardzo klawym spektaklem, który szkoda byłoby przegapić, ale z którego w miarę potrzeby w każdej chwili mogli wyjść... Pod warunkiem, że wyszliby razem.

O zmroku, kiedy dziób ich łódki przecinał odbijające się w wodzie kamienice, wśród woni ukrytych ogrodów Susy przytuliła się do męża i wracając myślami do niedawnej rozmowy z Ellie, spytała:

– Nick, kochanie, czy znienawidziłbyś mnie, gdybym zupełnie nie miała co na siebie włożyć?

Jej małżonek właśnie zapalał papierosa. Blask zapalniczki oświetlił uśmiech, z którym mężczyzna odpowiedział:

– Ależ kochanie! Czy zauważyłaś, żebym kiedykolwiek, w najmniejszym stopniu...

– Och, nie wygłupiaj się! Kiedy kobieta mówi, że nie ma się w co ubrać, ma na myśli, że nie ma tylko „odpowiednich” ubrań.

Nick w zamyśleniu wypuścił kłąb dymu.

– A... widzę, że przeglądałyście z Ellie jej garderobę...

– Owszem. Ma niezliczone kufry fatalaszków, ale teraz stwierdziła, że nie ma nic, co nadaje się do Sankt Moritz!

– Oczywiście... – mruknął, błogo senny i niezbyt zainteresowany tematem garderoby pani Vanderlyn.

– Wyobraź sobie... Już prawie postanowiła czekać tu tydzień na Nelsona, aby mógł jej dowieźć kilka kolejnych kufrów z Paryża. Ale na szczęście udało mi się to załatwić, przekonać ją, że to głupota.

Susy zauważyła, że mąż poruszył się nieznacznie, jej wrażliwe czułki wyłapały, że jego przymknięte powieki ciut się rozwarły.

– Udało ci się „załatwić”? – Wydało jej się, że ironicznie podkreślił to słowo. – Ale dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego, u licha, postanowiłaś odwieść Ellie od czekania na męża ten jeden jedyny raz, kiedy ma na to ochotę?

Susy zdała sobie sprawę, że nagle się zarumieniła. Odsunęła się, jak gdyby bicie jej oskarżycielskiego serca mogło ją zdradzić podtrzymującemu ją ramieniu w niebieskiej flaneli.

– Ależ kochanie! – szepnęła, ale on z niespodziewaną zaciekłością powtórzył:

– Dlaczego?

– Bo przecież jej tak zależy na tym, aby jak najrychlej znaleźć się w Sankt Moritz... I tak zdręcza się, żeby nie przepadła jej rezerwacja – wydukała bez tchu.

– Ach, rozumiem... – Nick znów się zamyślił. – Strasznie oddana z ciebie przyjaciółka, prawda?

– Cóż za dziwaczne pytanie! Wobec mało kogo jestem tak zobowiązana jak wobec Ellie – odpowiedziała żona i od razu poczuła skruszony uścisk dłoni.

– Ach, kochanie! Rzeczywiście, ja też... Też jestem niebywale wdzięczny Ellie, że zostawia nas samych w tym rajku.

Na wodę opadła ciemność, a usta Susy spotkały się z ustami Nicka.

Późno wieczór Ellie dotarła spóźniona na kolację i ogłosiła, że postanowiła jednak, że najbezpieczniej będzie poczekać na Nelsona.

– W przeciwnym razie po prostu zdręczyłabym się na śmierć w obawie, że nie dostanę tego, co trzeba – wyjaśniła tonem czulej dbałości, który zawsze przybierała, mówiąc o własnych problemach. – W końcu ci, którzy odmawiają sobie wszystkiego, dziwaczej i gorzkniej, prawda? – tłumaczyła błagalnie, rzucając kolejno śliczne spojrzenia po zgromadzonych znajomych.

Strefford odparł na to ponuro, że to właśnie dlatego sam tak podupał na zdrowiu. Śmiech, który rozległ się po tym stwierdzeniu, towarzyszył całej gromadzie, kiedy wszyscy skierowali się do bogato zdobionej jadalni.

– Och, Streffy, kochanie! Ty jeden możesz sobie ze mnie kpić – odparła gospodyni, biorąc Anglika pod rękę.

Susy dostrzegła ich szybką wymianę spojrzeń i czując nagłe ukłucie niepokoju, stwierdziła: „Oczywiście, że Streffy wszystko wie. Przecież nawet się nie zdziwił, że nie zastał tu Ellie! A skoro on wie, to jak Nelson ma się nie dowiedzieć?”. Wiedziała, że Strefforda czasem nachodzą psotne nastroje, podczas których jest niebezpieczny niczym wredne dziecko.

Susy natychmiast powzięła postanowienie, że musi z nim pomówić, a jeśli znajdzie taką potrzebę, to wygada się o listach. Zapewnić sobie jego milczenie mogła jedynie, wyjaśniając mu, w jakim sama znajduje się niebezpieczeństwie.

Okazja ku temu nadarzyła się wieczorem, gdy po kolacji inni byli raczeni modulacjami pewnego młodego kompozytora snującego fantastyczne wariacje na temat browningowskiej *Toccaty Gallupiego*, a Strefford, nieproszony, podążył za Susy na balkon, przystanął i w milczeniu palił obok niej.

Susy zaczęła więc:

– Słuchaj, Streff... Tak sobie myślę, że nie powinniśmy mieć przed sobą żadnych tajemnic.

– Owszem. Święta prawda. Mamy jakieś?

Susy zerknęła na grupę zgromadzoną wokół pianina.

– Mam na myśli tajemnicę dotyczącą Ellie... i Nelsona.

– Na miłość boską! Dotyczącą Ellie i Nelsona? Czy można to nawet nazwać tajemnicą? Równie dobrze można przypisać tajemniczość reklamom lamp „o mocy miliona świec”, które u was w Ameryce zdobią arterie miast!

– No tak, ale... – Znów się zawahała. Przecież chyba złożyła Ellie milczącą obietnicę...

– Susan, moja droga... o co chodzi? – zapytał Strefford.

– Nie wiem...

– Cóż, ale ja wiem: boisz się, że jeśli Ellie i Nelson się tu spotkają, to ona mogłaby wypaplać coś... niefortunnego...

– Oj, nie wypaple! – zapewniła go Susy.

– No to kto w takim razie mógłby coś powiedzieć? Z pewnością nie to ich nadludzkie dziecię. Na pewno nie ty czy Nick...

– Ach... – wtrąciła się Susy. – Właśnie o to chodzi. Nick nie wie... Nic nawet nie podejrzewa. Ale gdyby zaczął...

Strefford wyrzucił dopalone cygareto i zaczął się jej uważnie przyglądać.

– Nie rozumiem, do licha. Przecież to nawet nie jest nasza sprawa!

To oczywiście był ich dawny pogląd, mający maskować nieme przyzwolenie płaszczem przyzwoitości. Susy jednak już go nie podzielała i zaczęła się wahać.

– Jeśli Nick dowie się, że ja wiem...

– Przebóg! A więc on nie wie, że ty wiesz? Przecież to nie może być pierwszy taki przypadek...

Susy nic na to nie odpowiedziała.

– Przecież nie po raz pierwszy ktoś ci się zwierza... Mąż czy mężatka... Czy Nick wyobraża sobie, że dożyłaś swego i tak młodego wieku bez... Ej, co ci odbiło, dziecko?

No właśnie, co? Jak mogła mu to wyjaśnić? Jednocześnie jak nigdy dotąd poczuła potrzebę, by oprzeć się na jego pewnym ramieniu. Jeśli Strefford da jej słowo honoru, nie będzie już żadnych powodów do obaw; jeśli nie, jego rządu szkodzenia może nie mieć granic.

– Słuchaj, Streff... Oboje wiemy, że Ellie wcale nie była u wód, że kazała biednej Clarissie nic nie mówić tatusiowi wcale nie po to, żeby go „nie martwić” kuracją... – Susy przerwała, zniesmaczona tym, że próbuje brzmieć nonszalancko i ironicznie.

– A więc? – spytał z głębi fotela, na który opadł.

– A więc... Nick... on nie ma o tym zielonego pojęcia. Gdyby wiedział, że zawdzięczamy nasz pobyt tu... mojej wiedzy...

Strefford milczał, ale ona poczuła, że rzuca jej niedowierzające spojrzenie.

– Na Jowisza! – stwierdził w końcu i gwizdnął.

Susy przechyliła się przez kamienną balustradę balkonu, jej serce uderzało mocno.
„A więc co z duszy zostało, zapytam...” – Przez otwarte okna doszedł ich pisk młodego kompozytora.

Strefford popadł w kolejną ciszę, z której wydostał się dopiero, gdy Susy zwróciła się w stronę rozświetlonego progu.

– Cóż, moja droga... Razem tego dopilnujemy: ja, ty... i Clarissa – rzekł, śmiejąc się chrapliwie, po czym udał się za nią do środka. Gdy wchodzili do salonu, chwycił dłoń Susy i lekko uścisnął, akurat kiedy Ellie tłumaczyła płaczliwym głosem Fredowi Gillowowi:

– Za każdym razem, kiedy to słyszę, chce mi się szlochać, jakbym była niemowlęciem!

Rozdział 9

Nelson Vanderlyn, wciąż w stroju podróżnym, przystanął na progu własnej jadalni i przyglądał się rozgrywającej się scenie ze zrozumiałą satysfakcją.

Był to niski, okrągły człowieczek o szpakowatej czuprynie, małych, beztroskich oczkach oraz wielkim, łatwowiernym uśmiechu.

Jego żona siedziała za stołem, pomiędzy Charliem Streffordem i Nickiem Lansingiem. Koło Strefforda z wysokiego krzeselka królowała pałająca dziecięcym pięknem Clarissa, której Susy Lansing akurat krociła brzoskwinię. Słońce wpadało do jadalni przez szerokie pomarańczowe markizy, oświetlając tę białą odzianą gromadkę.

– No, no! Proszę, proszę! Udało mi się was przyłapać! – zawołał szczęśliwy ojciec, który miał w zwyczaju zwracać się do żony i przyjaciół, jak gdyby zdybał ich w niedogodnym momencie. Podkraśl się od tyłu do córki, wziął dziewczynkę na ręce i podniósł wysoko nad głowę przy akompaniamencie chóralnych serwusów i przywitań.

Nick Lansing nie widział pana Vanderlyna – który obecnie, zamieniwszy lukullusową rezydencję przy Piątej Alei na jeszcze wystawniejszy dom w Mayfair, pełnił funkcję londyńskiego przedstawiciela wielkiego nowojorskiego banku Vanderlyn i Spółka – ze dwa, trzy lata, i przyglądał się teraz gospodarzowi bacznie i z dużym zaciekawieniem.

Nelson zestarzał się i stał się niewątpliwie bardziej korpulentny, jednak wciąż miał na twarzy wyraz pewnego znoszonego optymizmu. Uściskał żonę, czule przywitał się z Susy, a dwóm panom rozdał serdeczne uściski dłoni.

– Serwus! – zawołał. Nagle zauważył na szyi Clarissy perłowo-koralową błyskotkę. – A któż to obsypuje moją córkę biżuterią, bardzo jestem ciekaw!

– Och, tatusiu! To prezent od Streffy’ego! Bo wiesz, wolałam to niż książkę – wyjaśniła rezolutnie Clarissa. Dziewczynka mocno ścisnęła szyję ojca i zerkała śmiejącymi się oczyma na Strefforda.

W oczach Nelsona zagościła pewna przenikliwość, jak zwykle, kiedy napotykał problem dotyczący wartości materialnych.

– Od Streffy’ego? Aleś wpadł, he? Dlaczego, na Boga, rozpuszczasz smarkulę? Nie powinieneś, drogi kolego... Taka piękna barokowa perełka! – naciskał na wpół przeprasającym tonem bogacza zawstydzonego zbyt kosztownym prezentem od niezamożnego przyjaciela.

– Nie powinienem? A niby dlaczego? Uważasz, że to zbyt piękne cacko dla Clarissy, czy że dla mnie zbyt kosztowne? Tego pierwszego, rzecz jasna, nawet nie ośmielisz się zasugerować, a co do mnie... Cóż, nieoczekiwanie spłynęło mi trochę grosza, więc postanowiłem wszystko przepuścić na damy.

Lansing już wcześniej zauważył, że kiedy Strefford nie za bardzo wie, co powiedzieć, i chce odwrócić uwagę od głównego tematu, zaczyna się posługiwać amerykańskim slangiem. Ale dlaczego teraz był zakłopotany, czyją uwagę pragnął odwrócić? Nie ulegało wątpliwości, że Vanderlyn zaprotestował jedynie dla zasady: jak większość bogaczy, nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, czym dla biedaków są pieniądze. Jednak to dziwne, aby Strefford komukolwiek coś podarował, zwłaszcza drogiego: może dlatego Vanderlyn zwrócił na to uwagę.

– Nieoczekiwanie spłynęło ci trochę grosza? – powtórzył wesoło.

– Ach, malusieńko. Zaoferowano mi bajeczną sumkę za chatynkę nad Como, tak więc w te pędy przyznałem tu, aby wziąć z was przykład i wszystko przehulać – wyjaśnił Strefford niewzruszenie.

W oczach Vanderlyna natychmiast odmalowało się zainteresowanie i sympatia.

– Ach... za miodowomiesięczną willę? – Tym razem ten przyjacielski uśmiech objął również Nicka i Susy.

– Nie inaczej. Karmiczna nagroda za mą szczodrość. Słuchaj, stary: podzielże się ze mną cygarem. Na moje nieszczęście zostawiłem zapas naprawdę wybornych przy Como. Co gorsza, muszę ci donieść, że Ellie nic a nic się nie zna na tytoniu, a Nickowi tak odbiło z tego szczęścia, że obojętne mu, co pali – gderał Strefford, sięgając po cygarnicę gospodarza.

– A ja najbardziej lubię bizuterię – stwierdziła Clarissa, tuląc się do ojca.

Pierwsze, co Nelson przekazał żonie, to że przywiózł jej wszystkie fatalaszki, przywitała go więc z odpowiednim entuzjazmem. Świadkowie zresztą zauważyli, że jej radość na widok męża była aż w nazbyt oczywisty sposób wprost proporcjonalna do jej zadowolenia z tego, że przywiózł ubrania. Szczęśliwemu małżonkowi jednak nawet przez myśl to nie przeszło i nic nie zmąciło jego uciechy z faktu, że wreszcie – i to na aż prawie dwadzieścia cztery godziny – znalazł się pod jednym dachem z żoną i córką. Nie ukrywał, że bardzo żałuje złożonej matce obietnicy, że dojedzie do niej dnia następnego, po czym rzucił Ellie tęskne spojrzenie i dodał:

– Gdybym tylko wiedział, że zamierzałaś na mnie poczekać...

Tak samo w kwestiach osobistych, jak i zawodowych, był jednak człowiekiem honoru; tak więc nawet nie wziął pod uwagę możliwości rozczarowania wielce wymagającej staruszki, której zawdzięczał swój żywot.

„Mamie tak rzadko na kimś zależy...” – zwykł powtarzać, nie bez pewnej synowskiej dumy z tego, że sam znalazł się w gronie wybrańców. „Gdyby była bardziej towarzyska, nie musiałbym z nią spędzać tyle czasu, a tak...”. Uśmiechnął się smutno i zarządził, że Clarissa już następnego wieczoru ma być gotowa do drogi.

– A do wyjazdu – stwierdził – musimy jak najlepiej wykorzystać uciekający czas!

Wszystkie obecne damy bardzo chciały wypełnić to postanowienie. Ustalono, że jak tylko pan Vanderlyn coś szybko przegryzie, jego żona, Clarissa i Susy porwą go w ramach podwieczorku na piknik na Torcello. Nikt nawet nie zaproponował, by dołączył do nich Strefford czy Nick ani by wezwać innych znajomych panów. Jak stwierdziła Susy: Nelson chciał być sam na sam ze swoim haremem. Lansing i Strefford przyglądali się więc, jak szczęśliwy pasza odpływał otoczony troskliwymi pięknościami.

– Cóż... I to się nazywa być żonatym! – skwitował Strefford, machając Clarissie swą zmalretowaną panamą.

– Ja tak tego nie nazywam! – zaśmiał się Lansing.

– Ale on owszem. Choć wiesz... – Strefford urwał i zwrócił się ku towarzyszowi – wiesz, że nie chciałbym tu być, kiedy spadną mu klapki z oczu. Podejrzewam, że potłucze się niemało zastawy.

– Nie zdziwiłbym się – odparł obojętnie Lansing, po czym odszedł do swojego pokoju, pozostawiając wysłuchiwanie przemyśleń Strefforda fajce.

Lansing od zawsze wiedział o nieszczęściu biednego Nelsona, poza tym nieborakiem chyba każdy znał sytuację. Kiedyś wydawało mu się to zabawne, typowe wręcz... Teraz irytowało go, że Vanderlyn musi być takim ślepym osłem. Jednak już jutro i Nelson, i Ellie wyjeżdżają i przez wiele magicznych tygodni ten pałac znów należeć będzie tylko do Nicka i Susy. Ze wszystkich licznych gości tylko oni potrafili go docenić, tylko oni wiedzieli, jak należy tu mieszkać – to sprawiało, że tak naprawdę, w jedynym liczącym się sensie, ten dom należał właśnie do nich. Z takim podejściem nietrudno postrzeć Vanderlynów jako jedynie przelotnych intruzów.

Odsunawszy ich na wygodny dystans, Lansing zamknął się ze swoją książką. Po kilku tygodniach wakacji powrócił do niej ze świeżym zapasem energii i miał gorący zamiar jak

najszybciej ją skończyć. Nie spodziewał się, że wiele uda mu się na niej zarobić; jednak gdyby została w miarę przychylnie przyjęta, otworzyłaby mu drogę do periodyków i innych czasopism. Wtedy zamierzał porzucić archeologię na rzecz beletrystyki – w końcu tylko jako powieściopisarz miał jakąkolwiek szansę, aby zarobić na sobie i Susy.

Późnym popołudniem odłożył pióro i wyszedł na zewnątrz. Kochał to narastające gorąco weneckiego lata, te poharatane brzoskwiniowe odcienie odrapanych fasad, tę słoneczną emalię ciemnozielonych kanałów, tę zagęszczającą ospałe powietrze woń na wpół zgniłych owoców i kwiatów. Mógł – gdyby się odważył – dzięki temu snuć istnie bajeczne wizje zaszycia się z Susy na strychu jakiejś rozpadającej się kamienicy nad zielonym, jadeitowym kanałem, z tarasem wychodzącym na małą, zaniedbany ogród... I te przychodzące w dogodnych odstępach czasu czeki! No właśnie, dlaczegoż by nie? Jeśli mu się uda, mogą przecież zamieszkać w Wenecji!

Znalazł się przed kościołem degli Scalzi. Pchnął na oścież pokryte skórą drzwi i wszedł do nawy głównej pod różano-żółtymi aniołami na pięknym sklepieniu Tiepoła. Tu rzadko można było natknąć się na turystów, jednak w pewnym momencie zobaczył młodą kobietę, która stała samotnie przy chórze, wytrwale kierując lorgnon na niebiański wir, z którego raz na jakiś czas spuszczała oczy na otwartą książkę.

Usłyszawszy kroki Lansinga dźwięczące po posadzce, dziewczyna obróciła się i okazała się panną Hicks.

– O! Czyżby i pani to się podobało? Przecież to o parę wieków za nowe dla pani? Spoza epoki, którą się pani interesuje? – zapytał Nick, kiedy wymieniali uścisk dłoni.

Spojrzała na niego poważnie i odrzekła:

– Dlaczego miałyby mi się nie podobać coś spoza „mojej epoki”?

Zgodził się z nią ze śmiechem, że rzeczywiście, czasem bywa wręcz przeciwnie.

Ona wciąż przyglądała mu się bacznie i po kilku uwagach na temat dzieł Tiepoła Nick spostrzegł, że kieruje rozmowę na tematy bardziej osobiste.

– Bardzo się cieszę, że udało mi się tu zastać pana samego – powiedziała w końcu z nagłośnią, która, gdyby nie była tak całkowicie nieświadoma, mogłaby wydać się niezręczna. Dziewczyna ruszyła ku zbiorowisku drewnianych krzeseł i dała znak Nickowi, aby usiadł koło niej.

– Tak rzadko mam ku temu okazję – dodała z poważnym uśmiechem, który jej ciężkie oblicze uczynił prawie przystojnym. Nie dała mu zaprzeczyć, tylko mówiła dalej: – Chciałam z panem pomówić... Chciałam wyjaśnić to, że tata zaprosił pana na naszą wyprawę do Persji i Turkiestanu.

– Wyjaśnić?

– Tak. Niedługo po ślubie, po przyjeździe tutaj, znalazł pan list, prawda? Musiał pan pomyśleć, że to strasznie dziwaczne, że zapraszamy pana akurat w takim momencie. Ale my po prostu nie wiedzieliśmy, że pan się ożenił.

– Och, tego się domyśliłem. Nie robiliśmy wokół ślubu dużo szumu, a ja zaniedbałem zawiadamianie nawet starych przyjaciół.

Lansing zmarszczył brwi. Wrócił myślami do tego wieczoru, kiedy po przyjeździe do Wenecji znalazł wśród poczty czekający na niego list od pani Hicks. Ten dzień kojarzył mu się z nonsensownym i upokarzającym epizodem z cygarami – tymi kosztownymi, które Susy chciała wywieźć z Willi Strefforda. Ich krótka wymiana zdań na ten temat była pierwszą skazą na idealnej powierzchni jego szczęścia i na to wspomnienie wciąż ogarniało go nieprzyjemne gorąco. Przez te kilka godzin wizja życia z Susy wydawała mu się nie do wytrzymania i właśnie wtedy otrzymał list od pani Hicks z zaproszeniem, któremu prawie trudno było odmówić. Gdyby

tylko jej córka wiedziała, jak mało brakowało, aby je wtedy zaakceptował!

– To było ogromnie kuszące – odparł z uśmiechem.

– Żeby z nami pojechać? A więc dlaczego...

– Och, teraz wszystko się zmieniło, muszę trzymać się pisania.

Panna Hicks wciąż pilnie dociekała jego dalszych zamiarów.

– A więc zamierza pan porzucić prawdziwą pracę?

– Moją prawdziwą pracę? Archeologię? – Znów się uśmiechnął, tym razem by ukryć ukłucie żalu. – Cóż, obawiam się, że z tego ledwo da się żyć, a muszę mieć to na uwadze. – Nagle oblał się rumieńcem, jak gdyby podejrzewał, że panna Hicks mogłaby uznać, że jego wyznanie było zachętą do zaproponowania nie wiadomo jak potężnej pomocy. Szczodrość Hicksów była tak szczerą i bezinteresowną, że czasami stawała się wręcz uciążliwa. Jednak kiedy znów na nią spojrzął, spostrzegł, że jej oczy są pełne łez.

– Myślałam, że to pańskie powołanie – powiedziała.

– Ja też. Ale życie potrafi czasem pokrzyżować szyki.

– Rozumiem. Są takie cele, które... dla których warto zrezygnować z innych rzeczy.

– O, tak! – potwierdził Nick z promienną emfazą.

Zdawał sobie sprawę, że utkwione w nim oczy panny Hicks wymagały nawet więcej niż takiego całkowitego potwierdzenia.

– Ale ta powieść może okazać się porażką – zauważyła z dawną szorstkością.

– Owszem. I zapewne tak się stanie – przytaknął. – Ale gdyby każdy rozważał takie możliwości...

– A nie powinien pan, skoro teraz ma pan żonę?

– Oj, droga Coral! Ile masz lat? Jeszcze nie skończyłaś dwudziestu, prawda? – zapytał, ściskając dłoń dziewczyny jak starszy brat.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym gwałtownie i niezgrabnie powstała z krzesła.

– Nigdy nie byłam młoda, jeśli o to panu chodzi. Czyż to nie wielkie szczęście, że rodzice ofiarowali mi wspaniałe wykształcenie? Bo, rozumie pan, sztuka to takie wspaniałe źródło.

Nick wciąż przyglądał się jej czule.

– Nie będzie ci potrzebne... Ani to, ani żadne inne... Kiedy, co nieuniknione, dorośniesz – zapewnił ją.

– Czy ma pan przez to na myśli: kiedy się zakocham? Ale przecież ja jestem zakochana... O! Eldorada i pan Beck! – Urwała nagle i zamachała okularami do tych dwojga, którzy nagle ukazali się na drugim końcu nawy. – Obiecałam im, że jeśli tu dziś do mnie dołączą, spróbuję wytłumaczyć im Tiepola. Bo, wie pan, u nas w domu nikt tak naprawdę nigdy go nie rozumiał, a pan Beck i Eldorada jedyni zdają sobie z tego sprawę. Pan Buttles po prostu nie chce.

Odwróciła się do Lansinga i podała mu dłoń na pożegnanie.

– Jestem zakochana – powtórzyła żarliwie. – I właśnie dlatego uważam, że sztuka to wspaniałe źródło.

Wspomogła się okularami, otworzyła przewodnik i przeszła na drugi koniec kościoła do oczekujących jej neofitów.

Lansing patrzył, jak odchodzi, i przez krótką chwilę zastanawiał się, czy to przypadkiem nie pan Beck jest obiektem tego, wydawałoby się, nieodwzajemnionego uczucia. Nagle jednak – w dziwnym przeblýsku introspekcji – stwierdził, że nie, on z pewnością nie. Ale w takim razie... W takim razie... A niech tam, na cóż by zdać się mogło dalsze snucie domysłów? Ruszył w stronę domu, zastanawiając się, czy piknikowicze wrócili już do Palazzo Vanderlyn.

Oni jednak dotarli dopiero na późną kolację, wciąż śmiejąc się i dokazując, widocznie nadal zauroczeni swoim towarzystwem. Nelson Vanderlyn płomiennie zerkał na żonę, ucałował córkę na dobranoc, po czym rozsiadł się za suto zastawionym kwiatami i owocami stołem i oświadczył, że był to najkławszy dzień jego życia. Susy też przypadła pewna pochwała i Lansing zauważył, że Ellie stała się aż zbyt wylewna wobec jego żony. Siedzący przy gospodyni Strefford raz po raz spoglądał na świeżo upieczoną panią Lansing. To spojrzenie zdawało się być intymnym komentarzem na temat vanderlynowskich uniesień. Ale przecież Streffo zawsze prywatnie żartował sobie z innymi lub z innych... Nick zdenerwował się sam na siebie za to, że wciąż podejrzewa nawet najlepszych przyjaciół o jakieś niejasne sprzymierzenie się przeciwko niemu. „Przecież nie mogę teraz być jeszcze zazdrosnym o Streffo’ego!” – stwierdził, krzywiąc się, niezadowolony z samego siebie.

Nie ulegało wątpliwości, że najmniej racjonalne ukłucia zazdrości usprawiedliwiał fakt, że Susy prezentowała się przepięknie. Jako młoda dziewczyna była dla niektórych troszkę zbyt ostro zarysowana i koścista; teraz do jej dawnej lekkości doszło coś w rodzaju cienistego rozkwitu, głębi, w której odbijały się gwiazdy. Ruszała się wolniej i powabniej, jej lekko opadające usta miały tajemniczy, pożądliwy wyraz. Gęste rzęsy zdawały się sprawiać, że powieki też delikatnie opadały. Raz po raz w tym jej nowym rozmarzeniu dało się dostrzec dawnego żywego ducha, który objawiał się niczym odświeżająco cierpki smak w bardzo słodkim owocu. Mąż przyglądał się jej ponad kwiatami i świecami i zaśmiał się w myślach nad marnością wszystkiego, co nie było nią.

Vanderlyn i Clarissa wyjechali wcześniej następnego poranka, a pani Vanderlyn, która po południu miała ruszyć do Sankt Moritz, przeznaczyła ostatnie godziny w Wenecji na zażarte narady ze służącą oraz z Susy. Strefford, Fred Gillow i inni pojechali kąpać się na Lido, Lansing postanowił więc skorzystać z okazji i wrócić do księżki.

Rozbrzmiewająca echem po całej rezydencji cisza była przedsmakiem czekającego ich spokoju. Do połowy sierpnia cała gromada miała się rozproszyć: Hicksonie wybierali się w rejs na Kretę i Morze Egejskie, Fred Gillow wracał na wrzosowisko, a Strefford jechał do znajomych na Capri, aby tam doczekać swej corocznej wrześniowej wizyty w hrabstwie Northumberland. Po kolei wyjadą też inni, aż w końcu Lansing i Susy zostaną całkiem sami, chroniąc się przed słońcem w tym pałacu; sami pod tym niebem pełnym gwiazd, sami w nocnym świetle tego pięknego pomarańczowego, wciąż miodowego, wciąż ich miesiąca, który spoglądał na nich znad dzwonnicy kościoła San Giorgio. W tej błogosławionej ciszy powieść będzie toczyć się sama, równie harmonijnie co marzenia Nicka.

Pisał więc, niebaczny na mijające godziny, aż otwarły się drzwi i usłyszał za sobą kroki. Chwilę potem poczuł czyjeś dłonie na swoich oczach, a powietrze zapachniało najnowszymi perfumami pani Vanderlyn.

– Ach, kochaniutki... właśnie wyjeżdżam – powiedziała. – Susy mówiła, że pracujesz, więc zabroniłam jej ściągać cię na dół. Razem ze Streffo zabierają mnie na dworzec, a ja skoczyłam tu tylko się pożegnać.

– Droga Ellie! – Nick z wielkimi wyrzutami sumienia odłożył pisanie i zaczął wstawać, ona jednak popchnęła go z powrotem na fotel.

– Oj, nie! Nigdy nie wybaczyłabym sobie, gdybym ci przeszkodziła. Nie powinnam tu była nawet przychodzić, Susy nie chciała, abym ci przeszkadzała. Ale musiałam, mój drogi... muszę ci podziękować...

W ciemnej podróźnej sukience i kapeluszu, stroju tak dyskretnie rzucającym się w oczy, tak starannie niedbałym – woalka przysłaniała makijaż, rękawiczki kryły liczne pierścionki – Ellie wyglądała młodziej, skromniej, naturalniej niż kiedykolwiek. Ale z niej jednak dobra dusza!

– Dziękować? Za co? Za to, że byłem tu taki szczęśliwy? – Zaśmiał się, ściskając jej dłoń.

Ona spojrzała na niego, też się śmiejąc, i rzuciła mu się na szyję.

– Za to, że mi umożliwiliście bycie szczęśliwą gdzie indziej! Ty, Susy... Jesteście oboje tacy kochani! – Westchnęła i pocałowała Nicka w policzek.

Na sekundę ich spojrzenia się spotkały, po czym Ellie powoli spuściła ręce. Przed nią Lansing siedział jak skamieniały.

– Ach! – wydała zduszony okrzyk. – Co tak się gapisz? A więc nic nie wiedziałeś?

Z klatki schodowej doszło ich piskliwe wołanie Strefforda:

– Ellie! Gdzie ty się, do licha, podziewasz? Susy już czeka w gondoli. Spóźnisz się na pociąg!

Lansing wstał i chwycił ją za nadgarstek.

– O co chodzi? Co ty wygadujesz?

– Och nic, nic... Ale byliście tacy kochani z tymi listami... I kiedy Nelson tu był... Nick, nie tak mocno! Puść mnie, muszę już lecieć!

Puścił ją i stał bez ruchu. Gapił się za nią, słuchał stukotu jej wysokich obcasów, kiedy biegła przez pokój, a potem ich echa, gdy pokonywała korytarz.

Gdy wrócił do biurka, zauważył, że wśród papierów leży mała marokańska szkatułka. Musiała się otworzyć, upadając. Wśród bladej aksamitnej wyściółki kryła się szpilka do krawata z piękną, idealną wręcz perłą. Podniósł pudełeczko i już miał lecieć za panią Vanderlyn – jakie to typowe, ona zawsze gubiła biżuterię na prawo i lewo! – kiedy zauważył, że wieko puzderka zdobią jego własne inicjały.

Puścił szkatułkę, jak gdyby była żarzącym się węglem, i przez dłuższą chwilę spoglądał na złote litery: „N.L.”. Wydawało mu się, że są wypalone na jego własnej skórze.

W końcu otrząsnął się i wstał.

Rozdział 10

Susy odetchnęła z ulgą, wyciągnęła szpilki z kapelusza i rzuciła się na otomanę.

Okres udręki dobiegł końca – Vanderlynowie rozjechali się w różne strony, a ona nie musiała się już niczego obawiać. Biedna Ellie nie grzeszyła rozwągą i kiedy życie się do niej uśmiechało, miała w zwyczaju trochę zbyt otwarcie okazywać swą wdzięczność; jednak dzięki czujności Susy (i zapewne przy cichym wsparciu Strefforda) te niebezpieczne dwadzieścia cztery godziny nareszcie minęły. Nelson Vanderlyn wyjechał bez cienia niepokoju, a Ellie, która co prawda po pożegnaniu się z Nickiem wydawała się mniej spokojna niż zwykle, przestała zachowywać się nieswojo, gdy tylko zapodziała się gdzieś torba z czerwonej marokańskiej skóry, do której zapakowano jej szkatułkę z biżuterią. Torbę w końcu znaleziono w otchłani gondoli, która w międzyczasie zacumowała przed dworcem, i zdążyli odstawić Ellie do kuszetki, z której chwilę potem beztrąsko machała do przyjaciół.

– Cóż, moja droga... Udało się! – stwierdził Strefford, wzdychając głęboko, kiedy tylko ekspres do Sankt Moritz wytoczył się ze stacji.

– Ach... – Westchnienie Susy wyrażało nieme współsprawstwo. Potem, jak gdyby chciała zakryć czymś ten występki przeciwko własnym zasadom, dodała: – Biedactwo, ona tak strasznie lubi to, co lubi!

– Owszem... Nawet jeśli lubi paskudną kanalię – zgodził się Strefford.

– Paskudną kanalię? Ale myślałam...

– Że Ellie dalej zadaje się z młodym Davenantem? Ależ nie... Już od pół roku nie. Nie mówiła ci?

Susy poczuła, że oblewa się rumieńcem.

– Nie pytałam...

– Nie pytałaś? Raczej nie dałaś jej powiedzieć!

– Tak, nie pozwoliłam. I tobie też nie pozwalam – dodała ostro, kiedy pomagał jej wejść do gondoli.

– No dobra. Chyba masz rację. To bardzo ułatwia sprawę – przytaknęła łagodnie.

Susy nic na to nie odpowiedziała. Do domu płynęli w milczeniu.

Teraz w zaciszu własnej sypialni Susy leżała i zastanawiała się nad drogą, jaką przemierzyła przez ten ostatni rok. Strefford przejrzał ją ze swą zwykłą przenikliwością. Owszem, to prawda: był taki czas, kiedy uznałaby za coś całkowicie normalnego, że Ellie powie jej wszystko; że nazwisko następcy młodego Davenanta naturalną kolejną rzeczą zostanie jej wyjawione. Widać nawet Ellie podświadomie zdawała sobie sprawę z tej zmiany, ponieważ po pierwszej nieudanej próbie zwierzenia się Susy zadowolona ogólnymi wyrazami wdzięczności, wymianą znaczących westchnień i uśmiechów oraz śliczną „niespodzianką” w postaci wsuniętej przyjaciółce na rękę podczas pożegnania uścisku szafirowej bransoletki.

Bransoletka była niezwykle elegancka. Susy miała do kosztowności oko licytatora, wiedziała więc dokładnie, ile warte były te wypukłe kamienie ułożone na przemian z małutkimi szmaragdami i brylancikami. Cieszyło ją posiadanie tej bransoletki oraz to, jak uroczo prezentowała się na jej zgrabnym nadgarstku; jednak nawet w chwili zachwycania się nią już przeliczała ją na gotówkę, już zastanawiała się, ile domowych wydatków będzie można nią zapłacić. Cokolwiek teraz dostawała, ciekawiło ją tylko o tyle, o ile można to było wykorzystać na korzyść Nicka.

Otworzyły się drzwi i wszedł jej mąż. Zmrok już zapadł i nie widziała twarzy Nicka, jednak już sposób, w jaki puścił klamkę, obudził jej wciąż czuwający niepokój. Podbiegła do

niego, pokazując nadgarstek.

– Popatrz, najdroższy... Czyż Ellie nie jest zbyt kochana?

Wcisnęła guziczek, zapaliła się lampka na toalecie. Ze zmierzchu wyłoniła się twarz męża patrząca na nią z nieznanym jej dotąd wyrazem. Ściągnęła błyskotkę i pokazała mu bliżej.

– Och, pokażę ci coś lepszego – powiedział ze śmiechem. Wyciągnął z kieszeni małą marokańską szkatułeczkę i rzucił ją pomiędzy flakoniki perfum.

Susy odruchowo otworzyła pudełeczko. Wgapiła się w perłę, bo lękała się znów spojrzeć na męża.

– Ellie... Ellie ci to dała? – spytała w końcu.

– Tak. Wręczyła mi to. – Zawisła między nimi chwila milczenia. – Czy mogłabyś mi, proszę, wyjaśnić – ciągnął dalej tym samym bezpośrednim tonem – za jakie to dokładnie usługi dostaliśmy oboje tak hojną zapłatę?

– To naprawdę przepiękna perła – szepnęła Susy, grając na zwłokę, podczas gdy kręciło jej się w głowie od niewyobrażalnych lęków.

– Piękne są też twoje szafiry. Choć przy bliższej inspekcji można by przypuścić, że moje usługi oceniono wyżej niż twoje. Czy byłabyś taka dobra i wyjaśniła mi dokładnie, na czym one polegały?

Susy poderwała głowę i spojrzała na niego.

– Co ty wygadujesz, Nick? A dlaczego Ellie miałyby nam nie dawać prezentów?

Zapominasz, że dla niej to jest tak, jak dla nas ofiarować jej ściereczkę do wycierania pióra czy zapinacz guzików? Co próbujesz zasugerować?

Niemalą ją kosztowało niespuszczenie z niego wzroku, kiedy zadawała te pytania. Coś zaszło pomiędzy nim a Ellie, co do tego nie miała już wątpliwości. To musiała być jakaś nieprzewidziana pomyłka, przez którą teraz jeden z jej najmisterniejszych planów może runąć jak domek z kart: po byle dotknięciu. Susy aż drgnęła, przypomniawszy sobie, jak krucho jest szczęście. Dawne doświadczenie pomogło jej jednak wytrwać. Już wielokrotnie bywała w położeniu, w którym wszystko – „wszystko” dla kogoś innego – zależało od tego, czy zachowa jasność umysłu i ostrość widzenia. Byłoby dziwne, gdyby teraz, kiedy jej własne „wszystko” wisiało na włosku, nie dała rady równie dobrze tego obronić.

– Co masz na myśli? – spytała niecierpliwie, jako że Lansing wciąż milczał.

– Właśnie tego sam chciałbym się dowiedzieć – odrzekł, wpatrując się w nią równie bacznie jak ona w niego. – Rzeczywiście, tak jak mówisz... Nie ma powodu, dla którego Ellie miałyby nam nie dawać prezentów... Tak drogie, jak tylko sobie zapragnie. Ta perła jest doprawdy prześliczna. Ja pytam się tylko: za jakie konkretnie usługi ofiarowano nam prezenty? No bo musisz się chyba zgodzić, że nawet biorąc pod uwagę charakterystyczny dla relacji naprawdę cywilizowanych ludzi brak skrupułów, są pewne granice... Przynajmniej aż do teraz jakieś granice istniały...

– Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Zapewne Ellie chciała pokazać nam swą wdzięczność za zajęcie się Clarissą.

– Ale przecież za to dostaliśmy już to wszystko, prawda? – powiedział, wskazując na otaczający ich piękny, cienisty pokój. – Całe lato tego wszystkiego, jeśli tylko mamy na to ochotę.

Susy uśmiechnęła się.

– Widocznie uznała, że to za mało.

– Cóż za troskliwa mamusia! Widać, jak ogromnie zależy jej na córce.

– A tobie na Clarissie nie zależy?

– Clarissa jest wspaniałym, wyjątkowym dzieckiem, ale dając mi rekompensatę, jej matka

nic o niej nie wspomniała.

Susy podniosła głowę.

– A o czym wspomniała?

– O Vanderlynie – odrzekł Lansing.

– Vanderlynie? O Nelsonie?

– Tak. Wspomniała też jakieś listy... Mówiła coś o listach... Czy zostałam zatrudniona do ukrywania jakichś listów przed Vanderlynem? Bardzo chciałbym wiedzieć – w głosie Nicka brzmiała zajądłość – czy aby na pewno otrzymaliśmy należyte wynagrodzenie!

Susy milczała. Potrzebowała czasu, aby zebrać siły i opracować kolejny ruch. Strach jednak mieszał jej w głowie i w końcu jedyne, co była w stanie wydusić, to pytanie:

– Co Ellie ci powiedziała?

Lansing znów się zaśmiał.

– Chciałabyś się dowiedzieć, prawda? Żeby wiedzieć, jak się tłumaczyć.

Jego drwiący ton zaowocował czymś, czego sam nie przewidział, co zdziwiło i Susy.

– Och! Nie! Nie mówmy do siebie w taki sposób! – krzyknęła, po czym opadła na siedzenie przed toaletką i zakryła twarz rękami.

W tej chwili odniosła wrażenie, że nie liczy się nic poza ich wzajemną miłością, ich wzajemnym zaufaniem – to tego trzeba było bronić przed jakąś nieuleczalną szkodą. Była w stanie powiedzieć Nickowi wszystko – chciała mu wszystko wyjawić – gdyby tylko mogła być pewna, że on choć trochę ją zrozumie. Przypomniała sobie jednak o aferze z cygarami i poczuła ogólne odrętwienie. Gdyby tylko potrafiła go przekonać, że póki się kochają, tak naprawdę nic innego nie ma żadnego znaczenia!

Na ramieniu poczuła jego współczujący dotyk.

– Biedne dziecko, nie płacz... – powiedział.

Ich spojrzenia spotkały się, ale jego mina zgasiła uśmiech, który powoli próbował przebić się przez łzy.

– Nie rozumiesz – ciągnął – że musimy to sobie wyjaśnić?

Ona wciąż przyglądała mu się przez łzy.

– Nie mogę... Kiedy tak nade mną stroisz... – wyjąkała niczym dziecko.

Znów skuliła się w rogu otomany; Lansing jednak nie zajął miejsca koło niej, tylko postawił przed nią krzesło i usiadł, jak podwieczorkowy gość, po drugiej stronie okazałej tacy z herbatą.

– Tak wystarczy? – zapytał ze sztywnym uśmiechem, jak gdyby spełniał jej zachcianki.

– Nic nie wystarczy, póki ty nie jesteś sobą.

– Nie jestem sobą?

Potrząsnęła przecząco zmęczoną głową.

– Na co to się zda? Akceptujesz rzeczy czysto hipotetycznie, a kiedy już coś się wydarzy...

– Jakie „rzeczy”? Co się wydarzyło?

Nagle ogarnęło ją zniecierpliwienie. No bo czego w końcu on się spodziewał?

– Przecież wiesz wszystko o Ellie. Dawniej nie raz o tym rozmawialiśmy – powiedziała.

– O Ellie i Davenancie juniorze?

– Davenancie juniorze... i innych...

– I innych. Ale przecież to nie nasza sprawa!

– Ha! No właśnie! Też tak uważam! – zawołała i wstała z gwałtownym poczuciem ulgi. Lansing też wstał, ale jego twarz nie była płomienna.

– To nie nasza sprawa. Nie mamy przecież z tym nic wspólnego, prawda? – powiedział

z naciskiem.

– Nic a nic.

– A więc co ma oznaczać, na Boga, ta wdzięczność Ellie? Czemu wdzięczna jest za coś, co uczyniliśmy z jakimiś tam listami... I z Vanderlynem?

– Oj, nie ty – wyrwało się Susy.

– Nie ja? A więc ty? – Nachylił się nad żoną i chwycił ją za nadgarstek. – Odpowiedz.

Czy zaplątałaś się w jakieś brudne sprawy Ellie?

Zapadło milczenie. Susy nie była w stanie mówić, czuła tylko ten palący uścisk w nadgarstku, w miejscu, które niedawno otaczała bransoletka od Ellie. W końcu Nick puścił ją i odsunął się.

– Odpowiedz – powtórzył.

– Mówiłam już, że to nie twoja, tylko moja sprawa.

Przyjął to w milczeniu, a po chwili zapytał:

– Domyślam się, że wysyłałaś za nią listy. Do kogo?

– Dlaczego tak mnie zdręczasz? Nie chciała, żeby Nelson dowiedział się, że wyjechała z Wenecji. Zostawiła mi listy, które co tydzień miałam słać do niego. Znalazłam je w noc naszego przyjazdu... To była cena... za wszystko. I Nick... Oplaciło się przecież. Przynajmniej, że było warto! – błagała.

Lansing stał bez ruchu. Jedną dłonią bębnił o róg toaletki tak, że drżała wysadzana klejnotami bransoletka.

– Ile było tych listów?

– Oj, nie wiem... cztery? Może pięć? A jakie to ma znaczenie?

– Raz na tydzień, przez sześć tygodni?

– Tak.

– I było to dla ciebie całkiem naturalne?

– Nie. Nienawidziłam tego obowiązku, ale co miałam zrobić?

– No właśnie, co mogłaś zrobić?

– Przecież od tego zależało, czy będziemy tu razem! Oj, Nick! Jak możesz przypuszczać, że mogłabym z tego... z ciebie zrezygnować?

– Zrezygnować ze mnie?

– Czy nie od tego zależy nasze bycie razem? Od tego, co uda nam się uzyskać od innych? Przecież zawsze trzeba iść na kompromisy! Czy kiedykolwiek udało ci się cokolwiek zdobyć bez żadnych kosztów? – zawołała z nagłą irytacją. – Żyjesz przecież wśród tych samych ludzi co ja, równie długo jak ja... Przecież chyba nie pierwszy raz...

– Na Boga! To jest pierwszy raz! – wykrzyknął, cały czerwony. – I na tym polega ta różnica, ta fundamentalna różnica!

– Jaka znowu różnica?

– Pomiędzy tobą a mną. Ja nigdy, przenigdy nie odwaląłem cudzej brudnej roboty... A na pewno nie w zamian za jakieś przysługi. Sama musiałaś się tego domyślić, inaczej przecież nie zataiłabyś przede mną tej podłej sprawy.

Susy także poczerwieniała. Owszem, instynktownie to przeczuwała. Zdała sobie sprawę z jego wyższych standardów moralnych już tego dnia, kiedy odwiedziła go w wynajętym pokoju. Ale jak mogła mu wyjaśnić, że pod jego wpływem sama też przyjęła ostrzejsze zasady, że trzymała język za zębami tak naprawdę nie w obawie przed jego gniewem, lecz dlatego, że sama wstydziała się własnego postępowania?

– Doskonale wiedziałaś, że gdybym był tego świadom, nie zostałbym tu ani dnia dłużej.

– Tak. A wtedy co byśmy ze sobą zrobili?

– A więc uważasz, że w taki czy inny sposób ceną naszego wspólnego życia są te twoje „kompromisy”?

– No... tak... A nie? – spytała łamiącym się głosem.

– W takim razie chyba powinniśmy się rozstać.

Mówił cicho, jak gdyby w zamyśleniu, ale stanowczo – jak gdyby było to nieuniknione rozwiązanie ich gorącej kłótni.

Susy nic na to nie odpowiedziała. Na chwilę przestała zdawać sobie sprawę z przyczyn tego, co zaszło. Rezultat jakby zwałił się na nią, dusiła się pod gruzami.

Nick odszedł od toaletki i wyglądął przez okno na ciemniejący kanał upstrzony światłami. Susy wpatrywała się w plecy męża, zastanawiając się, co by było, gdyby podeszła i rzuciła mu się w ramiona. Jednak nawet jeśli jej dotyk rzeczywiście miał moc odczarowania tego zaklęcia, nie była pewna, czy chce użyć posiadanej mocy właśnie w tym celu. Obok tej niewysłowionej rozterki paliło ją pewne na wpeł tylko uświadomione poczucie, że mąż jest wobec niej niesprawiedliwy. Kiedy zawierali swój dziwaczny układ, Nick doskonale zdawał sobie sprawę z wynikającej z niego konieczności godzenia się na kompromisy i ustępstwa. Myśl, że mógłby o tym zapomnieć, wydała jej się wielce nieprawdopodobna, ogarnął ją więc nowy strach – lęk, że Nick jedynie wykorzystywał niedyskrecję tej przeklętej Ellie, by uciec z sytuacji, która już wcześniej go znudziła. Nagle podniosła głowę i zaśmiała się w głos.

– A jednak miałeś rację, kiedy chciałeś, żebym została twoją kochanką.

Spojrzał na nią zdziwiony i przerażony.

– Ty? Moją kochanką?

Mimo całego przytłaczającego ją bólu z wielką radością i dumą przyjęła odkrycie, że taka możliwość już dawno stała się dla niego niewyobrażalna. Nalegała jednak.

– No wtedy, u Fulmerów, zapomniałeś? Powiedziałeś, że pobranie się to istne szaleństwo.

Lansing stał oparty o gładki okna, z oczyma utkwionymi w mozaikowe esy-floresy na posadzce.

– Miałem rację, twierdząc, że pobranie się było istnym szaleństwem – odrzekł w końcu. Wstała, drżąc.

– Ach, łatwo poszło. Nasza umowa...

– Ach, ta umowa... – przerwał jej, śmiejąc się niecierpliwie.

– Nie prosisz mnie, bym się do niej zastosowała?

– Bo powiedziałem, że powinniśmy się rozstać? – Zastanowił się chwilę. – Ale w umowie było... prawie już zapomniałem... że jedno miało drugiemu pomóc, gdyby przed którymś z nas stanęła lepsza okazja? To wszystko absurd, rzecz jasna, zwykły żart... Przynajmniej z mojego punktu widzenia. Ja nigdy nie będę pragnął niczego lepszego... niczego innego...

– Och, Nick... Nick... Ale w takim razie... – Stała już blisko niego, patrzyła na niego zza łez, ale ją odsunął.

– Jakie to by wszystko było proste, prawda? – dodał. – Gdybyśmy mogli tak łatwo się rozłączyć? A tak czeka nas straszny, straszny ból. Ale nic tu nie pomoże próżne gadanie. Miałeś rację, pytając, jak teraz będziemy żyć. Chyba oboje urodziliśmy się pasożytami, inaczej już dawno byśmy znaleźli wyjście z tej sytuacji. Nauczyłem się jednak, że są rzeczy, które jestem w stanie wytrzymać, jeśli zostaną przyciśnięty do muru... Powiniennem się chyba w końcu nauczyć, że nie mogę pozwolić, abyś ty się z niektórymi rzeczami zmagala dla mnie... nigdy... Te cygara w Como... Myślałaś, że nie domyślę się, że to było dla mnie? I to? Ale tak nie można, nie można...

Urwał, jak gdyby odeszła go odwaga. Susy dodała żałośnie:

– Ale twoje pisanie... Jeśli twoja książka odniesie sukces...

– Biedactwo... Wiesz przecież dobrze, że to nonsens. Oboje wiemy, że na tego rodzaju pisaniu nigdy nie da się zarobić. A jaką mam alternatywę? Tylko więcej takich podłości i stopniowe znieczulenie? Przynajmniej do teraz jeszcze byłem ponad to. Teraz nie chcę męczyć się do czasu, kiedy takie rzeczy będą mi się wydawać czymś naturalnym.

Wyciągnęła ku niemu łagodną dłoń.

– Ale ty nie musisz, kochany... Wystarczy, że zostawisz to mnie...

Nick odsunął się gwałtownie.

– A więc dla ciebie to takie proste? Cóż... Mężczyźni myślą inaczej. – Podeszedł do toaletki i zerknął na mały emaliowany zegarek, który dostała w prezencie ślubnym.

– Chyba nadszedł czas, aby się przebrać do kolacji. Czy masz coś przeciwko, jeżeli tym razem nie zjem jej z tobą, Streffym i kimkolwiek, kto ma dziś przyjść? Chcę iść na dość długi spacer i na razie nie mam ochoty rozmawiać z nikim poza sobą.

Minął ją i prędko wyszedł z pokoju. Susy stała bez ruchu, nie była w stanie nawet podnieść dłoni, by go zatrzymać, ani znaleźć słów, by do niego przemówić. W różowawym świetle lampy, w rozgardiaszu toaletki, lśniły podarki od pani Vanderlyn.

Owszem, Nick miał rację. Mężczyźni rzeczywiście myślą inaczej.

Rozdział 11

Ale przecież niektóre ustępstwa były konieczne, i to zawsze, bez wyjątku; dawniej Nick pierwszy by to przyznał... Jakże się naśmiewali z tych „prostopadłych ludzi” – czyli tych, którzy przechadzali się po drugiej stronie egzystencji (w końcu nie dało się być dobrym samarytaninem bez znizenia się do tykania nie wiadomo kogo). A teraz Nick sam stał się „prostopadły”...

Tego wieczoru Susy siedziała u szczytu stołu i – w przerwach pomiędzy łapaniem rozbieganych myśli – widziała znajome aż do mdłości twarze tych, których nazywała przyjaciółmi: Strefforda, Freda Gillowa, tego rozchichranego palanta, Breckenridge’a juniora, który przybył tego dnia z Nowego Jorku, oraz księcia Nerone Altineriego. Ten ostatni był „księciem Ursuli”, a kiedy ona udawała się na jakąś nudną kurację do sennego sanatorium, jasnie pan naturalnie wołał po prostu dołączyć do jej męża w Wenecji. Teraz Susy przyglądała się im, każdemu z osobna, jak gdyby nowo otwartymi oczyma, zastanawiała się, jak wyglądałoby życie, gdyby przystrajały je wyłącznie takie facjaty...

Cóż, Nick stał się „prostopadły”... W końcu większość brnęła przez życie uzbrojona w pewien określony zestaw gestów, niczym repertuar wyuczonych zawczasu tanecznych kroków. Jeśli podręcznik do tańca kazał w określonej chwili stać się prostopadłym, trzeba było się podporządkować... To dotyczyło i Nicka!

– Ależ Susy... Co, na Boga... – nagle, jak gdyby z niepoliczalnej oddali, dotarł do niej głos skonsternowanego Gillowa – będziecie robić w tej potwornej, dusznej dziurze przez całe lato?

– Lepiej zapytaj Nicka, drogi kolego... – Strefford odpowiedział za nią, a młody Breckenridge dorzucił:

– A tak przy okazji, czy można zapytać, gdzie jest teraz twój małżonek?

– Je na mieście – odrzekła Susy bez zająknięcia. – Naszli nas tacy straszni nudziarze, nie mogłam narazić was na ich towarzystwo... – Z jaką łatwością wracało się do dawnych, znajomych kłamstewek!

– Tacy, którym się raz powie, żeby cię odwiedzili czy zadzwonili, a potem przez resztę życia trzeba przed nimi uciekać, jak nasi kochani Hicksowie – wzmocnił jej wypowiedź Strefford.

Hicksowie – ach tak, oczywiście! Nick musiał być z nimi! Ta myśl przeszła Susy jak sztylet; ta łatwo wyłgana kolacja stała się paskudną prawdą.

„Po kolacji zadzwonię tam i go poproszę... I wtedy będzie miał się z pyszna!” – pomyślała gorączkowo, ale po chwili przypomniała sobie, że przecież Hicksowie, osiadłszy w surowościach średniowiecznego lokum, oczywiście postanowili obywać się bez telefonu.

Przez to, że chwilowo nie miała kontaktu z Nickiem – teraz była już święcie przekonana, że rzeczywiście poszedł do Hicksów – jej niepokój zamienił się w kpiące zdenerwowanie. A więc to tam zaniósł te swoje przekonania, te swoje standardy moralne – jak zwał, tak zwał, w każdym razie te nowe zasady, do których nagle postanowił zacząć się stosować w ich starej grze! Ale z niej głuptas, że nie domyśliła się od razu.

– Ach, Hicksowie... Wiecie przecież, że Nick ich uwielbia. Jego następną żoną będzie Coral – zaśmiała się, rzucając żart z dobrze wyćwiczoną nonszalancją.

– Przebóg! – jęknął bezgłośnie Gillow, a książkę zaprezentował uśmiech, który zapewne, co zarzucała mu Susy, ćwiczył każdego ranka podczas gimnastyki Mullera.

Nagle Susy poczuła na sobie wzrok Strefforda.

– Czy coś nie tak? Za dużo różu? – spytała, biorąc go pod rękę, gdy wstawali od stołu.

– Nie, wręcz za mało. Przejrzyj się – odparł cicho.

– Och, w tych upiornych starych zwierciadłach każdy wygląda, jakby go przed chwilą wyłowiono z kanału!

Odskoczyła od niego i puściła się w wirujący płas po długiej sali, ujmując się pod boki i nucąc ragtime'ową melodyjkę. Księżę i młody Breckenridge złapali ją, zaraz zaczęła płasć z tym ostatnim, a Gillow (wykorzystując swój jedyny znany talent) pstrykał palcami niczym grzechocący gnatami kościotrup i niezgrabnie pomknął za wirującą parą.

Susy legła na sofę stojącą przy oknie i zaczęła wachlować się lekkim szalem. Panowie plądrowali pomieszczenie w poszukiwaniu papierosów, a następnie zadzwonili po gondolierów, którzy przyszli, niosąc tace z zimnymi napojami.

– A więc co mamy teraz w programie? Przecież to chyba jeszcze nie koniec wieczoru, prawda? – zapytał w końcu Gillow z otomany, na której rozłożył się i już prawie drzemał spocony. Fred niczym Matka Natura nienawidził pustki i nie był w stanie wyobrazić sobie, że racjonalny człowiek mógłby nie wypełniać każdej godziny jakimś celem, a jeśli nie znajdował go w danym miejscu, powinien szukać gdzie indziej. Młody Breckenridge – który podzielał ten pogląd – i księżę – który usilnie pragnął go podzielać – przypomnieli całej gromadce, że jakiś znajomy urzędnik tej nocy tańce na Lido.

Strefford zawetował pomysł z Lido, tłumacząc, że przecież dopiero co stamtąd wrócił, zaproponował więc, aby dla odmiany udali się gdzieś pieszo.

– Dlaczego nie? Będzie wybornie! – Susy natychmiast zerwała się na równe nogi. – Złożmy komuś niespodziewaną wizytę! Tylko nie wiem komu... Streffy, jasnie księżę: jak myślicie, kogo najbardziej zirytowałyby nasze odwiedziny?

– Ach, lista jest zdecydowanie za długa. Wpierw wyruszmy, ofiarę wybierzemy po drodze – zaproponował Strefford.

Susy pobiegła do pokoju po lekką narzutkę i – nawet nie zmieniając satynowych pantofelków na obcasie – wyszła w towarzystwie czterech mężczyzn. Nie było widać księżycy – chwała Bogu, że nie było księżycy! – ale gwiazdy wisiały nad nimi, blisko niczym owoce w sadzie, a zza murów dochodziły ich tajemne zapachy niewidzianych ogrodów. Susy poczuła ukłucie w sercu: naszło ją wspomnienie aromatów znad Como.

Snuli się, śmiejąc się i ociągając, ulegając ulotnym zachciankom ludzi wędrujących bez celu. W końcu ktoś zaproponował obejrzenie z bliska fasady kościoła San Giorgio Maggiore, złapali więc gondolę i dali się wieść wśród drżących na wietrze lampionów i brzdęków gitar. Kiedy przycumowali, Gillow, którego widoki zawsze boleśnie nużyły, a szczególnie nienawidził estetyki świata o północy, zaproponował, aby udali się do pewnego cieszącego się niezwykle klawą opinią klubu nocnego. Księżę gorąco poparł tę propozycję, lecz Susy sprzeciwiła się jej opryskliwie, więc zamiast do klubu udali się w dalszą tułaczkę, krążąc ciemnymi uliczkami i kierując się na plac Świętego Marka, na lody do Floriana. Nagle, stając na rogu jednego obcego, lecz zarazem dziwnie znajomego zaułka, Susy rozejrzała się ze śmiechem.

– Ale Hicksowie... Przecież to chyba jest ich pałac? I we wszystkich oknach się świeci! Zdaje się, że rządzą przyjęciem! Och, chodźmy, zróbmy im niespodziankę! – Pomysł wydał jej się jednym z najzabawniejszych, jakie kiedykolwiek przyszły jej do głowy, i bardzo się zdziwiła, że towarzysze zareagowali tak opieszale.

– Ale co może być zabawnego w sprawieniu niespodzianki Hicksom? – zaprotestował Gillow, czując się obrabowanym z potencjalnych wrażeń, a Strefford dodał:

– Wizyta u Hicksów zaskoczyłaby prędzej mnie niż ich.

Susy jednak gorączkowo nalegała:

– Ale skąd wiecie? A może akurat będzie potwornie fascynująco! Mam przeczucie, że

Coral lada chwila ogłosi swoje zaręczyny... Zaręczyny z Nickiem! Chodź, Streff, pomóż mi... Ty też, Fred, dołącz się... – I zaczęła nucić pierwsze takty wejścia Donny Anny z *Don Giovanni*. – Jaka szkoda, że nie mam maski i czarnej peleryny...

– Cóż, wystarczy ci twarz – rzekł Strefford, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Susy odsunęła się i załapała rumieńcem. Breckenridge i księżę już dawno ich wyprzedzili, Gillow podążał za nimi i był w połowie schodów.

– Moja twarz? Moja twarz? Co z nią jest nie tak? Podaj jeden dobry powód, dlaczego nie miałabym dziś wieczór odwiedzić Hicksów! – Susy ogarnął nagły gniew.

– Nie jestem w stanie podać żadnego poza tym, że jeśli tam pójdziemy, zanudzę się na śmierć – odparł Strefford spokojnie.

– Cóż... W takim razie...

– No dobra, chodź... Już słyszę, że te durnie pukają do drzwi. – Chwyił ją za rękę i zaczęli wspinać się po schodach. Jednak gdy dotarli do pierwszego półpiętra, Susy przystanąła, wyswobodziła dłoń z jego uścisku i bez słowa – nawet bez jakiegokolwiek uświadomionej myśli – zbiegła w dół długich schodów, przebiegła przez rozległy, pełen ech westybul i zniknęła w ciemności zaułka.

Strefford dogonił ją. Przez chwilę stali w milczeniu.

– Susy! Co ci jest, do licha?

– Co mi jest? Nie widzisz? Jestem zmęczona, potwornie boli mnie głowa... A wy zanudziliście mnie na śmierć, wy wszyscy i każdy z osobna! – Odwróciła się i położyła niechętną dłoń na jego ramieniu. – Streffy... kochany, nie przejmuj się mną. Ale proszę, na miłość boską, znajdź mi gondolę i odeślij mnie do domu.

– Samą?

– Samą.

Streffa nigdy nie obchodziło, czemu ktoś chciałby zrobić coś, czego on sam nie pojmował; Susy wiedziała więc, że może liczyć na jego posłuszeństwo. W milczeniu dotarli do najbliższego kanału, gdzie przywołał przepływającą gondolę, do której pomógł jej wsiąść.

– A teraz idź się zabaw! – zawołała za nim, kiedy łódka przemknęła pod najbliższym mostem. Dałaby wszystko, żeby być sama, z dala od tej głupoty i płytkości, które byłyby całym jej światem, jedynym, co by jej pozostało w życiu, gdyby nie miała już Nicka...

„Ale może już go nie ma... Może odszedł na dobre...” – pomyślała, przechodząc przez próg pałacu Vanderlynów.

Ta krótka letnia noc już zaczynała przechodzić w brzask; nowo powstała bryza zmaciała brudną powierzchnię wody, pchając ją falą w stronę starych pałacowych bram. Już prawie druga! Nick z pewnością dawno wrócił. Susy pognała na górę po schodach, czując radość na samą myśl o bliskości męża. Wiedziała, że kiedy ich oczy i usta wreszcie się spotkają, nic już nie będzie w stanie ich rozłączyć.

Na półpiętrze ocknął się drzemiący gondolier. Przywitał ją i wręczył jej dwie koperty. Ta na wierzchu zawierała depezę dla Strefforda, Susy odłożyła ją więc i stanęła pod lampą zwisającą z malowanego sklepienia, trzymając w ręku tę drugą. Była zaadresowana pismem Nicka.

– Kiedy signore to dla mnie zostawił? Czy znów wyszedł?

Czy znów wyszedł? Ale przecież signore po wyjściu na kolację nie wrócił, tego gondolier był pewien, jako że przez cały czas pełnił służbę. List przyniósł jakiś chłopak – nieznany chłopak – i zostawił go, nie czekając. To musiało być około pół godziny po tym, jak signora wyszła z gośćmi.

Susy, ledwo słuchając, pobiegła do sypialni, gdzie w świetle lampy, tej samej, która dwa

miesiące wcześniej oświecała feralny list Ellie Vanderlyn, otworzyła wiadomość od Nicka.

„Nie miej mi za złe, Najdroższa, ale muszę to wszystko przemyśleć w samotności. Chyba zgodzisz się, że lepiej, abym uczynił to wcześniej niż później? Teraz wsiadam w ekspres do Mediolanu. Jutro lub pojutrze dostaniesz właściwy list. Chciałbym móc teraz wymyślić coś, aby udowodnić ci, że nie jestem okrutnikiem, ale nie potrafię. N.L.”.

Nie pozostało wiele nocy na sen, nawet gdyby mogła osiągnąć stan, który by chociaż sen przypominał. List wysunął się z rąk Susy; wyszła na balkon i tam się skuliła, oparła czołem o balustradę, a wiatr świtania szamotał jej koronkami. Przez zamknięte powieki i mocno cisnące je palce poczuła przenikanie zwiększającego się światła, nieuniknione nadejście kolejnego dnia – dnia bez celu i bez znaczenia – dnia bez Nicka. W końcu załamała ręce, uniosła suche powieki i zobaczyła, że znad dachów Canal Grande unosi się ognista poświata. Prędko wyprostowała się, pobiegła do pokoju, gdzie szelnie zasłoniła okna ciężkimi kotarami, i w ciemności dotarła do otomany, na której legła, ukrywając twarz w poduszkach – w poszukiwaniu głębszej nocy...

Kiedy po jakimś czasie wstała, sztywna i obolała, zobaczyła na podłodze u stóp złocistą słoneczną smugę. A więc spała... Jak to możliwe? Musi być już chyba ósma, może nawet dziewiąta! Spała więc – spała niczym pijak! – z listem tuż pod nosem, leżał tam, na stoliku! Teraz zaczęła sobie przypominać... Śniło jej się, że ten list tylko jej się przyśnił! Ale nie, wciąż leżał tam nieubłagane. Podniosła go, po czym powoli kolejny raz skazała się na bolesną lekturę. Gdy skończyła, podarła kartkę na kawałeczki, po krótkim poszukiwaniu znalazła zapałkę, uklękła przed pustym kominkiem i – jak gdyby dopełniała jakiegoś pogrzebowego rytuału – spaliła wszystkie skrawki papieru w pył. Kiedyś Nick jej za to podziękuje!

Po kąpieli i szybkiej toalecie odniosła wrażenie, że czuje się młodziej i nabiera większych nadziei. W końcu Nick napisał, że wyjeżdża „do jutra, może pojutrze”. A wiadomość wcale nie była taka okrutna, przez oschłe słowa przebijało trochę czułości. Susy uśmiechnęła się – trochę krzywo – do swojego odbicia w zwierciadle, dodała trochę czerwieni bezbarwnym ustom i zadzwoniła po służącą.

– Giovanni! Proszę, przynieś kawy. I przekaz panu Streffordowi, że chciałabym z nim wkrótce pomówić.

Jeśli Nick rzeczywiście miał zamiar wyjechać na kilka dni, musiała wymyślić jakieś wytłumaczenie jego nieobecności. Umysł jednak odmawiał posłuszeństwa i jedyne, co przyszło jej do głowy, to zwierzenie się Streffordowi. Wiedziała, że w prawdziwych tarapatkach zawsze można na niego liczyć; kiedy przyjaciele tego potrzebowali, jego psotliwa złośliwość przeradzała się w przebiegłą pomysłowość.

Służąca patrzyła na nią z niejakim zdziwieniem, więc Susy ciut ostro powtórzyła żądanie.

– Ale nie budź go specjalnie – dodała, uświadomiwszy sobie, jak najprawdopodobniej wpłynęłoby to na humor przyjaciela.

– Ale... Signora, pan Strefford już wyszedł.

– Już wyszedł? – Przecież Strefforda trudno było zwlec z łóżka przed obiadem! – A więc już tak późno? – zawołała Susy, niedowierzając.

– Jest po dziewiątej. A jaśnie pan poszedł na pociąg do Anglii o ósmej. Gervaso powiedział, że przyszła do niego depesza. Kazał przekazać, że do signory napisze.

Za służącą zamknęły się drzwi, a Susy wciąż wpatrywała się w swoje umalowane oblicze w zwierciadle, jak gdyby próbowała wypłoszyć spojrzeniem natrętnego nieznajomego. A więc nie było już nikogo, kogo mogłaby się poradzić... Został tylko biedny Fred Gillow! Skrzywiła się na samą myśl.

Ale co, u licha, mogło przywołać Strefforda do Anglii?

Rozdział 12

Ta sama smuga światła spoczęła na kolanach Nicka Lansinga i obudziła go, gdy drzemał w ekspresie do Mediolanu. Ziewnął, rozejrzał się z obrzydzeniem po statecznie śpiących towarzyszach podróży i zaczął się głowić, dlaczego właściwie postanowił udać się do Mediolanu i co, u licha, miał tam robić po przyjeździe. Taki właśnie jest problem z dramatycznymi decyzjami: zazwyczaj następnego poranka człowiek nie wie, co ze sobą począć.

Kiedy pociąg wtoczył się na stację, Nick wygramolił się z wagonu, poszedł na kawę, a wypiwszy ją, postanowił ruszyć dalej, do Genui. Pasywny stan bycia wiezionym w dal odraczał moment podjęcia jakiegś decyzji i przytębiał myśli – a po dwunastu godzinach wściekłego wysiłku umysłowego właśnie tego mężczyzna najbardziej pragnął.

Znów zapadł w drzemkę, budząc się raz po raz na marne momenty dalszego rozmyślenia, zanim znów nie usypiał go turkot i szcęk pociągu. W trakcie tych chwil nieśnienia w głowie nieprzerwanie pobrzmiwał mu ten sam stukot i zgrzyt kół. Przejrzystość myślenia trwała tylko godzinę po wyjściu z Palazzo Vanderlyn poprzedniej nocy; potem jego mózg po prostu nieustannie i niezmordowanie kręcił się wokół tej samej kwestii. Filizanka kawy, zamiast uspokoić zbłąkane i rozbiegane myśli, jedynie je przyspieszyła.

W Genui snuł się rozgrzanymi ulicami. Kupił tanią walizkę i trochę bielizny, a następnie poszedł w stronę portu w poszukiwaniu pewnego małego hoteliku, który – o ile dobrze pamiętał – tam właśnie się znajdował. Godzinę później siedział już w hotelowej kawiarni, palił i tępo przeglądał prasę w oczekiwaniu na kolację. Nagle zdał sobie sprawę, że z sąsiedniego stolika ktoś przygląda mu się łagodnie, acz bacznie, a tym kimś jest pewien nieduży jegomość o okrągłej twarzy i w okularach.

– Serwus, Buttles! – zawołał Lansing, ze zdziwieniem rozpoznawszy w nim krnąbrnego sekretarza, który oparł się próbom nawrócenia na wielbiciela Tiepola przez pannę Hicks.

Pan Buttles zalał się rumieńcem aż po cebulki rzadkich włosów, po czym podniósł się i ceremonialnie skłonił.

W pierwszej chwili Nick Lansing zirytował się, że ktoś przeszkadza mu w samotnym rozpamiętywaniu ostatnich wydarzeń; następnie jednak poczuł ulgę, że może je odłożyć, choćby nawet i pod pretekstem konieczności rozmowy z panem Buttlesem.

– Nie miałem pojęcia, że tu bawicie: czy jacht stoi w porcie? – zapytał, uświadomiwszy sobie, że przecież w okolicy zapewne rozpościera skrzydła „Ibis”.

Pan Buttles, oddając mu hołd ze swojego miejsca, westchnął, kręcąc przecząco głową; chwilowo zdawało się, że zawstydzenie odebrało mu mowę.

– A więc wysłano pana jako straż przednią? Teraz pamiętam... Przecież przedwczoraj widziałem jeszcze pannę Hicks w Wenecji – ciągnął dalej Lansing, zadziwiony, że minęło ledwo czterdzieści osiem godzin, odkąd spotkał Coral u kapucynów bosych.

Zamiast odpowiedzieć, pan Buttles niepewnie podszedł do jego stolika.

– Czy mógłbym, proszę pana, przysiąść się na chwilkę? Dziękuję. Nie, nie przyjechałem tu jako straż przednia... Choć zdaje się, że „Ibis” rzeczywiście ma przybić jakoś jutro. – Odchrząknął, wytarł okulary jedwabną chustką, osadził je z powrotem na nosie, po czym uroczyście oświadczył: – Zdaje mi się, że aby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień, powinienem wyjaśnić, że nie jestem już w angażu u pana Hicksa.

Lansing spojrział na niego ze współczuciem. Nie ulegało wątpliwości, że choć pyzate oblicze pana Buttlesa nie było w stanie ukazać żadnych dramatycznych emocji, udzielając tej informacji, były sekretarz niezmiernie cierpiał.

– Naprawdę? – Nick się uśmiechnął, po czym odważył się dodać: – Mam nadzieję, że to nie ze względu na pańskie zastrzeżenia wobec Tiepola?

Rumieniec na twarzy rozmówcy pogłębił się, odpowiadając rozżarzonej czerwieni wewnętrznych katuszy.

– Ach... A więc panna Hicks wspomniała panu... o tym? Nie, bynajmniej, szanowny panie. Owszem, nie ukrywam, że jestem przeciwny tej jałowej i zniewieściałej sztuce Tiepola i jemu współczesnych, jednak jeśli panna Hicks postanowiła oddać się ostatnio temu niezdrowemu czarowi włoskiej dekadencji, sprzeciw i krytyka z mojej strony nie byłyby na miejscu. Jej zdolności intelektualne, jej gusta estetyczne tak przewyższają moje skromne pojmowanie, że czymś śmiesznym, nieprzyzwoitym wręcz byłoby, gdybym... – Tu urwał i raz jeszcze wytarł zawilgocone okulary.

Nie ulegało wątpliwości, że cierpi na przypadłość, którą i chciał, i lękał się wyjawić. Nick jednak nie ponowił starań, aby zapełnić lukę własnych zmartwień, a pan Buttles po pełnej wyczekiwania chwili ciągnął:

– Spotkał mnie pan tu dziś wyłącznie dlatego, że po dość nagłym wyjeździe poczułem, iż nie mogę opuścić naszych wspólnych przyjaciół bez ostatniego rzutu oka na „Ibisa”, na którym w końcu spędziłem tyle jakże pobudzających umysł godzin. Chciałbym jednak pana poprosić – dodał żarliwie – ażeby, jeśliby miał pan przyjemność widzieć się z panną Hicks... albo z kimkolwiek z tego grona... aby pan nie wspominał o moim pobycie w Genui. Chciałbym – stwierdził z pełną prostotą – za wszelką cenę przebywać tu incognito.

Lansing spojrział na niego życzliwie.

– Ale czy to nie jest... trochę mało przyjazne?

– Obawiam się, że niestety nie mam innego wyjścia – odrzekł były sekretarz. – I oddaję się całkowicie w pańskie dyskretne ręce. Prawdę mówiąc, przybyłem tu, aby rzucić okiem nie tylko na „Ibisa”, ale i na pannę Hicks... ten jeden, ostatni raz. Pan chyba mnie zrozumie i doceni moje cierpienie.

Pan Buttles skłonił się raz jeszcze i odszedł na swych małych, ściśle obutych stopach. Na progu przystanął i rzekł:

– To od początku skazane było na porażkę. – A następnie zniknął za szklanymi drzwiami.

Nicka przeszła fala współczucia: widok zazwyczaj rześkiego i solidnego pana Buttlesa zredukowanego teraz do marnego uosobienia nieodwzajemnionej miłości był osobliwie przejmujący. W dodatku dla Hicksów ta nagła utrata sekretarza, i to akurat tego, który „władął językami”, musiała być bardzo bolesną niespodzianką! Rachunkami i regulowaniem należności w hotelach zajmował się pan Buck; ale to do pana Buttlesa należało o ileż wznioślejsze zadanie zabawiania w ich ojczystych językach nieznanymi geniuszów, od których roiło się u Hicksów. Nick potrafił sobie wyobrazić, że ta strata musiała być dla nich kłopotliwa, zwłaszcza tuż przed rejssem do Grecji – z pewnością przewanym przez panią Hicks „Odyseją”.

Jednak zaraz potem wizja pechowego absztyfikanta rozwiązała się i Nick znów kręcił wrzecionem własnych trosk. Poprzedniej nocy, kiedy wysłał do Susy wiadomość z niedużej restauracyjki w pobliżu Palazzo Vanderlyn, do której często razem chodzili, żywił gorące postanowienie wyjazdu tylko na jeden, góra dwa dni, aby zebrać myśli i rozważyć całą sytuację. Podał list przez synka dozorca, a zarazem ulubieńca Susy, następnie postanowił jednak poczekać na powrót chłopca. Co prawda nie przykazał posłańcowi prosić o natychmiastową odpowiedź, jednak – znając przyjazność i ciekawość włoskiego umysłu – Nick był prawie pewien, że dostarczywszy przesyłkę, chłopak trochę się pokręci w nadziei, że choć rzuci okiem na signorę Lansing. Już przed oczyma roztaczała mu się ta scena: służąca puka do drzwi zaciemnionego pokoju jego żony, a Susy przed włączeniem światła naprędce przypudrowuje łzawe lico...

biedna, głupiutka dziecina!

Chłopiec wrócił szybciej, niż Nick się spodziewał, a do tego nie miał żadnej odpowiedzi, doniósł jedynie, że signora wyszła, że wszyscy wyszli i nikogo nie było w domu.

– Wszyscy?

– Signora i czterech panów, którzy gościli wieczorem w pałacu. Wszyscy wyszli piechotą niedługo po kolacji. Nie było komu zostawić kartki, tylko gondolierowi na półpiętrze, bo signora powiedziała, że wróci bardzo późno, i wysłała służącą do łóżka, a ta rzecz jasna od razu wyszła ze swym *innamorato*¹.

– Ach tak... – rzekł Nick. Wsunął do rączki chłopca napiwek i wyszedł z restauracji.

A więc Susy wyszła... Wyszła z ich zwykłą zgrają, jak to zawsze miała w zwyczaju podczas tych upalnych letnich tygodni... Wyszła po rozmowie z Nickiem, jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby jego – i jej – cały świat właśnie nie runął. Ach, biedna Susy! W końcu poddała się jedynie instynktowi przetrwania, swemu dawnemu zwyczajowi udawania, ucieczki i ukrywania zmartwień. O ile, rzecz jasna, ten zwyczaj nie przerodził się już w obojętność... A może Susy – tak jak było w przypadku większości jej przyjaciół – z łatwością przechodziła z dramatu w tany, z rozpacz do rozrywki? „Ile jeszcze zostało jej duszy?” – dumał.

Jego pociąg odjeżdżał dopiero o północy, tak więc po wyjściu z restauracji Nick włączył się po gorących weneckich zakątkach, aż zmęczone nogi doprowadziły go do porośniętej winoroślami pergoli gondolierskiej winiarni na pomoście nieopodal *piazzetta*². Tam mógł poić się zimnymi napojami do czasu, kiedy powinien ruszyć w stronę stacji.

Było po jedenastej i już zaczął rozglądać się za jakąś gondolą, kiedy niedaleko dobił czarny dziób łodzi, z której wyskoczyła grupa wieczorowo odzianych młodych ludzi, śmiejąc się i żartując. Z cienia winorośli Nick spostrzegł, że wśród nich była tylko jedna kobieta, i nawet nie potrzebował lampy, aby odgadnąć kto to. Susy – bez kapelusza, tryskająca radością, z lekkim, zsuwającym się z ramion szalem i papierosem w palcach – ujęła Strefforda pod ramię i skierowała się do Floriana, a w ślad za nimi podążyli Gillow, księżę i ten młody Breckenridge...

Nick setki razy przeżywał tę krótką scenę podczas wielu godzin w pociągu i bezcelowego włączenia się genueńskimi uliczkami. Świątek, do którego należał z Susy, mknął niczym kółko dla chomików i można było tylko albo przebierać w nim nogami, albo zeskoczyć. Nie ulegało wątpliwości, że Susy postanowiła dalej biec. W świetle ulicznej lampy miał okazję dobrze przyjrzeć się jej twarzy, zobaczył więc starannie nałożoną w celu ukrycia wszelkich pozostałości po ich scysji maskę cieni i pudrów. Odniósł wrażenie, że Susy nawet kapnęła sobie do oczu kropelkę atropiny...

Jeśli miał zdążyć na pociąg odjeżdżający o północy, nie miał ani chwili do stracenia. Wokół nie było żadnej innej gondoli... Stała tylko ta, z której przed chwilą wysiadła jego żona. Wskoczył więc do łódki i polecił gondolierowi zawieźć się na dworzec. Gdy oparł się na poduszkach, poczuł zapach jej perfum, a w blasku elektrycznych dworcowych świateł dojrzał u swych stóp różę, która odpadła od jej sukni. Wychodząc, zmiądzzył kwiat obcasem.

A więc po wszystkim. Tak właśnie widział ją po raz ostatni. Teraz już wiedział bowiem, że nie wróci – przynajmniej nie do ich wspólnego życia. Zapewne będzie musiał zobaczyć ją jeszcze raz, aby wszystko obgadać, ustalić, co dalej z przyszłością. Nie kłamał, twierdząc, że nie życzy jej źle – po prostu nie mógł już wrócić w to moralne bagno. Wiedział, że gdyby tam wrócił, bez wątpienia by zatonął, przytłoczony warstwami kolejnych ustępstw...

Odgłosy gorącej letniej nocy w genueńskim porcie uniemożliwiłyby sen nawet najbardziej beztroskim; Nick jednak – choć nie spał – nawet nie zauważył gwaru, ogłuszony przez głośniejszy łomot rozbrzmiewający w jego głowie. Poranek nie przyniósł wytchnienia

i Nick z samego wyczerpania zapadł w ciężki sen. Obudził się wczesnym popołudniem i z okna dostrzegł dobrze znany ciemny kształt pośród migocącego portu: zarys „Ibisa”. Nie bał się myśli o spotkaniu jego właścicieli, którzy zapewne już dawno wyszli na brzeg i udali się w chłodniejsze i modniejsze regiony. O dziwo, właśnie to podkreśliło samotność Lansinga, zwielokrotniło poczucie, że nie ma nikogo, do kogo mógłby się zwrócić. Ubrał się i szedł niepocieszony zażyć kawy w jakimś cienistym zaułku.

Filizanka tego płynu natychmiast rozjaśniła jego myśli. Zrozumiał, że zachował się jak szaleniec czy nadąsany bachor – wołał twierdzić, że jak szaleniec. Skoro mieli się rozstać, to nie było powodu, aby nie odbyło się to w przyzwoity i dyskretny sposób, czyli tak, jak ludzie ich pokroju zazwyczaj przeprowadzali podobne transakcje. Groteskowym wydało się wprowadzenie do ich świata opanowanych sybarytów elementów melodramatu. Teraz nawet poczuł, że uśmiecha się pod nosem na myśl o niekonsekwencji własnego działania... Nagle jednak oczy zasły mu łzami. Przyszłość bez Susy wydała mu się nie do wytrzymania, wręcz niepojęta. Właściwie dlaczego mieliby się rozstać? Gdy zadał sobie to pytanie, przed oczami stanęły mu łagodne rysy żony, ta lekko uniesiona górna warga, która sprawiała, że jej uśmiech był tak wyjątkowy. Cóż... Wróci. I to nie z zamiarem przegadania sprawy, dojścia do porozumienia i rozwiązania ich wspólnego życia, jakby było jedynie partnerstwem w jakiejś firmie. Nie... Jeśli wróci, to wróci bezwarunkowo, na dobre, na zawsze...

No właśnie, tylko co z ich przyszłością? Co będzie, kiedy w nieodległym czasie skończą się pieniądze z prezentów ślubnych, kiedy sprzedadzą babcine perły i nie zostanie im nic poza nieukrytą i bezwarunkową zależnością od bogatych przyjaciół? Poza rolą znanych pochlebców i intruzów? Czy nie istniało żadne inne wyjście? Jakaś nowa możliwość ułożenia sobie życia? Nie... Nie było alternatywy. Nie mógł wyobrazić sobie Susy w innym otoczeniu niż wypoczywającą wśród luksusów, nie widział też ani jej, ani siebie wiodących życie takie jak na przykład Natowie Fulmerowie! Wspomniał ich zabałaganiony bungalow w New Hampshire, ich niechlujną służbę, niejadalne jedzenie i wszechobecne potomstwo. Jak mógł wymagać od Susy, by dzieliła z nim tak marny żywot? Nawet gdyby jej to zaproponował, pewnie miałaby na tyle rozsądku, by odmówić. Ich związek opierał się na chwili letniego szaleństwa, a teraz trzeba ponieść tego koszty...

Postanowił napisać do niej. Skoro mają się rozstać, nie ufał samemu sobie na tyle, by zaryzykować spotkanie z żoną. Wezwał kelnera, poprosił o pióro i papier, po czym odsunął stertę nieprzeczytanych gazet w drugi róg stołu, przy którym pił kawę. Wtedy przypadkiem jego wzrok padł na wydanie „Daily Mail” sprzed dwóch dni. Chcąc mieć pretekst, by odsunąć pisanie listu na później, wziął gazetę i rzucił okiem na pierwszą stronę.

Przeczytał: „Tragiczny wypadek jachtu w cieśninie Solent. O północy earl Altringham wraz z synem, wicehrabią d’Amlay, utonęli podczas kolizji łodzi. Oba ciała odnaleziono”.

Czytał dalej. Pojął, że nieszczęście wydarzyło się w nocy, zanim opuścił Wenecję, i że dzięki mgłę w zatoce Solent ich stary przyjaciel Strefford był teraz earlem Altringham, właścicielem jednej z największych prywatnych fortun w Anglii. Aż kręciło się w głowie na myśl, że bohaterem tej przygody stał się ich stary, biedny jak mysz kościelna przyjaciel Streffy. I co za ironia losu, że fortuna aż dwa razy jednej nocy zatoczyła swym kołem, które naraz rzuciło jego, Nicka Lansinga, w najgłębsze otchłanie rozpacz, a Strefforda wyniosło aż do gwiazd!

Znów stanęła mu przed oczami, tym razem jeszcze wyraźniej, scena wyjścia Susy z gondoli, znów usłyszał jej śpiew i żarciki Strefforda; przypomniał sobie, jak Susy uczepiła się ramienia przyjaciela, spychając pozostałych w tył orszaku. Strefford... Susy i Strefford! Nick niejednokrotnie zauważał, że w rozmowie z nią głos przyjaciela przybierał łagodniejszy, czulszy ton, dostrzegł dziwnie ponure błyski w jego leniwych ślepiach, gdy spojrzenie kierował na Susy.

Pod ochronną tarczą małżeńskiego szczęścia Nick niewiele sobie z tego robił. Prawdziwie zazdrosny był tylko o Freda Gillowa, jako że ten miał nieskończone zasoby, aby spełniać wszelkie kobiece zachcianki. Wiedział jednak, że taka materialna przewaga nigdy już Susy nie wystarczy. Ze Streffordem sprawa miała się inaczej. Skoro Susy uwielbiała jego towarzystwo nawet wtedy, kiedy był partią notorycznie złą, czy teraz będzie potrafiła mu się oprzeć?

Przypomniał sobie zapomniane zasady ich przedślubnej umowy, tego absurdalnego porozumienia, którego oboje w pełnej powadze przysięgli dotrzymać. Ale czy to rzeczywiście było takie absurdalne? To był pomysł Susy (dzięki Bogu, nie jego!); może układała go bardziej na serio, niż mu się wydawało. Może gdyby nie ich nagłe rozstanie, teraz – po nagłym obsypaniu tytułami Strefforda – prosiłaby Nicka, aby zwrócił jej wolność?

Pieniądze, luksusy, modne stroje, przyjemności: takie były cztery kamienie węgielne, na których wznosiła się jej egzystencja. Nick wiedział o tym od zawsze, a i ona nigdy się z tym nie kryła, nawet podczas tej ich ostatniej nieszczęsnej rozmowy. Kiedyś rozkoszował się tą szczerością. Czy mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić, że żeby zaspokoić swe potrzeby, Susy musiała z biegiem czasu zniżyć się bardziej niż dotychczas? Być może oddanie jej Streffordowi mogło ją od tego ocalić... Tak czy inaczej, teraz przeszłość była dla niego tak gorzka, że gotów był oddać cześć jakimkolwiek bogom za podsuniecie mu pod nos tej klepsydry...

Napisał tak:

„Kochana Susy!

Wygląda na to, że mojry wzięły się za nasz los i oszczędziły nam dalszych kłopotów związanych z rozwijaniem naszych nici. Choć samolubnie zapomniałem o warunkach, na podstawie których za mnie wyszłaś, teraz, po dwóch dniach samotności, udało mi się przypomnieć sobie o nich. Dostałem od Ciebie to, co najlepsze może być ofiarowane mężczyźnie, i nic już nigdy nie będzie dla mnie wiele warte. Nie mam możliwości zapewnienia Ci tego, czego pragniesz, rozumiem więc, że nie mam prawa stać na Twojej drodze. Nie możemy zawdzięczać weneckich pałaców żadnym podejrzanym przysługom. Z gazet wiem, że Streff może teraz dać Ci tyle pałaców czy zamków, ile zapragniesz. Daj mi tę szansę – podejrzewam, że z radością z niej skorzysta, a nie znam lepszego od niego człowieka. Szkoda, że nie dane mi być na jego miejscu.

Napiszę jeszcze jutro lub pojutrze, kiedy uda mi się zebrać myśli, i wtedy podam Ci adres. NICK”.

Dorzucił jeszcze kilka słów na temat ich skromnych finansów, włożył list do koperty i zaadresował do pani Nicholasowej Lansing. Pisząc to, zauważył, że po raz pierwszy pisze nowe nazwisko żony.

„Cóż... Bóg mi świadkiem: żadna inna nie będzie już go nosić!” – poprzysiągł sobie, grzebiąc w portfelu w poszukiwaniu znaczka.

Wstał i przeciągnął się ze zmęczenia – jakież ten upał był paralizujący! – po czym wsunął list do kieszeni.

„Najbezpieczniej będzie wysłać go samemu” – pomyślał. „I co ja teraz, na miłość boską, mam dalej robić?” Włożył kapelusz i wyszedł na słońce.

Akurat kiedy po wyjściu z głównego budynku poczty skręcał w stronę rynku, z przejeżdżającej nieopodal dorożki zamachała na niego biała parasolka. Po chwili wychyliła się Coral Hicks i podała mu dłoń.

– Wiedziałam, że pana znajdę! – zawołała tryumfująco. – Godzinami jeżdżę w tym upale, robię zakupy, a równocześnie wyglądam pana.

Spojrzał na nią bez wyrazu, zbyt zdziwiony nawet by zastanawiać się, skąd wiedziała, że przebywał w Genui. Dziewczyna natomiast mówiła dalej tonem nieśmiałego rozkazu, który

zawsze sprawiał, że w jej obecności Nick czuł się jak członek orkiestry podporządkowany wybitnej batucie.

– A teraz proszę, niech pan wsiądzie do dorożki, nie chcę dłużej piec się na tym słońcu! – Po czym krzyknęła do woźnicy: – *Al porto!*³

Nick Lansing rozsiadł się koło niej. Zauważył wówczas leżący u jej stóp stos pakunków i odniósł wrażenie, że on sam jest tylko kolejnym zakupem. Zapewne właśnie wiozła dzisiejsze łupy na „Ibisa”, a lada moment i jego wniosą na pokład, gdzie trafi na wystawkę. Cóż, to przynajmniej wypełni mu dzień, a do nocy może uda mu się podjąć jakąś decyzję dotyczącą przyszłości.

Trzeciego dnia po wyjeździe Nicka do Palazzo Vanderlyn dotarły trzy listy dla pani Lansing.

Najpierw przyszła wiadomość od Strefforda, nabazgrana w pociągu i wysłana w Turynie. Pokrótce wyjaśnił, że musiał jechać do domu z powodu tego okropnego wypadku, o którym Susy z pewnością zdążyła już przeczytać w gazetach. Dodał, że napisze więcej z Anglii. Poniżej – w ramach lekko rozmytego postscriptum – dopisał: „Niezmiernie chciałem się jeszcze zobaczyć i pożegnać, ale pora podła. Pozdrowienia dla Nicka. Napisz, proszę, choć słowo do Altringham”.

Po południu przyszły jeszcze dwa listy. Razem. Oba z Genui. Susy rzuciła okiem na koperty i zauważyła na jednej pismo męża. Ręce drżały jej tak, że przez chwilę nie mogła nawet otworzyć listu. Gdy wreszcie się udało, natychmiast przeleciała wzrokiem jego treść, po czym siedziała ponuro z kartkami rozłożonymi na kolanach. To wszystko mogło mieć tak dużo różnych znaczeń... Tyle przerażających uczuć mogła z tego wyczytać, tyle odmian obojętności czy rozpacz, ironii, a może czułości! Czy pisząc to, Nick przeżywał piekło, a może tylko chciał jej piekło urządzić? Czy te słowa rzeczywiście wyrażały jego prawdziwe uczucia, nic mniej, nic więcej? Czy on naprawdę chciał dać jej do zrozumienia, że uważa za swój święty obowiązek wywiązać się z tej ich niedorzecznej, przeklętej umowy? Opuścił ją w gniewie i oburzeniu, jednak po pilnej inspekcji nie znalazła w liście ani słowa wyrzutu. Może właśnie dlatego jego ostatnia wiadomość wydała jej się tak chłodna... Wzdrygnęła się i sięgnęła po drugą kopertę.

Wielkie, bombastyczne wręcz litery wydawały się Susy poniekąd znajome, ale nie była w stanie domyślić się, czyje to pismo. W kopercie była pocztówka przedstawiająca „Ibisa” pod pełnymi żaglami, sunącego po falującym morzu. Na odwrocie kartki widniał napis:

„Jest nam niezmiernie miło, że pozwoliła nam Pani wypożyczyć pana Lansinga na krótki rejs. Zapewniam, że dołożymy wszelkich starań, aby zająć się nim jak najlepiej. CORAL”.

¹ *innamorato* (wł.) – ukochany

² *piazzetta* (wł.) – placyk

³ *Al porto!* (wł.) – Do portu!

CZEŚĆ II

Rozdział 13

„A może byście miesiąc miodowy spędzili u mnie w Wersalu? Ja akurat wyjeżdżam do Chin, więc całe lato będziecie tam sami!” – zaproponowała Violet Melrose Susy Branch poprzedniej zimy w Nowym Jorku. Wówczas propozycja była na tyle kusząca, że zakochani trochę się nad nią zastanawiali.

Domek Violet był taki uroczy, nienachalny, urządzony z demoralizującą prostotą charakterystyczną dla posiadaczy wielkiego majątku. Susy stwierdziła, że to idealne miejsce na pierwsze wspólne kroki. Nick jednak zaprotestował i przypomniał, że wtedy w Paryżu będzie się roić od znajomych, którzy uznają za stosowne nachodzić ich o każdej porze dnia i nocy, a Susy z doświadczenia wiedziała, że nic tak nie cieszy bogaczy jak składkowe kolacje z biedakami. Dlatego też zdecydowali się w końcu na willę Strefforda, choć Susy dopisała sobie wewnętrzną klauzulę, że domek Violet może im się jeszcze przydać w innym, mniej towarzyskim sezonie.

Właśnie o tym wszystkim myślała teraz, czyli pewnego deszczowego, późnosierpniowego popołudnia, gdy zajeżdżała pod drzwi rezydencji pani Melrose. Na dachu złapanej pod dworcem taksówki piętrzyły się kufry. Przyjechała prosto z Wenecji, zatrzymawszy się tylko na chwilę w Mediolanie, aby odebrać odpowiedź na depeszę wysłaną do idealnej wersalskiej gosposi pani Melrose. Ta niezastąpiona kobieta mieszkała tam cały rok, dzięki czemu Violet zawsze mogła powtarzać: „Ach, kiedy mam już wszystkiego dość, zawsze zaszywam się w mojej chatynce w Wersalu i żyję tam sobie całkiem sama tylko na jajecznicę!”.

Odpowiedź idealnej gosposi brzmiała: „Z pewnością pani Melrose byłaby zachwycona”. Niewiele myśląc, Susy wskoczyła w pociąg do Wersalu i teraz stała w mżawce na progu strzeżonej przez sfinksy rezydencji.

Nastąpiła akurat ta pora roku, w której dom pani Melrose był w miarę bezpiecznym schronieniem: pod koniec sierpnia w Paryżu nie trzeba się obawiać tłumu zwiedzających. Tym razem jednak Susy szukała samotności z jakże innych – choć równie istotnych – powodów niż wcześniej. Tak bardzo chciała teraz być wreszcie sama! Po pierwszych kilku dniach spędzonych w uporczywym towarzystwie Freda Gillowa i jego satelitów w szyderczych promieniach późnego lagunowego lata Susy piekliła się i rzucała niczym cierpiące, uwięzione w za małej klatce zwierzę. Uznała, że jedynym rozwiązaniem, które może jej dać wytchnienie, jest skrycie się z dala od ludzi – marzyła o samotności gdzieś w otoczeniu jak najbardziej odmiennym od zmysłowych splendorów Wenecji, gdzie niebo nie sklepia się tak lazurowo.

Gdyby miała wybór, najchętniej zaszyłaby się w jakimś obskurnym zajeździe w deszczowej miejscowości gdzieś na północy, gdzie jeszcze nigdy nie była, gdzie nie znał jej nikt. Jednak takie luksusy były dla niej nieosiągalne – dlatego właśnie stała teraz u drzwi pustego domu w opuszczonym mieście, pod mrocznym, zachmurzonym niebem. Udało jej się pozbyć Freda Gillowa, który obrażony wyjechał na wrzosowisko (musiała mu na wpół obiecać, że dołączy tam we wrześniu). Księżę, młody Breckenridge i inni członkowie ich weneckiej kliki rozproszyli się w kierunku Engandyny czy Biarritz. Teraz nareszcie mogła zebrać myśli, zrobić wewnętrzną bilans i przygotować maskę na kolejny czekający ją etap kariery. Chwała Bogu, że w Wersalu padało!

Otworzyły się drzwi. Usłyszała głosy dochodzące z salonu, a w progu ukazała się smukła, wątła postać.

– Kochana! – zawołała Violet Melrose, rzucając się Susy na szyję, po czym zaciągnęła ją

do pachnącego pomieszczenia, w którym panował półmrok.

– Myślałam, że jesteś w Chinach! – wyjąkała Susy.

– W Chinach... W Chinach... – Pani Melrose rozejrzała się sennie wokół. Susy uprzytomniła sobie, że przecież Violet dryfowała przez swe niezorganizowane życie – życie najmniej zaplanowane, najbardziej niewytłumaczalne wśród żyć efemerycznych stworzeń dających się nosić na wietrze przyjemności.

– Też tak myślałam, proszę pani, dopóki wczoraj wieczór nie dostałam od pani Melrose depeszy – wyjaśniła idealna gosposia, która właśnie wносиła torbę Susy.

Pani Melrose przyłożyła swe wychudłe dłonie do zapadłych skroni.

– Ach tak! Rzeczywiście... Zamierzałam wybrać się do Chin... Nie, nie! Do Indii...

W międzyczasie jednak odkryłam prawdziwego geniusza! I to Geniusza przez duże G, moja droga...

Nie była w stanie dokończyć myśli, więc legła w poduchach otomany, rozłożyła ramiona i zawołała:

– Fulmer! Fulmer, chodź no tu!

Susy stała pośrodku pokoju, coraz bardziej rozszerzając ze zdziwienia oczy, a z głębi mieszkania, z jeszcze bardziej wyściełanego poduszkami i pachnącego mroku, wyłonił się mężczyzna. Ze zdziwieniem poznała w nim Nata Fulmera, tego dobrodusznego Fulmera z wypełnionej potomstwem chatynki w New Hampshire, który stał teraz przed nią z lordowską swobodą, z rękami w kieszeniach, ze stopami pewnie utkwionymi w zdradliwych głębinach dywanu z futra pantery śnieżnej.

– Susy! – zawołał, otwierając ramiona.

Natomiast pani Melrose wyszeptwała:

– A więc nie wiedziałaś? Nie słyszałaś o jego arcydziełach?

Susy nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– A więc to Nat jest tym twoim geniuszem?

Pani Melrose popatrzyła na nią z wyrzutem, ale Fulmer też się zaśmiał.

– Wcale nie. Jestem geniuszem Grace. Ale pani Melrose okazała się naszą

Opatrznością...

– Opatrznością? – przerwała gospodyni. – Mówisz, jakbyśmy byli na jakimś kółku modlitewnym! Miał wystawę w Nowym Jorku, która cieszyła się wspaniałym, wyśmienitym wręcz powodzeniem. Przyjechał do Europy, aby zrobić szkice do urządzania mojego pokoju muzycznego w Nowym Jorku. Ursula Gillow zamówiła u niego domek ogrodowy w Roslyn, a pani Bockheimer salę balową. Ach, Fulmer, gdzie masz te rysunki?

Wstała gwałtownie, poprzierzuciła leżącą na politurowanym na błysk stoliku stertę żurnali, po czym – wyczerpana tym przerażającym wysiłkiem – wróciła na otomanę.

– Dotarłam aż do Brindisi. Całą noc i dzień cały gnałam tu, by się z nim spotkać – oznajmiła. – Ale, ale... – Poglaskała Susy. – Moja droga, zapomniałam cię spytać, czy jadłaś już podwieczorek?

Godzinę później przy zastawionym pysznościami stole Susy poczuła, że dziwnym trafem została już wciągnięta w wir swego dawnego życia. Ellie Vanderlyn przywiozła jego powiew do Wenecji, ale wtedy Susy oddychała innym powietrzem – obecnością i osobowością Nicka. Teraz natomiast, porzucona, znów zdana tylko na siebie, znalazła się na łasce tych samych wpływów, przed którymi, jak myślała, dawno udało jej się uciec.

Po wymknięciu się z tego dziwnego weneckiego kalejdoskopu towarzyskiego całkowicie naturalnym wydawało się, że w wyniku zaledwie jednego obrócenia tej zabawki Nat Fulmer mógł stać się tak znakomitą osobistością, że nawet Violet Melrose specjalnie przybyła

z drugiego końca świata, aby pławić się w jego blasku. Susy dobrze wiedziała, że pani Melrose należy do klasy pasożytów moralnych – bowiem w tym ich dziwnym światku role niekiedy się odwracały i to bogacze żerowali na żebrakach. Gdziekolwiek ktoś zdobył reputację, której można się było uwiesić, tam zjawiała się biedna Violet – niegroźna, obwieszona perłami wampirzyca, pragnąca wyłącznie żywić się sławą, której nie mogła kupić za wszystkie swoje miliony. Mniej wprawni w tajemnicach tego światka z pewnością uznaliby Violet za złowrogą uwodzicielkę, a Nata Fulmera za bezbronną ofiarę. Susy jednak dobrze wiedziała, że to nieprawda. Violet, biedna Violet nawet i tym nie była. Nic nieznaczącej Ellie Vanderlyn – z jej krótkimi, trywialnymi przygodami i szczerą mieszanką miłosnych i towarzyskich zainteresowań – przynajmniej przyświecał jakiś cel. Violet natomiast była zaledwie dryfującym znakiem zapytania.

Kim w takim razie jest Fulmer? Spoglądając na niego nowymi oczami, Susy zobaczyła krzepką, niską postać, nijaką, brodatą twarz i rozmarzone, rozbiegane oczy, które czasem zniecała rzuciły przenikliwe spojrzenie, wrzynając się niczym ostry pazur. Wydało się jej, że znalazła klucz do tych lat mozolnego tyrania, obojętności na zaniedbanie, biedę, na potrzeby wciąż rosnącej rodziny... Tak, po raz pierwszy dostrzegła, że Nat ma na tyle pospolity wygląd, że nadaje się na geniusza – być może nawet rzeczywiście nim jest, mimo że stwierdziła to Violet Melrose! Susy przyglądała mu się teraz uważnie. W pewnej chwili ich spojrzenia spotkały się, a on uśmiechnął się do niej z za brody.

– Tak! To ja go odkryłam, właśnie ja! – upierała się pani Melrose z otchłani czarnego aksamitu otomany, w której poduszkach leżała zatopiona niczym bladolica nereida pośród nocnego morza. – Nie wierz tym plotkom rozpowszechnianym przez Ursulę Gillow, że niby to ona ujrzała i doceniła *Wiosenną śnieżycę*, która wisiała w ciemnym zakątku wystawy amerykańskich artystów, i to niebotycznie wysoko... Przecież tak wysoko to wisiała niecały rok temu! A Ursula nigdy nie zerka wyżej niż pierwszy rząd obrazów na wystawach. A teraz ma jeszcze czelność udawać... Och, na miłość boską, Fulmer! Nie mów, że to nie ma znaczenia! Sam fakt, że ty to mówisz, tylko ją zachęca... I jeszcze ludzie pomyślą, że tak było naprawdę. A przecież każdy, kto widział mnie wtedy na wernisażu... Jak to kto? No na przykład Eddy Breckenridge. Jak to był wtedy w Egipcie? Może i był... Nie da się przecież zapamiętać, kto się kiedy kręcił w pobliżu, a na pewno nie wtedy, gdy nagle napotyka się wielkie dzieło sztuki. Wtedy jest tak, jak było ze świętym Pawłem, prawda? Łuski opadają z oczu. Tak... Właśnie to mi się wtedy przytrafiło... Wszyscy wiedzą przecież, że Ursula bawiła wtedy w Roslyn i w ogóle nie przyjechała na otwarcie wystawy. A Fulmer tylko się śmieje i mówi, że to nie ma znaczenia, że może mi zawsze namalować nowy obraz do odkrycia!

Susy dzwoniła do drzwi drżącą niecierpliwie ręką – nie mogła się doczekać, aby wreszcie znaleźć się sama, w ciszy; pragnęła zmierzyć się z zaistniałą sytuacją, zebrać myśli i siły przed ponownym wyjściem do swego dawnego towarzystwa. Przed wejściem kulila się wśród bagażu, odliczała czas, póki nie usłyszała z drugiej strony kroków, póki klamka nie drgnęła i nie wpuściła jej do kryjówki przed pytającym spojrzeniem świata zewnętrznego... A teraz już godzinę przesiedziała w salonie Violet, w domu, w którym mało brakowało, a spędziłaby miesiąc miodowy, a nikt jeszcze nie spytał, skąd przyjechała, dlaczego jest sama, co to za tragedia odmalowuje się na jej twarzy...

Takie właśnie obowiązywały w tym światku zasady. Nikt nikogo o nic nie wypytywał, nikt już się nawet nie dziwił – po prostu nikt nie miał czasu, aby o czymkolwiek pamiętać. Praktycznie ustało dawne niebezpieczeństwo wścibstwa, złośliwych plotek: każdy sam musiał dźwżyć swoje nieszczęście, swoją własną, prywatną katastrofę, bo nikt nie miał czasu zauważyć tego małego, skrywanego pakunku. Patrząc na tych dwoje, na których jej obecność nie miała

najmniejszego wpływu – Violet Melrose była zbyt pogrążona w gorączkowym poszukiwaniu rozgłosu, Fulmer natomiast dryfował po złocistym oceanie sukcesu – Susy odniosła wrażenie, że jest duchem, niewidzialną, niedającą się usłyszeć zjawą próbującą zwrócić na siebie uwagę cięższych zmysłów żywych.

„Skoro chciałam być sama – stwierdziła – to w gruncie rzeczy jestem tu wystarczająco osamotniona”.

Było coś trupio zimnego w pewności, którą właśnie poczuła.

– A gdzie Grace? – zwróciła się do Fulmera.

Odpowiedział bez cienia zażenowania, z uśmiechem:

– Ależ tu, naturalnie! Przyjechaliśmy do Paryża wszyscy, nawet z dziećmi. Mieszkamy w pensjonacie, gdzie możemy poćwiczyć francuski. Choć ostatnimi czasy prawie jej nie widuję, bo muzyka pochłania ją w takim samym stopniu co mnie farba. Ten pobyt to dla niej równie wyborna okazja co dla mnie i wykorzystuje ją najlepiej, jak może; rzępoli i słucha innych skrzypicieli. Cóż, nie da się ukryć, że po New Hampshire to duża odmiana... – Spojrzał na Susy rozmarzonym wzrokiem, jak gdyby usilnie próbował wyrwać się ze snu i umiejscowić ją w zapomnianej stopniowo przeszłości. – Pamiętasz naszą chatkę? A, właśnie... Nick. No właśnie, jak tam Nick? – Nat był bardzo dumny, że sobie o nim przypomniał.

– Właśnie, właśnie! Jak się miewa nasz ukochany Nick? – dołączyła się pani Melrose.

Susy – wyprostowana, z rozpalonymi policzkami – odrzekła mocnym głosem:

– Ach, wybornie, wyśmienicie!

– Ale jego tu nie ma? – spytał Fulmer.

– Nie. Podróżuje. Na morzu. Jachtem.

– W jakimś ciekawym towarzystwie? – Pani Melrose nieznacznie się zainteresowała.

– Nie znacie ich... To tacy znajomi... – Susy nawet nie musiała kończyć, gdyż spojrzenie gospodyni znów uciekło.

– A ty zapewne przyjechałaś tu po ciuchy? Nie wierz tym, co prawią, że spódnice będą teraz coraz szersze. Odkryłam nową mistrzynię... prawdziwy z niej geniusz... Ona tak pięknie potrafi człowieka owinąć... Nie powiem, jak się nazywa, bo to moja słodka tajemnica, ale zabiorę cię do niej.

Susy wstała z głębokiego fotela.

– Wybaczycie mi, jeśli udam się teraz do mojego pokoju? Jestem dość zmęczona... prosto z podróży...

– Oczywiście, najdroższa. Wydaje mi się, że chyba ktoś przyjdzie dzisiaj na kolację... Pani Match ci powie, ma wprost wyborną pamięć... Fulmer! Gdzie się podziały te rysunki pokoju muzycznego?

Ich głosy goniły jeszcze Susy, gdy szła po schodach, wspinając się w ślad za panią Match. Ta zaprowadziła ją do sypialni wyłożonej białą boazerią, z wesołymi, wielobarwnymi zasłonami i niskim łóżkiem, na którym piętrzyły się liczne poduszki.

„Gdybyśmy tu przyjechali – rozmyślała – może wszystko potoczyłoby się inaczej”. Na wspomnienie przepychów Palazzo Vanderlyn i bogato zdobionej sypialni, gdzie dokonało się jej nieszczęsne przeznaczenie, Susy przeszły dreszcze.

Pani Match wyraziła nadzieję, że Susy znajdzie wszystko, co potrzeba, i wspomniała, że kolację je się tu dopiero o dziewiątej, a następnie łagodnie zamknęła ją samą z jej lękami.

– Znajdę wszystko? – powtórzyła Susy. Ależ oczywiście! Ona zawsze wszystko znajdzie. Teraz za każdym razem, kiedy zamkną się za nią drzwi, kiedy ustanie gwar rozmów, jej wspomnienia będą na nią czekać, po kolei, cichutko, cierpliwie, uparcie, jak biedacy w poczekalni u lekarza, ci, którymi zawsze zajmują się na końcu, ale których nigdy nic nie

zniechęca ani nie odstrasza – ludzie, dla których czas, zmęczenie, głód czy inne zobowiązania nie mają znaczenia. Jak ci, co po prostu czekają... W sumie to chwala niebiosom, że dom ten nie okazał się jednak pusty, skoro za każdym razem, kiedy wróci do sypialni, i tak zostanie przywitana przez wszystkie wspomnienia!

Nick opuścił ją zaledwie tydzień temu. Przez cały ten wypełniony ludźmi, pytaniami, pakowaniem, tłumaczeniem i unikami tydzień wierzyła, że wytchnienie znajdzie właśnie w samotności. Teraz zrozumiała, że było to coś, na co okazała się najmniej przygotowana, do czego najmniej się nadawała. Bo czy dotychczas kiedykolwiek w całym swoim życiu była sama? Jak ma więc znieść to teraz, oblegana, napadana przez te wszystkie skrzydlate, padlinożerne wspomnienia?

Kolacja dopiero o dziewiątej? Co, na Boga, ma ze sobą do tego czasu zrobić? Rozpakowując pomięte, niestarannie wrzucone suknie, przypomniała sobie, jak Violet z naciskiem ostrzegła: „Nie wierz tym, co prawią, że spódnice będą teraz coraz szersze!”. Czy w takim razie jej spódnice były za szerokie? Spojrzała na swe mizerne szaty piętrzące się na łóżku i kanapie i zrozumiała, że według kryteriów Violet i całego tego towarzystwa stroje, które według Nicka były takie piękne i oryginalne, już stały się zwyczajne i niemodne; nadawały się wyłącznie do przekazania ubogim krewnym lub na podarek dla pokojówki. A Susy będzie musiała je nosić, aż rozpadną się na strzępy albo... Cóż: albo w jakiś sposób wróci do dawnego trybu życia...

Sama zaśmiała się z tego, na jakie tory zeszyły jej myśli. Suknie? Zaledwie kilka tygodni temu w ogóle się nie liczyły! A teraz być może znów staną się jednym z najważniejszych składników jej egzystencji! Jakże mogło być inaczej, skoro miała wrócić do zależności od Ellie Vanderlyn, Ursuli Gillow, Violet Melrose? Jediną alternatywą byli Bockheimerowie i im podobni...

Ktoś zapukał do drzwi... Co za ulga! Znów pani Match, z depeszą. Komu Susy dała nowy adres? Z mocno kołatającym sercem rozdarła kopertę i przeczytała:

„Będę w Paryżu na dwadzieścia cztery godziny gdzie możemy się spotkać pisz do Nouveau Luxe”.

Ach tak... Teraz już pamięta: przecież napisała do Strefforda! A więc to była odpowiedź: przyjeżdżał. Opadła na fotel i spróbowała się skupić. Co ona mu, do licha, napisała? Oczywiście głównie był to list kondolencyjny, ale teraz przypomniała sobie, że szybko dodała postscriptum: „Nie mogę przekazać Nickowi, wypłynął z Hicksami – nie wiem gdzie ani kiedy wróci. Wszystko, rzecz jasna, w porządku: w końcu taka była umowa”.

Naprawdę nie zamierzała dopisywać tego ostatniego, ale kiedy miała już zakleić list do Streffy'ego, jej wzrok padł na leżącą obok wiadomość od Nicka. Nic w tych kilku zdaniach od męża nie dotknęło jej bardziej niż właśnie aluzja do Strefforda. Zdawała się sugerować, że Nick już miał swoje plany, że jego przyszłość była pewna, tak więc mógł swobodnie i elegancko pomyśleć i o niej, popchnąć ją w odpowiednim kierunku. Na tę myśl ogarnęła ją niespodziewana furia: tam, gdzie wpieryw doczytała się zazdrości, teraz widziała zimne wyrachowanie – dlatego właśnie ze łzami w oczach dopisała to postscriptum. Przypomniała sobie teraz, że nawet nie prosiła przyjaciela, aby zachował je w tajemnicy. Cóż... W końcu co z tego, że już wiadome było, że Nick ją porzucił? Ich rozstanie i tak nie mogło długo pozostać tajemnicą, a jeśli byłoby znane, wręcz łatwiej udałoby się Susy utrzymać maskę obojętności.

„Taka była umowa... umowa...” – To słowo odbijało się echem w jej głowie, kiedy kolejny raz czytała depeszę od Strefforda. Domyśliła się, że znalazł czas na tę szybką wycieczkę wyłącznie, mając nadzieję się z nią zobaczyć, i oczy wypełniły jej się łzami. Z im większą goryczą myślała o Nicku, tym bardziej wzruszał ją dowód przyjaźni Anglika.

Zegar przypomniał, że nadszedł czas, aby ubrać się do kolacji. Przyjęła to z ulgą. Zaraz zejdzie, pogada z Violet i Fulmerem, z innymi gośćmi, którzy zapewne będą dziwaczni i zabawni i zbyt jej obcy, by zawstydzić ją niezręcznymi pytaniami. Będzie siedzieć przy subtelnie oświetlonym stole, wdychać delikatne zapachy, spożywać wyborne dania (pani Match można było pod tym względem zaufać!) i powoli, powoli znów zauroczą ją starzy znajomi. Wszystko, wszystko, byle nie być samej...

Ubrała się jeszcze staranniej niż zazwyczaj, uważnie umalowała usta czerwoną szminką, leciutko musnęła różem zapadłe policzki i zeszła... a na schodach spotkała panią Match, która niosła na górę tacę.

– Och, myślałam, że pani jest zbyt zmęczona... Właśnie pani niosę... To tylko odrobina kurczaka.

Susy zerknęła na dół i przez uchylone drzwi dostrzegła, że w salonie światło jest zgaszone.

– Ależ nie, wcale nie jestem zmęczona, dziękuję. Myślałam, że pani Melrose spodziewała się dziś znajomych na kolacji!

– Znajomych na kolacji? Dzisiaj? – Pani Match westchnęła z rozpaczą. Czasem jej westchnienia zdawały się sugerować, że za dużo się od niej wymaga. – Ależ przecież pani Melrose i pan Fulmer byli dziś umówieni na prośzoną kolację w Paryżu. Wyszli godzinę temu. Pani Melrose powiedziała, że pani wie – jęknęła gospoś.

Susy nie przestała się uśmiechać domalowanym uśmiechem.

– W takim razie to ja musiałam opacznie zrozumieć. Oczywiście... Tak, jeśli to nie kłopot, chętnie zjem w pokoju.

Powoli zawróciła i dała się idealnej gospośi zaprowadzić z powrotem w otchłań przerażającej samotności, z której dopiero co wyszła.

Rozdział 14

Następnego dnia na obiedzie pojawiło się wielu niezapowiedzianych gości. Nie były to jednak obce egzotyczne osobniki, w których specjalizowała się pani Melrose, tylko zwyczajne, modne towarzystwo z kręgu znajomych Susy. Byli zaznajomieni z jej zabawnym, romantycznym wybrykiem – wiedzieli, że wyszła za mąż bez grosza przy duszy, musiała więc tłumaczyć (choć nikt tak naprawdę nie słuchał wyjaśnienia), że Nicka z nią nie ma, gdyż popłynął w rejs... na Morze Egejskie z przyjaciółmi... zbiera materiały do książki (ten ostatni szczegół wymyśliła w nocy).

Właśnie takiego spotkania najbardziej się obawiała, teraz jednak okazało się znośniejsze niż godziny nieustannego obracania się z boku na bok, których doświadczyła poprzedniej nocy w samotnej klatce swojej sypialni. Wszystko, wszystko, byle tylko nie być samą...

Stopniowo siłą dawnego zwyczaju udało jej się wciągnąć w toczoną przy stole rozmowę, zmusić do zainteresowania się napomknieniami o nieobecnych wspólnych znajomych, aluzyjkami do zesłorocznych miłostek i sprzeczek, skandalów i absurdów. Panie w swych jasnych letnich sukniach były tak wdzięczne, gnuśne i pewne siebie, panowie natomiast tak prostoduszni i weseli! Susy zaczęła myśleć, że może jednak jest jej przeznaczone żyć właśnie w tym świecie – w końcu zamknęły się już przed nią złote wrota tego drugiego, tego krótkotrwałego, wymarzonego raju. Nagle jednak, kiedy po posiłku siedzieli na tarasie, jedna z pań powiedziała coś – zrobiła jedynie leciutką aluzyjkę – co w dawnych czasach Susy puściłaby mimo uszu, a co teraz nieoczekiwanie napełniło ją głębokim obrzydzeniem... Wstała i odeszła – daleko, jak najdalej od tej zgrai – aż na koniec niknącego w ciemnościach ogrodu.

Dwa dni później Susy i Strefford siedzieli na tarasie w Ogrodach Tuileries z widokiem na Sekwanę. Zaproponowała, aby spotkali się właśnie tam, gdyż chciała uniknąć zatłoczonych korytarzy i sal w hotelu Nouveau Luxe, gdzie nawet w martwym sezonie zawsze istniało duże ryzyko natknięcia się na znajomych. Siedzieli na ławce w bladym świetle promieni słonecznych, u ich stóp leżały stosy wyblakłych liści, wokół nie było nikogo za wyjątkiem kulawego robotnika i wymizerowanej kobiety, którzy ponuro jedli na drugim końcu majestatycznej promenady.

Strefford – odziany w żałobne ubranie – wyglądał nienaturalnie majątnie, znać było, że znajduje się pod opieką zręcznych kamerdynerów. Jednak jego szpetne, niechlujne rysy nie uległy zmianie, wciąż jak dawniej malował się na nich figlarny uśmiech. Z pompatycznym wujem i nieszczęsnym chorowitym kuzynem, których to wspólne zniknięcie z tego świata niespodziewanie zmieniło jego los, był w przyjacielskich, lecz niezbyt zażyłych stosunkach. Swoim zwyczajem postanowił raczej umniejszać odczuwane emocje, niż udawać głębszą żalobę. Mimo to Susy zauważyła, że pod zwykłymi żarcikami przyjaciela kryło się teraz coś nowego. Tragedia najwyraźniej nim wstrząsnęła. Już teraz, nawet po tym jakże krótkim kontakcie z krewnymi i powinowatymi, po niedługim pobycie we wspaniałych włościach, w których posiadanie wszedł w tych jakże tragicznych okolicznościach, obudziły się jego dawne, wyuczone w dzieciństwie odruchy, zaczęła przemawiać przez niego zapomniana przynależność rodowa. Susy słuchała go z niejakim smutkiem, z poczuciem, że bardzo ich to wszystko od siebie oddaliło.

– To było straszne... jak obaj leżeli razem, wyłożeni w tej szpetnej puginowskiej kaplicy w Altringham... Najbardziej żal mi chłopaka. Chyba to mnie najbardziej teraz gryzie – szepnął prawie że przeproszającym tonem.

– Och, na pewno nie tylko to... Na pewno wstrząsnęło to tobą bardziej, niż myślisz... – powiedziała, ale on odparł oschle:

– Nie, moja droga... Proszę, nie próbuj mnie umoralniać... – Po czym zaczął grzebać w poszukiwaniu papierosa w kieszeni, która już zaczynała pęcznieć, wypełniona wszelakimi bogactwami.

– A teraz porozmawiajmy o tobie... W końcu po to tu jestem... – Jednym nagłym ruchem obrócił się ku niej. – Zupełnie nie zrozumiałem twojego listu.

Susy przez chwilę milczała, próbując nadać głosowi pewniejsze brzmienie.

– Nie? Zapomniałeś o umowie, którą zawarliśmy z Nickiem? On nie zapomniał... i poprosił, abym ją wypełniła.

Strefford patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Co? Chodzi o ten cały nonsens, że w razie napotkania lepszej partii jedno drugiemu pozwoli odejść?

– Tak... – westchnęła Susy.

– I Nick naprawdę cię o to poprosił?

– Nie prosto z mostu, ale na to wychodzi. Odpłynął z Hicksami. Przed wyjazdem napisał, że lepiej by było, abyśmy oboje uznali, że jesteśmy wolni, a potem Coral wysłała mi pocztówkę, że będzie się nim jak najlepiej zajmować.

Strefford dumiał przez chwilę z oczami utkwionymi w papierosie.

– Ale jak, do licha, do tego doszło? Przecież to nie mogło się stać tak nagle, jak grom z jasnego nieba?

Susy poczerwieniała, zawahała się, odwróciła wzrok. Chciała powiedzieć Streffordowi wszystko; w końcu głównie dlatego chciała się z nim znów zobaczyć: być może półświadomie miała nadzieję, że dzięki jego swobodzie uda jej się odbudować trochę roztrzaskanego w drobny mak poczucia wartości. Teraz jednak poczuła, że nie jest w stanie nikomu wyznać, że żona Nicka Lansinga upadła tak nisko. Jej towarzysz chyba wyczuł przyczynę tego wahania.

– Jeśli nie chcesz, moja droga, to oczywiście nie musisz mi nic mówić.

– Nie, ja chcę... tylko to nie takie proste... Zrozum... Mieliśmy tak mało pieniędzy...

– Tak...

– I Nick... On myślał o książce i o innych wielkich, szlachetnych rzeczach... I nie zdawał sobie sprawy... A ja musiałam... załatwiać...

Zająknęła się na ostatnim słowie, pamiętając, że Nick nigdy nie lubił Charliego. Strefford jednak zdawał się niczego nie zauważyć, więc prędko mówiła dalej, w krótkich, niezręcznych słowach wyznawała ich problemy finansowe, tłumaczyła, że Nick nie był w stanie zrozumieć, że aby utrzymać poziom życia, muszą iść na pewne ustępstwa... wyświadczać przysługi...

– Pożyczać pieniądze?

– Cóż... tak... I nie tylko to... – Nie, teraz wiedziała już, że nie jest w stanie wyjawiać całej tajemnicy, wspomnieć o listach Ellie. – Nick nagle uznał, że taka sytuacja jest dla niego nieznośna, i zamiast poprosić mnie, żebym spróbowała... abym spróbowała żyć trochę inaczej, żebyśmy gdzieś pojechali i mieszkali jak ludzie pracujący, w dwóch pokojach, bez służby... Ja naprawdę byłabym gotowa to zrobić! No ale on zamiast mnie poprosić, napisał tylko, że od samego początku to była jedna wielka pomyłka, że nam się nie uda, że lepiej spojrzeć prawdzie w oczy... A potem wypłynął sobie z Hicksami na tym ich jachcie. Tego ostatniego wieczoru, kiedy byłeś w Wenecji... Wtedy, kiedy nie pojawił się na kolacji... właśnie wtedy pojechał do Genui, by do nich dołączyć. Podejrzewam, że zamierza ożenić się z Coral.

Strefford słuchał tego w milczeniu, po czym powiedział:

– Cóż... Ale na tym polegała umowa, prawda?

– Tak, ale...

– No właśnie: a nie mówiłem? Po prostu nie byłaś jeszcze gotowa, by go puścić, tylko

tyle.

Susy oblała się jeszcze głębszym rumieńcem.

– Och, Streff... Czy rzeczywiście to wszystko?

– Czy to wszystko kwestia czasu? Nie wierzysz? A ciekaw jestem, ile byś wytrzymała w dwóch pokojach i bez służby. Spróbuj przez chwilę, a potem daj znać, jak było. Moja droga, nawet w pałacu, nawet z jachtem na wyciągnięcie ręki i całą flotą automobili w garażu to tylko kwestia czasu! Tylko się rozejrzyj... Dlaczego założyłaś, że akurat tobie i Nickowi uda się uniknąć tego jakże powszechnego losu, że przeżyjecie państwa Titonosów, skoro wokół was w drobny mak nieustannie rozbijają się te wszystkie „wieczne miłości”, podczas gdy wasze rodzime stany rozwodowe wiecznie się na tym wszystkim bogacą?

Susy siedziała ze spuszczoną głową, poczuła ciężar wszystkich czekających ją trudnych lat, jak gdyby dźwigała na ramionach stertę ołowiu.

– Ale ja jestem jeszcze taka młoda... A życie takie długie... Co w takim razie jest trwałe?

– Ach, jesteś za młoda, aby mi uwierzyć, choć jesteś na tyle inteligentna, by to zrozumieć.

– A więc co?

– Cóż... Przetrwają to wszystko, bez czego wydaje nam się, że jesteśmy w stanie się obejść: zwyczaje... To zwyczaje są trwalsze od piramid. Wygody, luksusy, poczucie swobody... A przede wszystkim moc, aby przeciwstawić się nudzie, monotonii, ograniczeniom i szpetocie. Jeszcze jako dziecko instynktownie właśnie tę moc wybrałaś sobie jako cel istnienia, Nick zresztą też. Jedyna różnica między wami, to że on pierwszy pojął, że tylko to właśnie jest trwałe, że właśnie to są podstawowe ludzkie potrzeby.

– Nie wierzę!

– Oczywiście, że nie: w twoim wieku człowiek jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że jest materialistą. Do tego bardzo boli cię, że Nick pierwszy to odkrył, a ponadto nie próbował maskować się jakimiś frazesami, bo nie jest hipokrytą.

– Ale z pewnością są tacy...

– Owszem: święci, geniusze i bohaterowie! Słowem: fanatycy! Jak myślisz, do której z tych kategorii w naszej łagodności my należymy? A ci herosi i geniusze... Przecież i oni mają gigantyczne słabości i wielkie apetyty! Jak więc my sami mamy uchronić się przed naszymi, znacznie skromniejszymi?

Susy przez chwilę siedziała w milczeniu.

– Ależ Streff! Jak możesz wygadywać takie rzeczy? Przecież wiem, że ci na czymś zależy... Chociażby na mnie!

– Zależy? – Chwycił jej dłoń. – Ależ moja droga... Właśnie ta ulotność i śmiertelność sprawiają, że to uczucie jest takie wyborne! Dzięki temu, że zdajemy sobie sprawę, że nie da się go wiecznie utrzymać, ani siebie, ani niczego...

– Tak, tak... wiem... Ale proszę, cicho... Nie mów tego... – Wstała, miała łzy w oczach. Strefford też powstał.

– Chodźmy więc. Gdzie jemy? – odparł z uśmiechem, po czym wziął ją pod rękę.

– Oj, nie wiem. Nigdzie. Chyba wrócę do Wersalu.

– Aż tak cię zniesmaczyłem? Masz ci los... Akurat kiedy przyjechałem specjalnie, aby cię prosić o rękę!

Susy zaśmiała się, ale on nagle spochmurniał:

– Nie żartuję, słowo honoru.

– Oj, Streff... Przecież... teraz...

– Oj, nie teraz, zaraz. Zdaję sobie sprawę, że nawet przy waszych ekspresowych rozwodach...

– Nie o to mi chodzi. Mówiłam ci już, Streff, że to na nic... dawno temu, w Wenecji. Ironicznie wzruszył ramionami.

– Ale teraz to nie Streff ci się oświadcza. Streff nie nadawał się do ożenku. Wtedy Streff tylko żartował. Teraz oświadcza ci się starszy arystokrata z niezależną fortuną. Bardzo cię proszę, przemyśl to, moja droga. Masz tyle czasu na decyzję, ile ci potrzeba. Nie ma oczywiście najmniejszego pośpiechu, ale śmiem twierdzić, że nawet Nick doradziłby ci wyjść za tego pana.

Zaczerwieniła się, wspomniawszy, że rzeczywiście tak właśnie Nick jej radził. To wspomnienie sprawiło, że rozumowanie Strefforda wydało się mniej nieznośne. Może jednak powinna zjeść z nim obiad? W końcu w pierwszych dniach żałoby przyjechał do Paryża specjalnie po to, aby się z nią zobaczyć, by zaoferować jej jedno z najstarszych nazwisk i jedną z największych fortun w całej Anglii. Pomyślała o Ursuli Gillow, Ellie Vanderlyn, Violet Melrose; o ich zeszlórocznych sukienkach, gwiazdkowych czekach, o tych wszystkich darach składanych przez nie z taką łatwością, które tak trudno jej było przyjmować. „Chyba przyjemnie byłoby im za to wszystko odplacić...” – wyszeptał mały złośliwy głosik w jej głowie.

Nie zamierzała wyjść za Strefforda – nie posunęła się nawet do rozważania rozwodu – niewątpliwie jednak ta nagła wizja bogactw i wolności była niczym powiew świeżego powietrza. Zaśmiała się znowu, tym razem bez nuty gorczy.

– Dobrze. W takim razie zjedźmy razem obiad. Ale dziś chcę przebywać ze Streffym.

– No dobrze... – zgodził się jej towarzysz. – Rzeczywiście, Streffy wydaje mi się znacznie lepszym kompanem niż staruszek arystokrata.

Gdy pożywiali się w pewnej restauracyjce po drugiej stronie Sekwany, gdzie Susy upierała się, żeby zamówili najtańsze dania – w końcu zaprosił ją „Streff” – jej towarzysz był już starym, figlarnym, przyjacielskim sobą. Kilka razy próbowała skierować rozmowę na temat jego nowej sytuacji oraz związanych z nią zadań i obowiązków, ale on zawsze uciekał od tego i zamiast odpowiadać, sam wypytywał ją o różnorodną zbieraninę ludzi zgromadzonych przez Violet Melrose, a po każdym wymienionym przez nią nazwisku dorzucał śmieszna lub złośliwą anegdotę związaną z daną osobą.

Dopiero kiedy skończyli kawę i Susy popatrzyła na zegarek, chcąc sprawdzić, czy zdąży na następny pociąg, Strefford zapytał:

– Ale co zamierzasz teraz zrobić? Przecież nie możesz cały czas pomieszkiwać u Violet.

– Oj, nie! – Wzdrygnęła się.

– A więc? Masz chyba jakiś plan?

– Czy mam plan?... – Zadumała się. Po tej kojącej przerwie, jaką była ich wspólna godzina, Susy momentalnie ocknęła się i znalazła z powrotem w ponurej rzeczywistości.

– Przecież nie możesz tylko nieustannie się tułać. Chyba że zamierzasz już ostatecznie powrócić do swego dawnego życia.

Zaczerwieniła się i oczy jej wypełniły się łzami.

– Och, Streff... Do tego na pewno nie mogę już wrócić...

– A więc? Co zamierzasz?

Zawahała się, po czym powiedziała, spuściwszy głowę:

– Nick napisał, że jeszcze się odezwie... za kilka dni. Muszę czekać...

– Oczywiście. Nie ma co się spieszyć. – Teraz i Strefford spojrzął na zegarek. – *Garçon, l'addition!*⁴ Dziś w nocy wracam pociągiem do Anglii, mam jeszcze wiele do załatwienia. Ale proszę, moja droga... Kiedy podejmiesz już jakąkolwiek decyzję, to dasz mi znać, prawda? Oj, nie mam na myśli sprawy najbliższej memu sercu; uznajmy ją chwilowo za zamkniętą. Ale przynajmniej pozwól mi pomóc sobie jakoś inaczej... A niech mnie, przecież teraz mogę ci nawet pożyczyć pieniędzy! Cóż za przyjemna nowość!

– Och, Streff... Streff... – Tylko tyle mogła z siebie wydusić.

On natomiast wciąż wesoło nalegał:

– Naprawdę, nie krępuj się. Obiecuję, że nie będę żądał odsetek, nie będzie żadnych dodatkowych warunków. Proszę, obiecaj mi, że dasz mi znać, kiedy już coś zdecydujesz.

Spojrzała w jego wesoło zmrużone oczy i odpowiedziała uśmiechem na jego życzliwy uśmiech.

– Obiecuję!

⁴ *Garçon, l'addition!* (fr.) – Kelner! Rachunek!

Rozdział 15

Ta godzina spędzona ze Streffordem całkiem zmieniła punkt widzenia Susy. Zamiast czekającej ją zależności, przymusowego powrotu do dawnego życia pełnego ustępstw i cichych przyzwoleń teraz widziała przed sobą – na wyciągnięcie ręki, kiedy tylko zechce z tego skorzystać – wolność, władzę i godność. Godność! Dziwne, że słowo to nabrało dla niej aż takiej wagi. Nawet w swych bezmyślnych młodzieńczych latach, kiedy zdawało się, że tak mało ofiar składała surowym bóstwom, półświadomie chyba jednak doceniała jej znaczenie, a odkąd została żoną Nicka Lansinga, już w pełni uznała jej potrzebę, cierpiała i zadręczała się, gdy próby zachowania godności paliły na panewce. Tak: wyjście za Strefforda dałoby Susy właśnie to poczucie dumy i samozadowolenia, które w ich środowisku zapewnia wyłącznie ogromny majątek i pozycja społeczna. Jak można mieć jej to za złe, skoro nie została moralnie czy umysłowo przygotowana do osiągnięcia niezależności w inny sposób?

Oczywiście żywiła jeszcze nadzieję, że Nick do niej wróci, że życie bez niej wyda mu się równie nie do zniesienia jak Susy życie bez niego. Gdyby tak się stało... Ach, gdyby tak było! Wtedy nie musiałyby z niepokojem wyglądać przyszłości, wtedy zaczęłyby chwytąć dzień, rozkoszować się nim, łapać chwilę i nurkować na samo dno czeluści zapomnienia. Wtedy już nic nie miałyby jakiegokolwiek znaczenia – ani pieniądze, ani wolność, ani duma, ani tak droga jej godność i odczucia moralne – byle tylko znów znaleźć się w jego ramionach!

Susy przypomniała sobie jednak lodowaty list od męża, bezczelną kartkę od Coral Hicks i uświadomiła sobie, że prawdopodobieństwo powrotu Nicka jest niezwykle nikłe. Zrozumiała, że nawet przed odkryciem układu z Ellie Vanderlyn Nick musiał już potajemnie zmęczyć się – nawet jeśli nie żoną, to przynajmniej stylem życia, jaki wymuszał ich związek. Jego uczucie – od samego początku – nie było na tyle silne, aby przysłonić uprzedzenia, skrupuły, zasady: jak zwał, tak zwał. Blask zakochania Susy mógł sprawić, że jej poczucie godności wybuchło gwałtownym płomieniem, miłość Nicka jednak zbudowana była z mniej łatwopalnej substancji. Podczas ostatniej rozmowy Susy wyczuła, że ich wspólna wewnętrzna harmonia została nieodwracalnie zniszczona.

Cóż... Tak się sprawy miały, a wina z pewnością nie leżała po niczyjej stronie – winny temu był świat, w którym się wychowali, ich własne nim obrzydzenie, a zarazem materialna od niego zależność. Odpowiedzialne za to wszystko były jego połowiczne zdolności i jej połowiczne zasady oraz to coś, co sprawiało, że oboje nie byli w stanie ani się tym siłom przeciwstawić, ani im poddać. Zastanawiała się nad tym problemem przez całą podróż powrotną do Wersalu i przez kolejną nieprzespaną noc. Następnego ranka, kiedy służąca przyniosła śniadanie do łóżka, Susy poczuła żłudny przypływ energii wynikający z ustalenia – jakkolwiek bez entuzjazmu – strategii działania.

Stwierdziła: „Jeśli dokładnie za tydzień nie dostanę jeszcze listu od Nicka, to napiszę do Streffa...”.

Tydzień minął, a list nie przyszedł.

Minęły już trzy tygodnie od dnia, kiedy mąż ją zostawił, a ciągle jedyną wiadomością od niego było tych kilka linijek z Genui. Susy stwierdziła, że Nick musiał domyślić się, że mogła wyjechać z Wenecji, że może w takim razie napisze do niej na adres ich paryskiego banku. Dlatego też niezwłocznie zawiadomiła tę szanowną instytucję o zmianie adresu, dalej jednak nie otrzymała żadnej wiadomości. Gorzko uśmiechnęła się na myśl o tym, jak trudne musiało być dla niego ułożenie obiecanego listu. Przez pierwsze kilka dni po rozstaniu w koszu na papiery Susy piętrzyły się ledwo rozpoczęte listy. Stwierdziła, że skoro oboje napotykały takie straszne

trudności, próbując do siebie napisać, widocznie nie mają już sobie nic do powiedzenia.

Tymczasem dni u pani Melrose mijały tak, jak mijały zwykle wtedy, kiedy Susy Branch pędziła niepewny żywot pod dachami kolejnych bogaczy. Miała na tyle różnorodne doświadczenia z tych pobytów, że była niezwykle wyczulona na to, jak jej obecność wpływa na tymczasowych gospodarzy. Teraz doskonale wiedziała, że Violet ledwo zdaje sobie sprawę z jej obecności. Jednak Susy – choć zaledwie zauważana – przynajmniej nie sprawiała kłopotu; skoro gospodyni zapomina o istnieniu gościa, można stwierdzić, że nie jest się dla niej problemem.

Violet jak zwykle była w ciągłym ruchu – jej przepastna nieudolność wyrażała się poprzez bezcelową aktywność. Nat Fulmer wrócił do Paryża, ale Susy domyślała się, że jego dobrodziejka nieprzerwanie przebywała w jego towarzystwie i za każdym razem, kiedy automobil wywoził gdzieś panią Melrose, zazwyczaj zmierzał tam, gdzie akurat Fulmer obcował ze sztuką. Czasami Violet proponowała Susy, że zabierze ją do Paryża – wtedy spędzały długie gorączkowe poranki u krawcowych. Tam dziewczyna powoli poddawała się znanemu czarowi piętrzących się przed nią wytwornych kreacji. Kiedy odrzucało się futra, koronki i brokaty, aby potem sięgnąć po nie z powrotem i wreszcie bez większego zastanowienia wybrać kilka „szmatek”, można było odnieść wrażenie, że o tym, czy wziąć wszystko, czy nic, decydować może tylko chwilowy kaprys, że każda warta oglądania kobieta musi koniecznie posiadać wystarczające środki, aby nie tak błahego jak pieniądze nie ograniczało tego wyboru.

Kiedy Susy znów znajdowała się sama na ulicy, złowrogie mgły przeredzały się i światło dnia znów rozjaśniało jej duszę, czuła jednak, że stara trucizna powoli zaczyna wnikać w jej krwiobiegu. Chcąc się jej pozbyć, postanowiła pewnego dnia złożyć wizytę Grace Fulmer. Ciekawiło ją, jak ta beztroska towarzysząca ciemnych dni Fulmera znosiła ciężar dobrobytu małżonka, a poza tym miała ochotę zobaczyć dla odmiany kogoś, kto nigdy nie lękał się biedy.

Rozczarowała się, czekając w dusznej pensjonatowej bawialni, gdy gburowata służąca krzyczała na cały budynek, wołając panią Fulmer. Co innego, gdyby Grace wytrzymała mieszkanie w tego typu kwaterach razem z mężem; ale żeby mieszkać tu, kiedy on pławi się w wersalskich luksusach albo jeździ od zamku do galerii autem pani Melrose? To była oznaka odwagi, której Susy z pewnością nie była w stanie naśladować.

– Kochana! Wiedziałam, że mnie odwiedzisz – dobiegł ze schodów radosny głos Grace. Chwilę potem była już na dole i serdecznie tuliła Susy. – Nat nie mógł sobie przypomnieć, czy dał ci już nasz adres, choć kiedy tu ostatnio wpadł, obiecywał, że to zrobi. – Odsunęła się na odległość ramion i cała rozpromieniona wpatrywała się w Susy swymi mrugającymi, krótkowzrocznymi oczami. Stara, poczciwa, rozczochrana Grace! Za nic miała swą zaniedbaną urodę i roztrwonioną młodość, była tak zadowolona, rozkojarzona i nieprzezorna... Zdawała się wnosić do tego małego, dusznego saloniku całą dziką atmosferę chatki w New Hampshire.

Kiedy Grace snuła opowieść o nagłej sławie Nata i jej nieoczekiwanych konsekwencjach, Susy dziwiła się i dumiała. Czyżby przyczyn tego sukcesu należało doszukiwać się w tych długich, żmudnych latach bezowocnego wysiłku, w tej nieugiętej pogardzie wobec popularności, w tym niezważaniu Nata na jakiegokolwiek materialne udogodnienia, do czego zresztą tak chętnie zachęcała go żona? Czy ceną za to była utrata świeżości, zaniedbanie własnych talentów i zrezygnowanie z wszelkich „udogodnień” dla dzieci, krótko mówiąc: wszystko za wyjątkiem bliskości małżonków? Cóż... z pewnością było warto. Ale co jeśli teraz, kiedy mają już i zaszczyty, i dostatek, ta łącząca ich więź się przerwie, a Grace zostanie sama pośród ruin?

W jej tonie czy tym, co mówiła, nie było nic, co mogłoby choćby sugerować taką możliwość. Susy zauważyła, że wciąż źle dobrane szaty przyjaciółki są teraz kosztowniejsze i bardziej profesjonalnego kroju niż szyte własnoręcznie stroje, które dotychczas drapowała wokół coraz obfitszych kształtów – widać było, że stara się ubierać odpowiednio do nowej

sytuacji małżonka. Jednak przede wszystkim po prostu się z tego wszystkiego cieszyła, zachłystywała się radosną atmosferą jego tryumfów. Widocznie jeszcze nie dotarło do niej, że ci, którzy godzą się dzielić chleb przeciwności losu, mogą chcieć zachować tort dobrobytu tylko dla siebie.

– Moja droga! Jest doprawdy przecudownie! Mogę kupować tyle biletów do opery, ile mi się tylko zamarzy, mogę brać tam wszystkie dzieci! Te wielkie koncerty zaczynają się dopiero później, ale w operze zawsze coś się dzieje. I są jeszcze te pomniejszych wydarzenia... w Paryżu cały rok coś gra! A potem może nam się uda wybrać na tydzień do Monachium! Och, Susy... – Klasnęła w dłonie, jej oczy promieniały, z nowego kielicha życia piła wino prawie że z namaszczaniem.

– A pamiętasz, Susy, jak gościliście z Nickiem w naszej chatce? Nat twierdził, że ten nasz cały prymitywizm was przerazi... Ale tym razem to ja miałam rację, prawda? Przecież właśnie widząc nasze szczęście, postanowiliście pójść za naszym przykładem, czyż nie? – Na to wspomnienie rozpromieniła się jeszcze bardziej. – A teraz co macie w planach? Czy Nick już kończy książkę? Pewnie będziecie musieli troszkę zacisnąć pasa, zanim znajdzie wydawcę... A dzidzius, moja droga? Kiedy się można spodziewać? Jeśli szybko wrócicie do Stanów, to mogę ci oddać bardzo dużo rzeczy po moich dzieciach...

– Jaka ty zawsze jesteś kochana, Grace. Ale na razie nic wielkiego nie mamy w planach... nawet dziecka. Opowiedz lepiej o waszych zamiarach!

Pani Fulmer nie marzyła o niczym innym: Susy stwierdziła, że dotychczas większą część pobytu w Europie spędzała na mówieniu o tym, co ich tam jeszcze czeka.

– No bo widzisz... Natowi tyle czasu zajmuje całe to zwiedzanie, chodzenie po galeriach i poznawanie ważnych ludzi, że nie miał jeszcze kiedy z nami połączyć; a że o tej porze roku tak mało teatrów jest czynnych, tak mało muzyki grają, to wykorzystuję ten czas, aby nadrobić cerowanie. Teraz pomaga mi Jane... Pamiętasz naszą najstarszą? Odkąd ostatnio ją widziałas, bardzo wyrosła i wydorosła. Ale może później uda nam się popodróżować. A najlepsze w tym wszystkim (zaraz oczywiście po tym, że wreszcie doceniono Nata) jest to, że nie musimy już ciągle główkować i oszczędzać i co chwila czegoś sobie odmawiać! Pomyśl tylko! Nat specjalnie tak tu wszystko pozalał, że dzieci zawsze dostają dokładki! I teraz jak idę spać, to mogę wreszcie myśleć o mojej muzyce: koniec z nocami, podczas których nie mogłam zmrużyć oka, i kalkulowaniem, jak dożyć do końca miesiąca. Och, Susy... Jest wręcz niebiańsko!

Serce Susy zabiło mocniej. Odwiedziła przyjaciółkę, bo chciała, by ta znów nauczyła ją, jak nie baczyć na kwestie materialne – tymczasem z ust Grace Fulmer wylewały się długo skrywane narzekania na dawne męki. Czyli jednak ta walka z biedą, którą Grace i Nat toczyli na stokach New Hampshire, nie była tak łatwa i sielankowa, jak wówczas pozorowali. A mimo to... Mimo to...

Susy powstała nagle i poprawiła kosztowny kapelusz przyjaciółki, który niefortunnie nachodził na lewe ucho Grace.

– Co z nim jest nie tak? Junie pomogła mi go wybrać, a ona zwykle zna się na rzeczy! – jęknęła właścicielka nakrycia, załamując bezradnie ręce.

– Był tylko nie tak ustawiony, najdroższa... I ta kokarda jest trochę przyduża. Daj mi, proszę, minutkę... – Susy ściągnęła z głowy Grace nakrycie i zaczęła majstrować przy lamówce. – Tak zrobiłaby Maria Guy czy Suzanne... A teraz opowiadaj dalej o Nacie...

Słuchała w zadumie opowieści o sukcesie męża, bo pisali o nim w gazetach, o powodzeniu i popycie na jego obrazy, o tym, jak eleganckie damy klóciły się, która pierwsza go odkryła, i jak to dzięki ich rywalizacji wzrosła liczba zamówień.

– Rzecz jasna strasznie się między sobą klóca, zwłaszcza pani Melrose i pani Gillow, bo

każda z nich udaje, że to właśnie ona odkryła *Wiosenną śnieżycę*. A tak naprawdę nie była to ani jedna, ani druga, tylko biedny Bill Haslett. To znajomy krytyk, od lat się przyjaźnimy; to on przypadkiem natknął się na ten obraz i popędził do pewnego handlarza, któremu akurat zamarzyło się wypromowanie jakiegoś nowego malarza. – Nagle Grace podniosła swe łagodne krótkowzroczne oczy i popatrzyła wprost na Susy. – Ale wiesz co? Śmieszna rzecz: Nat chyba już o tym powoli zapomina i rzeczywiście zaczyna wierzyć, że pani Melrose naprawdę stanęła przed tym obrazem na wernisażu i zawołała: „Toż to Geniusz!”. To śmieszne, że teraz go to tak strasznie obchodzi... A przecież ja zawsze wiedziałam, że jest geniuszem, że ma prawdziwy talent... Nat też przecież zdawał sobie z tego sprawę. Ale w końcu ci wszyscy bogacze są dla niego tacy mili, zwłaszcza pani Melrose. I chyba rzeczywiście wszystko brzmi jak jakaś nowość, kiedy powtarzane jest nowym głosem.

Susy spojrziała na nią w zamyśleniu.

– A jakbyś się czuła, gdyby Natowi zbyt spodobało się wysłuchiwanie tych pochwał pani Melrose? Gdyby nie zależało mu już, co ty o tym wszystkim myślisz, jakie są twoje odczucia?

Twarz przyjaciółki natychmiast oblał rumieniec, po czym błyskawicznie zbladła. Susy prawie żałowała swojego pytania. Pani Fulmer odpowiedziała jednak z opanowaną godnością:

– Jeszcze nie jesteś wystarczająco długo po ślubie, aby to zrozumieć, moja droga... zrozumieć, jakie ludzie tacy jak ja i Nat mają do tych spraw podejście... Jakie to wszystko wydaje się nieistotne, gdy bierze się pod uwagę... bierze się pod uwagę wspólne wspomnienia.

Susy znów wstała. Tym razem rzuciła się przyjaciółce na szyję.

– Och, Grace! – Zaśmiała się przez łzy. – Jak to możliwe, że jesteś tak niesłychanie mądra, a równocześnie nie potrafisz sobie sprawić przyzwoitego kapelusza? – Przytuliła szybko panią Fulmer i pospiesznie uciekła. Czegoś jednak się tu nauczyła, choć niekoniecznie tego, po co przyjechała.

Minął wyznaczony przez nią tydzień, a od Nicka wciąż nie było ani słowa. Pozwoliła sobie czekać jeszcze jeden dzień, ale i ten nie przyniósł listu. Następnie zdecydowała się na krok, na który wcześniej nie pozwalała jej duma. Postanowiła zadzwonić do banku i dowiedzieć się o adres męża. Pełna wstydu i miotana wątpliwościami zadzwoniła – i dowiedziała się, że ostatnim adresem korespondencyjnym, jaki podał pan Nicholas Lansing, był przekazany trzy miesiące wcześniej adres Palazzo Vanderlyn. Tego popołudnia wróciła do Wersalu z mocnym postanowieniem, że jeśli list nie przyjdzie poranną pocztą, napisze do Strefforda.

Następny rano nie przyniósł wiadomości od Nicka, dotarła natomiast szybko nabazgrana wiadomość od pani Melrose, proszącej, aby Susy jak najszybciej przysłała do jej pokoju. Susy natychmiast wyskoczyła spod pierzyny, wzięła błyskawiczną kąpiel, po czym zapukała do drzwi sypialni gospodyni. Pani Melrose leżała w niezwykle niskim łóżku z widokiem na gęstą, cienistą zielen parku, paliła papierosa i przeglądała listy. Z lekkim uśmiechem podniosła oczy znad korespondencji i rzekła rozkojarzonym głosem:

– Susy, złotko... Czy masz już jakieś określone plany... To jest na najbliższe miesiące?

Susy oblał rumieniec: znała ten ton z dawnych lat, doskonale wiedziała, co się za nim kryje.

– Plan, kochana? Całą masę... Pojutrze stąd uciekam... Najprawdopodobniej na wrzosowiska do Gillowów... – oznajmiła pospiesznie.

Spodziewała się, że na tę wieść na pełnym wyrazu obliczu pani Melrose zagości ulga – tymczasem odmalowało się na nim najszczerze rozczarowanie.

– Naprawdę? Jaka szkoda... Czy to już pewne?

– Jeśli o mnie chodzi: owszem – odparła Susy zdecydowanie.

Jej rozmówczyni westchnęła.

– Straszna szkoda... Bo wiesz, kochana... Chciałam cię poprosić, abyś została tu sobie w ciszy i zajęła się fulmerzątkami. W przyszłym tygodniu udaję się z Fulmerem do Hiszpanii... Chcę być z nim, towarzyszyć mu w naukach, chcę zbierać jego pierwsze wrażenia. Pomyśl tylko, jakie to musi być wspaniałe, uczestniczyć w jego spotkaniu z Velasquezem! – Urwała, tracąc wątek przez wizję czekającej ją ekstazy. – Tylko zrozum... Teraz Grace Fulmer upiera się, aby z nami jechać...

– Ach tak, rozumiem.

– No właśnie. A tego potomstwa jest aż pięćoro! Straszny kłopot! – westchnęła mecenaska. – Jakbyś nie miała co ze sobą zrobić, moja droga... No wiesz, póki Nick żegluje ze znajomymi, mogłoby ci się to całkiem opłacić...

– Bardzo miło z twojej strony, Violet... Tylko, widzisz... Tak się składa, że akurat mam co ze sobą zrobić...

Och! Jaka ulga móc to powiedzieć: wesoło, stanowczo, a nawet zgodnie z prawdą! Zając się fulmerzątkami, cóż za pomysł! Susy przypomniała sobie, jak uciekli przed nimi tamtego jesiennego popołudnia w New Hampshire.

Ta prośba była zbawiennym wejrzeniem w przyszłość – jak tylko zacnie tracić swą świeżość i popularność, właśnie tak będzie coraz częściej wykorzystywana: do przeróżnych drobnych przysług, jako zapchajdziura, pisarczyk, załatwiacz zleceń, wyręczyciel, niania, guwernantka, dama do towarzystwa. Przed oczami Susy stało kilkanaście znajomych starszych kobiet, emerytek po fachu, które wciąż nosiły służbową liberię, podlegały klasowym humorom i rozmawiały odpowiednim dialektem, lecz już dawno zostały oddelegowane do niewolniczych zadań. Nigdy, przenigdy nie wstąpi w ich szeregi!

Na twarzy pani Melrose odmalował się smutek i niedowierzenie. Patrzyła na Susy z miną płacznego zadziwienia, niczym właściciel milionów niepotrafiący pojąć, że może istnieć coś, czego nie jest w stanie kupić.

– Ale nie rozumiem, dlaczego nie miałabyś tych planów zmienić... – nalegała łagodnie.

– No bo zrozum... – Susy urwała na chwilę, uśmiechając się wewnętrznie. – Tak się składa, że to są nie tylko moje plany...

Pani Melrose spochmurniała. Nie ulegało wątpliwości, że nieprzewidziana komplikacja w postaci towarzystwa pani Fulmer nadwyrężyła jej nerwy, a teraz ta nowa przeszkoda w planach zachwiała jej wiarę w boski porządek.

– Nie tylko twoje? Ale chyba nie pozwolisz, aby Ursula Gillow rozkazywała ci, co robić? O! Patrz! Weź sobie, proszę, ten jadeitowy naszyjnik, który wczoraj ci się tak podobał... Zrozum: Fulmerowie nie pojedą ze mną, jeśli nie znajdą nikogo do opieki nad dziećmi. Wtedy ze wszystkich planów nici! Susy, złotko... Zawsze byłaś taką kochaną altruistką... Nie chciałabym, abyś poświęcała się dla Ursuli...

Susy wytrwale się uśmiechała. Kiedyś z radością dorzuciłaby jadeitowy wisiołek do kolekcji i tak już wzbogaconej szafirami od Ellie Vanderlyn. Całkiem niedawno ten dar uraziłby jej nowo odkrytą dumę. Teraz jednak sam fakt, że jeśli tylko zapragnie, może całkowicie uwolnić się od tego typu przekupstw, sprawił, że mogła odrzucić je z pewnym współczuciem. Ach, jakże błogą wolność pociągało za sobą bogactwo! Przypomniała sobie niepochamowane westchnienie pani Fulmer: „A najlepsze w tym wszystkim jest to, że nie musimy już ciągle główkować i oszczędzać i co chwila czegoś sobie odmawiać!”. Tak: tylko na takich warunkach można było całkowicie władać własną duszą i sumieniem.

To poczucie sprawiło, że mogła odrzec serdecznie, z niemałym wdziękiem:

– Ach, Violet... Naprawdę, gdyby to ode mnie zależało, to bym ci z wielką chęcią pomogła, nawet nie potrzebowałabym podarków. I rzeczywiście nie widzę powodu, abym miała

się poświęcać dla Ursuli... czy kogokolwiek innego. Tylko tak się składa... – Urwała, pomyślała, że raz kozie śmierć, i dodała: – Jadę do Anglii, bo obiecałam zobaczyć się z przyjacielem.
Tej nocy napisała do Strefforda.

Rozdział 16

Nick Lansing leżał w cieniu markizy na pokładzie „Ibisa”. Uniósł na chwilę oczy znad książki, spojrział na znikające w oddali maltańskie klify, po czym znów pogрузił się w lekturze.

Przez prawie trzy tygodnie narkotyzował się na „Ibisie”. Odurzał się na dwa sposoby: widokami mijanych krajobrazów, wynurzających się z błękitnego morza, by zaraz znów w nim zniknąć, oraz wizjami nauki czerpanymi z tomiszczy, które towarzyszyły mu w dzień i w nocy. Pierwszy raz od wielu miesięcy miał w zasięgu ręki prawdziwą bibliotekę: księgozbiór naukowy, a do tego niezwykle różnorodny – właśnie tego potrzeba było jego niespokojnej i niecierpliwiej duszy. Zdawał sobie sprawę, że czytane książki – tak jak ulotne widoki – były jedynie swego rodzaju anestetykiem: łykał je z bezmyślną chciwością cierpiącego, któremu zależy już wyłącznie na tym, by uśmierzyć ból i uśmiercić wspomnienia. Zaczynały jednak wywoływać u niego pewne moralne otępienie, wcale nie przykre, a w porównaniu z ostrym bólem pierwszych dni terapii – wręcz przyjemne. Właśnie takiej używki potrzebował.

Nie ma zapewne tematu, na który przeciętny człowiek ma bardziej stanowcze poglądy, niż bezcelowość pisania listu trudnego do napisania. W wiadomości wysłanej Susy z Genui Nick obiecał żonie, że odezwie się za kilka dni; kiedy jednak po upływie tego czasu zaczął się do tego przymierzać, od razu znalazł z pięćdziesiąt powodów do zwłoki.

Sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby miał do poruszenia jakieś konkretne, praktyczne kwestie. Gdyby istniała najmniejsza wątpliwość co do spraw finansowych, nie byłby w stanie zwlekać nawet doby. To akurat zostało ustalone już dawno. Od początku to żona zarządzała całym ich skromnym majątkiem. Po ślubie jego nędzne zarobki, wypłacane niezbyt regularnie przez ajenta, który od lat zajmował się upadającym majątkiem rodzinnym, zostały przekazane na jej konto: był to jedyny prezent ślubny, jaki mógł jej ofiarować. Czeka ślubne też, rzecz jasna, wypisywano dla Susy. Nie było więc żadnych „interesów”, żadnych finansowych pretekstów do nawiązania kontaktu; co się natomiast tyczyło innego rodzaju powodów – na samą myśl ogarniało Nicka paraliżujące otępienie.

Z początku przez kilka dni wyrzucał sobie inercję, później głowił się tylko, jak ją usprawiedliwić. W końcu może przeczekanie to właśnie najkorzystniejsza dla obojga strategia? Opuścił Susy dlatego, że nie mógł już tolerować warunków, na jakich – jak odkrył – opierało się ich wspólne życie. Poinformował ją o tym. Cóż więcej pozostawało do powiedzenia?

Sytuacja żadnego z nich nie uległa zmianie; gdyby się zesзли, musieliby dalej prowadzić ten sam tryb życia – a z biegiem dni wydawało mu się to coraz mniej możliwe. Nie dojrzał jeszcze do podjęcia decyzji o separacji, lecz gdy tylko przypominał sobie, jak żyli dawniej, ogarniało go obrzydzenie na myśl, że mógłby do takiego trybu życia powrócić, nawet w pojedynkę. Póki utrzymywał się w tym stanie ducha, nie potrafił wymyślić niczego, co mógłby dodać do poprzedniego listu, za wyjątkiem wieści, że właśnie żegluje z Hicksami, a nie widział żadnego naglącego powodu, by informować Susy o tym fakcie.

Hicksom nawet nie napomknął o swym nowym położeniu. Gdy dwa tygodnie wcześniej Coral zdjęła go z wrzących genueńskich ulic i zawiodła na „Ibisa”, Nick myślał, że czeka go jedynie chłodna kolacja, ewentualnie wzbogacona o krótką żeglugę w świetle księżyca. Kiedy jednak w odpowiedzi na troskliwe dopytywania przyjaciół wyznał, że nie czuje się najlepiej – że właśnie dlatego tak nagle uciekł z Wenecji, że chciał przez kilka dni odetchnąć innym powietrzem – nie miał już wymówki i nie mógł odrzucić złożonej natychmiast propozycji, aby tym nowym powietrzem pooddychał na ich jachcie. Właśnie ruszali na Korsykę i Sycylię, stamtąd płynęli na Sycylię: po drodze mogliby więc podrzucić go do Neapolu, gdzie wystarczy,

że przesiądzie się na kolej i po dziesięciu dniach znów znajdzie się w Wenecji.

Dziesięć dni odpoczynku! Cóż za nieodparta pokusa! A przecież naprawdę bardzo lubił tych miłych, nieskomplikowanych ludzi. Wokół ich bogactwa unosiła się atmosfera pełna zdrowej szczerości i prostoty, mimo dostatnich atrybutów ich obecnego życia i tak wciąż czuć było aromaty ich rodzimych prerii. Samo przebywanie w takim towarzystwie działało niczym kojąca, oczyszczająca kąpiel. Tak więc gdy jacht zacumował w Neapolu, Nick zgodził się – skoro wszyscy byli tacy kochani – towarzyszyć im aż na Sycylię. A kiedy główny steward, ostatni raz przed wypłynięciem wybierając się na brzeg, zapytał: „Czy chciałby pan przekazać jakieś listy do wysłania?”, Nick, tak jak na każdym poprzednim przystanku, odpowiedział: „Dziękuję bardzo, żadnych”.

Teraz natomiast kierowali się na Rodos i Kretę – na tej ostatniej wyspie nigdy dotąd nie był, a zawsze tak marzyło mu się ją zobaczyć. Mimo późnego sezonu pogoda wciąż jakimś cudem była przepiękna: przed nimi pod bezchmurnym niebem tańczyły niewielkie falki, a potężny dziób „Ibisa” ledwo drżał, gdy łódź przemykała po bystrych grzywaczach.

Na pokładzie byli wyłącznie gospodarze z córką – oczywiście w towarzystwie Eldorady Tooker i sekretarza Becka. W Neapolu miał dołączyć do nich pewien znany i poważany archeolog, lecz w ostatniej chwili wysłał depezę z przeprosinami, że jednak się nie zjawi. Nick zauważył, że choć pani Hicks nieustannie przeproszała za nieobecność męża, Coral tylko uśmiechnęła się i nie skomentowała jego nieobecności.

Tak się składało, że Hicksowie stanowili właśnie najprzyjemniejsze towarzystwo, kiedy miało się ich na wyłączność. W większym gronie ojciec rodziny czasem przesadzał z gościnnością, a żonie, która w rozmowie chciała uwzględnić cały dorobek kulturowy ludzkości, myliły się daty, nazwy i nazwiska. Jednak kiedy byli sami z Nickiem, ich dawnym towarzyszem podróży, błyszczeli wrodzoną prostotą. Pan Hicks rozsądnie prawił o inwestycjach, a jego małżonka wspominała pierwsze małżeńskie dni w Apex City, kiedy to – gdy mąż zawiózł ją do ich nowego domu przy Alei Ajschylosa – pierwszą myślą, która pojawiła się w jej głowie, było: „O rany! Jak ja dam radę wymyć te wszystkie okna?”.

Przypuszczenia Nicka sprawdziły się: utrata pana Buttlesa była dla nich niezwykle ciężkim ciosem, pan Beck nie miał nawet co marzyć, że mógłby tę lukę zapęłnić. Poza tajemniczymi zdolnościami językowymi i prawie nadludzką umiejętnością adresowania i kończenia listów do wielkich osobistości ich były sekretarz dysponował powierzchowną znajomością archeologii i kultury ogólnej, na której to znajomości pani Hicks zwykła bardzo polegać, jako że niestety jej pamięć była nieadekwatna do jej szerokich zainteresowań.

W tym ostatnim być może byłaby w stanie pomóc jej córka; panna Hicks jednak nie miała w zwyczaju matkować rodzicom. Odnosiła się do nich z niezwykłą sympatią, jednak można powiedzieć, że pozwalała im wychowywać się samym, podczas gdy ona rozwijała się na własną rękę. Tą dziwną dziewczyną kierował pewien posępny pęd do wiedzy; zdawała się interesować wyłącznie wynajdywaniem nowych możliwości wzbogacenia swojego zbioru zgromadzonych faktów. Zbiór ten oświetlany był jedynie słabą lampką niewielkiej wyobraźni i jeszcze mizerniejszym kagankiem poetyczności, jednak wszystkie informacje w nim zawarte zostały starannie skatalogowane i porządnie poukładane w pojemnym, chłodnym umyśle dziewczyny, gdzie były zawsze na podorędziu, niczym tomy w nowoczesnej i stale aktualizowanej bibliotece publicznej.

W tej przytomnej intelektualnej dociekliwości Nick odnalazł coś kojącego. Przede wszystkim pragnął uciec jak najdalej od wszelkich sentymentów, pokus, nastrojów, impulsów i bijących po oczach sprzeczności – czyli wszystkiego, co składało się na jego żonę. Susy nie była bardzo czytana: jej zbiór informacji był niewielki, wychowała się wśród ludzi, którzy lękali

się idei jak zarazy. Jednak kiedy – zwłaszcza na początku ich wspólnych dni – Nick dawał jej jakąś książkę lub czytał na głos wiersz, jej żywa inteligencja zawsze w nowy, ciekawy sposób interpretowała temat i przenikając do głębi utworu, wyciągała z niego coś swojego. Jaka szkoda, że to wybitne rozumowanie, ta nadzwyczajna intuicja przez większość czasu wykorzystywana była na czytanie myśli pospolitych ludzi i wyciąganie z nich korzyści – że od dzieciństwa zdolności Susy marnowały się na te paskudne zawilości „załatwiania”!

A widzialne piękno – jak potrafiło ją wzruszyć! Nie domyślił się tego, a raczej nie był tego pewien, aż do chwili, kiedy będąc przejazdem w Paryżu, zaprowadził ją do Luwru. Stanęli przed niedużym obrazem, *Ukrzyżowaniem* Mantegni. Nick nie przyjrzał mu się uważnie, z początku też nie zauważył, jakie wrażenie wywarło to dzieło na Susy. Sam akurat był chwilowo w nastroju na Correggia czy Fragonarda, na wesołość *Lekcji muzyki* i śmiałe, pogańskie rozrywki Antiope. Nagle spostrzegł brak żony u swego boku, więc podszedł tam, gdzie stała, zapomniawszy o nim i o całym świecie; dostrzegł w jej twarzy odbłask tego tragicznego nieba, jej drżące usta, kropelki łez zawisłe na rzęsach. Taka właśnie była Susy...

Zamknął książkę i ukradkiem spojrzął na profil Coral Hicks, rozpartej nieopodal na poduszkach leżaka. W tej bezceremonialnej, prymitywnej budowie, w ułożeniu czarnych brwi, które prawie że spotykały się nad jej dużym, prostym nosem, w tym lekkim, ledwo zauważalnym ciemnym meszku nad górną wargą było coś surowego, wręcz odświeżającego. Jakimś cudem silnej woli i wszelkich dostępnych zamożnym sztuczek udało się grubej dziewczynie o bladej cerze, którą pamiętał z poprzedniej podróży, zamienić w tę władczą młodą kobietę – często prawie przystojną, a chwilami na jej wielki, autorytarny sposób niezaprzeczalnie piękną. Gdy tak przyglądał się temu aroganckiemu profilowi na tle błękitnych fal, przypominał sobie – z odczuciem miło łechtającym jego próżność – że dwa razy, raz pod kopułą kościoła degli Scalzi, a drugi na ulicach Genui, na jego widok te rysy złagodniały, stały się kobiece, błagające, prawie że pokorne. Taka właśnie była Coral...

Nagle dziewczyna, nie obracając się ku niemu, stwierdziła:

– Odkąd pan tu jest, nie otrzymał pan żadnych listów.

Nick spojrzął na nią zdziwiony i zaśmiał się:

– No nie... Dzięki Bogu!

– Ani też pan żadnych nie pisał – ciągnęła Coral dalej swym ostrym, analitycznym tonem.

– Nie pisałem – przytaknął znów, z tym samym śmiechem.

– Czyli naprawdę jest pan wolny...

– Wolny?

Zobaczył, jak widoczny z jego strony policzek dziewczyny oblewa się rumieńcem.

– Mam na myśli, że naprawdę jest pan na wakacjach, nic pana nie wiąże.

Po chwili ciszy Nick odrzekł:

– Rzeczywiście, nie jestem zbyt uwiązany.

– A pana książka?

– Ach, książka... – Zamilkł na chwilę i popadł w zadumę. Uciekając z Wenecji, wrzucił

Pochód Aleksandra do torby, jednak od tamtej nocy nawet do niego nie zajrzał. Pomiędzy stronami utkanych było za dużo wspomnień i złudzeń; wiedział dokładnie, na której kartce poczuł, że Ellie Vanderlyn zachodzi go od tyłu, doszedł go powiew jej perfum oraz szept: „Musiałam ci podziękować!”.

– Chwilowo zawiesiłem pisanie – odparł w końcu niecierpliwie, zirytowany brakiem taktu panny Hicks. Ta dziewczyna nie potrafi zdobywać informacji w dyskretny sposób!

– Tak też przypuszczałam... – dodała cicho, a on spojrzął na nią zszokowany. Ciekawy był, co jeszcze, u licha, przypuszczała? Nigdy mu nawet przez myśl nie przeszło, że Coral

mogłaby na tyle wyłonić się ze swojego grubego pancerza samowystarczalności, by wniknąć w czyjekolwiek uczucia.

– Prawda jest taka... – powiedział, trochę zawstydzony – że chyba zbyt długo się w nią zagłębiałem, zapewne dlatego poczułem, że potrzebuję zmiany. To dla mnie coś zupełnie nowego.

Coral dalej nieugięte prowadziła przesłuchanie:

– Ale później... później ją pan oczywiście skończy?

– Och, nie wiem. – Zamilkł na chwilę, spojrzął na błyszczący pokład, a potem w dal, przez połyskliwą wodę. – To były takie sny, urojenia. Chyba raczej będę musiał całą książkę zostawić i rozejrzeć się za jakąś w miarę płatną pracą. Aby móc sobie pozwolić na paranie się tego rodzaju literaturą, trzeba wprawdzie zapewnić sobie stały dochód.

Od razu był zły na siebie, że to powiedział. Dotychczas w relacjach z Hickсами ostrożnie unikał najmniejszej aluzji, która mogła zaowocować poczuciem na sobie ich ciężkiej pomocnej dłoni. Jednak te próżniacze tygodnie zwłoki osłabiły go i nie oparł się pragnieniu wysłowienia swych niejasnych zamiarów. Może w ten sposób staną się czymś konkretniejszym?

Na szczęście panna Hicks nie odpowiedziała natychmiast. Wreszcie przemówiła, nagle łagodniejszym tonem i z nietypowym dla siebie wahaniem.

– Byłaby straszna szkoda, gdyby przy takim talencie nie udało się panu znaleźć zatrudnienia, które dawałoby tyle wolnego czasu, by mógł pan zająć się prawdziwą pracą...

Wzruszył ramionami, krzywiąc się ironicznie.

– Owszem... Wielu moich kolegów po fachu poluje na tego typu zatrudnienie.

Jej ton nie brzmiał już jak atak biznesmena.

– Wiem, że trudno jest znaleźć taką pracę, że jest to prawie niemożliwe. A jednak...

Gdyby ją panu zaproponowano, nie odrzuciłby jej pan, prawda?

Lekko obróciła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Przez chwilę ogarnął go przerażający strach; nie miał czasu się jednak z nim zmierzyć, gdyż panna Hicks ciągnęła dalej, wciąż tym samym niezmaconym tonem:

– Mam na myśli posadę po panu Buttlesie. Moi rodzice koniecznie muszą mieć kogoś, na kim mogą polegać. Sam pan wie, jakie to łatwe zadanie... A myślę, że wynagrodzenie będzie dla pana zadowalające.

Nick odetchnął z wielką ulgą. Przez chwilę w oczach dziewczyny widział ten sam wyraz, jaki przybrały w tamtym kościele – i zbyt ją lubił, aby nie wzdrygać się na myśl, że to on mógłby wywołać to spojrzenie. Ale wziąć po panu Buttlesie tylko posadę: właściwie dlaczego nie?

– Biedny pan Buttles! – szepnął, aby zyskać na czasie.

– Cóż... – odparła – pan nie będzie miał tych samych powodów co on, by rzucić tę robotę. Był męczennikiem, poległ w obronie swych artystycznych przekonań.

Nick zerknął na nią ukradkiem. Zastanawiał się. W końcu dziewczyna nic nie wiedziała o jego spotkaniu z panem Buttlesem; być może nawet nie zdawała sobie sprawy z beznadziejnego uczucia, którym pałał do niej ekssekretarz. W każdym razie jej twarz cały czas była niewzruszona.

– Niech pan to chociaż rozważy! Przynajmniej na kilka miesięcy... Do powrotu z wyprawy do Mezopotamii? – nalegała.

– Jest pani strasznie dobra... Ale nie wiem...

Nagle podniosła się.

– Nie musi się pan od razu deklarować. Niech pan się nad tym trochę zastanowi... –

Następnie dodała: – Ojciec prosił, abym pana zapytała.

Zdawał sobie sprawę, że odpowiada bardzo nieudolnie.

– Ta propozycja jest, rzecz jasna, niezwykle kusząca. Ale z decyzją muszę w każdym razie poczekać... na listy. Prawda jest taka, że z Rodos będę musiał po nie zatelegrafować. Na kilka tygodni porzuciłem wszystko, nawet wszelką korespondencję.

– Cóż, jest pan zmęczony – szepnęła, rzuciła mu z góry ostatnie spojrzenie, odwróciła się i odeszła.

Z Rodos Nick Lansing wysłał depeszę do paryskiego banku, aby wszelką korespondencję do niego przesłano do Heraklionu. Kiedy jednak „Ibis” tam dobił i wniesiono na pokład pocztę, w grubej zaadresowanej do niego kopercie nie było żadnego listu od Susy.

No i w sumie dlaczego miałby być, skoro on do niej jeszcze nie napisał?

Nie napisał, podał jednak swój adres bankowi, a więc dał jej możliwość skontaktowania się, jeśliby chciała. A ona nie dała znaku życia.

Późnym popołudniem, gdy wrócili z pierwszej wyprawy po okolicy, na stoliku pokładowym leżał plik gazet. Nick podniósł jeden z londyńskich dzienników i rzucił okiem na listę wydarzeń towarzyskich.

Przeczytał:

„Wśród gości oczekiwanych w przyszłym tygodniu w zamku Ruan (wynajętym na ten sezon panu Frederickowi J. Gillowowi z Nowego Jorku) jest książę Altineri z Rzymu, earl Altringham oraz pani Nicholasowa Lansing, która w zeszłym tygodniu przyjechała do Londynu z Paryża”.

Nick odrzucił gazetę. Za ledwie miesiąc temu opuścił Palazzo Vanderlyn i wskoczył w ekspres do Mediolanu. Aż miesiąc – a Susy nie napisała ani słowa. Tylko miesiąc – a Susy i Strefford już są razem!

Rozdział 17

Susy postanowiła poczekać na Strefforda w Londynie.

Świeżo upieczony lord Altringham spędzał czas z rodziną na północy Anglii. Po przyjeździe Susy zastała depeszę, że Charlie stawia się w Londynie w następnym tygodniu, miała więc przed sobą wiele dni do zapelnienia.

Londyn był akurat istnym pustkowiem. Bez przerwy padało. W obskurnym rodzinnym hoteliku, który – nawet poza sezonem – był jedynym miejscem, na jakie ją było stać, Susy wreszcie znalazła samotność.

Od chwili, kiedy plan Violet Melrose w sprawie potomstwa Fulmerów spalił na panewce, jej zainteresowanie Susy widocznie osłabło. Dawno temu Susy Branch często dane było odczuć to nagłe ochłodzenie relacji ze strony tymczasowej gospodyni. Wówczas bardzo często – o! jak strasznie często! – ulegała i wykonywała żadaną od niej przysługę, lękając się konsekwencji oziębienia towarzyskich relacji. Przynajmniej do tego, chwała Bogu, nigdy nie będzie już się musiała zniżyć.

Kiedy jednak pospiesznie pakowała manatki w Wersalu, wręczyła stosowny napiwek pani Match i pożegnała się z Violet (która widząc, że gość bezpiecznie rusza na dworzec, stała się nagle wylewna i pełna oddania) – kiedy więc Susy znów odgrywała dobrze znaną pantomimę przymusowego wyjazdu, ogarnęło ją tak głębokie obrzydzenie wobec życia pełnego prowizorycznych rozwiązań i „załatwiania”, że nawet gdyby w tej właśnie chwili stanął przed nią Nick z wyciągniętymi ramionami, nie była pewna, czy odważyłaby się w nie rzucić.

W samotności Londynu jej pragnienie niezależności jeszcze wzrosło. Miała na myśli, rzecz jasna, niezależność i wygodę. Och, to jej okropne, beznadziejne umiłowanie piękna... Zawsze stanowiło jej przekleństwo; błogosławieństwem byłoby tylko, gdyby dysponowała środkami, by je zaspokoić i wyrażać! A tak owocowało jedynie chorobliwym obrzydzeniem wobec tego odrażającego hotelowego pokoiku skąpanego w żółtym deszczowym świetle, tego wpływającego przez okno smrodu sadzy i gotowanej kapusty, poobdzieranej tapety, zakurzonych woskowanych bukietów pod szklanymi kloszami, elektryki tak przemyślnie zmajstrowanej, że kiedy włączało się mizerną kulę wiszącą pośrodku sufitu, gasła jeszcze słabiej świecąca lampka przy łóżku!

W jakże sztucznym i udawanym świetle spędzili z Nickiem te pierwsze wspólne miesiące! Żadne z nich nie miało prawa do tych wykwintnych scenerii dobrobytu: ani do skrytej wśród kamelii i cyprysów białej willi nad jeziorem, ani do pięknych sal na Giudecce, gdzie na pokrytych freskami sufitach zawsze odbijało się migotanie kanału! A przecież w obu przypadkach uwierzyła, wyobrażała sobie, że naprawdę należą właśnie do nich, że zawsze już będą tak sobie żyli we dwoje, czule i nienagannie, w otoczeniu cudzych bogactw... I to właśnie było przekleństwem jej umiłowania piękna: zawsze przyzwyczajała się do niego, jak gdyby przynależało do niej!

Cóż, rozczarowanie było nieuniknione. Może nawet lepiej, że przyszło tak wcześnie. W każdym razie na nic nie mogło się zdać wracanie myślami do ich rozbitego rajy głupców. Tylko o czym innym miała rozmyślać, czekając na przyjazd Strefforda?

O ich wspólnej przeszłości?

Ale przecież jej przebieg знаła na pamięć! Całe życie spędziła wśród bogatych i modnych, doskonale znała więc każdy szczegół uprząży trzymającej zamożne i modne małżeństwo. Już dawno wyliczyła, ile w garderobie przyszłej hrabiny Altringham musi znajdować się sukni wieczorowych, ile popołudniowych, a ile koronkowej bielizny. Zdecydowała

nawet, u kogo jasnie pani powinna uszyć sobie wymarzony płaszcz z szynszyli, długi aż do pięt, koniecznie miększy, obfitszy, znacznie wytworniejszy i bardziej ekstrawagancki niż futra Violet czy Ursuli... Nie wspominając już o srebrnych lisach i sobolach... Ani o klejnotach rodowych Altringhamów...

To wszystko знаła na pamięć, to wszystko wiedziała od zawsze. Z tego składało się eleganckie życie: to dla niej nic nowego. Nowością była ta krótka przerwa, wychnienie u boku Nicka – życie wiedzione w doprawdy nierzeczywistej scenerii, a przecież jakże prawdziwe w liczących się kwestiach. Była to jedyna namiastka prawdy, jaką dane jej było poznać. Gdy teraz o tym myślała, zrozumiała, ile jej to wszystko dało poza złotym rumieńcem szczęścia, poza nagłym rozkwitem zmysłowej radości serca i ciała. Tak – bo przecież rzeczywiście coś w niej rozkwitło, urodziło się w bólach mocnych niczym męki porodowe. Coś poważniejszego, mocniejszego; coś, co zapowiadało jakąś nadciągającą siłę. Z początku, podczas pierwszych uniesień nie zważała na to, później jednak to coś zawsze wracało, władało jej zastygłą duszą nawet podczas upadków. Było to głębokie, niepokojące przecucie, że nauczyła się czegoś i od Nicka, i od samej miłości, a równocześnie to coś wykraczało ponad miłość, ponad Nicka.

Jej nerwy rozdrażniał nieustający stukot – bębnienie deszczu o brudne okiennice – oraz odór kapusty i węgla, który docierał do pokoju nawet po zamknięciu okna, przez szparę pod drzwiami. Czarę goryczy przelał właśnie ten przyprawiający o mdłości przedsmak obiadu, na który niedługo musiała zejść. Przywołał wizję zawilgłej jadalni, brudnego smyrneńskiego dywanu, deszczu stukającego o okno dachowe, niemrawej kelnerki rozdającej strawę smakującą, jakby ktoś do niej dolał tego deszczu. Naprawdę nie powinna pozwalać, aby takie byle materialne cierpienia pogłębiały jej przygnębienie...

Susy wstała, założyła kapelusz, płaszcz, a następnie wezwała taksówkę i udała się do londyńskiej filii hotelu Nouveau Luxe. Była dopiero pierwsza, na pewno więc dało się tam akurat zjeść obiad – Londyn może i był wyludniony, ten lokal jednak z pewnością nie. Nigdy nie pustoszał. Po dusznych, wybitych aksamitem korytarzach i wielkiej, pachnącej, zdobionej kwiatami jadalni zawsze snuły się tłumy bogaczy bez życiowego celu – tych wiecznie zajętych ludzi, którzy wykonują to jakże żmudne zajęcie: nie mając absolutnie nic do roboty, , nieustannie przemieszczają się z jednego końca świata na drugi.

Och, jakże podobne do siebie i nudne były ich twarze – oblicza dobrze znajome, nawet jeśli osobiście nie znało się konkretnej osoby! Na ich widok Suzy ogarnęła nowa fala obrzydzenia: dziewczyna zawahała się, obróciła na pięcie i ruszyła do ucieczki. Na progu jednak napotkała postać bardziej znajomą: damę odzianą w przesadnie wytworne perły i sobole, która właśnie wysiadała z przesadnie wytwornego auta, takiego prosto z obrazków reklamowych, gigantycznej arki, w której na jakimś alpejskim szczycie obwieszone klejnotami piękności w towarzystwie zgrabnych młodzieńców przystają na chwilę, by spojrzeć na ośnieżone góry.

Była to Ursula Gillow – kochana Ursula – w drodze do Szkocji. Kobiety rzuciły się sobie w ramiona. Okazało się, że przez opieszałość krawcowej musiała zostać w Londynie do następnego wieczoru i tak jak Susy nie miała co ze sobą zrobić: próbowała jakoś zagospodarować czas. Chwilę potem obie panie siedziały już nad wybornymi przystawkami, czekając na obiad, co do którego naczelnny kelner z całą powagą obwieścił pani Gillow, by ta „jak zwykle zdała się na niego”.

Ursula była w wyśmienitym nastroju. Nie zdarzało się to często – ale kiedy już się zdarzyło, jej szczodrość i życzliwość nie znała granic.

Tak jak pani Melrose – prawdę mówiąc, jak cały ten szczepek – była zbyt zaabsorbowana własnymi sprawami, by kłopotać się cudzymi. Mimo to niezwykle ucieszyło ją spotkanie Susy: przedstawiciele jej wędrownego gatunku zwykle radowali się na widok innych wędrowców, o ile

oczywiście nie krzyżowało im to innych, bardziej wyszukanych planów. Przede wszystkim chodziło o to, aby nie być samej; toteż Ursula, która spędziła samotnie aż dwie londyńskie doby, natychmiast wymusiła na przyjaciółce obietnicę, że przez resztę dnia się nie rozstaną. Kiedy już jednak postawiła na swoim, jej myśli znów skupiły się na jej własnych sprawach i – nad kolejnymi daniami świadczącymi o pierwszorzędnym guście naczelnego kelnera – zaczęła zalewać Susy zwierzeniami.

Wynurzenia Ursuli zawsze brzmiały tak samo, choć zazwyczaj dotyczyły coraz to innych osób. Zrównywała z ziemią i odbudowywała swe życie uczuciowe równie często i impulsywnie, co zmieniała krawcowe, odnawiała wystrój licznych bawialni, zamawiała nowe auta, oprawiała na nowo klejnoty – po prostu tak, jak nieustannie i gwałtownie odnawiała całe swoje życie. Susy już z góry wiedziała, co usłyszy; jednak wysłuchiwanie tych opowieści nad przepyszną kawą, z perfumowaną bursztynem cygaretką w ustach, było przyjemniejsze niż samotne spożywanie zimnej baraniny w zatęchłej hotelowej jadalni. Sam kontrast działał na nią tak kojąco, że nawet udało się Susy wykrzesać z siebie lekkie zainteresowanie opowieścią przyjaciółki.

Po posiłku wsiadły do auta i rozpoczęły systematyczną rundę po sklepach West Endu: odwiedziły kuźnierzy, jubilerów i antykwariuszy handlujących starymi meblami. Było to skrajnie różne od długich, niepewnych sesji Violet Melrose, która długo wahała się przed stosami rzeczy, w jej mniemaniu koniecznie potrzebnych, a zanim się na coś zdecydowała, miały kolejne stulecia. Ursula rzucała się na futra z lisów i starożytne bibeloty z laki równie szybko i zdecydowanie jak na obiekty swych wybujałych afektów – od razu wiedziała, czego chce, a w dodatku ceniła to tym bardziej, im szybciej udawało jej się dopaść zdobyczy.

– A teraz... Czy mogłabyś mi, proszę, pomóc wybrać fortepian? – spytała, gdy uklonił się im już ostatni antykwariusz.

– Fortepian?

– Tak, do Ruan. Zamierzam go tam wysłać specjalnie dla Grace Fulmer. Przyjeżdża z wizytą... Nie mówiłam ci? Chcę, żeby ją ludzie usłyszeli, by ją prosili po całutkim Londynie. Moja droga, przecież Grace to prawdziwy geniusz.

– Geniusz? Grace? – zdziwiła się Susy. – Myślałam, że to Nat jest genialny...

– Nat? Nat Fulmer? – Ursula zaśmiała się drwiąco. – Ach, rozumiem. Przecież mieszkałaś u tej nielotnej Violet! Biedaczka całkiem straciła dla Nata głowę... Aż żal człowieka bierze. Nie przeczę, że facet ma talent... W końcu ja to wiedziałam na długo, zanim Violet w ogóle o nim usłyszała. Już zeszłej zimy, na wernisażu Wystawy Amerykańskich Artystów, stanęłam przed *Wiosenną śnieżycą* (której nikt do tej pory nawet nie zauważył) i powiedziałam towarzyszącemu mi księciu: „Ten człowiek ma talent!”. Ale żeby tak od razu geniusz? Genialna to jest jego żona! Słyszałaś kiedyś, jak ona gra na skrzypcach? Biedna Violet, jak zawsze czepia się nie tego, czego trzeba. Ja także obstałowałam u niego domek ogrodowy, o tym na pewno Violet ci wspominała, bo po prostu chciałam mu trochę dopomóc. Ale moim wielkim odkryciem jest właśnie Grace i nie spocznę, póki jej nie rozślawię, nim nie przekonam wszystkich, że z tej pary prawdziwym geniuszem jest właśnie ona. Powiedziałam jej, że musi koniecznie przyjechać do Ruan, że sprowadzę jej najlepszego możliwego akompaniatora. Wiesz, biednego Nerone tak strasznie nużą wszelkie sporty, choć oczywiście pójdzie sobie czasem postrzelać. A bez odrobiny sztuki wieczorami... Ach, Susy! Jak to nie wiesz, jak się wybiera fortepian? Myślałam, że uwielbiasz muzykę!

„Uwielbiam, ale w ogóle się na niej nie znam... Tak jak my wszyscy w tym naszym głupim towarzystwie uwielbiamy wszystko, co wartościowe...” – stwierdziła Susy, ale rzecz jasna tego nie powiedziała. Dzielenie się z Ursulą takimi spostrzeżeniami nie miało sensu.

Na głos natomiast zapytała:

– Ale czy jesteś pewna, że Grace przyjedzie?

– Bez dwóch zdań. Dlaczegoż by nie? Wczoraj wysłałam jej depeszę. Płacę tysiąc dolarów i pokrywam wszelkie koszty.

Dopiero gdy piły herbatę w herbaciarni przy Piccadilly, pani Gillow zaczęła wykazywać jakiegokolwiek zainteresowanie planami Susy. Nagle myśl, że mogłaby stracić jej towarzystwo, wydała się nie do zniesienia. Książę, który nie widział powodu, by poza sezonem bywać w Londynie, bawił już w Ruan, a Ursula nie mogła znieść kolejnego wieczoru i dnia w samotności.

– Ale, ale, kochana... Co ty właściwie tutaj robisz? Nie pamiętam, czy cię o to w ogóle pytałam – rzekła, opierając ostre łokcie na stoliku i odpalając cygaretkę od przyjaciółki.

Susy zawahała się. Brała pod uwagę, że wkrótce będzie musiała jakoś wyjaśnić swoje położenie. Dlaczego nie zacząć od Ursuli?

Ale co właściwie ma jej powiedzieć?

Pani Gillow widocznie wzięła milczenie za pretensję, więc pełna wyrzutów sumienia drażnyła:

– A Nick? Czy jest tu z tobą? Co u niego? Myślałam, że dalej pomieszkujecie w Wenecji u Ellie Vanderlyn.

– Spędziliśmy tam kilka tygodni. – Susy starała się zachować opanowanie. – Było cudownie. Ale teraz znowu się rozdzieliliśmy... na chwilę.

Pani Gillow przyjrzała się jej nieco baczniej.

– A więc jesteś tu sama, całkiem sama?

– Tak. Nick pływa ze znajomymi po Morzu Śródziemnym.

Bezmyślne zazwyczaj spojrzenie Ursuli nagle stało się wyjątkowo przenikliwe.

– Ależ Susy, kochana! Skoro jesteś sama i chwilowo bez niczego do roboty...

Susy się uśmiechnęła.

– Cóż, tego nie jestem pewna.

– Ależ... Tak... Kochana, pojedziesz z nami do Ruan! Przecież Fred was już wcześniej zapraszał, prawda? Mówił mi, żeście oboje odmówili. Strasznie był niezadowolony z tego powodu, ale to zrozumiałe, skoro Nick miał inne plany. Teraz byśmy go nie zmieścili, bo nie ma już miejsca na kolejną strzelbę; ale skoro jego tu nie ma, a ty jesteś wolna, no to, kochana... Sama wiesz, jak bardzo miło będzie nam cię ugościć, prawda? Fred będzie wniebowzięty... Niebotycznie wniebowzięty... Ale ty oczywiście nic sobie nie robisz z jego zalotów, prawda? I jakżeś by mi mogła pomóc! Może to cię zachęci! W domiszczu sami faceci, co wieczór różni ludzie tłumnie zwalają mi się na kolację... Freda zajmuje tylko sport, Nerone natomiast sportu nienawidzi i tylko na okrągło drwi, a ja nie mam ani minutki dla siebie, zupełnie nie mam czasu, by zadbać o niego... Och, Susy... skarbie! Nie odmawiaj, zaklinam cię! Tylko jeden telefon, zaraz zarezerwuję ci miejsce na jutro w pociągu!

Susy rozparła się wygodnie i pozwoliła, aby na cygaretkę wydłużyła się końcówka popiołu. Jakże znajomo, jakże ohydnie znajomo brzmiała ta prośba! Ursula po prostu nagle potrzebowała, aby przez kilka tygodni ktoś poflirtował z Fredem... I akurat spotkała osobę, która się do tego nadawała jak ulał! Susy wzdrygnęła się na samą myśl. Tak naprawdę nigdy nie zamierzała pojechać do Ruan. Po prostu użyła wrzosowiska za pretekst, kiedy Violet Melrose usiłowała zrobić ją w zajmowanie się dziećmi Grace i Nata. Zamiast spełnić prośbę Ursuli, Susy wolała pożyczyć kilkaset funtów od Strefforda, co sam jej proponował, a potem poszukać jakiegoś chwilowego zajęcia do czasu...

Aż zostanie lady Altringham? Cóż, niewykluczone. W każdym razie nie wróci już w niewolę do Ursuli.

Pokręciła głową, uśmiechając się lekko.

– Tak mi przykro, Ursulo. Oczywiście z ogromną radością bym ci pomogła...

W oczach pani Gillow odmalował się wyrzut.

– No ja myślę... – mruknęła.

Susy spojrziała w ich otchłań i dojrzała długi ciąg oddanych jej przysług. Ursula nie miała w zwyczaju zapominać takich rachunków i zawsze wiedziała, kiedy kto był komu coś winien.

Susy zaczęła się wahać: przypomniała sobie, ile pełnych ekstazy tygodni zawdzięczała ślubnemu czekowi od Gillowów, bolało ją, że mogłaby wyjść na niewdzięcznicę.

– Gdybym tylko mogła... Naprawdę, Ursulo... Tylko że obecnie wcale nie jestem wolna... – Urwała, po czym podjęła decyzję. – Prawda jest taka, że akurat czekam na Strefforda.

– Na Strefforda? Lorda Altringhama? – Ursula zrobiła wielkie oczy. – Ach tak, pamiętam przecież. Rzeczywiście, ogromnie się kiedyś przyjaźniliście... – Próbowała się skupić, zebrać błądzącą uwagę... Skoro Susy czeka na lorda Altringhama... A on jest jednym z najbogatszych ludzi w całej Anglii... Nagle Ursula otworzyła złotą nicianą torebkę i wyłowiła z niej malusieńki kalendarzyk.

– Poczekaj chwilę... No właśnie! To już w przyszłym tygodniu! Wiedziałam! Przecież właśnie w przyszłym tygodniu Altringham przyjeżdża do nas do Ruan! Och, kochana, a więc wszystko w porządku! Natychmiast wyślesz do niego depeszę, jutro ze mną pojedziesz i spotkasz się z nim tam, a nie tu, na tym wstrętnym, mokrym odludziu... Och, Susy! Gdybyś ty tylko wiedziała, jakie ja mam w tej Szkocji ciężkie życie pomiędzy księciem a Fredem, nie potrafiłabyś odmówić!

Susy wciąż się wahała. Jeśli jednak Strefford rzeczywiście wybierał się do Ruan, to w sumie dłużej by nie spotkać się z nim właśnie tam, w przyjemnej i swobodnej atmosferze, zamiast snuć się z nim przez cały szary dzień po mokrych londyńskich ulicach czy przekrzykiwać się przez dźwięki restauracyjnej orkiestry? Wiedziała, że nie da się go namówić, aby odłożył wizytę w Ruan i został z nią w Londynie: nie miał w zwyczaju aż tak się poświęcać, a teraz – kiedy już całkowicie i niezaprzeczalnie mógł robić tylko to, na co miał ochotę – było to tym mniej prawdopodobne.

Wtedy właśnie po raz pierwszy w pełni zrozumiała, jak bardzo odmienił się los przyjaciela. Teraz, rzecz jasna, wszystkie jego dni, a wręcz godziny były zagospodarowane z dużym wyprzedzeniem: zalewały go zaproszenia, naciskano, by skorzystał z wszelakich okazji, w licznych propozycjach mógł przebierać do woli... A kobiety! Dotychczas w ogóle nie pomyślała o kobietach. Obecnie jednak wszystkie angielskie panienki z pewnością marzą, by się za niego wydać, nie mówiąc już o jej przedsiębiorczych rodaczkach. Nie należało też zapomnieć o mężatkach – tych trzeba obawiać się najbardziej. Streffowi przez pewien czas może uda się uniknąć ożenku; choć Susy domyślała się, że będzie się na nim teraz próbowało wszelakich sił perswazji, że czekają go liczne naciski ze strony rodziny, przeróżne tradycje, z których niegdyś nieraz się naśmiewał, lecz – jak dobrze wiedziała – których nigdy sam tak naprawdę nie porzucił... Tak, nie należało zapominać o tych cichych, niewidzialnych kobietach: wdowie po nieboszczyku wuju, matce, niezamężnych siostrach... Całkiem możliwe, że przy odrobinie taktu i cierpliwości – a w takich okolicznościach nawet najgłupsza kobieta potrafi wykazać się taktem i cierpliwością – z czasem uda im się przekonać go, że odpowiedni ożenek to jego święty obowiązek, mogą mu podsunąć jakąś młodzietką ślicznotkę... Ale na razie – na razie główny problem stanowiły mężatki. One na pewno nie zamierzają czekać, już z pewnością zastawiają sidła! Susy wzdrygnęła się na samą myśl. Aż za dobrze wiedziała, na czym polega ta sztuczka, aż za często śledziła sinusoidy tych taktyk. Nie żeby w obecnych czasach były bardziej skomplikowane: zwykle wystarczył jeden nur i jeden potężny skok w odpowiednim momencie.

Jednak Susy dobrze znała wszelkie poprzedzające go podchody i fortele. Znała je – och! Aż za dobrze! Choć na razie, dzięki Bogu, nie musiała ich stosować na Streffie! Jego miłość miała na wyciągnięcie ręki: wszystko mówiło jej, że nieskorzystanie z podobnej okazji byłoby zwyczajną głupotą...

Być może. A jednak w tej kwestii wciąż się wahała. W każdym razie uznała, że teraz najlepszym wyjściem będzie poddanie się naciskom Ursuli. Lepiej spotkać się z nim w Ruan, w odpowiednim otoczeniu. Tam będzie miała czas, aby wy badać sytuację, przyjrzeć się czyhającym na niego zagrożeniom i w końcu zdecydować się, czy pisane jest jej uratować go od innych kobiet.

– W takim razie, jeśli sprawi ci to przyjemność...

– Ach! Prawdziwy z ciebie anioł, kochana! Tak się cieszę! Zaraz pójdziemy na najbliższą pocztę i od razu wyślemy mu depeszę!

Kiedy wsiadały do auta, pani Gillow błagalnie chwyciła Susy pod ramię.

– Ale pozwolisz, aby Fred się do ciebie troszeczkę pozalecał, prawda? Prawda, kochana?

Rozdział 18

– Ale zupełnie nie rozumiem – naciskała gorliwie Ellie Vanderlyn – dlaczego tak upieracie się, by poczekać na twój rozwód, zanim ogłosiscie zaręczyny! Zapewniam cię, ludzie już zaczynają tak robić... Zresztą tak jest najbezpieczniej!

W drodze z Sankt Moritz do Anglii pani Vanderlyn zatrzymała się w Paryżu, aby uzupełnić braki w garderobie, która zaledwie dwa miesiące wcześniej prawie rozsadziła tyle kufrów. Razem z innymi przybyłymi tłumnie ze wszystkich stron świata w tym samym celu paniami debatowała na temat „ludwiczkowych” apartamentów w hotelu Nouveau Luxe, przystrojonych różowymi świecami stolików w tamtejszej restauracji i ustalała, ile godzin należy spędzić na przymiarkach u krawcowych. Jako że było ich tak wiele, a każda równie gorączkowo chciała zdobyć to samo w tym samym czasie, wszystkie były podekscytowane, szczęśliwe i w swoim żywiole. Trwał właśnie najważniejszy okres roku: szczyt „sezonu krawieckiego”.

Na Susy Lansing natknęła się podczas otwarcia pewnego eleganckiego domu mody przy Rue de la Paix, gdzie całe rzędy wyczerpanych gorącem i wrażeniami kobiet godzinami wysiadywały w skupieniu i oglądały niekończący się pochód świetlistych zjaw odzianych w oszałamiające szaty, chwiejących się na obolałych nogach. Akurat podziwiała pewien iście królewski płaszcz z szynszyli, gdy nagle rozproszyło ją poczucie, że bacznie przygląda mu się jeszcze ktoś inny. Ku wielkiemu zaskoczeniu pani Vanderlyn tym pogrążonym we wnikliwej inspekcji futra kimś była Susy Lansing.

– Susy! Nie miałam pojęcia, że jesteś w Paryżu! W gazetach pisali, że bawisz u Gillowów! – Nastąpił obowiązkowy uścisk, a następnie Ellie, nie spuszczać z oczu wyjątkowego płaszcza znikającego właśnie z pola widzenia w rzece odpływających ruchomych manekinów, zapytała groźnie: – Kupujesz dla Ursuli? Wołałabym wiedzieć, jeśli planujesz zamówić dla niej to futro.

Susy uśmiechnęła się i chwilę zwlekała z odpowiedzią. Podczas tej pauzy przyglądała się wszelkim szczegółom wiecznie młodej postaci Ellie Vanderlyn, od przystrojonej piórami głowy po doskonały łuk jej skórzanych lakierków. W końcu jednak odrzekła cicho:

– Nie. Tak się składa, że dziś kupuję dla siebie.

– Dla siebie? Dla siebie? – powtórzyła pani Vanderlyn w oszołomieniu.

– Owszem. Tak dla odmiany – potwierdziła spokojnie Susy.

– Ale ten płaszcz... Ten płaszcz z szynszyli... Ten z gronostajową podszewką...

– Tak. Śliczny, prawda? Ale zamierzam się jeszcze trochę rozejrzeć przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Ach, Susy tak często słyszała to zdanie z ust przyjaciółek! Jakże wspaniale było teraz samej rzucać je tonem pogardliwego przesytu, a do tego widzieć zdziwienie odmalowujące się na twarzy Ellie! Susy coraz bardziej uzależniała się od tego typu rozrywek; bez nich jej dni, choć wypełnione po brzegi, ciągnęłyby się nie do wytrzymania. Dalej jednak bawiło ją chodzenie do znanych krawców, oglądanie przemykających modelek i to, że wszystkie psiapsiółki widziały, jak teraz wyniośle przygląda się najdroższemu strojom w całej procesji. Wiedziała, że za granicą chodziły już plotki o jej rozwodzie z Nickiem oraz o tym, że lord Altringham jest jej „wielce oddany”. Sama ani ich nie potwierdzała, ani nie dementowała. Po prostu pozwalała swobodnie nieść się fali luksusu będącej skutkiem tych pogłosek.

Minęły już trzy miesiące od wyjazdu Nicka z Palazzo Vanderlyn, Susy jednak wciąż nie napisała do męża – i on wciąż nie napisał do niej.

Tymczasem, mimo że starała się wypełniać każdą godzinę po brzegi, odnosiła wrażenie,

że kolejne dni ciągną się coraz to wolniej, że wrażenia, po których tyle sobie obiecywała, wcale jej nie bawią. Strefford należał już do niej: wiedziała, że ożeni się z nią, jak tylko wreszcie będzie wolna. W Ruan spędzili razem dziesięć dni, a następnie ruszyli we dwoje na południe autem, po drodze zwiedzając Altringham, w którym akurat nie było pogrążonej w żałobie rodziny.

Tam też się rozstali, a Susy – po złożeniu jeszcze kilku wizyt – wyjechała z Anglii i wróciła do Paryża, gdzie Strefford miał do niej rychło dołączyć. W ciągu tych kilku godzin w Altringham dał jej do zrozumienia, że poczeka na nią tyle, ile będzie trzeba. Przestała ją kłopotać wizja „innych kobiet”. Może dlatego teraz przyszłość wydawała jej się mniej ekscytująca, niż Susy się spodziewała. Czasem przypuszczała, że może po prostu przytłoczył ją widok jego gigantycznej rezydencji: gmach był za duży, zbyt dostojny, zbyt przypominał monumentalny pomnik wzniesiony na cześć terytorialnych tradycji i zobowiązań. Być może po prostu zbyt długo mieszkało w nim za dużo zbyt poważnych i rozważnych kobiet: z jakiegoś powodu nie mogła sobie wyobrazić, by w tej rezydencji mogło zapanować swobodne życie towarzyskie. A przecież tak się musiało prędzej czy później stać: nie była w stanie wyobrazić sobie ani Strefforda, ani siebie spędzających tam życie pełne ciężkich ziemiańskich obowiązków, urządzających nudne przyjęcia, zmuszających do wypełniania rodzinnych zobowiązań, jeżdżących co niedziela do kościoła i przewodniczących różnym lokalnym komitetom... Jaka szkoda, że nie mogli tego wszystkiego sprzedać i kupić małego domku nad Tamizą...

Mimo to wcale nie było jej przykro, że powszechnie wiadomo, że ma posiadanie całego Altringham na wyciągnięcie ręki. Chwilami zastanawiała się, czy i Nick już się dowiedział... Czy i do niego dotarły te plotki. Jeśli tak było, powinien wiedzieć, że to wszystko za sprawą jego listu. Napisał, co powinna zrobić, a ona tylko posłuchała tej rady.

W pierwszej chwili spotkanie z Ellie Vanderlyn było dla Susy szokiem; miała w końcu nadzieję, że nigdy już się nie zobaczą. Teraz jednak, kiedy były już razem, twarzą w twarz, Susy zdała sobie sprawę, jak bardzo otępiały wszelkie jej odczucia. Już po chwili przyzwyczała się do obecności Ellie tak samo, jak stopniowo przyzwyczajała się do wszystkiego i do wszystkich, którzy stanowili jej dawne życie. Po co robić tyle hałasu o nic? Z domu mody wyszły we dwie, odbyły absorbującą wizytę u nowo odkrytej modystki, a teraz raczyły się herbatą w saloniku apartamentu hotelu Nouveau Luxe.

Ellie była uparta niczym rozpuszczone dziecko i wróciła do kwestii szynszylowego płaszcza. Z wszystkich, które oglądała, tylko ten jeden choć trochę jej się podobał, a że żadne jej futro do niczego się już nie nadawało, sprawa była dość pilna... Ale jeśli Susy wybrała akurat ten model...

Susy rozparła się na poduchach, zmrużonymi oczyma przyglądała się drobnemu, skrupulatnie odrestauowanemu obliczu pani Vanderlyn, na którym malowała się ta sama dziecinna zażartość co podczas omawiania chwilowego następcy młodego Davenanta. Dziewczyna po raz kolejny stwierdziła, że w pełnym wrażeń życiu przyjaciółki każde jej zainteresowanie wydaje się równoważne.

– Oj, mój ty biedny zmarzluszkule! – zaśmiała się Susy. – Oczywiście, musisz się opatulić miłym, ciepłym zimowym płaszczykiem! Nie ma sprawy, wybiorę sobie jakiś inny.

– Och, kochana, już to widzę! Rzecz jasna osoba, dla której to zamawiasz, wcale nie musi się o tym dowiedzieć...

– Obawiam się, że tym razem nie możesz się tym pocieszać. Mówiłam już przecież, że zamawiałam z myślą o sobie! – Susy urwała, by móc w pełni delektować się zdziwieniem, które teraz tak pięknie malowało się na twarzy Ellie. Po chwili jednak zabawę przerwała niedająca się określić zmiana w obliczu przyjaciółki.

– Naprawdę, kochana? Nie wiedziałam, że znalazłaś kogoś...

Susy poczerwieniała. Ogarnęło ją przerażające poczucie wstydu. Że też Ellie miała czelność coś takiego pomyśleć... że ktokolwiek miałby czelność!

– Kto kupowałby mi szynszylowe futra? Dziękuję bardzo! – Nie wytrzymała. – Powinnam być ci chyba wdzięczna, że nie przyszło ci to do głowy jako pierwsza myśl! Przynajmniej przez przyzwoitą chwilę miałas wątpliwości... – Wstała, zaśmiała się i zaczęła krążyć po pokoju. W lustrze nad kominkiem zobaczyła odbicie swojej czerwonej ze złości twarzy oraz zakłopotanego oblicza pani Vanderlyn. Zwróciła się do przyjaciółki:

– Jeśli ty tak uważasz, to chyba wszyscy inni też... W takim razie chyba powinnam wyjaśnić. – Przerwała i prędko nabrała powietrza w płuca. – Widzisz, postanowiliśmy z Nickiem się rozstać... Prawdę mówiąc, już się rozstaliśmy. Stwierdził, że to wszystko było jednym wielkim błędem. Zapewne wkrótce sam się ożeni... A ja niedługo znów wyjdę za mąż.

Rzuciła to wyznanie bez tchu, ze strachu, że Ellie Vanderlyn mogła choć chwilę dłużej podejrzewać istnienie innego wytłumaczenia. Nie chciała mówić aż tak wprost, ale gdy słowo się rzekło, wcale nie żałowała. W końcu ludzie wkrótce zaczną się zastanawiać, dlaczego Susy znów samotnie błąka się po świecie. A skoro stało się to w wyniku decyzji Nicka, dlaczegoż by nie miała się przyznać? Znów wróciła myślami do tych palących mąk ostatnich godzin spędzonych w Wenecji i stwierdziła, że przecież nie była nic dłużna temu, kto ją na nie skazał.

Ellie Vanderlyn spojrzała na nią w osłupieniu.

– Ty? Ty i Nick... rozstajecie się? – Nagle jakby doznała oświecenia: – Aaa... A więc dlatego odesłał mi szpilkę?

– Szpilkę?

– No, tę skromną, malutką przypinkę, którą dałam mu, wyjeżdżając z Wenecji. Prawie od razu ją odesłał, dołączył nawet strasznie enigmatyczną kartkę. Napisał tylko: „Uwierz, naprawdę na to nie zasłużyłem”. Głowiłam się i głowiłam, dlaczego jej nie chciał. Teraz rozumiem: pewnie dlatego, że się posprzeczałście; choć dalej nie rozumiem, dlaczego miałyby akurat mnie mieć coś za złe...

W Susy zawrzała krew. Nick odesłał tę feralną przypinkę! A ona, Susy, zachowała bransoletkę – zamknęła, ukryła z pola widzenia, gdy przy rozpakowywaniu trafiała na zawierające ją zawiniątko, cofała rękę – nigdy jednak, przenigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby ją oddać! Ciekawe, które z nich miało rację? Czy to, że Nick odesłał podarek biednej, zdezorientowanej Ellie, miała rozumieć jako pośredni afront wobec siebie samej? A może po prostu był to kolejny dowód na jego wyższą moralność? I jak w tym ich zdezorientowanym świecie rozpoznać, o co tak naprawdę chodziło?

– To nie dlatego, że się posprzeczałście. Nie pokłóciliśmy się... – rzekła powoli, czując nagłe pragnienie, by chronić swoją i Nicka prywatność, ażeby osłonić przed cudzym ciekawskim spojrzeniem tę gorzką, ostatnią wspólnie spędzoną godzinę. – Po prostu uznaliśmy, że skoro oboje jesteśmy biedakami, nasz eksperyment z góry skazany był na porażkę...

– Ach tak... My wszyscy oczywiście też tak uważaliśmy. No proszę! A teraz ktoś inny chce się z tobą ożenić! A więc wybierałaś to futro na wyprawę? – zawołała Ellie z niedowierzaniem, po czym rzuciła się niechętniej Susy na szyję. – Ależ z ciebie szczęściara! Szczęściara i spryciara! Ale kimże jest twój wybranek?

Właśnie wtedy Susy po raz pierwszy to powiedziała:

– Lord Altringham.

– Streff? A więc to Streff? Nasz kochany Streffy! I on chce się z tobą ożenić? – W miarę, jak ta wiadomość docierała do Ellie, jej myśli zaczęły nabierać cech dytyrambu. – Ale, najdroższa! Cóż za cud! Cóż za szczęśliwy przypadek losu! Ja oczywiście zawsze wiedziałam, że całkiem stracił dla ciebie głowę. Fred Davenant zawsze to powtarzał, pamiętam... A nawet

Nelson, który w tych sprawach jest wyjątkowo mało spostrzegawczy, zauważył w Wenecji... Ale wtedy to było co innego. Wtedy nikomu by nawet na myśl nie przyszło, że można chcieć się za niego wydać. Teraz to co innego, teraz każda go zechce. Susy, skarbie... Rób co w twojej mocy, nie możesz przegapić takiej okazji! Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie paskudne sieci się rozsnują, jakie knowania i intrygi, żeby go usidlić... Ze wszystkich stron, nawet z tych, których byś o to nigdy nie podejrzewała! Nawet nie wiesz, do jakich podłości zdolne są kobiety... Także młodziutkie dziewczęta! – Na samą myśl wzdrygnęła się i gwałtownie chwyciła Susy za rękę. – Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego koniecznie musicie czekać na twój rozwód, aż ogłosicie zaręczyny! Zapewniam cię, ludzie już zaczynają tak robić... Tak jest najbezpieczniej!

Susy patrzyła na nią w zadziwieniu. Ani słowa współczucia na wieść o końcu krótkiego szczęścia, ani krzty ciekawości co do przyczyny! Zapewne Ellie Vanderlyn i pozostali znajomi dawno już „wyliczyli” krótkotrwałość jej marzeń, a nawet, być może, zaplanowali jej dalsze losy, zanim sama przewidziała zmierzch szczęścia z Nickiem. Jako nowożeńcy spędzili większą część wspólnych tygodni pod dachem Ellie Vanderlyn – ale widocznie dla niej znaczyło to tyle co jej własna trwająca w tym czasie eskapada z następcą młodego Davenanta, z tą – jak to Strefford określił, nie wyjawiając prawdziwego nazwiska Ellinego wybranka – „kanalią”. Jedyne, co pani Vanderlyn była w stanie stwierdzić, to że Susy wreszcie udało się złapać okazję – i to świetną. Tym samym Ellie wykazała się zimną kalkulacją, która wykraczała ponad pełną uśmiezków perfidię większości przedstawicieli tego gatunku. Teraz przynajmniej jej porady były szczerze... Być może nawet mądre. Właściwie dlaczego Susy miałyby ukrywać, że jak tylko załatwi wszystkie „formalności”, zamierza wyjść za Strefforda?

Nie odpowiedziała od razu na pytanie przyjaciółki, która powtórzyła je i dodała z niecierpliwością:

– Zupełnie tego nie rozumiem... Jeśli Nick się zgadza...

– O tak, zgadza się – zapewniła Susy.

– A więc na co jeszcze czekasz? Ach, Susy! Idź za moim przykładem!

– Twoim przykładem? – Susy urwała, nie rozumiejąc, co to wszystko znaczy. W głosie i minie przyjaciółki uderzyło ją lekkie zawstydzenie, coś figlarnego, lecz równocześnie na wpół przepraszającego. – Twoim przykładem? – powtórzyła. – Och, Ellie! O co ci chodzi? Chyba nie chcesz odejść od biednego Nelsona?

Pani Vanderlyn przyjęła pełne wyrzutu spojrzenie Susy z kryształowo niewinną miną.

– Nie chcę, Bóg mi świadkiem! Biedny Nelson! Zapewniam cię, strasznie to dla mnie przykre. Zawsze był taki oddany Clarissie... A poza tym tak już do siebie przywykliśmy... Ale co innego mogę począć? Algie jest taki bogaty, tak odrażająco bogaty, że muszę cały czas uważać i odganiać od niego inne... To jest po prostu zbyt męczące...

– Jaki Algie?

Pani Vanderlyn uniosła w zdziwieniu piękne brwi.

– No Algie! Algie Bockheimer. Nie wiedziałaś? Przecież mówiłaś, że byłaś na kolacji u jego rodziców. Bockheimerowie to najbogatsza rodzina na świecie, a Algie jest jedynakiem. Tak, to z nim... To z nim na wiosnę byłam tak przerażająco szczęśliwa... A teraz śmiertelnie się boję, że go stracę. Zapewniam cię: małżeństwo to jedyny sposób, aby zatrzymać przy sobie tych obrzydliwych bogaczy!

Susy zerwała się na równe nogi. Przeszedł ją dreszcz obrzydzenia. Przypomniała sobie... Rzeczywiście, poznała Algiego Bock-heimera na jednym z pierwszych przyjęć urządzonych przez jego rodziców w ich nowych marmurowych komnatach przy Piątej Alei. Przypomniała sobie jego zbyt nieskazitelny strój, jego małą, błyszczącą, chytrą twarzyczkę. Popatrzyła na Ellie z nagłą pogardą.

– Jesteś odrażająca!

Na idealnej twarzyczce jej rozmówczyni odmalowało się oburzone zdziwienie.

– Od-ra-ża-ją-ca? Od-ra-ża-ją-ca? Ależ, Susy!

– Właśnie tak! Pomyśl o Nelsonie... O Clarissie... O waszej przeszłości... Jesteście przecież tacy bogaci, macie, ile dusza zapagnie. Jak można chcieć więcej? I do tego akurat z nim... To odrażające!

Ellie wstała, drżąc na całym ciele. Nie była przyzwyczajona do takich scen, scysje wzburzały jej oblicze i myśli.

– Ależ jesteś okrutna, Susy! Taka okrutna! Taka podła! Nie wiem, co można na coś takiego odpowiedzieć... – wykrztusiła. – Ale ty po prostu nie masz pojęcia, o czym mówisz. Jak gdyby ktokolwiek mógł mieć tyle pieniędzy, aby nie chcieć więcej! – Ostrożnie wytarła chusteczką obrysowane czarną kreską oczy, przejrzała się w lustrze, po czym dodała łaskawie: – Ale postaram się zapomnieć o tym, co przed chwilą powiedziałaś.

Rozdział 19

W piersi Susy Lansing rozgorzał taki sam sprzeciw, takie samo obrzydzenie poziomem moralnym i wartościami otaczających ją ludzi, jak wtedy, gdy była jeszcze bardzo młodą dziewczyną – to samo uczucie, które w końcu pchnęło ją do uczynienia szaleńczego kroku: wyjścia za Nicka.

Jak wytrzyma powrót do tego światka? Ma powtarzać za tymi ludźmi ich opinie? Jak może zniżyć się do popularnych wśród nich sądów? Niestety jedyną ucieczką przed koniecznością podporządkowania się zasadom tego środowiska było wyjście za męża zgodnie z panującymi w nim zasadami. Może właśnie to samo rozumowanie kierowało Nickiem? Może po prostu on pierwszy zrozumiał, że aby uzyskać moralną wolność, oboje musieliby pozbyć się trosk natury materialnej? Być może...

Po rozmowie z Ellie Vanderlyn Susy czuła się niezwykle przygnębiona i upokorzona, prawie drżała na myśl o czekającym ją następnego dnia spotkaniu z Altringhamem. Wiedziała, że specjalnie przyjeżdżał do Paryża, by uzyskać ostateczną odpowiedź; że będzie ze ślubem czekał tyle, ile będzie konieczne, pod warunkiem, że Susy zgodzi się natychmiast podjąć kroki w celu uzyskania rozwodu. Mieszkała w skromnym hotelu położonym w dzielnicy Faubourg Saint-Germain i po raz kolejny odrzuciła propozycję zjedzenia w restauracji hotelu Nouveau Luxe czy w którejś z modnych restauracyjek na Bulwarach. Tak jak poprzednio nalegała, aby poszli do mniej uczęszczanego miejsca niedaleko Ogrodu Luksemburskiego, gdzie ceny były na tyle umiarkowane, że nawet ją było na to stać.

– Zupełnie nie rozumiem – narzekał Strefford, kiedy kierowali się spod jej hotelu do restauracji na odludziu – dlaczego upierasz się, bym źle jadał, i do tego pozbawiasz mnie przyjemności bycia widzianym z tobą. Dlaczego musimy tak potwornie się ukrywać? Przecież teraz już chyba wszyscy wiedzą, że się pobierzemy!

Susy skrzywiła się lekko. Ciekawe, czy zawsze to będzie tak nienaturalnie brzmiało w jego ustach...

– Wcale nie! – zaśmiała się. – Na razie uważają, że po prostu obdarowujesz mnie perłami i szynszylami!

Strefford wesoło zmarszczył brwi.

– Cóż, obecnie nawet miałbym na to ogromną ochotę. Nie uważasz, że powinnaś to wykorzystać? Nie żebym nalegał... Ale obawiam się, że jestem tak potwornie bogaty, że prędzej czy później muszę zamienić się w dusigrosza.

Susy lekko wzruszyła ramionami.

– Obecnie nic nie jest mi bardziej przykre niż te perły, szynszyle czy cokolwiek, co drogie i powszechnie pożądane...

Nagle urwała i oblała się rumieńcem. Zdała sobie sprawę, że powiedziała dokładnie to, co powiedziałyby z pewnością wszystkie czyhające na niego kobiety (za wyjątkiem tych najmądrzejszych). On z pewnością będzie podejrzewał, że odgrywa konwencjonalną farsę bezinteresowności, czyli ostatnie, co mogło by mu schlebić, i na co z pewnością się nie nabierze.

Jego błyszczące oczy wodziły zaintrygowane po twarzy Susy, a ona spojrzała w nie i dodała z uśmiechem:

– Ale nie wyobrażaj sobie, że jeśli... jeśli się zgodzę... że to będzie wyłącznie zasługa twoich *beaux yeux*⁵...

Słyszac to, zaśmiał się, w jej odczuciu raczej oschle.

– Oj nie, jestem pewien, że akurat na to już nigdy nie będę narażony...

– Och, Streff... – Głos Susy złamał się, zaczęła odczuwać wyrzuty sumienia. Jakie to dziwne: dawno, dawno temu wiedziała dokładnie, co powiedzieć swemu chwilowemu mężczyźnie, ktokolwiek nim akurat był, co akurat potrzebował usłyszeć. Zdarzało się też – w trudnych przedślubnych czasach – że potrafiła z pamięci płynnie wyrecytować wystarczająco dużo teatralnych sentymentalizmów takich jak te, które wprawiły nieszczęsnego Freda Gillowa w stan oniemialej błogości. Od tego czasu jednak nauczyła się języka prawdziwej miłości, oglądała już świat przez jej pryzmat, jej rękami ofiarowała uściski. Teraz te tandetne sztuczki zawodziły ją, zdawała sobie sprawę, że pod przenikliwym i ironicznym spojrzeniem Strefforda potyka się i płacze, jakby robiła to pierwszy raz.

Doszli do mało stylowego celu podróży, Altringham otworzył drzwi i rozejrzał się.

– Wypchane po brzegi! Ani jednego wolnego stolika. I jak duszno! Może dadzą nam osobną salę... – zasugerował.

Zgodziła się. Poprowadzono ich krętą klatką schodową do komórki o niskim sklepieniu, oświetlanej przez półokrągłą górną część ogromnego okna, którego dolne szyby należały już do niższego piętra. Strefford otworzył je, a Susy rzuciła płaszcz na otomanę, po czym wychyliła się przez balkon, czekając, aż jej towarzysz złoży zamówienie.

Koniec końców cieszyła się, że są sami. Była tak pewna Strefforda, że niewdzięcznym wydawało się trzymać go dłużej w niepewności. Nadszedł moment na stanowczą rozmowę – niemożliwą do przeprowadzenia w zatłoczonych salach poniżej.

Kiedy po przyniesieniu pierwszego dania kelner wyszedł, Strefford nie próbował zwrócić rozmowy na osobiste tematy. Zamiast tego obrał najbliższy swemu sercu obszar, mianowicie grymasy i złośliwości komedii ludzkiej w wydaniu członków swej klasy. Zazwyczaj szydercze komentarze przyjaciela bardzo bawiły Susy, jako że Strefford raz po raz rzucał całkiem przenikliwymi spostrzeżeniami na temat przeróżnych towarzyskich wybryków, których tak często byli świadkami. Doprawdy, przecież to jedyna (poza Nickiem) osoba spośród jej grona znajomych, która należy do całego przedstawienia i równocześnie znajduje się poza nim. Jednak teraz, kiedy Susy go słuchała, zdziwiła się, jak mało interesują ją te ploteczki, jak mało bawią te złośliwości.

Podupała na duchu i stwierdziła, że najprawdopodobniej nic już jej nigdy nie będzie tak naprawdę bawić. Słuchając tego monologu, nagle zaczęła rozumieć, z czego wynika to rozczarowanie: Strefford tak naprawdę nie był w stanie żyć bez wszystkich tych osób, które przejrzał na wylot i wyśmiewał, te w sumie dość pospolite skandaliki, o których plotkował, rzeczywiście interesowały go nie mniej niż jego własne pikantne komentarze na ich temat. Ogarnął ją strach na myśl, że samo centrum bogato zdobionego życia lady Altringham będzie równie ubogie, równie nisko sklepione co ta mała izdebka, w której właśnie siedzieli – ramię w ramię, a równocześnie tak niezmiernie od siebie oddaleni.

Skoro nawet Strefford nie mógł się bez nich obyć, nie mogła bez nich żyć i ona, i Nick... Z jakże innych jednak powodów! Gdyby oni mieli takie jak Strefford możliwości... Och, jaki stworzyliby wówczas dla siebie wspaniały świat! Na nic się jednak zdały takie marzenia, zmusiła się więc do powrotu do najrzeczywistszej teraźniejszości. W końcu jako lady Altringham będzie w stanie zbudować to, o czym śniła z Nickiem... Tyle tylko, że będzie musiała zrobić to sama. Cóż... Tak widać musiało być. Takie jest prawo wszechrzeczy. Każda ludzka radość jest warunkowa i coś ją ogranicza. Widocznie jej szczęście musiało być szczęściem samotnym, skoro nie wystarczały jej dobra materialne, a równocześnie była od nich uzależniona bardziej niż na przykład Grace Fulmer. Zresztą nawet Grace poddała się propozycji Ursuli i zamiast jechać do Hiszpanii z mężem i Violet Melrose, przyjechała do Ruan tego dnia, którego Susy stamtąd wyjechała. Ale ona w końcu poświęcała się dla dzieci... Poza tym Susy podejrzewała, że Grace

nawet rezygnując z niezależności, ani trochę nie rezygnuje z siebie. A to doprawdy wielka różnica...

Nagle do Susy dotarł okrzyk Strefforda:

– Ależ ja cię nudzę!

Zdała sobie sprawę, że wcale go nie słuchała, dochodziły ją tylko zbląkane echa wspomnianych przez niego imion, nazwisk i miejsc – Violet Melrose, Ursula, księżę Altineri i inni z ich grona i rodzaju – które bez skutku dobijały się do jej zajętego własnymi myślami mózgu. Ale co on o nich opowiadał? Zwróciła się ku niemu, ich spojrzenia się spotkały. Jego oczy przybrały melancholijnie ironiczny wyraz.

– Susy, staruszek... Co ci jest?

Wzięła się w garść.

– Tak sobie po prostu myślę... że kiedy przed chwilą mówiłam, jak przykre jest mi samo napomknięcie o perłach i szynszylach... Jak mało prawdopodobne jest, abyś mi uwierzył. Mówiąc to, palnęłam straszną gafę.

Uśmiechnął się.

– Ponieważ to strasznie nieoryginalne, a wręcz identyczne z tym, co z pewnością powiedziałyby inne kobiety?

Zaśmiała się z samego faktu, że to zauważył.

„Pójdzie łatwiej, niż się obawiałam” – pomyślała. Na głos odrzekła:

– Och, Streffy! Jak ty mnie zawsze pięknie przejrzysz! Gdzie ja się przed tobą ukryję?

– Gdzie? – On też się zaśmiał i delikatnie położył dłoń na jej dłoni. – Obawiam się, że w moim sercu.

Mimo że mówiąc to, Streffy się śmiał, uderzył ją ton jego głosu. Było w nim coś, co wymazało z tego stwierdzenia wszelką prześmiewczość. Ugryzła się w język (a już miała na jego końcu kpiarski okrzyk: „A cóż to za walentynka?”). Nagle uświadomiła sobie, że jeśli on czuje lęk, i ona się lęka. Równocześnie bardzo ją to ujęło, prawie nie posiadała się z radości, zastanawiając się, czy jakkolwiek inna kobieta usłyszała kiedyś tę wyjątkowo głęboką nutę w piskliwym głosie jej przyjaciela. W tej chwili lubiła go jak nigdy wcześniej. Ogarnęło ją przedziwne poczucie oderwania, jak gdyby zapierając dech, oglądała wahania kogoś innego, kogo chciała i lękała się przekonać. Stwierdziła: „Teraz... jeśli teraz poprosi, to się zgodzę!”.

On jednak nic nie powiedział, tylko nagle – co wydało się Susy tak niespodziewane, jak gdyby urwała się z planety, której mieszkańcy zupełnie inaczej wyrażają sympatię – objął ją ramieniem i zbliżył swą gorliwą, paskudną, rozplywającą się twarz do jej twarzy...

Był to tylko leciutki dotyk – chwilę potem znów była wolna. Lecz wewnątrz Susy coś nie mogło złapać oddechu i opierało się jeszcze długo po tym, jak Streffy puścił ją, odsunął usta i zajął się zapalaniem papierosa oraz dosładzaniem kawy ze zbyt wystudiowaną swobodą.

Pocałował ją... Ale przecież to naturalne, dlaczegoż by nie miał jej pocałować? Nie pierwszy raz ją całowano. Co prawda zazwyczaj nie kojarzyło się Streffa z tego typu gestami. Susy jednak nie mogła tym tłumaczyć swojego zdziwienia, jako że już w Wenecji zauważyła, że spoglądał na nią trochę inaczej, że unikał jej dłoni w chwilach, w których wcześniej zwykł ich szukać.

Nie – naprawdę nie powinna być zaskoczona, a pocałunek nie powinien tak jej zaniepokoić. W końcu była to chwila z repertuaru Susy Branch, w odrzuconych zakamarkach jej pamięci tkwiło jeszcze dawne wspomnienie wielkiego, prostodusznego uścisku Freda Gillowa. Cóż... wówczas takie rzeczy zdawały się znaczyć nie więcej niż odgłos zgniecionego liścia podczas przechadzki po lesie.

Ale wtedy to wszystko było takie efemeryczne; należało do błahych i ogólnie przyjętych

elementów towarzyskiej farsy. Pocałunek Strefforda był tym, co pod sosnami w New Hampshire pocałunek Nicka w dniu, w którym zdecydowali się na wspólną przyszłość. I ten pocałunek miał w sobie coś z przyszłości; był niczym pierścionek nasunięty na jej duszę. A teraz, podczas tej przerażającej ciszy, która ogarnęła ich – kiedy Strefford szamotał się z papierośnicą i stukał łyżeczką po pustej filiżance – Susy przypomniała sobie, co zobaczyła wtedy przez obrączkę pocałunku Nicka: błękitną, bezkresną przestrzeń, która była równocześnie krajobrazem u ich stóp i przyszłością ich dusz...

Może to właśnie teraz widziały mocno zmrużone ślupia Strefforda, może rozciągała się teraz przed nim przestrzeń, którą ona straciła już na zawsze... Może myślał teraz to co Susy, kiedy jej usta odsuwały się od ust Nicka: „Przy każdym naszym pocałunku znów będę to widzieć...”. Tymczasem ona czuła tylko zapierające dech obrzydzenie na wspomnienie tego dotyku i jeszcze wyraźniej widziała obskurność pokoju, w którym teraz się znajdowali, oraz ich samych, tak sobie odległych, jak gdyby ten niedawny uścisk był gwałtownym odepchnięciem...

Chwila ta przeciągała się, a oni siedzieli jakby w otępieniu. Jak długo to trwało? Jak dawno temu pomyślała, że „pójdzie łatwiej, niż się obawiała”? Nagle dostrzegła dziwaczny uśmiezek Strefforda, w jego oczach dojrzała nie wyrzut czy rozczarowanie, lecz troskę i głębokie zrozumienie. Zamiast złościć się czy czuć urazę – zrozumiał i było mu jej żal!

Odruchowo chwyciła go za rękę i tak siedzieli, nic nie mówiąc przez kolejną chwilę. Następnie Strefford wstał i wziął z otomany płaszcz Susy.

– Idziemy? Mam bilety na prywatne zwiedzanie wystawy Reynoldsa w Petit Palais. Jest kilka portretów pożyczonych z Altringham, może to cię rozerwie.

Prowadząc lekką rozmowę w taksówce, miała czas zebrać myśli, a w końcu udało się jej odzyskać przyjacielską swobodę, którą zazwyczaj czuła w towarzystwie Charliego. Jak na kogoś, kto zwykł nie kryć się z tym, że ponad wszystko ma na celu własną przyjemność, Strefford okazał się niesłychanie delikatny i taktowny. A jeśli to czułe zachowanie było jedynie środkiem ku temu... Cóż, to tylko świadczyło o tym, jak mu na niej zależy, jak jego szczęście wiąże się z jej zadowoleniem. Nie mogła zaprzeczyć, że to poczucie pewnej władzy nad nim było bardzo przyjemne; jeszcze przyjemniej było czuć się naprawdę potrzebną, wiedzieć, że od tego, czy powie „tak”, czy „nie”, zależy szczęście siedzącego koło niej człowieka. Całkowicie oddała się temu uczuciu, puściła w niepamięć beznadziejny przerywnik w postaci jego czułości – przynajmniej wmawiała sobie, że z czasem o tym zapomni, że w końcu po co robić tyle hałasu o to, że pocałował ją ktoś, kogo przecież tak bardzo lubi...

W jednej chwili zgadła, dlaczego zabrał ją na oglądanie Reynoldsów. Modny i artystyczny paryski świątek dopiero niedawno odkrył malarstwo osiemnastowiecznej Anglii. Najważniejsze angielskie kolekcje użyczyły teraz najlepszych okazów z dorobku wielkiego portrecisty, a prywatne zwiedzanie wystawy w Petit Palais było czołowym wydarzeniem tego popołudnia. Każdy – każdy w mniemaniu Strefforda i Susy – musiał się tam pojawić. Wiedziała, że właśnie takie okazje wskrzeszają drzemiące zainteresowanie jej przyjaciela sztuką. On naprawdę lubił wernisaże tak samo jak wyścigi – o ile była pewność, że zobaczy się tam tyle samo osób. Jakże inaczej wyglądałoby to z Nickiem! Nick nienawidził otwarć i wernisaży, w ogóle nie lubił „światowej” atmosfery. Zwlekałby, aż odejdzie fala modnych oglądaczy, i we dwoje wymknęliby się oglądać obrazy jakiegoś ranka, kiedy mogliby mieć je wszystkie tylko dla siebie.

Susy jednak domyśliła się, że Strefford miał jeszcze inny powód, aby akurat tam ją teraz zabrać. Do tej pory jeszcze nie pokazywała się z nim publicznie, wśród swoich. Teraz postanowił, że powinna to zrobić, a Susy wiedziała dlaczego. Upokorzyła go, a on mimo urażonej dumy zrozumiał i wybaczył. Ona jednak wciąż traktowała go tak, jak zawsze traktowała

dawnego Strefforda: Charliego Strefforda, starego, dobrego, nieistotnego, biednego jak mysz kościelna Streffa. Teraz chciał jej pokazać – bardzo sprytnie, tak niby od niechcienia – że o rękę poprosił ją nie Strefford, tylko lord Altringham.

Różnicę znać było już od progu, od powitania, z jakim zwrócił się do nich brytyjski ambasador; potem równie entuzjastycznie wykrzykiwali na ich widok inni władcy świata, w którym się obracali. Każdy, kto miał tyle pieniędzy czy tytułów, rozumu czy głupoty, by dostać się na towarzyską cytadelę, był tam, machał ręką i flagą z murów obronnych. Lord Altringham stał się celem ich wszystkich. Gdy powoli przechodzili przez gęsty tłum ważnych osobistości, z powodu których tak warto było bić się o dotarcie do obrazów, on ani na chwilę nie odszedł od boku Susy, ani na chwilę nie dał jej zwątpić, że miała swój udział w jego tryumfalnym pochodzie.

Słyszała, jak o niej mówią: „Lansing... pani Lansing, Amerykanka... Susy Lansing? Tak, tak, oczywiście... Pamiętasz ją? W Newport? W Sankt Moritz? No właśnie... Już po rozwodzie? Takie chodzą słuchy... Susy, skarbie! Nie wiedziałam, że jesteś w Paryżu... I pan, lordzie Altringham! Milord już mnie nie pamięta, wiem, wiem... Tak, rok temu, w Kairze... lub w Newport... lub w Szkocji... Susy, kochanie, kiedy przyprowadzisz do nas lorda Altringhama na kolację? Powiedz tylko, kiedy oboje macie czas, a ja załatwię...”.

„Oboje”. Już mówi się o nich „oboje”!

– O! Tu jest jeden... portret mojej prababki – wyjaśnił Strefford. To było ostatnie pchnięcie, dzięki któremu znaleźli się z Susy w pierwszym szeregu, przed wysokim, odosobnionym portretem królującym nad innymi obrazami ze złotej ramy jak z tronu.

Susy przeczytała podpis: „Wielmożna Diana Lefanu, piętnasta hrabina Altringham”.

Rozległ się głos Strefforda:

– Pamiętasz? Zwykle wisi nad kominkiem, gdzie zauważyłaś wolne miejsce, w pokoju z Vandyke’ami. Podobno sam Reynolds zastrzegł sobie, by go powiesić w ich towarzystwie.

Susy pierwszy raz słuchała, jak przyjaciel rozprawia o swoich dobrach – rodowych czy zaledwie materialnych – tym donośnym i pełnym satysfakcji głosem: głosem bogacza. Zauważyła, że Strefford już czuje wpływ otoczenia, czerpie radość z tego, że portret jednej z hrabin Altringham zajmuje naczelne miejsce w największej sali wystawy, z tego, że sam stoi z Susy u boku, dając jej i wszystkim innym tu zgromadzonym do zrozumienia, że kiedy zechce, będzie mogła przyjąć ten sam tytuł co jego sportretowana antenatka.

W drodze do hotelu nie wspominał już, choćby aluzijką, o przyszłości; ze swoich osobnych kątów trajkotali jak starzy druhowie. Gdy jednak zatrzymali się pod drzwiami, powiedział:

– Masz ci los, pojutrze muszę wracać do Anglii! Może zjesz dziś ze mną kolację w Nouveau Luxe? Muszę gościć ambasadora i lady Ascot, ich najmłodszą córkę oraz starą ciotkę Dunesową, czyli księżną wdowę, która ukrywa się tu przed wierzycielami, ale dla rozluźnienia nastroju postaram się dorzucić kilku zabawnych kolegów. Jeśli się wynudzisz, to możemy potem iść do jakiegoś *boîte*⁶, chyba że wolisz tańce...

Zrozumiała, że postanowił przyspieszyć wyjazd, woląc to niż pozostawanie dłużej w niepewności. Przypomniała też sobie, że doszły ją słuchy, że najmłodsza córka ambasadorostwa Ascotów, lady Joan Senechal, była najpiękniejszą z zaprezentowanych w tym sezonie dziewcząt, a do tego wspomniała, z jaką wręcz przesadną serdecznością przywitał ich na wystawie papa ambasador.

– Drogi Streffy, oczywiście, że przyjdę! – zawołała, siląc się na wielką wesołość. W jej zmęczonych uszach brzmiała przekonująco, co potwierdziło nagle rozjaśnienie się twarzy towarzysza.

Z progu pomachała mu na pożegnanie. Patrząc, jak mężczyzna odjeżdża, powtarzała sobie: „Gdy dziś wieczór mnie odwiezie, powiem »tak«, a wtedy Streffy znów mnie pocałuje. Ale tym razem już nie będzie tak niemiło...”.

Weszła do hotelu, odruchowo sprawdziła półeczkę na listy pod kołkiem z kluczem do jej pokoju, która kolejny raz okazała się pusta, po czym wspięła się po schodach, powtarzając sobie: „Powiem dziś »tak«”. W końcu położyła dłoń na kłamec pokoju. „Chyba że przynieśli mi list...”.

Nie była w stanie wejść do pokoju, nie wyobrażając sobie, że list, którego nie widziała na półce, został już przyniesiony.

Otworzyła drzwi, włączyła światło i podbiegła do stolika, na którym czasem czekała ją korespondencja.

Żadnego listu. Leżały jednak, jeszcze nietknięte, poranne gazety. Przebiegając od niechcenia wzrokiem po kronice towarzyskiej, przeczytała:

„Po wydłużonym rejsie po morzach Egejskim i Czarnym na jachcie parowym »Ibis« państwo Mortimerowie Hicksowie wraz z córką zamieszkali w hotelu Nouveau Luxe w Rzymie. Niedawno mieli zaszczyt gościć na kolacji urzędującego księcia Teutoburger-Waldhau oraz jego matkę, księżną wdowę wraz ze świtą. Wśród zaproszonych w celu przedstawienia jaśniepaństwu znaleźli się ambasadorowie Francji i Hiszpanii, księżna Vichy, książę i księżniczka Bagnidilucca, lady Penelope Pantiles... – Susy niecierpliwie przebiegła okiem długą listę tytułów, aż znalazła wreszcie: – ...oraz pan Nicholas Lansing z Nowego Jorku, który przez kilka ostatnich miesięcy pływał na »Ibisie« z państwem Hicksami”.

⁵ *beaux yeux* (fr.) – piękne oczy

⁶ *boîte* (fr.) – klub nocny

Rozdział 20

Mortimerowie Hicksowie byli w Rzymie. Tym razem jednak nie mieszkali – jak za dawnych lat – w jakimś staroświeckim zajeździe przy Piazza di Spagna czy Porta del Popolo, gdzie niegdyś tak radośnie lekceważyli niebezpieczeństwo zapadnięcia na rzymską gorączkę i żywili się lokalnym kolorytem; tym razem z wystawnością godną milionerów-filistynów rozłożyli się na *piano nobile* jednego z nowych „pałaców” z wysokimi stropami, gdzie – co bezwstydnie ogłosiła pani Hicks – mogli „polegać na hydraulice” i „mieli zaszczyt spoglądać na Ogrody Królowej Matki”.

Właśnie ta przemowa, wygłoszona z promienistą pewnością przy stole, wokół którego zgromadzona była kosmopolityczna arystokracja Wiecznego Miasta, nagle uświadomiła Lansingowi, jak bardzo zmienił się punkt widzenia jego przyjaciół i pracodawców.

Patrząc na te cztery miesiące, które minęły, odkąd jakże niespodziewanie wszedł na pokład „Ibisa” w Genui, stwierdził, że przemianę – z początku na pozór nieszkodliwą i w pierwszej chwili niezauważoną – należało datować od owego feralnego dnia, w którym Hicksowie napotkali pewnego urzędującego księcia odbywającego akurat iście książęce wojaże.

Dotychczas nie groziły im tego typu niebezpieczeństwa: oboje małżonkowie wielokrotnie podkreślali, że interesuje ich wyłącznie arystokracja intelektualna. Jednak ten książę miał zarówno intelekt, jak i kilka mil kwadratowych księstwa, a do tego jeden z najbardziej twarzowych feldmarszałkowskich mundurów, jakie kiedykolwiek okrywały grzbiet monarszego wojownika. Nie był on jednak żołnierzem, tylko pokojowo nastawionym okularnikiem, a fakt posiadania przez niego munduru pani Hicks odkryła, gdy otrzymała od niego zdjęcie całej książęcej postaci oprawione w ramę z Bond Street; na nodze widniał złożony pochylnym pismem autograf: „Anastasius”. Przyczyną zguby było to, że książę okazał się zarazem i archeologiem: najprawdziwszym, pełnym pasji, ciekawskim i sumiennym archeologiem. Z powodu delikatnego zdrowia (tak sugerowała książęca świta) co roku musiał uciekać ze swego zimnego i mglistego księstwa. W towarzystwie matki – aktywnej i pełnej entuzjazmu księżnej wdowy – tułał się z jednego śródziemnomorskiego brzegu na drugi; raz pomagał przy ekshumacji mumii Ptolemeusza, kiedy indziej przy wykopaliskach delfickich świątyń czy północnoafrykańskich bazylik. Z początkiem zimy książę z matką zazwyczaj przybywali do Rzymu lub Nicei, chyba że rodzinne obowiązki akurat wzywały ich do Berlina, Wiednia czy Madrytu – księżna matka tłumaczyła, że mają tak rozległe rodzinne koneksje z głównymi królewskimi rodami całej Europy, iż zawsze muszą grzebać, żenić czy wydawać za mąż jakichś krewnych. Poza tymi okazjami rzadko można ich było zobaczyć w lodowatej dworskiej atmosferze, jako że od pałaców królewskich woleli inne, nowocześniejsze – właśnie takie, w jakich teraz ulokowali się Hicksowie.

Tak jest: książę wraz z matką ubóstwiali „hotele pałacowe” (co wesoło wszem wobec rozgłaszali), a że zwykle nie mogli sobie pozwolić na luksus mieszkania w nich, chcieli, by przyjaciele jak najczęściej zapraszali ich tam na kolację („lub nawet na podwieczorek, kochana” – tłumaczyła księżna, chichocząc – „bo tak uwielbiam maślane bułeczki, a Anastasius tak mało zwykle daje mi na deser!”).

Teraz już Lansing zrozumiał, że spotkanie z wędrującymi jaśniepaństwem okazało się trutką na zasady pani Hicks. Znała przecież całe rzesze archeologów, nikt jednak nie był aż tak przemity jak ten książę, a ponadto nikt inny nie opuścił tronu na rzecz namiotu na pustyni tylko po to, aby móc pogrzebać w libijskich grobowcach. Wydało jej się niezwykle smutne, że te dwie jakże utalentowane istoty, które narzekały, gdy musiały „żenić krewnego”, czy to w Pałacu

Świętego Jakuba, czy w Madrycie, które bez tchu wracały potem w jakieś odległe miejsce, gdzie akurat, metaforycznie mówiąc, książęce ręce porzuciły kilof i łopatę – że ci dziedzice całych pokoleń nie mogą pozwolić sobie na wygodę współczesnych hoteli, że cieszą się „jak dzieci”, kiedy zaprasza się ich do innego rodzaju „pałaców” na maślane bułeczki i pokaz tanga.

Pani Hicks po prostu nie mogła zdzierżyć myśli o tych brakach i niewygodach; a po chwili niemoc zdzierzenia tego podzielała i jej małżonek, który w księciu odnalazł większego miłośnika demokracji od kogokolwiek, kogo spotkał nawet w Apex; ponadto wielce zaintrygowało go, iż korzystali z usług tego samego optyka.

Przed wszystkim jednak to artystyczne zapędy księcia i jego matki ostatecznie podbiły serca Hicksów. Było coś doprawdy fascynującego w tym, że przy tłumie pospolitej, niewykształconej koronowanej hałastry kłębiącej się po całej Europie od Biarritz po Engandynę, uprawiającej hazard, tańczącej tango i żerującej na nie mniej wulgarnym pospółstwie, właśnie im – niepozornym, szanującym się Hicksom – udało się trafić na tę jakże kulturalną parę, która dołączyła do ich subtelnego podśmiewania się z frywolnych rodaków, a której gusta były w dodatku dokładnie takie same co tych ekscentrycznych, nieodpowiedzialnych i często szeroko zadłużonych osobistości, dotychczas będących dla Hicksów uosobieniem życia wyższych sfer.

Teraz wreszcie pani Hicks dostrzegła możliwość prowadzenia życia artystycznego, a zarazem luksusowego; odkryła, że może oddawać się przyjemnościom współczesnej hydrauliki, utrzymując przy tym konwersację na najwyższym poziomie.

– Skoro naszej biednej, kochanej księżnej marzy się kolacja w hotelu Nouveau Luxe, dlaczego mielibyśmy nie sprawić jej tej przyjemności? – pytała roześmiana pani Hicks – A to, że jak dziecko uwielbia maślane bułeczki... Cóż, według mnie to doprawdy przesłodka...

Coral Hicks nie dołączała do matczynych zachwyty, jednak ze swą ciekawą bezstronnością zaakceptowała rodzicielską zmianę sposobu życia. Nick zauważył, że po raz pierwszy zaczęła zajmować się toaletą i garderobą matki, w wyniku czego zarys pani Hicks stał się bardziej zwarty, jej szaty nie były już tak jaskrawe jak dawniej, za to szyto je z lepszych materiałów. Teraz, jeśli ktoś spostrzegłby podobieństwo matki i córki, nie byłoby to już aż tak przykrym porównaniem.

Takie środki ostrożności były tym bardziej konieczne – Lansing nie mógł tego nie zauważyć – że w kręgach, w których zaczęli obracać się Hicksowie, obowiązywały inne standardy estetyczne. Co ciekawe, przyjaźń z księciem i jego matką, mimo że nieustannie podkreślali, że są pariasami, buntownikami, bohemą wśród koronowanych głów, pociągała za sobą nie tylko mieszkanie w „hotelach pałacowych”, ale i zadawanie się z ich znajomymi. Książęcy adiutant – przyjemny młody człowiek o swobodnych, grzecznych manierach – napomknął z uśmiechem, że ich najjaśniejsze wysokości, choć na wskroś demokratyczni i bezceremonialni, wciąż mają zwyczaj zawczasu przyglądać się liście zapraszanych wraz z nimi gości. Nick spostrzegł, że „zgłoszona” lista zazwyczaj wraca uzupełniona o liczne nazwiska możnych i tytułowanych głów. Ich wysokości nigdy nikogo nie wykreślali; z wielkim entuzjazmem i ciekawością akceptowali najdziwniejszych i najbardziej oszałamiających przyjaciół Hicksów, najwyżej odkładając niektórych z nich na późniejszą datę, twierdząc, że „przytulniej” będzie poznać ich w mniejszym gronie. Zawsze jednak dopisywali własnych przyjaciół, niezmiennie dodając, że dla tych ostatnich, choć sami piastują tak znaczną pozycję w towarzystwie, poznanie Hicksów będzie „niezmiernym zaszczytem”. Dlatego też gdy październikowe sztormy sprawiły, że na ten sezon trzeba było zaccumować „Ibisa”, a Hicksowie spotkali w Rzymie dostojnych znajomych, z którymi miesiąc wcześniej rozstali się w Atenach, zastali też swą listę gości poszerzoną o najmodniejsze osobistości włoskiej stolicy.

Nie dało się ukryć, że księżna matka rzeczywiście uwielbia sztukę prehistoryczną,

rosyjską muzykę oraz malarstwo Gauguina i Matisse'a; Nick zauważył jednak, że poza tym – i to z promienną nieświadomością wszelkich proporcji – kochała również wielkie perły i potężne automobile, herbatę karawanową⁷ i współczesną hydraulikę, perfumowane cygaretki i towarzyskie skandale. Jej syn natomiast – choć, zdaje się, mniej podatny na czar tego typu luksusów – uwielbiał matkę i z radością spełniał mamine zachcianki, sam nie ponosząc przy tym żadnych kosztów, „ponieważ – jak zauważył – biedna mateczka tak dzielnie znosi trudne pustynne warunki”.

Uśmiechnięty adiutant, który to wszystko Lansingowi tłumaczył, dodał z głębszym uśmiechem, że książę i księżna mieli towarzyskie lub rodzinne obligacje wobec większości utytułowanych głów dopisanych do listy gości Hicksów, oraz dodał: „Najjaśniejszym wysokością wydaje się, że za gościnność przyjaciół najlepiej odpłacą się im poprzez sprezentowanie tak niezaprzeczalnie intelektualnej okazji, jaką jest spotkanie tych właśnie osobistości”.

Tego wieczoru stół jadalny, przy którym siedzieli przyjaciele ich wysokości, prezentował w sposób ściśle ilościowy jedną z największych intelektualnych okazji, jakie kiedykolwiek były w zasięgu Hicksów. Dookoła przystrojonego kwiatami blatu siedziało trzydziścioro gości. Z towarzystwa wykluczono Eldoradę i pana Becka, gdyż księżna matka upierała się, że lubi wyłącznie przytulne, intymne przyjęcia, i błagała gospodynię, aby przy stole nigdy nie siedziało więcej niż trzydziścioro biesiadników. Takie przynajmniej wytłumaczenie pani Hicks ofiarowała swym wiernym kompanom. Lansing zauważył jednak, że ostatnimi czasy ta sama sprawna ręka, która pozmieniała towarzystwo Hicksów, bardzo często wykluczała z niego właśnie tych dwoje sekretarzy. Było to dla niego przykre tym bardziej, że przez ostatnie trzy miesiące sam zajmował posadę po panu Buttlesie, a więc też był opłacanym towarzyszem. Jednak odkąd zgodził się przyjąć tę pracę, jasnym stało się, że jego obowiązkiem jest spełnianie wymogów pryncypałów, a nawet Eldorada i pan Beck zdawali sobie sprawę, że – jak szczerze ujęła to Eldorada – Lansing miał „co nieco z cudownych towarzyskich talentów pana Buttlesa”.

Podczas rejsu nie ciążyły mu nowe obowiązki. Cieszyło go, że ma określone zadania, nawet jeśli były dość trywialne. Czuł się swobodniej jako sekretarz Hicksów niż jako ich rozpieszczany gość, a otrzymywany pierwszego dnia każdego miesiąca czek na dość pokaźną sumę odświeżał tylko jego wędnący szacunek do samego siebie.

Nick uważał, że wynagrodzenie jest wręcz absurdalnie wysokie, ale to była sprawa Hicksów. Nie widział też nic upokarzającego w tym, że zatrudnili go ludzie, których lubił i poważał. Jednak od feralnego spotkania błędnego księcia jego położenie zmieniło się równie drastycznie co styl życia jego pracodawców. Nie był już dla nich przydatnym i szanowanym asystentem na równi z Eldoradą i panem Beckiem – stał się towarzyskim atutem o niedocenionej wcześniej wartości, jako że dorównywał poprzednikowi w zdolnościach orientowania się w tajemnicach zagranicznej etykiety, a do tego przewyższał go pod względem uroku osobistego. Hicksowie odkryli, że Nick Lansing znał już wcześniej większość bogatych i arystokratycznych przyjaciół księżnej matki. Entuzjastycznie wołali na niego „Nick, brachu!”. Prawie dorównywał książęcemu adiutantowi znajomością zawilóści serca i żółci, które sprawiały, że wydawanie przyjęć było znacznie trudniejszą sztuką w Rzymie niż w Apex.

Z początku w tym labiryncie podziemnych skandali, rywalizacji i zazdrości pani Hicks czuła się beznadziejnie zagubiona, uczepliła się więc Lansinga i przyłgnęła do niego z żalną nieustępliwością. Jednak choć w oczach pracodawców urósł, we własnych zmalął. Skazano go na odgrywanie roli, na którą się nie pisał, a to, że płacono mu w banknotach, wydało mu się bardziej upokarzające, niż gdyby jego wynagrodzeniem był jedynie smaczny wikt i luksusowy opierunek. Pierwszy raz, kiedy spotkał wzrok uśmiechniętego adiutanta po jakimś lapsusie językowym pani

Hicks, Nick oblał się rumieńcem i poszedł spać, zaklinając się, że następnego dnia rzuci tę robotę.

Od tego czasu minęły jednak dwa miesiące, a on wciąż był szczerze opłacanym sekretarzem. Udało mu się przekonać adiutanta, że nie ma tyle poczucia humoru, by warto było wymieniać z nim tego rodzaju spojrzenia. Jednak nawet to nie przywróciło mu utraconego szacunku do siebie. Kiedy tego wieczoru rozejrzał się po licznych współbiedniakach, po raz setny obiecał sobie, że następnego dnia złoży wypowiedzenie.

Ale jaką miał alternatywę? Cóż... Zdaje się, że alternatywą była Coral Hicks. Rzucił okiem na długi szereg gości. Zaczął od podłużnego oblicza księżnej matki, której małe, ciekawskie oczka osadzone były wysoko niczym okna na strychu, pod dachem w postaci kędzierzawej czupryny i niewypolerowanych diamentowych ozdób; następnie przeszedł do oglądania kolejnych próżnych, przekarmionych lub modnie wymizernionych masek dam niższej rangi, a w końcu udało mu się pomiędzy storczykami dojrzeć pannę Hicks.

Nick stwierdził, że w porównaniu z innymi Coral wygląda zaskakująco szlachetnie. Jej duże, poważne rysy sprawiały, że przypominała prawdziwy stary zabytek ostały przy ulicy niedawno zabudowanej hotelowymi pałacami. Na mocy jakiegoś tajemniczego prawa przywieziono tu tę staroświecką twarz z Apex City, nadając tym samym najstarszemu europejskiemu towarzystwu jakże odmienne i nowoczesne wejście.

Lansing zorientował się, że pannie Hicks przygląda się również jego sąsiad, książęcy adiutant. Miał poważny, wręcz zamyślony wyraz twarzy, ale znów przybrał swój służbowy uśmiech, gdy spostrzegł, że przyciągnął uwagę Nicka.

– Podziwiałem właśnie córkę naszej gospodyni. Ten brak biżuterii jest... hmm... inspirujący – szepnął poufale tonem, którego Lansing nauczył się już obawiać.

– Ach, panna Hicks jest skarbnicą inspiracji – odparł szorstko.

Słyszając to, adiutant skłonił się z takim podziwem, jak gdyby inspiracje były rzadszym skarbem niż perły – zresztą w tym *milieu*⁸ niewątpliwie tak było.

– Ona jest w stanie podolać każdej sytuacji, tego jestem pewien – odrzekł, po czym swoim zwyczajem płynnie zmienił temat.

Jednak po kolacji, kiedy stali w oknie hotelowej bawialni, adiutant – ku zaskoczeniu Nicka – powrócił do tematu Coral. Tym razem nie widział nawet potrzeby, by przywdziać na tę okazję służbowy uśmiech. Z jego twarzy nie zszedł poważny wyraz, choć jego maniere wydawały się wystudiowane swobodnie.

– Przy kolacji podziwiałem to, że panna Hicks niezachwianie wyczuje, co jest w danej sytuacji odpowiednie. Dzięki temu jej przyjaciele są w stanie wyobrazić sobie dla niej prawie że każdą przyszłość, nawet jeśli niektórym te wizje mogłyby wydać się nieco egzaltowane.

Lansing zawahał się i próbował utrzymać irytację w ryzach. Jednak chciał wiedzieć, co chodzi jego rozmówcy po głowie.

– Co pan ma na myśli przez „egzaltowane”? – zapytał z lekko rozbawionym uśmiechem.

– Cóż... takie, które sprostają jej zdolności, by błyszczeć na oczach opinii publicznej.

Lansing wciąż się uśmiechał.

– Należałoby chyba zadać pytanie, czy jej chęć błyszczenia jest równa tym możliwościom.

Adiutant zdziwił się:

– A więc nie ma wielkich ambicji?

– Wręcz przeciwnie. Sądzę, że panna Hicks jest niezmiernie ambitna.

– Niezmiernie? – Adiutant mimo to zdawał się chcieć zmierzyć te aspiracje. – A więc z pewnością... Z pewnością nie wykraczają poza to, co możemy jej zaoferować... – Jego oczy

dokończyły zdanie. Tym razem to Lansing się zdziwił. Adiutant postanowił się z tym zdziwieniem zmierzyć.

„Tak” – wyjawiły natychmiast jego oczy, a jego usta stwierdziły:

– Księżna matka niezwykle ją poważa... – W tej jednak chwili pani Hicks zamachała wachlarzem, jednym ruchem odciągając ich od okna.

– Profesor Darchivio obiecał wyjaśnić różnicę pomiędzy sasanidzkimi a bizantyjskimi motywami w sztuce karolińskiej... Ale kierownik właśnie dał znać, że dwoje kreolskich tancerzy przyjechało z Paryża i jej najjaśniejsza wysokość chciałaby zejść na chwilę do sali balowej i rzucić na nich okiem... Jest pewna, że profesor zrozumie...

– I, rzecz jasna, do nas dołączy – dodała księżna.

Dzięki krótkiej pogawędce w wykuszu okiennym hotelu Nou-veau Luxe klapki spadły z oczu Lansingowi. Niezliczone ciemne zakątki pamięci Nicka pod wpływem jednego szybkiego spojrzenia adiutanta nagle rozbłysły światłem: wróciły do niego zasłyszane skrawki informacji, ignorowane dotychczas aluzje, uśmiechy, insynuacje, serdeczności, plotki na temat małego prawdopodobieństwa, aby ksiądz założył jeszcze rodzinę, napomknięcia o pilnej potrzebie uzupełnienia zapasów teutoburskiego skarbcza...

Siłą rzeczy panna Hicks towarzyszyła rodzicom i księżęcym gościom do sali balowej. Sama nie tańczyła jednak i niewiele interesowało ją oglądanie, jak czynią to inni, pozostała więc trochę na uboczu, pogrążona w żaźartej archeologicznej dyskusji ze zdeorientowanym, lecz rozpromienionym erudytą, który miał oświecić zgromadzonych w kwestii różnicy pomiędzy zdobnictwem sasanidzkim a bizantyjskim.

Lansing też stał z boku. Obrął sobie miejsce, z którego mógł przyglądać się dziewczynie: odkąd dowiedział się, że znalazła się w centrum tych zawitych intryg, widział ją w nowym świetle. Owszem, nie dało się zaprzeczyć, że wyprzystojniała; albo przynajmniej nauczyła się wykorzystywać rosłe kształty, zamiast je chować. Podniosła lorgnon na długiej rączce i potoczyła nieobecny spojrzeniem po tańczących – w tej chwili Lansinga uderzyło wielkie piękno jej ramienia i beztraska pewność gestykulacji. Coral Hicks nie była ani trochę nerwowa czy kapryśna. Nie dziwiło go, że księżna matka doceniła te zdolności, przynajmniej z plastycznego punktu widzenia.

Nick Lansing całą noc nie położył się do łóżka, rozmyślał na temat przyszłości. Na tyle dobrze znał towarzystwo, w które zawiązała Hicksów, by wiedzieć, że w niedługim czasie aluzja księżęcego adiutanta wyłoni się w postaci bezpośredniej propozycji. Zapewne właśnie Lansingowi – jako jedynemu członkowi hicksańskiej świty, z którym dało się obcować – powierzony zostanie kolejny etap negocjacji. Zostanie poproszony, aby, jak zapewne ujmie to adiutant, „wybadać teren”. Widocznie do zadań polityki teutoburskiej należało złożenie pannie Hicks propozycji, aby wraz z ręką suwerena przyjęła zaszczyt uzupełnienia braków w państwowym skarbcu.

Co ta dziewczyna pocnie? Lansing nie był w stanie przewidzieć. Miał jednak niejasne poczucie, że jej reakcja na tę propozycję w dużym stopniu będzie zależeć od niego. A sam nie wiedział, jak postąpi, tak samo jak cztery miesiące wcześniej nie wiedział, co zrobi, kiedy w Wenecji wybiegł z sypialni żony i o północy wsiadł w ekspres do Genui.

Cała jego przeszłość, a przede wszystkim ta jego skłonność – z której kiedyś był tak dumny – do życia chwilą i korzystania z każdej nadarzającej się okazji, to wszystko teraz utrudniało mu zadanie. Zaczął pojmować, że nigdy, nawet w najbliższych życiowych relacjach, nie spoglądał dalej niż na tymczasowe, natychmiastowe zaspokojenie. Bardzo cenił sobie, że mógł tak całkowicie oddać się kolejnej chwili, zamiast tracić ją na poszukiwanie czegoś lepszego, czegoś innego – tak jak mają w zwyczaju ludzie przesadnie sumienni czy obdarzeni

zbyt małą wyobraźnią, których zawsze brał za to samo i którym tak samo współczuł. Dopiero gdy złączył swoje życie z Susy, zaczął zdawać sobie sprawę, że czeka go przyszłość, na której pewności mu zależy, której chciałby się trzymać i którą chciałby formować wedle swoich upodobań i celów. Nagle, niezauważenie, ta przyszłość stała się jego rzeczywistą terażniejszością, pochłaniającym go punktem w czasie.

Teraz i to legło w gruzach, a Nick nie miał siły ani mocy, by to odbudować. Nigdy wcześniej nie myślał o sklejeniu tego, co rozbite: czuł się jak ktoś, kto stracił dom w wyniku trzęsienia ziemi i – z powodu braku sprawnej pomocy – zmuszony jest po raz pierwszy w życiu machać kielnią i tachać cegły. Po prostu nie wiedział jak.

Zrozumiał, że nie można tak nagle postanowić, że ma się silną wolę. Że aby uzyskać konkretne efekty, trzeba ją budować niezauważalnie i żmudnie w kolejnych małych trudnościach; trzeba mierzyć się z kłopotami dnia codziennego, a nie sprytnie przed nimi uciekać czy przetrzucać ciężar na kogoś innego. Budowa tak zwanego charakteru to równie powolny i mozolny proces co wznoszenie piramid; a sam skutek tego wysiłku – zupełnie jak w przypadku tych paskudnych budowli – nadaje się głównie do lokowania w nim prochów kolejnych potomnych. A jednak to właśnie ten „piramidalny” instynkt stworzył świat, człowieka, i sprawiał, że jego ulotne radości zostawiały trwałe ślady niczym błędne freski na niezniszczalnych ścianach...

⁷ Dawniej herbatę sprowadzano przede wszystkim morzem z Indii; z czasem coraz większe znaczenie zaczął zyskiwać import z Chin – często lądowy, przez terytorium Rosji, od czego pochodziła nazwa „herbata karawanowa”.

⁸ *milieu* (fr.) – środowisko, otoczenie

Rozdział 21

W drodze powrotnej z kolacji w hotelu Nouveau Luxe wydarzenia przebiegły dokładnie tak, jak Susy przewidziała.

Przyrzekła Streffordowi, że poradzi się prawnika w sprawie rozwodu, a on ją pocałował. Obietnica okazała się łatwiejsza do złożenia, niż dziewczyna się spodziewała, a pocałunek nie tak trudny do przyjęcia.

Na kolację poszła lekko stremowana; informacja, że jej mąż wciąż przebywa w towarzystwie Hicksów, prawdziwie nią wstrząsnęła. Choć było to zgodne z jej przeczuciami, przeczytanie o tym w gazecie okazało się szokiem i po raz pierwszy Susy zmierzyła otchłań dzielącą czucie od wiedzy. Nic dziwnego, że nie pisał – w końcu dla nowoczesnego małżonka nie było to konieczne: wystarczyło poczekać, aż prasa napisze o jego zamiarach. Susy wyobrażała sobie, że Nick powtarza pod nosem to, co miał w zwyczaju, gdy przypominała mu, że nie odpowiedział na jakieś listy: „Ale przecież odpowiedzieć na list można na wiele sposobów, a akurat pisanie nie jest moim ulubionym”.

Cóż, rzeczywiście zrobił to po swojemu. Otrzymała odpowiedź. Gdy odłożyła gazetę, na chwilę pochłonęła ją ciemność, poczuła, że spada w bezdenną otchłań udręki, zupełnie jak podczas tego okropnego czuwania w Palazzo Vanderlyn. Zmęczył ją ten ból: jej zdrowe ciało i mocne nerwy natychmiast mu się sprzeciwiły. Fala odpłynęła, a Susy nie mogła się powstrzymać – instynktownie płynęła w stronę światła, życia i młodości. Nie chciał jej! Cóż... W takim razie ona spróbuje nie chcieć jego! Pod ręką miała swoje stałe środki doraźne: róż na białe wargi, do oczu atropina, nowa suknia rozłożona na łóżku. Pomyślała o tych, co na nią czekają: o Streffordzie i jego gościach, oraz o wnioskach, które – zobaczywszy ich razem – wyciągną bywalcy hotelu Nouveau Luxe. Chwała Bogu, że nikt nie powie: „Biedna Susy! Wiedzieliście, że Nick ją rzucił?”. Zamiast tego wszyscy będą powtarzać: „Biedny Nick! Tak, z pewnością żal jej było go rzucać, ale co mogła zrobić, skoro Altringham tak się pali z nią ożenić?”.

Znów przeczucia Susy się spełniły. Nie było wyjścia: ciekawscy gapie, zobaczywszy ją przy stoliku lorda Altringhama wraz z Ascotami i sędziwą księżną Dunes, musieli uznać tę kolację za potwierdzenie pogłosek o rychłych zaślubinach. Ellie miała rację: ostatnimi czasy ludzie nie czekali z ogłoszeniem „zaręczyn” do skończenia żmudnych postępowań rozwodowych. Sama Ellie, przystrojona w gronostaje i obwieszona perłami, przybyła spóźniona w towarzystwie Algiego Bockheimera, z którym usiadła na widoku tête-à-tête, kiwając Susy i przesyłając jej wyrazy sympatii. Z każdej pary oczu wyglądała aprobatą. Zdawało się, że każde spojrzenie podkreśla, jak wspaniałą i ekscytującą rozrywką jest oglądanie powodzenia Susy Lansing! Kiedy po posiłku towarzystwo przeniosło się z restauracji do hallu, spośród otaczających ją uśmiechów i uścisków dłoni Susy wyłapała ledwo skrywane nuty oficjalnych powinszowań. Violet Melrose, która siedziała gdzieś w kącie z Fulmerem, przywołała ją bladą, upierścienioną jadeitami dłonią i szepnęła czule do ucha:

– Och, kochana! Jak to przemyślnie z twojej strony, że nie założyłaś żadnych klejnotów!

W oczach wszystkich obecnych kobiet Susy widziała odbicie klejnotów, które będzie mogła założyć, kiedy tylko zechce; jak gdyby ich splendor docierał tu z odległego banku, w którym znajdował się sejf Altringhamów. Jaka była głupia! Jak mogła kiedykolwiek ludzić się, że Strefford uwierzy, że nic a nic jej te błyskotki nie obchodzą!

Ambasadorowa, strzelista osoba bez większego wyrazu, była ciut mniej uprzejma, niż Susy by chciała... Ale przecież stało się to przez wzgląd na lady Joan – dziewczynę niezwykle,

wręcz niepokojąco urodziwą – i zapewne wszyscy zgromadzeni to rozumieli. Natomiast stara księżna Dunes była doprawdy urocza. Wyglądała mniej więcej jak Strefford w peruce i sztucznych perłach (Susy mogła dać sobie rękę uciąć, że były równie sztuczne co zęby ich właścicielki), a swą serdeczność okazywała wręcz niepokojąco demonstracyjnie. Przyszła narzeczona mniej rozumiała to zachowanie niż oziębłość lady Ascot. Jednak wszystko stało się jasne, kiedy przechodzili do hallu i usłyszała przypadkiem, jak staruszka syczy do bratanka:

– Streffuś, najdroższy... Kiedy będziesz mieć chwilkę, proszę, wpadnij do mojego przekłętą pensjonaciku, z pewnością prędko wytłumaczysz mi, co począć z tymi paskudnymi lichwiarzami... I przyprowadź mi kiedyś tę wyśmienitą Amerykankę, dobrze? Nie, nie... Joan Senechal jest jak na mój gust zbyt jasna... Nie do wytrzymania...

Tak: czuła słodycz tego wszystkiego. Kilka dni później zaczęła się zastanawiać, dlaczego kiedyś wzdrygała się na myśl o czułościach Strefforda. Musiała przyznać, że nimi nie szafował; ale kiedy wreszcie ją dotykał czy nawet całował, Susy już to nie przeszkadzało. Na szczęście po początkowym, dzikim wręcz roztrzęsieniu nerwów nastąpiło prawie całkowite ich otepienie.

I tak już zapewne miało być ze wszystkimi innymi elementami tego nowego życia. Jeśli nie uda się w niej wzbudzić więcej żadnych mocniejszych reakcji – czy to bólu, czy przyjemności – wystarczy spokój wywołany samym brakiem czucia. A tymczasem kosztowała tego, co, jak mniemała, dla większości znajomych stanowiło szczyt szczęścia: kalendarza wypełnionego po brzegi spotkaniami, euforii modnych tłumów, radości z „dorwania” biżuterii, bibelotu czy nowego „modelu”, o którym marzyła przyjaciółka, albo zaproszenia na jakiś prywatny pokaz czy inną ekskluzywną formę rozrywki, na którą ta sama przyjaciółka nie mogła się dostać. Teraz nie było już niczego, czego nie mogłaby kupić, żadnego miejsca, gdzie by jej nie chcieli: musiała tylko dokonać wyboru i święcić tryumfy. Przez chwilę te powierzchowne wrażenia rzeczywiście stworzyły iluzję, że dobrze się bawi.

Zgodnie z przewidywaniami Susy, Strefford odłożył powrót do Anglii i spędzili już prawie trzy tygodnie razem w tej nowej i powszechnie znanej relacji. Z początku wyobrażała sobie, że najłatwiejsze okaże się właśnie samo „bycie” ze Streffordem – że ich dawna przyjaźń przyćmi nowe poczucie obcości. Tymczasem mimo że bardzo szybko przyzwyczaiła się do jego czułości, on sam wciąż wydawał jej się dziwnie nieznanym: czasami wręcz wcale nie była pewna, czy aby rzeczywiście rozmawia ze starym przyjacielem. I nie w tym tkwił sęk, że Strefford jakoś drastycznie zmienił poglądy, tylko w tym, że te wszystkie nowości tak bardzo go zajmowały, wręcz pochłaniały. Prawie jak dziecko cieszył się teraz ze wszystkich najdrobniejszych szczegółów swego położenia, a choć wciąż śmiał się ze związanych z nim przywilejów i obowiązków, ten śmiech był teraz pełen triumfu.

Na przykład niezmiennie bawiło go, że wszyscy, którzy dotychczas gardzili nim, teraz się przed nim płaszczą, oraz że może zbierać wokół jednego stołu osoby, które zmuszone są maskować irytację wobec obecności współbiedników w obawie, że nigdy już ich nie zaprosi. Równie wielką radość dawało mu kapryśne faworyzowanie osób nudnych i niesłychanie porządnych akurat wtedy, kiedy jego uwagi spodziewali się ludzie wybitni i cieszący się złą sławą. Był na przykład zachwycony, kiedy udało mu się zaprosić sędziwą księżną Dunes i Violet Melrose na jedną kolację z wikariuszem z Altringham, który właśnie udawał się na miesiąc do Szwajcarii, a potem przyglądać się minie pani wikariuszowej, gdy księżna opowiadała o swych najnowszych konszachtach z bukmacherami i lichwiarzami, a Violet ogłaszała wszem wobec wyższość miłości i geniuszu nad tym, co dotychczas uważano wyłącznie za domenę przyzwoitości i nudy.

Susy musiała przyznać, że jej własne rozrywki są tylko odrobinę wyższego gatunku; znosiła je jednak z powodu braku innych, podczas gdy Strefford cieszył się z tego typu sukcesów,

choć przecież mógł mieć, co tylko dusza zapragnie.

A mimo to, mimo tych wszystkich zaszczytów i możliwości, cały jakby się skurczył. Dawny Streffy z pewnością był postacią większą i Susy zastanawiała się, czy przypadkiem majątność nie jest zawsze początkiem kostnienia. Nie miała wątpliwości, że przyjaciel był znacznie zabawniejszy w czasach, kiedy żył wyłącznie z własnego dowcipu. Teraz zdarzało się, że gdy próbował rozprawić o polityce albo wypowiedzieć się w kwestii interesów publicznych, Susy z zaskoczeniem odkrywała pewne ograniczenia narzeczonego. Dawniej, kiedy rozmowa schodziła na niepewny dla niego grunt, miał w zwyczaju omijać trudności za pomocą wygadanego nonsensu czy swobodnej ironii; teraz bywał naprawdę nudny, czasami wręcz pompatyczny. Po raz pierwszy zauważyła też, że czasami, czy to w teatrze, czy kiedy wiele osób rozmawiało na raz, nie zawsze był w stanie dosłyszeć, co się mówi; w takich przypadkach powtarzał w kółko: „Czy pan taki-a-taki, czy pani taka-a-taka nie mówi przypadkiem troszkę niewyraźnie? A może to ja głuchnę co nieco?”, co działało Susy na nerwy i sprawiało, że lękała się, czy to głuchnięcie nie pociąga za sobą analogicznego upośledzenia umysłu.

Te myśli nie zawsze ją jednak kłopotowały. Prąd bezcelowości, na którym teraz unosili się oboje, był chlebem powszednim tak jej, jak i jego; a teraz jego przepływ był tak wartki, a fale tak nośne jak nigdy wcześniej. W stosunku do niej Strefford zawsze wykazywał się niezmiernym taktem i troskliwością. Zauważyła, że wciąż pamięta wymianę przerażonych spojrzeń po ich pierwszym pocałunku; niekiedy poczucie, że jeszcze tkwi w nim gdzieś głęboko to źródło wyobraźni, wystarczało, by ugasić jej pragnienie.

Susy zawsze wykazywała się dość męską akuracją w dotrzymywaniu danego słowa, skoro więc obiecała Streffordowi, że poczyni kroki dla uzyskania rozwodu, nie zwlekała z tym. Na myśl o radzeniu się przyjaciółce pokroju Ellie Vanderlyn, która przecież sama była w trakcie tego typu negocjacji, poczuła nagłą niechęć. Jedyne, co przyszło Susy do głowy, to zwrócić się do pewnego młodego amerykańskiego adwokata pracującego w Paryżu. Miała przeczucie, że skoro sam nie jest z Nowego Jorku i zapewne jej losy są mu zupełnie obce, to będzie jej się z nim swobodniej rozmawiać.

Była zupełnie nieświadoma, jak wygląda procedura tego typu spraw; z zaskoczeniem, ale też z ulgą przyjęła fakt, że adwokat zadał jej jedynie kilka osobistych pytań. Zadziwiła ją natomiast wiadomość, że – czy w Nowym Jorku, czy w Paryżu – nie da uzyskać się rozwodu wyłącznie na podstawie porzucenia czy niedopasowania.

– Myślałam, że w dzisiejszych czasach... jeśli ktoś woli mieszkać osobno... że to zawsze da się jakoś załatwić... – wyduśliła, dziwiąc się własnej ignorancji, mimo że przecież wielokrotnie była świadkiem i pomocnikiem przy rozpadach małżeństw.

Młody adwokat uśmiechnął się i lekko zarumienił. Widać było, że jego prześliczna klientka onieśmiela go wdziękiem, a przede wszystkim brakiem doświadczenia.

– Da się, zazwyczaj... – przyznał. – A zwłaszcza jeśli... tak zrozumiałem... pani mąż jest równie chętny...

– O! Tak! Bardzo! – zawołała, zawstydzona nagle, że musiała to wyznać.

– Skoro tak, to... Jeśli wolno mi zasugerować... Najłatwiejszym rozwiązaniem będzie, aby pani do niego napisała...

Susy lekko się wzdygnęła. Nawet na myśl jej nie przyszło, że prawnicy mogą nie być w stanie „załatwić tego wszystkiego” bez jej udziału.

– Mam do niego napisać? Ale o czym?

– Cóż, przekazać mu, że pani życzy sobie... odzyskać wolność... Resztę... – wydukał młody prawnik – możemy pozostawić w gestii pana Lansinga.

Susy nie do końca wiedziała, co przez to rozumiał, a pomysł, że musi porozumieć się

z Nickiem, uniemożliwił zastanawianie się nad czymkolwiek innym. Czy będzie w stanie napisać taki list? A równocześnie jak ma się przyznać adwokatowi, że brakuje jej odwagi? Wtedy on na pewno poradzi, żeby wróciła do domu i pogodziła się z mężem. Wahala się, pełna zakłopotania.

– A nie byłoby lepiej – spytała – gdyby list wyszedł z... z pańskiej kancelarii?

Prawnik uprzejmie zastanowił się przez chwilę.

– W gruncie rzeczy nie. Jeśli, jak miemam, pożądanym jest polubowne zakończenie sprawy, w celu zapewnienia potrzebnych dowodów zalecane byłoby, aby pani napisała do małżonka z prośbą o rozmowę.

– Rozmowę? Czy rzeczywiście konieczna jest rozmowa? – Susy wstydziła się, że nie potrafi ukryć wzburzenia przed tym ostrożnie uśmiechniętym młodzieńcem, którego strasznie dziwić musi jej dziecinny brak zorientowania w tych sprawach, nie była jednak w stanie opanować łamiącego się głosu. – Och, proszę... Niech pan do niego napisze! Ja naprawdę nie mogę! I nie jestem w stanie go widzieć! Czy mógłby pan tak to dla mnie załatwić? – błagała.

Teraz zrozumiała, że w jej dotychczasowym mniemaniu rozwód był czymś, po co się chodziło – lub posyłało – do sklepu: było to coś namacalnego i przenośnego, za co da się zapłacić pieniędzmi Strefforda, coś, co można było zrobić przez pośredników. Ten prawnik musi myśleć, że jest straszną idiotką! Susy zebrała się w sobie i wstała.

– I ja, i mąż nie chcemy się już nigdy więcej widzieć... Jestem pewna, że to na nic się nie zda... I będzie bardzo bolesne.

– Pani, oczywiście, najlepiej jest to w stanie ocenić. Tak czy inaczej list od pani, przyjacielski, wydaje się rozsądniejszym rozwiązaniem... zwłaszcza biorąc pod uwagę brak dowodów...

– Dobrze. W takim razie napiszę – zgodziła się w końcu i pospiesznie wyszła, ledwo słysząc, jak prawnik na pożegnanie woła, że przydałaby mu się kopia tego listu.

Tej nocy napisała. Aż do ostatniej chwili mogło by się jej nie udać, gdyby tego wieczoru w teatrze nie wpadł do jej łóżki młody Breckenridge. Właśnie wrócił z Rzymu, gdzie był na kolacji u Hicksów („Morowa impreza! Teraz są z nich wspaniali balowicze, nie poznalibyście ich!”), gdzie spotkał Lansinga, który – według jego doniesień – zamierzał ożenić się z Coral, „jak tylko się wszystko załatwi”.

– Miałaś świętą rację, co nie, Susy? – Zaśmiał się. – Wtedy w Wenecji w lecie... wszyscy myśleliśmy, że żartujesz, mówiąc o tych zaręczynach. Teraz szkoda, że odwołałaś nasz niespodziewany napad na Hicksów, że wysłałaś po nas Streffa akurat, kiedy się do nich wlamywaliśmy! Pamiętasz?

Rzucił tego „Streffa” jakby od niechcienia, po staremu, ale zerknął przy tym niepewnie na lorda Altringhama, który nachylił się do Susy i chłodno zapytał:

– Czy Breckenridge mówił coś o mnie? Nie zrozumiałem ani słowa. Czy on nie mówi przypadkiem troszkę niewyraźnie? A może to ja głuchnę nieco?

Po tym epizodzie już stosunkowo łatwo było, gdy Strefford odstawił ją do hotelu, pójść na górę i zabrać się za pisanie. Szybko naskrobała datę i adres, po czym zamarła. Wtem przypomniała sobie chichot Breckenridge’a i słowa same z niej wypłynęły.

„Drogi Nicku!

Wyjechałaś z Wenecji w czerwcu i od tego czasu nie otrzymałam od Ciebie żadnej wiadomości za wyjątkiem tej krótkiej, w której twierdziłaś, że wyjeżdżasz na kilka dni i że wkrótce się odezwiesz.

Do tej pory nic nie napisałaś, a minęło pięć miesięcy, odkąd mnie zostawiłaś. Rozumiem przez to, że widocznie chcesz odzyskać wolność i zwrócić mi moją. Nie uważasz, że w takim wypadku milej by było, gdybyś mnie o tym poinformowała? Nie ma nic gorszego niż ten nasz stan

zawieszenia. Naprawdę nie wiem, jak to wszystko ująć, ale skoro wyraźnie nie masz ochoty do mnie pisać, to może wolałbyś wysłać odpowiedź do pana Frederica Spearmana, tutejszego amerykańskiego prawnika; jego adres to Bulwar Haussmanna 100. Mam nadzieję —”

Tu urwała. Nadzieję? Jaką mogła mieć nadzieję, dla niego czy dla siebie? Życzenia szczęścia zostaną wzięte za szyderstwo – a wolała, by list wydał się raczej zgorzkniały niż nieczuły. Przede wszystkim chciała mieć już to wszystko z głowy. Poczwała, że samo przepisywanie nawet tych kilku linijek będzie istną torturą. Zostawiła więc „Mam nadzieję” i dodała po prostu: „że niedługo dowiem się, co postanowiłeś”.

Przeczytała całość raz jeszcze i wzdrygnęła się. Ani słowa o przeszłości, ani jednej aluzji do tajemniczej więzi ich istnień, która złączyła jedno z drugim jak płatki w szypułce kwiatu! Ale czy w takim liście było miejsce na podobne wspomnienia? Czwała, że chce schować tamtego Nicka w swej piersi, a razem z nim ukryć i tamtą Susy – tą, którą on kiedyś w niej widział... Tamtych dwoje nie zdawało się zbytnio pochłoniętymi obecną awanturą.

Kiedy list został już napisany, Susy wpatrywała się w zaklejoną kopertę tak długo, aż nie mogła już znieść jej obecności w pokoju. Zrozumiała wtedy, że pozostało albo wszystko podrzeć, albo bezzwłocznie wysłać. Zeszła do hallu uśpionego hotelu i przekupiła nocnego portiera, by zaniósł list na najbliższą pocztę, nie bacząc na błagania, że przecież o tej porze nic a nic nie zyska na czasie.

– Chcę, aby to natychmiast zniknęło z tego budynku! – upierała się Susy i niewzruszenie, w szlafroku, czekała przy recepcji, dopóki portier nie spełnił żądania.

Gdy wróciła do pokoju, uderzył ją widok zabałaganionego biurka. Przypomniała sobie, że prawnik poprosił o sporządzenie kopii listu. Kopię do akt mieszczących wszystkie dokumenty w sprawie „Lansing versus Lansing”? Na samą myśl wybuchnęła śmiechem. Cóż to za stwory, ci prawnicy? Jak on, patrząc w jej oczy, słysząc jej głos, mógł nie domyślić się, że Susy nigdy, przenigdy nie zapomni ani słowa z tego listu? Że noc w noc będzie – tak jak teraz – spoglądać w ciemność i słyszeć w głowie monotony głos powtarzający: „Drogi Nicku! Wyjechałeś z Wenecji w czerwcu i od tego czasu...”, w kółko i w kółko, słowo po słowie, aż po ostatnią przeklętą sylabę...

Rozdział 22

Strefford wracał do Anglii.

Kiedy miał już pewność, że Susy wykonała pierwsze kroki w stronę odzyskania stanu wolnego, nie ukrywał, że uważa ją za *de facto* narzeczoną i nie widzi sensu w dalszym utrzymywaniu tajemnicy. Ona rozumiała ten pośpiech, aby wszystko ustalić – chroniło go to przed zastępami chcących się wydać za niego kobiet i, jak to ujął, zmuszało innych do zaprzestania „wtrącania się w nie swoje sprawy”. Teraz, kiedy cała sytuacja zaczęła tracić blask nowości, wróciła jego naturalna indolencja. Najbardziej lękał się konieczności uważania na niezliczone plany, które wciąż szykowali mu życzliwi. Susy niekiedy odnosiła wrażenie, jakby żenił się z nią wyłącznie dlatego, że mógł dzięki temu pójść po linii najmniejszego oporu.

– Ślub ze mną to najłatwiejszy sposób ucieczki przed żeniactwem z wszystkimi innymi! – zaśmiała się pewnego dnia w cichej alejce Lasku Bulońskiego, kiedy Strefford nalegał, by dokonali licznych wstępnych ustaleń. – Odnoszę wrażenie, że jestem dla ciebie jedynie tarczą.

W jego oczach dostrzegła dziwny błysk i natychmiast zgađła, co pomyślał: „A kim niby ja jestem dla ciebie?”.

Zarumieniła się, a on odpowiedział, wtórując śmiechem:

– Cóż, tak czy siak nią jesteś. I Bogu dzięki!

Zamyśliła się, po czym zapytała:

– Ale w międzyczasie... Jak zamierzasz się bronić przez kolejny rok?

– Cóż, tego już ty musisz dopilnować! Wynajmij domek w Londynie. W końcu musisz się mną zajmować...

Na końcu języka miała ciętą odpowiedź: „Phi! Jeśli tylko tyle ci zależy...”. Ale „zależenie” było właśnie tym, czego chciała w miarę możliwości unikać w myślach i wspólnych rozmowach. Nie mogła spytać go, jak bardzo mu na niej zależy, bez narażania się na to samo pytanie: a tego właśnie najbardziej się lękała. Prawdę mówiąc, choć Strefford nie był zbyt wylewnym absztyfikantem – być może stał za tym takt, może temperament, a może jedynie długoletni zwyczaj umniejszania i rozkładania na części każdego uczucia czy przekonania – ale Susy akurat wiedziała, że darzył ją absolutnie maksymalnym dla siebie uczuciem, że na nikim nie mogło mu już bardziej zależeć. Być może w dużej mierze wynikało to z przyzwyczajenia – być może lubił ją przede wszystkim właśnie dlatego, że był do niej przyzwyczajony, znał jej poglądy, słabostki, zasady, wiedział, że z nią raczej się nie zanudzi, a nawet wręcz przeciwnie: na pewno będzie się całkiem nieźle bawił. Właściwie cóż w tym złego? Może nie były to najgorętsze powody, ale dzięki nim jego uczucie mogło się długo utrzymać w przyjemnej temperaturze. Susy zakosztowała już tropików, teraz tęskniła za bardziej umiarkowanym klimatem – jednak myśl, że przez cały rok będzie musiała nieustannie dmuchać miechem, wydała jej się niewypowiedzianie przygnębiająca. Ale tego akurat nie mogła mu powiedzieć.

Ten długi okres próbny, podczas którego – Susy doskonale zdawała sobie z tego sprawę – będzie musiała zabawiać Charliego, chronić go, powstrzymywać i osłaniać od innych kobiet, był elementem koniecznym ich układu. Była pewna, że – jak powiedziałby mały Breckenridge – „da radę”, ale i tak nie chciała o tym myśleć. Najbardziej chciałaby gdzieś – nieważne gdzie – wyjechać i nie widzieć Strefforda aż do dnia ślubu. Jednak tego też nie odważyła się mu powiedzieć.

– Domek w Londynie?

– Cóż, chyba powinnaś mieć jakiś dach nad głową.

– Pewnie tak.

Usiadł koło niej.

– Jeśli na tyle mnie lubisz, żeby kiedyś zamieszkać ze mną w Altringham, to proszę, pozwól mi, abym zanim to nastąpi, zapewnił ci jakieś mniejsze, przytulniejsze lokum. Zgoda?

Dalej się wahała. Wiedziała, że alternatywą było życie na koszt Ursuli Gillow, Violet Melrose czy innej bogatej przyjaciółki – teraz każda z wielką chęcią ofiarowałaby najwytworniejszą gościnność przyszłej lady Altringham. Ale taki układ na dłuższą metę byłby nie mniej upokarzający i stanowiłby nie mniejsze zagrożenie dla jej niezależności niż propozycja Altringhama.

Susy grała jednak na zwłokę:

– Przyjadę do Londynu w grudniu, na razie pomieszkam u różnych znajomych... Wtedy możemy się rozejrzeć.

– Dobrze, jak sobie zyczysz. – Nie ulegało wątpliwości, że uważa te wahania za absurdalne, jednak zbyt cieszył się z tego, że wszczęła postępowanie rozwodowe, by ta odpowiedź mogła go zmrozić. – No dobrze, kochana. Czy mógłbym dać ci coś w rodzaju pierścionka?

– Pierścionka? – Zarumieniła się na samą propozycję. – Ale po co, kochany Streffy? Skoro te wszystkie rodowe klejnoty siedzą w londyńskim sejfie...

– Oj, one z pewnością są dla ciebie zbyt staroświeckie. Do licha! Dlaczego nie mogę dać ci czegoś nowego? Wczoraj przy Rue de la Paix wpadłem na Ellie i Bockheimera. Wybierali szafiry. Wolisz szafiry czy szmaragdy? A może po prostu diament? Widziałem doprawdy morową sztukę... Chciałbym, żeby trafiła do ciebie.

Ellie i Bockheimer! Och, jak przykro było słyszeć o tej parze! Ich sprawa zawsze wydawała się Susy karykaturalnym odzwierciedleniem jej własnych losów, dziewczyna żywiła nieracjonalną urazę do Ellie, która wybrała ten sam czas na rozstanie i zejście się z kim innym.

– Proszę, Streff... Nie mów o nich... jak gdyby byli tacy jak my. Ledwo jestem w stanie usiedzieć w tym samym pokoju co Ellie Vanderlyn.

– Hę? Dlaczego? Bo zrzekła się praw do Clarissy?

– Nie tylko o to chodzi... Nie wiesz... Nie mogę ci powiedzieć... – Na samo wspomnienie przeszedł ją dreszcz, a następnie nerwowo wstała z ławki, na której siedzieli.

Strefford wzruszył beznamiętnie ramionami.

– Cóż, kochana, nie możesz wymagać, abym się z tobą zgodził. W końcu to dzięki Ellie mogłem mieć zaszczyt tak długiego pobytu z tobą w Wenecji. Gdyby z Algiem nie przedłużyli swojego miodowego miesiąca w mej willi...

Nagle urwał i spojrzał na Susy. Zdała sobie sprawę, że z jej twarzy odpłynęła cała krew. Czowała też, jak wypływa z serca, wypływa jak gdyby ze wszystkich przeciętych arterii, aż z życia nie zostało w niej nic poza jednym punktem pulsującego bólu.

– Ellie? W willi? Jak to? A więc to Ellie i Bockheimer...

Strefford patrzył z nieukrywanym zdumieniem.

– Nic nie wiedziałaś?

– ...przyjechali po mnie i Nicku? – dopytywała.

– Oczywiście! Myślisz, że gdyby nie to, tak szybko bym was wykurzył? Ten świński Bockheimer po prostu zadusił mnie złotem. Cóż, jedno jest dobre: nigdy już nie będę musiał wynajmować tej willi! Całkiem lubię to miejsce, raz na jakiś czas możemy jeździć tam na kilkudniowe wypady... Susy, co ci jest? – wykrzyknął.

Patrzyła na niego, ale go nie widziała. Przed jej oczami świat tańczył i falował.

– A więc to tam była, kiedy wysyłałam za nią te wszystkie listy?

– Listy? Jakie listy? Co cię tak okropnie zdenerwowało?

Nie zważała na niego, tylko drażyła:

– A więc Ellie i Algie Bockheimer przyjechali tam tego samego dnia, którego wyjechaliśmy z Nickiem?

– Chyba tak. Myślałem, że ci mówiła. Ona zawsze wszystko wszystkim mówi.

– Na pewno chętnie by mi powiedziała, ale jej nie pozwoliłam.

– Cóż, kochanie, to raczej nie jest moja wina, prawda? Choć naprawdę nie rozumiem...

Lecz Susy, której przed oczami wciąż wirowały lśnienia, ciągnęła, jak gdyby go nie usłyszała:

– A więc to było ich auto! To ich auto zawiozło nas do Mediolanu! To było auto Algiego Bockheimera! – Nie wiedzieć czemu, akurat to wydało jej się najbardziej upokarzającym elementem całej tej podłej awantury. Przypomniała sobie opory Nicka przed skorzystaniem z tej okazji, jego minę, gdy chwaliła się tym, co „załatwiła”. Ogarnęły ją mdłości.

Strefford wybuchnął śmiechem.

– Naprawdę? Pożyczyłaś ich auto? Nie wiedząc czyje?

– Skąd mogłam wiedzieć? Udało mi się przekonać szofera... Za maleńki napiwek...

Chodziło o zaoszczędzenie na biletach do Mediolanu... We Włoszech tak strasznie dużo liczą sobie za dodatkowy bagaż...

– Brawo, Susy! Dobra robota! Łatwo mi sobie wyobrazić, jak to robisz!

– Och, jakie to okropne! Okropne! – jęknęła.

– Okropne? Co jest okropne?

– To, że nie rozumiesz... Nie zdajesz sobie sprawy... – zaczęła

gorąco, po czym nagle urwała. Jak mogła mu wytłumaczyć, że najbardziej odrzucało ją nie tyle to, że tuż po jej i Nicka wyjeździe wynajął tę willę akurat tym dwojgu – choć wizja tej pary w ich słodkim tajemnym domku, pod platanami na tarasie, rzeczywiście zalewała błotem jej cudowne, złote wspomnienia... Nie, to nie z tego powodu czuła największe obrzydzenie, tylko dlatego, że Strefford, pławiąc się w luksusach domu Nelsona Vanderlyna, równocześnie potajemnie pomagał romansować jego żonie i – za ładną cenę – pozwalał jej gościć się pod dachem zdradzanego małżonka. Na końcu języka miała wyrzuty – lecz wtem przypomniała sobie, jaką rolę sama odegrała w tej koszmarniej awanturze. Nie była w stanie przyznać się do tego przed Streffordem, nie mogła mu wyznać, że właśnie dlatego Nick ją opuścił. Nie obawiała się, że wyjawivszy mu to, straci w jego oczach: nie wzruszały go kwestie moralne, śmiałyby się tylko z jej wyznania, szydziłby z Nicka i jego nowo odkrytej roli moralisty. Lecz to właśnie było nie do zniesienia – myśl, że ktokolwiek mógłby zwątpić w szczerłość wyznawanych przez Nicka zasad, że miałyby wyznać, jak bardzo sama nie jest w stanie im sprostać.

Milczała więc. Po chwili Strefford delikatnie posadził ją z powrotem obok siebie.

– Susy! Na Boga, nie wiem, o co ci chodzi. Jesteś zła na mnie czy na siebie? I o co tu właściwie chodzi? Czy brzydzi cię to, że wynająłem willę parze, która nie jest po ślubie? Ale przecież, do licha, właśnie tacy płacą najwięcej, a wtedy przecież musiałem jakoś na siebie zarobić! Nie co dzień człowiek trafia na nowożeńców...

Spojrzała na jego zdziwioną, zdezorientowaną twarz. Biedny Streff! Nie, nie gniewała się na niego. Dlaczego by miała się na niego złościć? Nawet ta niefortunna wiadomość nie odkryła przed nią żadnego nowego oblicza jego charakteru. Po prostu znów uświadomiła sobie prawdziwy punkt widzenia ludzi, pomiędzy którymi żyli oboje; odkryła, że mimo swojej pozornej odrębności Strefford dzielił z nimi sposób myślenia, miał takie same poglądy, był tak samo ślepy jak pozostali – zrozumiała, że jeśli do nich wróci, tego samego będzie się oczekiwać po niej samej. I na cóż zdać się może fortuna, która uwalnia od takich knoń i kompromisów, skoro w głębi serca wciąż się na nie przyzwala? Bo będzie musiała na to przyzwalać – będzie

musiała dostosować się do reszty, znieczulić się na kwestie, w których reszta już była nieczuła. Zapewne sama zdziwi się w końcu, że kiedyś się przeciwko temu buntowała, tak jak teraz Strefford był całkiem szczerze zdziwiony. Odniosła wrażenie, jakoby miała właśnie stracić jakiś nowo odkryty skarb, cenny wyłącznie dla niej samej, lecz w porównaniu z którym nic, co narzeczony mógł jej dać, nie miało żadnej wartości: ani tryumf wielokrotnie urażonej dumy, ani stabilna przyszłość.

– O co chodzi, Susy? – spytał tym samym łagodnym, zdziwionym głosem.

Ach... To poczucie samotności wynikające z faktu, że nigdy nie uda jej się sprawić, aby zrozumiał! Gdy została wyrzucona z Raju płonącym mieczem Nickowego potępienia, też czuła się opuszczona, lecz przynajmniej w tamtym bólu kryła się jakaś okrutna radość. Nick nie przedstawił jej nowych prawd i zasad, jedynie przebudził w niej coś, co drzemało przez lata obojętności. To obudzone poczucie nigdy już nie opuściło Susy i w przedziwny sposób chroniło ją przed totalną samotnością – był to sekret dzielony z Nickiem, dar, który była mu winna, jak gdyby zostawił ją z dzieckiem.

– Dziecinko... – Strefford smutno popatrzył na zegarek. – Wiesz przecież, że idziemy dziś na kolację w ambasadzie...

W ambasadzie? Popatrzyła na niego, nie do końca rozumiejąc, w końcu jednak sobie przypomniała. Tak! Byli dziś zaproszeni do Ascotów, towarzyszyć im miał kuzyn Strefforda, diuk Dunes z małżonką, przystojną młodą księżną bez skazy oraz starowinką matką-hazardzistką (do której to ci ostatni przyjechali z Anglii z wizytą). Ich współbiednikami mieli być inni Anglicy i Francuzi równi rangą i położeniem Dunesom.

Susy zdawała sobie sprawę, że zaproszenie na tego rodzaju spotkanie może oznaczać tylko jedno: jednoznacznie uznano ją za przyszłą małżonkę Altringhama. Była „tą małą Amerykanką”, którą trzeba było zaprosić wraz z nim nawet na oficjalne ceremonie. Skoro jego familia ją zaakceptowała, ambasada też musiała.

– Kochanie, jest już późno... A jeszcze muszę zobaczyć się z kimś w interesach – przypomniał jej cierpliwie Strefford.

– Och, Streff... Nie mogę, nie mogę! – Te słowa wypowiedziała, nie wiedząc, co mówi. – Nie mogę z tobą iść... Nie mogę iść do ambasady. Już dłużej tego nie wytrzymam... – Spojrzała na niego rozpaczliwie. – Proszę: zrozum, zrozum! – zawołała, wiedząc równocześnie, jak bardzo to, o co prosi, jest niemożliwe.

Twarz Strefforda zbladła i spoważniała. Z odcienia żółtego przemieniła się w księżycową biel, a pomiędzy jego ironicznymi brwiami i słabymi, rozbawionymi ustami ukazały się zmarszczki uporu.

– Mam zrozumieć? Co chcesz, abym zrozumiał? – Roześmiał się gorzko. – To, że tak szybko chcesz się mnie pozbyć?

Ukłuło ją to szydercze „tak szybko”, ale zaraz przypomniała sobie, że przecież niczego innego nie mogła się po nim spodziewać, skoro właśnie odchodziła od niego dlatego, że nie był w stanie jej zrozumieć.

– Och, Streff... Gdybym potrafiła ci to wyjaśnić!

– Przyczyny nie są aż tak istotne. Czy to właśnie próbujesz mi powiedzieć?

Spuściła głowę. Zobaczyła, jak pod stopami zeschnięte liście wirują na ścieżce, targnięte przez nagły zimowy powiew.

– Przyczyna... – ciągnął dalej, po czym odchrząknął i uśmiechnął się sztywno. – Przyczyna nie jest dla mnie wcale tak istotna jak sam fakt.

Wstała w milczeniu. Bolało ją zadawanie mu cierpienia.

„Ale przynajmniej – myślała – nie zapomniał o kolacji w ambasadzie”.

Ta myśl nappełniła ją odwagą.
– To na nic, Streff. To się nie uda. Nie jestem ani trochę kimś, kto mógłby dać ci szczęście.

– Oj, proszę, pozwól mnie samemu martwić się moim szczęściem.

– Nie, nie mogę. Bo i ja wtedy będę nieszczęśliwa.

Zmiażdżył obcasem przelatujące obok liście.

– Dość długo zajęło ci dojście do tego wniosku.

Susy zauważyła, że ugodzenie w jego nowo narodzone poczucie własnej wartości boli go bardziej niż złamane serce. I to dodało jej odwagi.

– Skoro tak długo mi to zajęło, to tym bardziej nie powinnam dłużej zwlekać. Popełniłam błąd i ty byś musiał przez niego cierpieć.

– Dziękuję – odparł – za twą niesamowitą troskę.

Spojrzała na niego bezradnie. Ogarnęła ją żalosa świadomość tego, jak bardzo są dla siebie niedostępni. Nagle przypomniała sobie, że podczas ich ostatniej rozmowy i Nick wydał się równie niedostępny. Ciekawe, czy gdy ludzkie dusze próbują się do siebie zbliżyć, nieuniknienie stają się dla siebie wyłącznie rozmytymi plamami zaburzającymi sobie nawzajem pole widzenia. Chciała powiedzieć to Streffowi, ale i tego by nie zrozumiał. Znow ogarnęło ją poczucie samotności, bezradnie próbowała znaleźć odpowiednie słowa – słowa, które by do niego dotarły.

– Proszę, pozwól mi samej wrócić do domu... – błagała.

– Samej?

Kiwnęła głową.

– Jutro... jutro...

Próbował, dość dzielnie, się uśmiechnąć.

– Do licha z jutrem! Cokolwiek jest nie tak, nie powinno mi to przeszkodzić w odwiezieniu cię do domu. – Zerknął na taksówkę, która czekała na nich na końcu opustoszałej drogi.

– Nie, proszę. Ty się spieszysz, weź taksówkę. Ja tak bardzo marzę o długim, samotnym spacerze... Ulicami, w towarzystwie zapalonych świateł...

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Kochanie... Czy ty nie jesteś przypadkiem chora?

– Nie, nie jestem. Ale możesz powiedzieć, że jestem... Dziś wieczór, w ambasadzie.

Puścił ją i odsunął się.

– Dobrze więc – odparł chłodno. Z jego tonu wyczuła, że łączący ich węzeł został przecięty, że w tej chwili prawie jej nienawidzi. Odwróciła się i pospiesznie pomknęła opuszczoną alejką, uciekając od niego, świadoma, że gdy biegła, Strefford wciąż stał tam bez ruchu, patrząc za nią: zraniony, upokorzony, nierozumiejący. To nie była ani jej, ani jego wina...

Rozdział 23

Gdy przemykała tak w stronę ulicznych świateł, poczuła na twarzy coś jak gdyby podmuch wolności.

Jakby nagle spadł z niej ciężar rosnący przez te kilka ostatnich miesięcy hipokryzji – znów była sobą, była Susy Nicka, nikogo innego. Mknęła dalej, spoglądała jasnymi, oszołomionymi oczyma na dostojne fasady dzielnicy La Muette, aleje obsadzone bezlistnymi drzewami, budzące się witryny sklepowe pełne rzeczy, na które nigdy nie będzie jej już stać...

Przystanęła przed oknem modystki i pomyślała: „Właściwie mogłabym przecież zarabiać na życie przybieraniem kapeluszy!”

Z bramy wylał się potok pracujących dziewczyn, który rozwidlił się do tramwajów i omnibusów, a Susy z nowo pobudzonym zainteresowaniem przyglądała się ich zmęczonym, niezależnym twarzom. „Przecież równie dobrze mogę zarabiać na życie tak jak one!” – pomyślała.

Trochę dalej minęła siostrę miłosierdzia, która dreptała lekkim krokiem, spoglądając wokół spokojnie, z rękami ukrytymi w przestronnych rękawach habitu. Widząc ją, Susy pomyślała: „Właściwie mogłabym być taką siostrą, nie mieć w ogóle pieniędzy, a więc żadnych trosk, i dreptać sobie pod białym kornetem i pomagać biedakom!”

Wszyscy ci mijani nieznajomi, do których się uśmiechała i na których spoglądała z zazdrością, byli wolni od jej zniewalających potrzeb, nie zrozumieliby, gdyby zaczęła wyliczać, że tyle pieniędzy potrzebuje na sukienki, tyle na papierosy, tyle a tyle na taksówki, napiwki i tysiące dodatkowych opłat, gdyby próbowała wytłumaczyć im, że w tej chwili tak naprawdę powinna spieszyć się na kolację w ambasadzie Wielkiej Brytanii, gdzie miano właśnie przypieczętować jej stałe prawo do takich właśnie luksusów.

Poczucie sztuczności i nierzeczywistości prowadzonego życia ogarnęło ją niczym duszący dym. Przystanęła na rogu, dysząc ciężko, jak gdyby właśnie dotarła do mety na jakichś zawodach biegowych. Następnie powoli już i bez celu przechadzała się ulicą, wzdłuż której stały małe prywatne domki z zawilglonymi ogródkami, prowadzącą do Avenue du Bois. Po jakimś czasie usiadła na ławce. Nieopodal wznosiła się dostojna bryła Łuku Tryumfalnego, a dalej w stronę Paryża mknęła rzeka świateł; to szaleńcze bicie miejskiego serca zniszczyło spokój jej własnego organu. Jednak nie na długo. Zdawała się na to wszystko spoglądać z drugiego końca grobu; gdy powstała i ruszyła przez Pola Elizejskie, na wpół opustoszałe w wieczornej drzemce pomiędzy zachodem słońca a kolacją, odniosła wrażenie, jakoby ta lśniąca aleja rzeczywiście przemieniła się w pole cieni, od którego wzięła swą nazwę, że ona sama jest kolejnym duchem wśród wędrujących dusz.

W pół drogi do domu ogarnęło ją poczucie osłabiającego osamotnienia, usiadła więc pod drzewami przy Rond-Point. Złącza arterii zaczynały ożywać strumieniami automobili i fiaków płynącymi równolegle, krzyżującymi się, łączącymi i rozdzielającymi się w gęstwinie pospiesznego poszukiwania przyjemności. Susy dostrzegała błyski klejnotów, gorsów i zatwardziały zblazowanych ślepi spomiędzy fałd futer i aksamitów. Zdawało jej się, że słyszy rozmowy przemykających par, widziała te salony, restauracje i sale balowe, do których było im tak spieszo, czuła popędzającą ich, zapierającą dech w piersi rutynę, gdy Czas, ten stary Odkurzacz, omiatał ich kurzem z powozowych kół.

I znów samotność zniknęła, wyparta przez poczucie wolności...

Zatrzymała się na rogu Place de la Concorde, rozpoznawszy w odzianym wieczorowo mężczyźnie, który właśnie łapał taksówkę, Nelsona Vanderlyna. Była to ostatnia osoba, na którą

Susy chciała się natknąć, w pierwszej chwili więc cofnęła się bezwiednie, ale on już do niej szedł. Co on wiedział, czego się domyślił o jej udziale w romansach jego żony? Ellie z pewnością wszystko wypaplała, teraz, kiedy miała już Bockheimera, równie dobrze mogła zwierzyć się ze swych przygód miłosnych tak Nelsonowi, jak komukolwiek innemu.

– No proszę! Proszę! Przyłapana na gorącym uczynku! Jak miło cię widzieć, droga Susy! – zawołał. Wtem jej dłoń znalazła się w serdecznym uścisku Vanderlyna, a jego okrągłe różowe oblicze witało dziewczynę starą dobrą uprzejmością właściciela. Czy więc w tym świecie, z którego uciekała, nic już się nie liczyło? Czy nikt już nie kochał, nie nienawdził, nie pamiętał?

– Nie miałem pojęcia, że jesteś w Paryżu! Sam dopiero co przyjechałem! – ciągnął Vanderlyn, najwyraźniej zachwycony spotkaniem. – Może przypadkiem nie masz dziś nic do roboty i przyjdiesz pocieszyć samotnego kawalera, co? Nie? Naprawdę? Ojej! Ja to mam szczęście! Słuchaj no, to gdzie się wybierzemy? Może gdzieś, gdzie można potańczyć? Tak, czasem doprawdy fantastycznie wiruję. Trzeba w końcu być na bieżąco. Poczekaj... o! taksówka! Chodź... podwożę cię najpierw do domu, poczekam, aż wskoczysz w odpowiednie ciuszki. Mamy mnóstwo czasu!

Gdy prowadził ją w stronę pojazdu, zauważyła, że Nelson lekko utyka – widocznie znów miał atak podagry; z pewnym trudem wsiadł za nią.

– A nie mogę iść w tym, co mam na sobie? Nie mam ochoty na tańce. Zjedźmy kolację w którejś z tych miłych zadymionych restauracyjek przy Place de la Bourse.

Nelson przyjął tę propozycję ze zdziwieniem, ale i z pewną ulgą. Pojechali. W kącie u Bauge'a znaleźli cichy, osłonięty od reszty parawanem stolik. Gdy Vanderlyn poprawiał okulary, by odczytać kartę, Susy przyjrzała mu się uważnie. Był ubrany jeszcze strojnziej niż zazwyczaj, na nadgarstku miał ultracienki zegarek, u kamizelki dyskretnie kosztowne guziki – ten rodzaj elegancji był u niego czymś zupełnie nowym. Na jego obliczu zaszły podobne zmiany: nieodłączny wyraz wytartego optymizmu został trochę podrasowany tak, aby pasował do stroju, jak gdyby jakiś moralny kosmetyk go zaróżowił, wyblęszczył i uczynił bardziej dziarskim, a przy tym wcale go tak naprawdę nie odmłodził. Cieniusieńka woalka dobrego humoru ledwo spowijała jego twarz, jego łysina została misternie zaczesana błyszczącymi puklami.

– Hop! Hop! Kelner! Poproszę o kartę win. Na jakiego szampana masz ochotę, Susy? – Skrupulatnie wybrał najlepsze, co kryła tutejsza piwnica, narzekając co nieco na burżuazyjny charakter oferowanych dań. – Zapewne w tej kategorii są bardzo smaczne, ale przyznaj, że trochę przasne. Cóż, mnie to nie przeszkadza... W sumie to miła odmiana po kuchni Luxe'a, prawda? Coś nowego, jestem gotowy na nowe wrażenia, a ty, moja droga? – Ponownie napełnił kieliszki szampanem, rozparł się na krześle i spojrzał dobrotliwie na Susy.

Wraz z przyływem szampana nabrał ochoty do zwierzeń.

– Zapewne wiesz, po co tu jestem... To przez ten rozwód... Chcieliśmy go załatwić po cichu, bez tej całej bieganiny, a Paryż to oczywiście najlepsze ku temu miejsce. Żyj i pozwól żyć innym; nikt tu o nic nie pyta. Bez tych naszych parszywych gazet. Morowy kraj, ta Francja. Zero hipokryzji... Tu rozumiemy życie!

Susy słuchała i przyglądała mu się. Pamiętała, że chodziły pogłoski, jakoby dowiedziawszy się o wszystkim, Nelson zrobił wielką awanturę. Zawsze uzależniony był od barwnych anegdotek na temat niewiernych żon, a jego nieodłączny okrzyk („Ale was przyłapałem, hę?”) sugerował, że było to coś, co ciągle nie dawało mu spokoju. Teraz jednak nie ulegało wątpliwości, że – jak to się mówi – „wszystko przełknął”, jak wszyscy inni w jego położeniu. Żadna gwałtowna fala oburzenia nie wyniosła go nagle ponad zwykłe rozmiary: wciąż był malutkim człowieczkiem wśród małych ludzi. Ta gorliwość i radosny optymizm, z którymi chciał odbudować swe życie, przypominały Susy wytrwałość mrówek odbudowujących

rozwalone mrowisko.

– Coś ci powiem: ta wolność to fantastyczna sprawa! W dzisiejszych czasach wszystko jest inne, dlatego więc i małżeństwo miałoby się nie zmienić? Ze współnictwa w interesach wyplątać się, jeśli ktoś ma takie życzenie, łatwo; pastory natomiast chcą, byśmy do końca życia zaplątani byli w sidła tylko dlatego, żeśmy pewnego dnia zblądzili do kościoła i zgodzili się na to przed jednym z nich. Nie, nie... To zbyt łatwe. Posunęliśmy się dalej. Nauka, te wszystkie nowe odkrycia i wynalazki... Uważam, że dziesięć przykazań ma służyć człowiekowi, a nie człowiek przykazaniom. Poza tym na tablicach przecież nie było ani słowa przeciwko rozwodom! Tak powtarzam nieszczęsnej mateczce, która wszystko, wszyściutko opiera na Biblii. Znajdź mi, mamusiu, gdzie jest napisane: „Nie będziesz wszczynał sprawy rozwodowej”. Doprowadza to biedną starowinkę do szału: no bo nigdzie tak przecież nie piszą; w głowę zachodzi, jak można było coś takiego pominąć... Ja raczej myślę, że Mojżesz to wykreślił, bo lepiej znał się na naturze ludzkiej od tych dzisiejszych klechów-mazgajów. Nie żeby oni sami byli tacy nieskazitelni, ale guzik mnie to obchodzi. Trzeba żyć i dać żyć innym, co nie, Susy? Mamy przecie prawo do wszelkich sympatii! Słuchy chodzą, że i wy poszliście za naszym przykładem. Pierwszorzędny pomysł! Już w Wenecji wiedziałem, że się na to zanosi. Można powiedzieć, że was przyłapałem, he? Stary Nelson nie jest taki ślepy, jak się wszystkim wydaje. Otwórzmy kolejną butelkę! Wypijmy za zdrowie państwa Streffów!

Chwyliła dłoń, którą unioś, by przywołać sommeliera. Ten czerwony, rozgadany Nelson wzruszył ją mocniej niż jakaś bardziej heroiczna postać.

– Proszę, dość już tego szampana. Poza tym – dodała nagle – to nieprawda.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– To nieprawda, że wychodzisz za Altringhama?

– Właśnie.

– Do licha! No to po co rzucałaś Nicka? Czyli nie masz żadnej, jak to się mówi, „osoby trzeciej”, moja droga?

Zaśmiała się i potrząsnęła przecząco głową.

– Czy mam przez to rozumieć, że to wszystko robota Nicka?

– Nie wiem. Zamiast o tym, porozmawiajmy o tobie. Miło widzieć, że dopisuje ci humor. Myślałam...

Przerwał jej prędko:

– Myślałaś, że zgotuję jakąś awanturę? Że sobie postrzelam? Wiem, wszyscy tak myśleli.

– Podwinął wąż, niewątpliwie dumny ze swojej reputacji. – Cóż, może dzień czy dwa rzeczywiście latałem w białej gorączce, ale tak naprawdę, po pierwsze i po ostatnie, jestem filozofem. Zanim zająłem się bankierką, zdążyłem wybudować i stracić ze dwie fortuny na Zachodzie. Jak je odbudowywałem? Nie strzelałem do nikogo, nawet do siebie. Po prostu zacisnąłem pasa i zacząłem od nowa. Właśnie tak... I to samo robię teraz. Zaczynam od nowa...

– Dumę w jego głosie zastąpiły smutne tony melancholii, opadła maska wymuszonej wesołości i przez moment Susy dostrzegła prawdziwego Nelsona: starego, zdruzgotanego, samotnego. Właśnie tak: był samotny, rozpaczliwie samotny, tonął w tak głębokim morzu samotności, że chwycił się i mocno uczepliał każdego drzewca w postaci kogoś z przeszłości. Nawet jeśli znał rolę Susy lub domyślał się jej udziału w jego tragedii, witał ją tak ciepło, z takim przebaczeniem, i to nie przez gruboskórność, lecz przez to samo poczucie małości, znikomości i izolacji, które bez przerwy roztaczało zimną mgłę w jej polu widzenia. Nagle i ona poczuła się stara – stara i niezmiernie zmęczona.

– Tak miło cię było widzieć! Ale teraz już muszę zmykać do domu.

Nawet nie próbował jej zatrzymać, poprosił tylko o rachunek. Popisując się hojnością

wobec kelnerów, odzyskał radosny nastrój, ruszył za nią i wezwał taksówkę.

Odjechali w milczeniu. Susy zastanawiała się, co stało się z Clarissą, ale nie odważyła się spytać. Vanderlyn zapalił, nucił skoczną melodyjkę i gapił się przez okno. Nagle wziął ją za rękę.

– Powiedz, Susy... Widujesz ją czasem?

– Widuję? Ellie?

Skinął głową, nie odwracając się ku niej.

– Nieczęsto... Czasami...

– Jeśli się z nią zobaczysz... Na miłość boską, powiedz jej, że jestem szczęśliwy... Jak cesarz... Powiedz, że na własne oczy widziałaś moje szczęście... – Zawiesił na chwilę głos. – Niech... Niech mnie diabli, jeśli... jeśli Ellie miałyby kiedykolwiek się przeze mnie martwić...

Papieros wypadł mu z palców, Nelson załkał i zakrył twarz rękoma.

– Oj, biedny... Biedny Nelson... – szepnęła Susy.

Wciąż siedział z twarzą w dłoniach, gdy przejeżdżali przez Place du Carrousel, a potem przez most. W końcu wyciągnął pachnącą chustkę do nosa, przetarł oczy i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu kolejnego papierosa.

– Wszystko w porządku! Powiedz jej, Susy, że u mnie wszystko w porządku! Dobrze? Są rzeczy, są wspomnienia z dawnych lat, których chyba nigdy nie zapomnę; ale dzięki nim myślę o niej czule, nie gniewam się. Nie przypuszczałem wcześniej, że tak będzie... ale jest... A teraz, kiedy już wszystko załatwione, czuję się świetnie, naprawdę doskonale, to możesz jej przekazać... Słuchaj, Susy... – Kiedy zajeżdżali pod jej hotel, Nelson chwycił ją za ramię. – Powiedz jej, proszę, że... że rozumiem... Dobrze? Zależy mi, aby to wiedziała...

– Powiem jej, Nelson – obiecała, po czym weszła po schodach wprost do ponurego hotelowego pokoju.

Jedynie, czego obawiała się Susy, to to, że następnego dnia Strefford przypisze ich ostatnią rozmowę zaledwie „nerwom”, uzna za coś godnego wyśmiania. Mógł nawet mieć do niej taki żal, że postanowi zwlekać ze spotkaniem – to jednak było niezwykle mało prawdopodobne, zważywszy na jego niefrasobliwe, nowoczesne podejście do zachowania i wszelkich przekonań. Podejrzewała, że najbardziej dotknęło go jej bezceremonialne wymówienie się z kolacji w ambasadzie.

Ale – koniec końców – dlaczego miałyby się z nim znowu widzieć? W tych ostatnich miesiącach tyle rzeczy wyjaśniała, że wiedziała, jak rzadko usprawiedliwienia cokolwiek tłumaczą. Jeśli druga osoba nie rozumie po pierwszym słowie, nawet po pierwszym spojrzeniu, dalsze wyjaśnienia tylko pogłębiają niejasność. Ponad wszystko chciała – zwłaszcza po tamtej godzinie w towarzystwie Nelsona Vanderlyna – być już na zawsze wolna, z dala od tego wszystkiego, aby zachować władzę nad swym tak niepewnym, świeżo odzyskanym jestestwem. Usiadła i napisała do Strefforda list, którego pisanie było tylko odrobinę mniej bolesne niż pisanie do Nicka. I to nie dlatego, że żywiła wobec obu panów podobne uczucia, tylko dlatego, że odkąd podjęła już ostateczną decyzję o opuszczeniu Strefforda, pamiętała jedynie jego czułość, wyrozumiałość, wesołość i inne cechy, które zawsze u niego ceniła. Szło jej ciężko również dlatego, że wstydziła się własnego wahania, które musiało przynieść mu tyle cierpienia i upokorzenia. Tak: przede wszystkim chodziło o upokorzenie. Wiedziała, że to, co ma mu do powiedzenia, urazi jego dumę niezależnie od tego, jak ubierze odrzucenie go w słowa; pióro drżało jej przy pisaniu nienawistnego zdania. Wtem przypomniała sobie słowa Vanderlyna o wkrótce byłej żonie: „Są rzeczy, są wspomnienia z dawnych lat, których chyba nigdy nie zapomnę...”; oraz coś, co powiedziała Grace Fulmer, co dopiero teraz Susy w pełni zrozumiała: „Jeszcze nie jesteś wystarczająco długo po ślubie, aby zrozumieć, jakie to wszystko wydaje się nieistotne, gdy bierze się pod uwagę wspólne wspomnienia”.

Obie te osoby zapuściły się znacznie dalej w labirynt stanu małżeńskiego niż ona, przedzierały się przez jego najbardziej cierniste korytarze. Obie jednak – jedna z pełną świadomością, druga tylko na wpół świadomie – zaświadczyły o prawdziwości tego, czego Susy powoli zaczynała się domyślać: że wpływ małżeństwa rozpoczętego w obustronnym zrozumieniu jest tak silny, że musi się umocnić nawet w chwili odejścia, nawet w chwili zwątpienia.

„Prawdziwy powód jest taki, że nie jesteś Nickiem”. – Gdyby odważyła się wyznać prawdę, to właśnie przekazałaby Streffordowi. Zdawała sobie sprawę, że cokolwiek napisze, przyjaciel jest zbyt bystry, by się tego nie domyślić.

„Pomyśli, że to dlatego, że dalej Kocham Nicka... I może to prawda. Ale nawet jeśli, to nie w tym naprawdę tkwi sęk, tylko w czymś głębszym, w tym wszystkim, co nas łączyło, co zdaje się trwalsze od samej miłości, co zmienia ją w coś innego...” – dumiała. Gdyby mogła mieć nadzieję, że Strefford to zrozumie, list pisałoby się łatwo. Wiedziała jednak, gdzie zawiedzie go wyobraźnia, na jakich oczywistych i powierzchownych domysłach się zatrzyma.

„Biedny Streff... Biedna ja!” – myślała, zaklejając kopertę.

Gdy wysłała list, ogarnęło ją poczucie pustki. Ponieważ udało jej się wyrzucić z głowy wszystkie próżne wahania i wątpliwości – jej zdrowe ciało od razu odrzucało nawroty choroby. Pozostała jednak dziwna pustka, po której myśli kołatały się tak, jak wyobrażała sobie, że muszą się kłębić tuż po śmierci – zanim się człowiek do niej przyzwyczai. Przyzwyczaić się do bycia martwą! Widać to było jej następne zadanie. Straszna z niej nowicjuszka – wciąż czuła się tak potwornie żywa! Jak inni nauczyli się obywać bez życia? Nelson – cóż, on wciąż był w ostatnim ferworze, zapewne nigdy nie zrozumie tego w pełni ani nie będzie w stanie przekazać, czego się nauczy. Grace Fulmer natomiast... Nagle przypomniała sobie, że przecież Grace przebywa teraz w Paryżu, ruszyła więc, aby ją odszukać.

Rozdział 24

Nick Lansing wyszedł daleko w rzymską Kampanię. Rzadko miał pełne władanie nad własnym czasem, jako że zarówno pan, jak i pani Hicks byli w coraz większym stopniu uzależnieni od wnoszenia nagłych i nieco władczych postulatów do jego terminarza. Tym razem jednak po prostu wymknął się bez słowa po obiedzie, pojechał tramwajem do Porta Salaria, a stamtąd skierował się ku Ponte Nomentano.

Chciał się oddalić i pomyśleć w spokoju; teraz jednak, kiedy mu się to udało, jego wysiłki okazały się równie bezowocne co wszystkie przedsięwzięcia podjęte od wyjazdu z Wenecji. Pomyśleć – ale o czym? Odkąd dwa miesiące wcześniej dostał krótką wiadomość od Susy, w której ta prosiła go o wolność, jego przyszłość wydała mu się czymś godnym zaniedbania.

List był dla niego szokiem – mimo że wydawało mu się, że był na niego doskonale przygotowany – lecz równocześnie przyniósł pewną ulgę. Teraz wreszcie okoliczności zmuszały Nicka, by napisać do żony, a równocześnie dyktowały mu treść. Napisał więc najzwyczajniej i najprościej, jak się dało, że nie zamierza robić żadnych przeszkód, zadeklarował całkowitą dyspozycyjność wobec jej adwokata, jeśli cokolwiek jeszcze będzie konieczne z jego strony – dodał też, że nigdy nie zapomni wspólnie spędzonych chwil, że nigdy nie przestanie być jej za nie wdzięczny.

I tyle. Podał adres swego rzymskiego banku i czekał na kolejny list – ten jednak nie nadszedł. Zapewne „formalności” – jakiegokolwiek by były – zajmowały więcej czasu, niż przypuszczał; a jako że jemu samemu niespieszno było wrócić do kawalerskiego stanu, nawet nie próbował dowiedzieć się przyczyn tej zwłoki. Od tej chwili jednak uważał się za praktycznie wolnego człowieka i tym samym stracił jakiegokolwiek zainteresowanie swoją przyszłością. Życie wydawało mu się równie monotonne co rekonwalescentowi pierwsze dni po ustaniu gorączki.

Jedyne, czego był pewien, to to, że nie będzie już dłużej pracować u Hicksów: nie miał najmniejszego zamiaru towarzyszyć im do Azji Centralnej. Rola następcy pana Buttlesa co dzień wydawała mu się coraz bardziej nieznośna i to zapewne właśnie z tych przyczyn, które najbardziej zadowalały jego poprzednika. Był dla Hicksów opłacaną wyrocznią, chwalili się nim jak ulubioną własnością – wszystko to wydawało mu się bardzo niesmaczne; nigdy nie spodziewał się, że jakikolwiek związek z tymi poczciwymi ludźmi mógłby wzbudzić w nim takie uczucia. A odkąd ich aspiracje stały się tak niezaprzeczalnie światowe, obowiązki – choć prostsze – sprawiały mu znacznie mniej przyjemności niż w pierwszych miesiącach współpracy. Wolałby po raz setny cierpliwie tłumaczyć pani Hicks, że Sasanidzi to nie to samo co Saraceni, niż wyjaśniać genealogiczne więzi utytułowanych gości i przypominać przy „rozsadzaniu”, że diuk jest wyższy rangą od księcia. Tak – ta praca była zdecydowanie nie do wytrzymania; musiał rozejrzeć się za innym sposobem zarabiania na życie. Ale prawdę powiedziawszy, wcale nie wymknął się po to, aby się akurat nad tym zastanawiać. Zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie będzie przymierać głodem; nawet znów zaczął wierzyć w swoją książkę. Chciał pomyśleć o Susy – a szczerze mówiąc, to właśnie o Susy nie był w stanie nie myśleć, nieważne, czym by się próbował zająć.

Co jakiś czas wydawało mu się, że zawarł rozejm z przeszłością, że pogodził się ze wszystkim – z porażką w życiu osobistym; z tym, że poległ po zmierzeniu się z tym świetlistym wrogiem zwanym szczęściem. Prawdę mówiąc, doszedł już do wniosku, a nawet nabrał całkowitej pewności, że nigdy nie wróci do tego rodzaju egzystencji, na jaką zdecydował się wraz z Susy. Tragedią ich związku było to, że kochanie jej obudziło w nim ideały, którym ona nigdy nie mogła sprostać. Zakochał się w niej, gdyż była – tak samo jak on – rozbawiona,

nieuprzedzona i rozczarowana; nie mógł jej jednak dalej kochać, jeśli miałyby taką zostać. Z tego błędnego koła nie było ucieczki, kręcił się w nim rozpaczliwie i beznadziejnie.

Może nawet próbowały się z nią raz jeszcze zobaczyć, gdyby nie te nieustające plotki o jej nadchodzących zaślubinach z lordem Altringhamem. Zdawał sobie jednak sprawę z niebezpieczeństwa i nieuniknionej bezowocności takiego spotkania, w gruncie rzeczy cieszył się więc, że ma powód, aby go unikać. Tak przynajmniej szczerze wierzył, dopóki nie znalazł się – jak w tej chwili – wreszcie u kresu tych rozmyślań. Tym kresem – niezmiennie – była Susy; i to nie zbiór różnych cech i wad, do którego jego krytyczny duch próbował ją przyporządkować, lecz jej łagodna, rozmazana tożsamość. Jej osobowość, jej oczy, włosy, usta, śmiech, gry słowne i gesty, które były tak całkowicie, tak dogłębnie jej własne, a zarazem tak tajemniczo niezależne od tego, co mogła zrobić, powiedzieć, pomyśleć w kluczowych okolicznościach. Przypomniał sobie, jak oznajmiła: „A jednak miałeś rację, kiedy chciałeś, żebym została twoją kochanką” i oburzone, niedowierzające spojrzenie stanowiące jego odpowiedź. Jednak podczas obecnych rozmyślań właśnie to wspomnienie było najdotkliwsze, najbliższe, aż – nieuchronnie – jego wizja zataczała krąg i czując żonę u swej piersi, Nick pragnął mieć ją i w duszy.

Cóż – taka wszechogarniająca miłość to najrzadsze ludzkie doświadczenie; uśmiechnął się, spostrzegłszy własną bezczelność i to, że niczego innego nie pragnął. Niechętnie obrócił się i przez zimowy zmrok pomaszerował do domu...

W bramie hotelu natknął się na książęcego adiutanta. Nie widzieli się przez kilka ostatnich dni i Nick odniósł niejasne wrażenie, że nawet jeśli plany matrymonialne księcia się skryształizowały, zapewne nie on zostanie obrany na pośrednika. Kilka razy zauważył, że pod serdecznym wejrzeniem księżnej matki kryje się wobec niego jakaś chłodna nieufność; uznał, że dama ta być może uważa go za potencjalną przeszkodę dla zakusów jej syna. Sam wcale tak nie myślał, nie było mu jednak przykro, że sprawiał takie wrażenie – był szczerze i serdecznie przywiązany do Coral Hicks i życzył jej bardziej ludzkiego losu niż zostanie najjaśniejszą małżonką księcia Anastasiusa.

Tego wieczoru zauważył ze zdumieniem, że adiutant przywitał się z nim wyjątkowo entuzjastycznie i promiennie. Jeśli kiedykolwiek wisiała nad nim jakaś chmura, teraz została rozwiana: z jakiegoś powodu klan teutoburski już się go ani nie lękał, ani nie był wobec niego podejrzliwy. Zmianę dało się dostrzec w samym uścisku dłoni i krótkiej wymianie zdań, jako że adiutant spieszył się towarzyszyć pewnej znanej i zamożnej wdowie świata starorzymskiego, której właśnie asystował w wejściu do wielkiego, zdobionego koronami broughama, sprawiającego wrażenie, jakby wydobyto go na jakąś zacną ceremonię z muzeum starodawnych pojazdów. Nagle Lansing doznał oświecenia: zrozumiał, że właśnie ta dama została obrana do złożenia u stóp panny Hicks książęcej propozycji.

To odkrycie zdenerwowało go, tak więc zamiast prosto do swojego pokoju, udał się do bawialni pani Hicks.

Pomieszczenie było puste, zastał w nim jednak resztki wytwornego podwieczorku, a pośrodku, na stole, leżał gigantyczny bukiet sztywnych róż. Nick już miał wyjść, gdy niespodziewanie weszła Eldorada Tooker, czerwona i zapłakana.

– Ach! Panie Lansing! Wszędzie pana szukaliśmy!

– Szukaliście mnie?

– Tak... Zwłaszcza Coral... Chce z panem porozmawiać. Prosi, aby udał się pan do jej prywatnego saloniku.

Poprowadziła go przez przedpokój i wzdłuż korytarza aż do osobnego apartamentu zajmowanego przez pannę Hicks. Na progu Eldorada wyrzuciła z siebie przepełniony emocją szept:

– Zastanie ją pan przepiękną... – A gdy wszedł, uciekła z płaczem.

Coral Hicks nigdy nie wyglądała przepięknie, teraz jednak rzeczywiście prezentowała się nadzwyczaj urodziwie. Może to dzięki długiej czarnej aksamitnej sukni, za sprawą której w świetle lampy rosła sylwetka dziewczyny wydawała się niemal wiotką, a może dzięki rumieńcowi oblewającemu śniade policzki dziewczyny. Promieniała kobiecością i tym razem nie usiłowała za wszelką cenę przyćmić tego blasku. Doprawdy, jedną z jej osobliwości było to, że zawsze odważnie i z pełną powagą prezentowała całemu światu maksimum nastroju, który akurat ją ogarniał.

– Wyglądasz wspaniale! – powiedział, uśmiechając się do niej.

Odrzuciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– To będzie mój nowy zawodowy obowiązek.

– Wspaniale wyglądać?

– Tak.

– I nosić koronę?

– I nosić koronę...

Dalej w milczeniu przyglądali się sobie nawzajem. Serce Nicka skurczyło się we współczuciu i rozterce.

– Och, Coral... Ale to chyba jeszcze niepostanowione?

Przez ostatnią wnikliwą chwilę przyjrzała się mu, po czym odwróciła wzrok.

– Nigdy długo nie zwlekam z podjęciem decyzji.

Nick wahał się. Targały nim sprzeczne emocje, lękał się którąkolwiek wysławić, by nie zwieść lub nie zranić dziewczyny.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał żałośnie. Natychmiast zorientował się, że popełnił gafę.

Coral usiadła i spojrzała na niego spod spuszczonej rzęs – czy dopiero teraz zauważył, jakie były gęste?

– Czy to zmieniłoby cokolwiek?

– Zmieniło?

– Usiądź przy mnie – rozkazała. – Chcę z tobą porozmawiać. Teraz możesz powiedzieć wszystko to, co powiedziałbyś wcześniej. Jeszcze nie wyszłam za mąż, jeszcze jestem wolna.

– Nie dałaś odpowiedzi?

– To nieistotne.

Odpowiedź dziewczyny przeraziła go, odsłoniła, czego Coral wciąż od niego oczekiwała – a czego on wciąż nie był w stanie jej dać.

– A więc się zgodziłaś? – zapytał, by zyskać na czasie.

– Zgodziłam, nie zgodziłam: to nie ma znaczenia. Coś musiałam odpowiedzieć. Chcę twojej rady.

– Za pięć dwunasta?

– O północy... – Urwała, po czym z nagłą nutą bezradności spytała: – Co mam zrobić?

Spojrzała na nią równie bezradnie. Nie mógł powiedzieć: „Zastanów się sama, poradź się rodziców”. Jej kolejne słowo było w stanie zmieścić wszelkie tego typu kruche hipokryzje. Doskonale zdawał sobie sprawę, że „Co mam zrobić?” oznaczało „Co ty zrobisz?”. I miał świadomość, że wiedziała, że on to wie.

– Jestem nieodpowiednią osobą, aby komukolwiek radzić w kwestiach matrymonialnych – zaczął z nerwowym uśmiechem. – Ale zupełnie inaczej wyobrażałem sobie twoją przyszłość.

– Co sobie wyobrażałeś? – Coral nie znała litości.

– Po prostu to, co zwałam szczęściem, moja droga.

– „Zwą?”... Widzisz, sam w to nie wierzysz! Cóż, ja też nie... Przynajmniej w szczęście w takiej postaci.

Zastanowił się.

– Wierzę w dążenie do niego; nawet jeśli na dążeniu miałyby się skończyć.

– Ja próbowałam i poległam. Mam dwadzieścia dwa lata, a nigdy nie byłam młoda.

Chyba mam na to zbyt małą wyobraźnię. – Odetchnęła głęboko. – Teraz chcę czegoś innego...

Odniósł wrażenie, że dziewczyna szuka odpowiedniego słowa.

– Chcę być... dostojna! – oświadczyła.

– Dostojna?

Oblała się ciemnym rumieńcem.

– Uśmiechasz się... Uważasz to za absurd: nie wydaje ci się to wiele warte. Dlatego, że ty to zawsze miałaś. Ale ja nie. Wiem, z jakiego miejsca wybił się mój ojciec, a ja chcę wznieść się wyżej... znacznie wyżej. Wiem, że nie mam bujnej wyobraźni, zawsze przede wszystkim interesowały mnie fakty. I sądzę, że spodoba mi się fakt bycia księżną... Możliwość wyboru, z kim się będę zadawać, bycia ponad tymi wszystkimi europejskimi osobistościami, przed którymi rodzice się płaszczą, choć wmawiają sobie, że nimi gardzą. Ty możesz być ponad nimi wszystkimi, po prostu będąc sobą. Ja jednak potrzebuję podwyższenia... a wręcz wieżowca. Mama i tata tyrali, by dać mi wykształcenie. Myśleli, że to edukacja jest najważniejsza; jednak skoro wszyscy troje mamy zaledwie dość przeciętne umysły, edukacja zaprowadziła nas tylko w dość przeciętne towarzystwo. Myślisz, że nie jestem w stanie przejrzeć na wylot tej całej fałszywej nauki, fałszywej sztuki, tej całej otaczającej nas sztuczności? Właśnie dlatego chcę nabyć miejsce na samej górze, miejsce, które da mi tyle władzy, bym mogła otaczać się tymi, którymi chcę: wielkimi ludźmi, odpowiednimi ludźmi. Chcę im pomóc, promując kulturę, być mecenasą jak te wszystkie renesansowe damy, o których w kółko opowiadasz. Rozumiesz? Chcę to zrobić dla dobra Apex. I dla taty, i dla mamy. Chcę, aby te wszystkie tytuły wykuto mi na nagrobku. W końcu to fakty! Nie śmieję się ze mnie... – Urwała i swoim zwyczajem uśmiechnęła się niezręcznie, po czym odeszła od niego na drugi koniec pokoju.

Nick siedział, przyglądając się jej z dziwnym podziwem. Jej twardy pozytywizm działał niczym tonik na ogarniające go rozczarowanie, ale pomyślał: „Jaka szkoda!”.

Na głos powiedział zaś:

– Nie mam ochoty się z ciebie śmiać. Jesteś wspaniałą kobietą.

– A więc będę księżną.

– Och... Ale mogłabyś być kimś o wiele wspanialszym!

Twarz Coral znów pokraśniała.

– Nie mów tak!

Nie zastanawiając się, co robi, zerwał się na równe nogi i podszedł do niej.

– Dlaczego nie?

– Bo jesteś jedynym, z którym mogłabym wyobrazić sobie wspaniałość innego rodzaju.

To go poruszyło, poruszyło wręcz niespodziewanie. Pomyślał nawet: „Na Boga! Gdyby tylko nie była tak potwornie bogata...”, a następnie przez moment ugiął się przed jakże wymowną wizją tego wszystkiego, co we dwoje mogliby zrobić z fortuną, której się tak lękał. W końcu w jej ideałach nie było nic niskiego; były co prawda twarde i materialne, w zgodzie z jej prymitywną, masywną osobą – epatowała z nich jednak pewna ponura szlachetność. Wiedział, że przez „wspaniałość innego rodzaju” rozumiała to, o czym rzeczywiście mówiła, że nie próbowała tylko skusić go, zmusić, by się zadeklarował. Nie było w niej żadnej przebiegłości – tylko ta, która wynika właśnie z uczciwości.

– Innego rodzaju wspaniałość? – powtórzył.

– A nie tak rozumiesz szczęście? Chciałam być szczęśliwa... Ale człowiek nie wybiera...
Podszedł do niej.

– To prawda. Nie da się wybrać. Jak masz dostać szczęście od kogoś, kto sam go nie ma?

– Wziął ją za ręce. Nawet gdy jej dłonie rozplływały się w jego uścisku, zdawał sobie sprawę, jak bardzo są wielkie, muskularne i świadome.

– Biedna Coral... Jaki ty możesz mieć ze mnie pożytek? Potrzebujesz, aby ktoś cię pokochał.

Odsunęła się i rzuciła mu jedno ze swych prostych, mocnych spojrzeń.

– Wcale nie – odpowiedziała mężnie. – Wystarczy, że ja kocham.

CZEŚĆ III

Rozdział 25

Susy szła samotnie przez uporczywą mżawkę zimowego paryskiego poranka. Odstawiła do szkoły czworo najstarszych fulmerzątek i wracała do małego domku w Passy, w którym mieszkała z nimi już dwa miesiące.

Miała na sobie kupne, gotowe botki, stary przeciwdeszczowy płaszcz i zeszloroczny kapelusz. Nie odczuwała z tego powodu zbytnej dumy, jednak również wcale jej to nie martwiło. Prawdę mówiąc, nie miała czasu, aby sobie zaprzętać głowę takimi błahostkami. Gdy na czas pobytu Fulmerów we Włoszech przejęła opiekę nad ich dziećmi, musiała przejść niezwykle żmudny kurs macierzyństwa; każda godzina wypełniona była tysiącem spraw do załatwienia od zaraz i do zapamiętania na później. Fulmerzątek było tylko pięcioro, chwilami jednak sprawiały wrażenie zbrojnej chorągwi, a ich zdolnościom do natychmiastowego samoistnego zwielokrotniania swej liczby dorównywał jedynie ich talent do skurczenia się, zniknięcia, zaniemówienia i zlania się w jedną brązową, rozczochraną, nachyloną nad książką czuprynę, pogrążoną w lekturze akurat w takim zakątku domu, gdzie nikomu nawet nie przysłoby do głowy ich szukać – kryjówka ta, czy na strychu w pokoiku służącej, czy w piwnicznej komórce na kufry, była naturalnie obierana właśnie z tego powodu.

To nagłe przechodzenie z wszechobecności w zupełną niewidzialność jeszcze kilka miesięcy wcześniej wydawałoby się Susy czymś kategorięcznie nie do zniesienia. Teraz jednak miała już inne zdanie. Zainteresował ją los podopiecznych, a odkrywanie za pomocą różnych wskazówek ich *modus operandi* – indywidualnego czy stadnego – fascynowało ją niczym powieść detektywistyczna.

W tym całym żywym szaleństwie najbardziej zaintrygowało ją odkrycie, że wbrew pozorom kierowała nim jakaś metoda. Tym niewielkim stworzeniom, rzuconym na fale doświadczenia bujnych rodzicielskich żywotów, udało się ustanowić prosty system samorządu. Najstarszą, Junie – która wybierała mamie kapelusze i usiłowała zaprowadzić ład w matczynej garderobie – całe tałatajstwo jednogłośnie uznawało za naczelnika ich państewka. W wieku lat dwunastu wiedziała wiele rzeczy, których jej matce nigdy nie udało się całkiem nauczyć, a Susy nawet nie przyszły na myśl; była autorytetem we wszelkich kluczowych dziedzinach: od oleju rycynowego po flanelowe majtasy, od sprawiedliwego dzielenia znaczków czy kulek po to, ile porcji ryżowej leguminy czy dżemu przysługuje każdemu z rodzeństwa.

Od jej wyroków rzadko kiedy można było składać apelację; jednak każdy z poddanych kręcił się po własnej, niezależnej orbicie w zgodzie z prawami uznawanymi i przestrzeganymi także przez samą Junie. Interpretacja tej tajemniczej karty praw i przywilejów sprawiła Susy niemało trudności.

Ponadto trzeba się było zmierzyć z trudnościami natury materialnej. Cała szóstka oraz żyjąca w ciągłym biegu gospoia, która tyrała w domu i gotowała całej zgrai, dysponowała zaledwie bardzo skromnymi środkami. Do tego – jak zauważyła Junie – można by pomyśleć, że chłopcy zjadają swoje buty, tak szybko znikają. Na pewno pałaszowali też i wiele innych, zazwyczaj sycących i drogich produktów. Dzieci miały określone poglądy na temat ilości i jakości pożywienia, a ponadto zdolne były do wszczęcia wspólnej rebelii, jeśli zapewnione przez Susy porcje nie spełniały ich oczekiwań. Wszystko to sprawiało, że jej życie mknęło szybko i po wybojach, jednak nigdy – a tego najbardziej się obawiała – jej nie nużyło ani też nie przygnębiało.

Nieprawdą było – przyznała to sama przed sobą – by towarzystwo fulmerzątek wzniciło w niej jakąś abstrakcyjną miłość do wszystkich młodych gatunku ludzkiego. Wiedziała co prawda – od pierwszego z Nickiem pocałunku – że gdyby mieli dziecko, to z pewnością by je bardzo kochała, a o biedną, maciupką Clarissę Vanderlyn troszczyła się z pewnym wewnętrznym smutkiem. Towarzystwo młodych fulmerzątek sprawiało jej jednak najprawdziwszą przyjemność – a powody tego stawały się coraz jaśniejsze. Przede wszystkim całe rodzeństwo było bardzo inteligentne, a ta inteligencja karmiona była wyłącznie tym, co najwartościowsze i najbardziej warte zachodu. Mimo różnych wychowawczych potknięć Grace wobec tej rosnącej trzódki trzeba przyznać, że w jej towarzystwie dzieci nie nasłuchiwały się niczego trywialnego czy nudnego. Ich chlebem powszednim była piękna muzyka, dobre książki i ciekawe rozmowy; a nawet jeśli czasem tupwały, ryczały i rozbiły się po kątach zwyczajem dzieci, którym nie było dane wzrastać wśród takich dobrodziejstw, to kiedy indziej błyszczały poezją i przemawiała przez nie prawdziwa mądrość.

To właśnie odkryła w nich Susy: po raz pierwszy znajdowała się wśród rozwijających się umysłów, które wzrastały wyłącznie wśród piękna. W swym zapchanym i niewygodnym domostwie Grace i Natowi udało się ustrzec rodzinę od podłych zazdrości, pospolitych idoli i nędznych powodów do niezadowolenia. Ponad całą tą wrzawą i harmidrem zawsze królowało to, co najwartościowsze i najpiękniejsze, niczym te wszystkie figurki przodków stojące na czołowym miejscu w najbiedniejszej nawet rzymskiej chacie.

Nie, nie można powiedzieć, aby zadanie, którego Susy podjęła się z braku innego, dało jej poczucie zmarnowanego powołania: wiedziała, że matkowanie na większą skalę nigdy nie stanie się jej głównym, ukochanym zajęciem. Raczej czuła, że to jej ktoś matkuje, że sama stawia pierwsze kroki w świecie wartości niematerialnych, które wydawały jej się znacznie prawdziwsze niż jakiegokolwiek dotychczas znane.

Kiedy wybrała się do Grace Fulmer po radę i pocieszenie, nie zdawała sobie sprawy, że dostąpi go pod taką właśnie postacią. Zastała przyjaciółkę jeszcze bardziej niż zwykle rozkojarzoną, a równocześnie niezwykle pełną życia. Grace unosiła się na nieposkromionych falach swego żywota z pluskiem i swobodą godną płaża. Była chyba jedyną znajomą Susy, która potrafiła zrozumieć, czemu ta nie mogła się zdecydować na małżeństwo z Altringhamem. W tej chwili jednak była zbyt pochłonięta własnymi zmartwieniami, by skupić się na rozterkach przyjaciółki, i swoim zwyczajem natychmiast rozpakowała przed nią własne troski.

Nat nie korzystał z europejskiej podróży tak, jak miała nadzieję. Och, sama przecież jest artystką, zdaje sobie sprawę, że jałowe okresy są nieuniknione, że nowe wrażenia rzadko od razu przynoszą efekty. Brała to pod uwagę. Jednak na tyle dobrze знаła nastroje męża, by wiedzieć, kiedy coś w nim owocowało. A teraz tak się nie działo, on sam zresztą też doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Żył w zbytnim pośpiechu, otaczało go zbyt dużo wrażeń i bezpłodnych pochwał... Pani Melrose? Ach, tak... Przez krótką chwilę... Nie ulegało wątpliwości, że ta podróż do Hiszpanii to była raczej miłosa eskapada... Grace mówiła spokojnie, ale w tej samej chwili jej rysy zaostrzyły się; z pewnością bolało ją – i to bardzo – że Nat pojechał tam bez niej. Ale przecież nie mogła – ze względu na dzieci – przegapić tych jakże intratnych dwóch tygodni u Ursuli Gillow w Ruan. A jej granie spodobało się ludziom i zaowocowało kilkoma występami w prywatnych londyńskich domach. Modne towarzystwo narobiło wokół niej „ciutkę szumu”, a Nat przyjął to z radością i pewnym zaskoczeniem; spojrzał na nią z nowym podziwem.

– Zaczynał zapominać, że jestem nie tylko niańką, dobrze mu zrobiło, że ktoś mu to uprzytomnił... Ale najlepsze w tym wszystkim jest to, że zarobiłam tyle, abyśmy mogli teraz we dwoje pojechać na trzy tygodnie na południe Włoch i na Sycylię. Wiesz, że ja umiem to wszystko załatwić... A sam na sam ze mną Nat będzie

mógł wreszcie zabrać się do pracy: obserwować, czuć, chłonać to wszystko. Inaczej się nie da. Pani Melrose znów chce go gdzieś zabrać, wszystko mu fundnąć, ale jej się nie uda. Teraz to ja funduję! – Jej zmęczone oblicze aż pokraśniało z dumy. – Jeszcze zobaczysz, jakie dzięki mnie namaluje cuda... Jedyny problem, to co zrobić z dziećmi. Junie podziela moje zdanie, że nie możemy ich zabrać...

I tu Grace wyłożyła swój plan. Skoro Susy znalazła się na rozdrożu i brakowało jej pieniędzy, to może podczas ich włoskiej wyprawy zajmie się dziećmi? Najwyżej przez trzy miesiące, nie dłużej, z ręką na sercu! Oczywiście nie zarobi na tym fortuny, ale przynajmniej będzie miała wikt i opierunek.

– I tak sobie myślę, że w końcu będzie to dla ciebie całkiem ciekawe doświadczenie, tego jestem pewna! – podsumowała z niezmordowanym optymizmem matka, podczas gdy Susy siedziała z niepewnym uśmiechem.

Trzy miesiące opieki nad pięciorgiem fulmerzątek! Iście przerażająca wizja! Nie wahałaby się aż tak bardzo, gdyby chodziło tylko o Junie i Geordiego, czyli najstarsze i najmłodsze z całej bandy. Był tam jednak i Nat, drugi wiekiem, który pewnego dnia klaksonem wygonił ich z Nickiem na wzgórze New Hampshire podczas tamtego feralnego pobytu; nie mówiąc już o bliźniakach – Jacku i Peggy – których Susy wspominała z równym niepokojem. Opanowanie tej hałastry było z pewnością znacznie trudniejszym wyzwaniem niż zabawianie miłującej kobiece rozrywki Clarissy Vanderlyn. Z miejsca odmówiłaby – tak jak kiedyś – gdyby nie to, że wszystkie inne możliwości wydawały jej się jeszcze mniej znośne, a do tego zawołana o radę mała, niezbyt urodziwa, lecz za to niezwykle kompetentna Junie stwierdziła swym cichym, dorosłym głosem: „Ach tak, z panią Lansing z pewnością poradzimy sobie podczas waszej nieobecności; zwłaszcza jeśli pani ładnie czyta na głos”.

Ładnie czyta na głos! Ten wymóg niezwykle ujął Susy. Nie знаła dotychczas dzieci, które lubiłyby głośne czytanie; wzdrygała się na wspomnienie prób zainteresowania Clarissy czymkolwiek innym niż plotki i moda oraz tonu, którym dziewczynka wyjaśniła ojcu, że „wolała” świecidełko od Strefforda „niż książkę”!

A tu znalazły się dzieci, które godziły się, by rodzice zostawili je na trzy miesiące, pod warunkiem, że zapewnione im będzie ładne czytanie!

– Dobrze! W takim razie zajmę się wami! A co takiego będziemy czytać? – zapytała wesoło. Po właściwej sobie chwili trzeźwego zastanowienia Junie odrzekła:

– Najmłodszy lubią prawie wszystko; mnie i Natowi jednak najbardziej zależy na poezji, bo jak sami czytamy, często źle wymawiamy trudne słowa i wtedy wszystko brzmi tak nieładnie!

– Oj, mam nadzieję, że ja będę je dobrze wymawiać... – szepnęła Susy, którą nagle ogarnęła niepewność i pokora.

Widać jednak dawała radę – jej czytanie na głos zostało przyjęte z wielkim entuzjazmem. Nawet bliźniaki i Geordie – kiedy się już do niej przyzwyczaili – zdawali się woleć rytmiczność *Henryka V* czy scen chochlików ze *Snu nocy letniej* niż ich własną, bardziej specjalistyczną literaturę, choć i ta niekiedy musiała być im czytana.

Trzeba przyznać, że w życiu z fulmerzątkami nie było spokojnych chwil; jednak cały ten gwar i zabieganie wydawały się Susy mniej bezsensowne, a tym samym mniej męczące niż te, które wypełniały życie ludzi typu Altringham, Ursula Gillow, Ellie Vanderlyn i ich świt. Gdy wracała po odprowadzeniu dzieci na lekcje, ten hałaśliwy i pozbawiony wygód domek w Passy zaczynał już witać ją jak prawdziwy dom. W każdym razie miała poczucie, że robi coś przydatnego, koniecznego wręcz; czuła, że – nawet na tak skromną skalę – zarabia na swoje utrzymanie. Kiedy dzieci były akurat w spokojnym nastroju i żądały książek czy muzyki (raz nawet, ku jej zdumieniu, Junie namówiła całą zgrają na wspólne zwiedzanie Luwru, gdzie dzieci

rozpoznawały najbardziej zaskakujące obrazy, a najstarsze wygłaszały zadziwiające sądy natury technicznej i zwracały uwagę towarzyszek na niedostrzeżone przez nią szczegóły) – wtedy Susy niespodziewanie nachodziło poczucie, że udało jej się wrócić do krótkiego życia z Nickiem albo – jeszcze dalsze i głębsze – że zagłąda w dzieciństwo męża, na którego to szczątkach w jego późniejszym, wypełnionym błahostkami życiu osiadł kurz.

Jakie to dziwne pomyśleć, że gdyby się nie rozstali, gdyby urodziło im się dziecko – podczas bezsennych godzin, gdy przyglądała się śpiącemu w łóżeczku przy jej łóżku Geordiemu, takie właśnie nachodziły ją wizje – wówczas ich życie bardzo przypominałoby to, które wiodła teraz: w oczach świata zewnętrznego małe, marne i dziwne, lecz dla nich samych jakże rozległe, głębokie i pełne!

W tej chwili nie mogła znieść myśli, że mogłaby utracić to tajemne połączenie ze światem, za którym tak tęskniła. Pomimo zmęczenia i zabójczego tempa kolejnych dni, pomimo tej przaśności i braku wygod, tych chwil, kiedy podopieczni byli równie nieznośni jak inne dzieci i wszelkie jej prośby napotykały mur wrogich twarzy – mimo tego wszystkiego Susy i tak nie chciała się z nimi rozstać i postanowiła, że kiedy wrócą ich rodzice, poprosi, by pozwolili jej pojechać z nimi do Ameryki. Może, jeśli powodzenie Nata się utrzyma, a Grace będzie mogła zająć się muzyką, przyda się im taka guwernantka i dama do towarzystwa. W każdym razie Susy nie potrafiła sobie wyobrazić mniej przykrej przyszłości.

Nie wysłała odpowiedzi Nicka do pana Spearmana. Pomiędzy napisaniem do męża a otrzymaniem odpowiedzi zerwała ze Streffordem, nie miała więc już powodu, aby naciskać na rozwód. Nick wiedział, że jeśli on sam ma takie życzenie, wystarczyło, aby poprosił. Tak długo nie dawał znaku życia, że obudziła się w niej leciutka nadzieja, która wybuchnęła gwałtownym płomieniem, gdy pewnego dnia natknęła się w prasie na delikatną, lecz niewątpliwie „natchnioną” aluzję do możliwości zawarcia związku małżeńskiego pomiędzy miłościwie panującym księciem Teutoburg-Waldhain oraz niejaką panną Coral Hicks z Apex City. Kilka dni później jednak po tej nadziei został sam popiół, gdy Susy zobaczyła rubryczkę, w której państwo Mortimerowie Hicksowie „pragnęli oświadczyć”, że w krążących plotkach nie ma za grosz prawdy.

Na fundamentach tych dwóch wiadomości Susy budowała kolejne strażnice własnych pragnień, które gorączkowo burzyła i znów wznosiła za każdym razem, gdy dochodziły ją jakiegokolwiek słuchy łączące nazwisko męża z rodziną Hicksów. A jednak, gdy z biegiem dni nie kontaktował się z nią ani on, ani jej adwokat, ze szczytu tej chwiejnej konstrukcji wciąż powiewała chorągiew.

Właściwie tylko opieka nad dziećmi mogła odciągnąć ją od tego nieustannego rozpamiętywania. Wzdrygała się czasami na myśl o tym, z jaką łatwością jej elegancyjni znajomi pozwolili, by zniknęła im z oczu. W ich nieustannym bezcelowym pośpiechu, przy gorączkowym wymyślaniu planów na zimę, uciekaniu na Riwierę czy do Sankt Moritz, do Egiptu czy do Nowego Jorku nie było chwili, by upolować tych, co zniknęli z pola widzenia, czy czekać na spóźnionych.

Czy dotarła do nich już wieść, że zerwała „zaręczyny” (cóż za okropne słowo!) ze Streffordem? Czy wiadomo było powszechnie, że znów stała się marną doczepką, którą przyjmowało się w razie potrzeby, a w innym wypadku ignorowało? Tego nie wiedziała; podejrzewała jednak, że nowe poczucie dumy Strefforda nie pozwoli mu wyznać nikomu, co tak naprawdę pomiędzy nimi zaszło. Przez kilkanaście dni po tej nagłej ucieczce nie dawał znaku życia, a ona – choć bardzo chciała do niego napisać i prosić o przebaczenie – nie mogła znaleźć odpowiednich słów. W końcu to on do niej napisał: krótka wiadomość zawierała wszystko, co najlepsze w dawnym Streffordzie. Dał znać, że zjechał do Altringham, aby spokojnie przetrwać

ich ostatnią rozmowę i spróbować zrozumieć, o co Susy chodziło. Musiał przyznać, że to ostatnie mu się nie udało; ale to właśnie – jak mniemał – było jego przewinienie. Przepraszał za cokolwiek, co zrobił, a co wydało jej się przykre; prosił jednak, aby – zważywszy na jego nieprzejednaną ignorancję – nie musiał uważać tego niezrozumianego przewinienia za przyczynę całkowitego zerwania. Sama możliwość zasmuciła go bardziej, niż się tego spodziewał – a skoro Susy dobrze wiedziała, że jego głównym celem w życiu jest własne szczęście, błagał ją, aby zgodziła się wstrzymać z podjęciem ostatecznej decyzji. Zamierzał przybyć do Paryża kiedyś w ciągu najbliższych dwóch miesięcy, przed przyjazdem napisze raz jeszcze i poprosi o spotkanie.

List ten wzruszył Susy, ale nie sprawił, że zaczęła się wahać. Odpisała wprost: wzruszyła ją jego wielkoduszność i chętnie się z nim później w Paryżu zobaczy, zaznaczyła jednak, że zdania nie zmieniła i wątpi, aby jakiegokolwiek próby nakłonienia jej do tego mogły zaowocować jego szczęściem.

Na to nie otrzymała już odpowiedzi i teraz nic nie mogło odciągnąć jej myśli od ciągłego krążenia wokół najgłębszych pragnień i obaw.

Tego dżdżystego dnia, kiedy wracała po południu z kursów (gdzie miała zjawić się ponownie o szóstej), zdała sobie sprawę, że minęły dokładnie dwa miesiące od dnia, w którym Nick dowiedział się, że jest gotowa się z nim rozwieść – oraz że po tak długim czasie mało prawdopodobne jest, by miał podjąć kolejne kroki. Ta myśl napelniła ją lekką ekstazą. Musiała w końcu wyznaczyć sobie jakąś umowną granicę rozpaczy, kiedyś więc wyznaczyła właśnie ten dzień; a tu – patrzcie państwo! – miała rację. Bo przecież cóż innego mogła oznaczać ta cisza jeśli nie to, że i on...

W przedpokoju na stoliku leżała zaadresowana na maszynie koperta z paryskim znaczkiem. Mimochodem otworzyła ją. W nagłówku zobaczyła adres kancelarii pana Spearmana. Znajdujące się poniżej słowa wirowały jej przed oczami: „Zawiadomił, że jest do pani dyspozycji... spełnić pani prośbę... przyjeżdża do Paryża... umówić spotkanie z adwokatami...”.

Nick! Te słowa dotyczyły Nicka! To jego przyjazd do Paryża opisywano w tak nedorzeczny sposób! Opadła na ławkę przy ociekającym stojaku na parasole i spojrzała pustym wzrokiem w przestrzeń. Wreszcie padł – wreszcie padł ten cios, w którego możliwość (teraz zdała sobie z tego sprawę) tak naprawdę nigdy nie wierzyła! A jednak wydawało się jej, że jest na niego przygotowana, spodziewała się go przecież, brała pod uwagę w planowaniu przyszłości – rozmazanego, pozbawionego wyrazu życia w służbie cudzych dzieci – tymczasem jednak pod tą powłoką wyrzeczeń i pogodzenia się z losem, w rozżarzonych do czerwoności popiołach wciąż tliły się stare nadzieje! Na cóż zdać się mogła jakakolwiek samodyscyplina, filozofia czy doświadczenie, jeśli głębiej wszystko mogło zostać pochłonięte – aż od hubki – przez płomień nieokielznanego jestestwa?

Próbowała się opanować – zrozumieć, co takiego właściwie mogło się stać. Nick przyjeżdżał do Paryża – przyjeżdżał nie, aby się z nią zobaczyć, lecz aby poradzić się adwokata! Mogło to tylko oznaczać, że nieodwołalnie postanowił odzyskać stan wolny. A skoro po ponad pół roku bezczynności i – wydawałoby się – obojętności zdecydował się w końcu na ten ostateczny krok, musiało kryć się za tym jakieś nieprzewidziane i decydujące wydarzenie. Susy gorączkowo usiłowała poskładać przeróżne skrawki plotek i wieści z prasy, które dotarły do niej w ciągu tych kilku miesięcy. Nie ulegało wątpliwości, że zaręczyny panny Hicks z księciem Teutoburg--Waldhainem zostały zerwane w ostatniej chwili, i to dlatego, że księżęca narzeczona zamierzała wydać się za Nicka. Jego przyjazd do Paryża i pojawienie się w gazetach oficjalnego *dementi* plotek o zrękowinach córki państwa Hicksów zbytnio zbiegło się w czasie, aby mógł to być przypadek. Susy próbowała uzmysłowić sobie rzeczywistość wynurzającą się z tych

informacji, wyobrazić sobie ich prawdziwy, nieunikniony rezultat. Pomyślała, że Coral Hicks będzie teraz „panią Nickową Lansing” – będzie nazywać się tak jak ona! – że to ją Nick będzie teraz przepuszczał przy wejściu na salony, to ją będą radośnie witać wszyscy ci, którzy ledwie kilka miesięcy wcześniej tak samo gorąco witali Susy. Mimo rosnącej pogardy Nicka wobec socjety i poczucia intelektualnej wyższości Coral ich bogactwo zada im śmiertelne pchnięcie w stronę świata, z którym Nick był bądź co bądź tak związany siłą zwyczajów i znajomości. Bez wątpienia bawić go będzie powrót w to samo towarzystwo w roli dawcy gościnności, bycie dla odmiany hojnym gospodarzem, a nie, jak dotąd, ledwie gościem – przecież i Susy wydawało się kiedyś, że wkroczenie do tego świata jako lady Altringham może ją bawić... Teraz jednak – mimo usilnych starań – nie była w stanie wyobrazić sobie tej jakże bliskiej przyszłości ani jej do siebie odnieść. Samo zestawienie ich imion – Coral, Nick – które przecież dawniej tak często żartobliwie łączyła, teraz wywoływało tylko otumanienie i mętlik w jej głowie.

Wciąż siedziała przy stoliku w przedpokoju, a po jej policzkach spływały łzy. Ocknęła się, gdy weszła służąca. Najmłodszy podopieczny – Geordie – przez kilka dni lekko gorączkował. Teraz było mu lepiej, ale wciąż musiał leżeć w łóżku. Usłyszał, że Susy otwierała drzwi, i nie był w stanie zrozumieć, dlaczego nie przyszła prosto do niego. Teraz zaczął wyrażać swe oburzenie zawodzącym, rozdzierającym wyciem, a Susy – wytracona z transu – odrzuciła płaszcz i parasol i pognała na górę.

– Och! Co za dziecko! – jęknęła.

Pod dachem Fulmerów brakowało i czasu, i miejsca na oddawanie się prywatnym smutkom. Od rana do nocy zawsze coś wymagało natychmiastowej uwagi. Susy zaczynała rozumieć, że w skromniejszych rodzinach dzieci pełniły może mniej romantyczną, niż przypisuje im literatura, ale równie przydatną funkcję, to znaczy nie dawały rodzicom możliwości roztrząsania różnych nieodwracalnych żalów i oskarżeń. Choć jej doświadczenie życia rodzinnego było bardzo krótkie, nauczyła się już szybkiego dostosowywania umysłu do konieczności chwili, i gdy pędziła na górę do dziecka, w miejsce jej osobistych trosk natychmiast pojawiało się kilkanaście problemów związanych z temperaturą, dietą i lekarstwami.

To przestawienie było oczywiście tylko chwilowe; jednak za każdym razem zdawało się utwardzać jej charakter, czyniąc ją równocześnie elastyczniejszą.

„Jakim strasznym dzieciakiem byłam pół roku temu!” – myślała, zastanawiając się, jak to się stało, że ani wpływ Nicka, ani ich tragiczne rozstanie nie pomogło jej dojrzeć tak bardzo jak ten kilkutygodniowy pobyt w domu pełnym dzieci.

Pacyfikowanie Geordiego nie było zadaniem łatwym, gdyż chłopiec już dawno temu nauczył się, jak najlepiej wykorzystać żale, aby trzymać sprawcę rozpaczy na podorędziu i wymuszać nieustanne opowiadanie bajek, śpiewanie i zabawy. „Proszę uważać, aby nigdy nie narazić się Geordiemu – ostrzegała ją na samym początku przebiegła Junie – bo mały jest tak pamiętliwy, że nie da się udobruchać, póki nie opowie mu się nieznanej mu dotychczas bajki”.

Tym razem jednak oburzenie małego zgasło, gdy tylko ją zobaczył. Susy już stała w progu, targana wyrzutami sumienia, usilnie próbując wydobyć z otumanionej głowy ulubione opowiadki małego – wtem jednak zobaczyła, że jego podkówka zanika, że oczka są spokojne, i stwierdziła, że dziecko zaraz ją (słodko, lecz ciut niepokojąco) zaskoczy i będzie grzeczne.

Uklękła przy łóżeczku, a chłopiec bacznie przyglądał się jej twarzy, po czym wyciągnął paluszek i dotknął jej zażawionego policzka.

– Biedną Susy też coś boli! – powiedział, rzucając się na szyję opiekunce. Przytuliła go mocno, a dziecko rzekło filozoficznie: – Kochana Susy! Opowiedz Geordiemu nową bajeczkę, a zapomnisz o wszystkim!

Rozdział 26

Nick Lansing przybył do Paryża dwa dni po tym, jak adwokat zapowiedział panu Spearmanowi jego przyjazd.

Opuścił Rzym z mocnym postanowieniem wyswobodzenia siebie i Susy z więzów małżeńskich. Choć Coral Hicks nic jeszcze nie przyrzekał, bynajmniej nie ukrywał przed nią celu podróży. Bezowocnie próbował wzniecić w sobie jakiegokolwiek zainteresowanie własną przyszłością, ale nie był w stanie wybiec wyobraźnią dalej niż poza konieczność definitywnego rozwiązania sytuacji z żoną. Jednak wyznanie Coral wzruszyło go, a rozsądek podpowiadał mu, że prawdopodobnie są w stanie być razem szczęśliwi – tym umiarkowanym szczęściem opartym na podobnych gustach i rozległych możliwościach. Po powrocie do Rzymu zamierzał poprosić ją o rękę; wiedział, że dziewczyna doskonale zdaje sobie z tego sprawę. To, że nie zrobił tego przed wyjazdem do Paryża, nie wynikało z chęci uniknięcia tego losu czy trzymania jej dłużej w niepewności, było jedynie kolejnym przejawem tej dziwnej apatii, która ogarnęła go po otrzymaniu listu od żony. W swoich nieprzerwanych deliberacjach brał obojętność za dyskrecję, próbował wmówić sobie, że zwleka z troski o Coral, że nie chce rościć sobie pretensji do jej przyszłości, dopóki jego własna nie będzie pewna. W głębi duszy wiedział jednak, że przyszłość Coral jest już przesądzona, a tym samym związana z jego dalszymi losami: w Rzymie przynajmniej wydawało mu się to naturalne, wręcz nieuniknione.

W Paryżu zaś natychmiast stało się to najbardziej nierealną z nierealności. I wcale nie dlatego, że Paryż to nie Rzym, ani nawet dlatego, że Paryż jest właśnie Paryżem – ale dlatego, że gdzieś głęboko w tym przestronnym labiryncie niebacznosci kryła się na wpół zapomniana część jego jestestwa, czyli Susy... Przez minione tygodnie, miesiące wręcz, jego umysł nasycony był właśnie nią: nigdy nie wydawała mu się tak uporczywie bliska co wtedy, gdy wydłużała się ich rozłąka, kiedy szanse na zejście się wydawały się coraz mniej prawdopodobne. Zupełnie jak gdyby jakaś długo tłąca się choroba wreszcie się w nim rozszalała i przybrawszy niezwykle ostrą postać, owinęła go dejanirową koszulą wspomnień. Czasami, gdy rozpamiętywał ich uściski, wydawały mu się niedbałe i przypadkowe w porównaniu z tym głębokim, uporczywym piętnem odcisniętym przez jej duszę na jego duszy.

Teraz jednak wszystko się nagle całkiem odmieniło. Kiedy przebywał w tym samym co ona mieście, kiedy lada moment mógł się na nią natknąć, napotkać jej spojrzenie, usłyszeć jej głos, poczuć dotknięcie jej dłoni – kiedy jej przenikające widmo, z którym żył przez tyle miesięcy, wróciło pośród cieni – Nick po raz pierwszy od rozstania czuł, że znów naprawdę znajduje się w jej obecności. To poczucie obudziło się w nim dokładnie tego ranka, kiedy dotarł do Paryża, gdy spoglądał z hotelowego okna na ulicę, którą być może jeszcze tego dnia przemierzy Susy, na nieskończone połacie dachów, z których jeden w tej właśnie chwili znajdował się nad jej głową. Nagłość zmiany przestraszyła go; nie spodziewał się, że sama geograficzna bliskość żony może być takim wstrząsem. Co więc by się stało, gdyby właśnie weszła do pokoju?

Dzięki Bogu to może nigdy nie nastąpić! Wystarczająco orientował się we francuskim prawie rozwodowym, by wiedzieć, że konfrontacja z żoną nie będzie konieczna; przy odrobinie zwykłego szczęścia i kilku środków zapobiegawczych może uda mu się nawet uniknąć ujrzenia jej choćby z oddali. Nie zamierzał zostać w Paryżu dłużej niż przez kilka dni; w tak krótkim czasie łatwo będzie – jako że tak dobrze zna gusta Susy i Altringhama – omijać miejsca, w których mogliby się na siebie natknąć. Nie znał jej adresu, ale podejrzewał, że mieszka u pani Melrose czy innej zamożnej przyjaciółki albo – zważywszy na czekające ją bogactwa – w hotelu

Nouveau Luxe czy własnym uroczym mieszkanku. Można było mieć pewność, że Susy – ach, jak to boli! – potrafi się dobrze urządzić, że wszystko wspaniale „załatwi”.

Po pierwsze udał się do adwokata; gdy szedł przez dobrze znane ulice, każda zbliżająca się twarz, każda odległa postać zdawała się należeć do niej. Nieznośna obsesja! Oczywiście nie mogła trwać wiecznie; tymczasem jednak czuł się odsłonięty niczym uciekinier w nocnym koszmarze, któremu wydaje się, że jest jedynym widocznym stworzeniem w dręczącym go tłumie widm. Miał wrażenie, że czuje na sobie przenikliwe, niezachwiane nawet mrugnięciem spojrzenie metropolii.

W kancelarii powiedziano mu, że pierwszym krokiem do odzyskania stanu wolnego jest zaopatrzenie się w „miejsce stałego zamieszkania” w Paryżu. Sam już, rzecz jasna, znał ten wymóg: tyłu znajomym towarzyszył w zmaganiach z sądem rozwodowym, i we Francji, i gdzie indziej, że miał dość jasne pojęcie na temat niezbędnych procedur. Wszystko to jednak przedstawiało się zupełnie inaczej, gdy próbował odnieść tę wiedzę do siebie i Susy: zupełnie jak gdyby osobowość Susy była pryzmatem, przez który obserwowane wydarzenia wciąż przybierały inną barwę. „Miejsce stałego zamieszkania” znalazł jeszcze tego samego dnia: przaisnie wyposażone *rez-de-chaussée*⁹, którego pierwotne przeznaczenie z pewnością było zgoła inne. Gdy dozorczyńni wycofała się dyskretnie z zapłatą za pierwszy kwartał w kieszeni, Nick usiadł i rozejrzał się po tym wulgarnym, obitym pluszami lokum i wybuchnął śmiechem na myśl, że w oczach prawa miało to widnieć jako jego Dom, w dodatku Dom zbezczeszczoney przez popełniony przez niego niecny czyn! Dom, w którym razem z Susy rzekomo pędzili ryzykowne szczęście, które legło w gruzach za sprawą jego brutalnych paluchów, przez jego niewierność i okrucieństwo – dowiedział się bowiem, że musiał być wobec niej nie tylko niewierny, ale i okrutny! Spojrzał na ściany obwieszane sentymentalnymi heliograviurami, na błyszczące brązowe „akty”, przeżarte przez mole skóry zwierząt i krzykliwie, bez gustu przybrane łoża – raz jeszcze ta nierzeczywistość, niemożliwość, że to się mu przytrafia, wpłynęła gwałtownie niczym narkotyk do jego krwiobiegu.

Chcąc wybudzić się z otępienia, wstał, zamknął to paskudne miejsce na klucz i wrócił do adwokata. Wiedział, że w pozbawionej sentymentów atmosferze kancelarii sam akt podania adresu „miejsca zamieszkania” nada swoistego realizmu tej fantasmagorycznej transakcji. W osłupieniu przyglądał się, jak prawnik jak gdyby nigdy nic wpisuje ołówkiem nazwę ulicy i numer na jednym z dokumentów z teczki, na której z zakrętasem napisano jego nazwisko.

Gdy wychodził, przyszło mu na myśl, by zapytać o adres żony. Przynajmniej wydawało mu się, że dopiero na to wpadł, że orientuje się tylko na wszelki wypadek, aby wiedzieć, której dzielnicy Paryża unikać; tak naprawdę jednak miał to pytanie na końcu języka już w chwili, gdy po raz pierwszy przestąpił próg kancelarii, chodziło mu po głowie, kiedy tego ranka opuścił dworzec. Fakt, że nawet nie wiedział, gdzie Susy mieszka, sprawiał, że cały Paryż wydawał mu się pozbawionym sensu, niewyraźnym miejscem, równie bezużytecznym co tarcza ogromnego zegara bez godzinnej wskazówki.

Zdziwił się na wieść, że mieszka w Passy – spodziewał się, że osiadła gdzieś bliżej Pól Elizejskich czy Place l'Étoile. Ale widać pani Melrose czy inna Ellie Vanderlyn wynajęła dom właśnie tam. Cóż – przyjął tę wiadomość z pewną ulgą. W tej prawie podmiejskiej okolicy za Trocadéro nie miał żadnych interesów, prawdopodobieństwo przypadkowego spotkania było więc znacznie mniejsze, niż gdyby Susy mieszkała w centrum.

Cały dzień snuł się po mieście, omijając modne dzielnice, wystrzegając się ulic, po których tłumnie sunęły błyszczące prywatne automobile, z których strojne w futra i pióra postacie przemykały do kawiarni, galerii czy sklepów jubilerskich. Susy z pewnością uczestniczyła w podobnych scenach: zgrabniejsza, elegantsza, wyrazistsza niż większość tych

kruchych, bezkształtnych figur, naśladowująca jednak ich gesty, trajkocząca w ich żargonie, głaszcząca te same perły i sobole. Uciekł na drugi brzeg Sekwany, szedł nabrzeżem do Île-de-la-Cité, przez uliczki starego Paryża, pod sklepieniem kościoła Świętego Eustachego, w końcu trafił na tłumne uliczki Marais. Przyglądał się zabytkom, gapił się w witryny sklepów, wysiadywał na skwerach i nad rzeką; patrzył i słuchał: ludzie targowali się, łajdaczyli, kłócili, dyskutowali, wracające z pracy dziewczęta przechadzały się grupkami, żebracy wyli na mostach, bezdomni drzemali w bladym zimowym świetle, matki w żałobie spieszenie prowadziły dzieci do szkoły, a ulicznice niemrawo krążyły przed kawiarniami.

Dzień zmierzał już ku końcowi. Wraz ze zbliżającym się wieczorem Nick zaczął się lękać samotności, rozważał kolację w hotelu Nouveau Luxe czy w innej modnej restauracji, gdzie istniało duże prawdopodobieństwo, że natknie się na jakichś znajomych, którzy zapędzą go do teatru, klubu nocnego czy na tańce. Cokolwiek, gdziekolwiek – byle tylko uciec od uporczywych szaleńczych myśli! Poczł ten sam pusty lęk przed obecnością co kilka miesięcy temu w Genui... I co z tego, że może natknąć się na Susy i Altringhama? Lepiej mieć to z głowy. Ludzie już dawno przestali robić z rozwodów wielką tragedię – rozstające się pary do końca jadały razem, a później odwiedzały się wzajemnie, ciesząc się, że dzięki ponownym związkom mają teraz dwa nowe miejsca do zabawy. Jednak nawet większość tych par przyjmujących rozstania i kolejne związki tak filozoficznie musiała przeżyć choć godzinę zauroczenia, choć przez chwilę wierzyć w nieśmiertelność swojego uczucia; natomiast on i Susy po prostu otwarcie zawarli korzystny dla obu stron kontrakt. Była to kolejna sprzeczność w Nickowym rejestrze mąk i egzaltacji – zobaczył w sobie groteskowego i wyświechtanego bohatera jakiegoś romansidła.

Wstał z ławki w Ogrodach Luksemburskich, na której właśnie odpoczywał, i zamachał na taksówkę. Zrobiło się już ciemno, zamierzał wrócić do hotelu, odpocząć, a następnie wyjść na kolację. Zamiast tego podał jednak kierowcy adres Susy i rozsiadł się z tyłu, oparł obie dłonie o gałkę parasola, po czym patrzył wprost przez siebie, jak gdyby dopełniał właśnie jakiegoś żmudnego obowiązku i nie mógł spocząć i myśleć o czymś ważniejszym, dopóki nie skończy.

Usłyszał, że mówi:

– Tędy najlepiej.

Na rogu ulicy – jej ulicy – kazał się zatrzymać. Stał bez ruchu, gdy taksówka odjeżdżała z kłopotem. Była to krótka, ciemna ulica, położona dalej, niż się spodziewał; jej koniec rozpląwał się w niewyraźnym skupisku ogrodzeń, ponad którymi wznosiły się korony drzew. Zaczynało mżyć. W tej nie dość oświetlonej podmiejskiej okolicy nastąpiła już noc. Lansing szedł pustą drogą. Domy stały o kilka jardów od siebie, pomiędzy nimi tkwiły bezlistne zarośla, od chodnika odgradzały je bramy i parkany. Z początku nie był w stanie dojrzeć numerów, w końcu jednak, dotarwszy do latarni, dostrzegł, że nieduża, obskurna fasada, którą widział w świetle, należy właśnie do szukanego adresu. To odkrycie wielce go zaskoczyło. Wyobrażał sobie, że – jak to się często dzieje w zewnętrznych częściach Passy i La Muette – obskurna ulica zawiedzie go do jakiejś dostojnej, prywatnej kamienicy w cieniście skrzydle dawnej wiejskiej rezydencji. Ostatnio najmodniejszym wymysłem bogaczy było osiedlanie się na paryskich przedmieściach, gdzie wciąż zostało jeszcze trochę bujniejszej zieleni; wyobrażał sobie Susy za jakąś fasadą z kolumnkami, z której światło biegnie przez błyszczący trawnik aż po rzeźbioną bramę. A tu zobaczył domek z sześcioma zaledwie oknami, przycupnięty pomiędzy podobnymi sąsiadami, a między mizernymi krzakami powiewało całkiem zwyczajne pranie. Łukowa lampa rzucała złośliwe światło na fasadę przypominającą zmęczoną twarz pracującej kobiety. Lansing stał oparty o parkan po przeciwnej stronie ulicy i bez skutku próbował dopasować swoje wyobrażenie Susy do tak skromnej scenarii.

Prawnik musiał podać mu zły adres; nie tylko nie ten numer, ale i złą ulicę. Nick

wyciągnął świstek papieru i już miał przejść pod latarnię, by spróbować go odcyfrować, kiedy z ciemności wyłonił się chłopak na posyłki i podszedł do tamtego domu. Nick cofnął się, a chłopiec odhaczył bramkę, podbiegł po stopniach i pociągnął za dzwonek.

Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Stała w nich oświetlona blaskiem latarni Susy, z dzieckiem w pizamce w czerwoną kratę na ręku. Przestrzeń za nimi była ciemna lub przynajmniej tak słabo oświetlona, że tworzyła czarne tło dla jej żywej figury. Kobieta nie zdawała się zdziwiona widokiem chłopaka, przyjęła od niego paczkę, a gdy ten odszedł, stała jeszcze przez chwilę w drzwiach i patrzyła na pustą ulicę.

Obserwatorowi ta chwila wydała się szybsza niżli błysk, a równocześnie długa jak jedno życie. A więc była tu, tak blisko niego, lecz zupełnie nieświadoma jego obecności – jego Susy, dawna Susy, a jednak jakaś nowa, dziwnie przemieniona, prawie że przeistoczona przez tę nową sytuację, w której ją zastał.

W pierwszym szoku zapomniał zdziwić się, że mieszka teraz w takim miejscu, zapomniał głowić się, do kogo należy ten dom, czyje jest to śpiące na jej rękach dziecko. Przez chwilę wyłaniała się z tej ciemności, zza zasłony zimowej nocy – była odrębną, niezależną wizją, odwiecznym obrazem kobiety z dzieckiem. W tej właśnie chwili wszystko w nim zmieniło się, odnowiło. Oczami wciąż ją pochłaniał, znów odnajdywał znajome krągłości jej smukłego ciała. Zauważył, jak chuda jest ręka dzierżąca dziecko, jakie szczupłe to ramię, na którym wisi chłopiec, z jaką melancholią Susy trzyma swój policzek przy policzku malca, nawet gdy patrzy w inną stronę. Nagle cofnęła się, zamknęły się drzwi, a latarnia znów oświetlała wyłącznie fasadę.

– Ale przecież ona jest moja! – westchnął Nick, czując gorącą radość odzyskania...

Wciąż miał ją żywo przed oczami, aż zamknął je, aby zatrzymać wizję.

Z początku widział cały obrazek, który potem stopniowo rozpadł się na części, dziecko zniknęło, zniknął też ten dziwaczny dom. Została jedynie Susy, jego własna, jedyna Susy, należała tylko do niego, była jednak jakoś zmieniona, zmęczona, przygaszona – starsza wręcz – pod jej kośćmi policzkowymi widniały wyraźniejsze cienie, na czole zmarszczki, jej nadgarstek był wyraźnie szczuplejszy niż dawniej. Zupełnie inaczej ją pamiętał; zorientował się teraz z pewnym żalem, że coś – jej wygląd, ubiór czy utrudzona postawa – sugerowało biedę, zależność. Jakby w pewien sposób była częścią tego obskurnego domu, w którym na pierwszy rzut oka jej obecność wydała mu się dziwna, wręcz niepasująca.

„Ona przecież jest biedna!” – pomyślał, a serce zabiło mu mocniej ze współczucia. W tej chwili zrozumiał, że musi mieszkać z dziećmi Fulmerów, podróżujących teraz po Włoszech. Dotarły go słuchy o niespodziewanym sukcesie Nata, podobno oboje widziano niedawno w Neapolu i Palermo. Nikt jednak, mówiąc o nich, nie wspominał o Susy, i Nick sam nie był pewien, jak to wywnioskował – chyba po prostu całkowicie naturalnym wydało mu się, że w razie jakichkolwiek kłopotów żona zwróci się do Grace, swojej starej przyjaciółki.

Ale dlaczego kłopoty? Jakie kłopoty? Co się mogło zdarzyć? Co przerwało jej świetlaną karierę?

„Tego właśnie zaraz się dowiem!” – pomyślał.

Serce biło mocno od nowych nadziei i dawnych wspomnień. Widok żony, tak odległej obliczem i zachowaniem od świata, w którym – jak mniemał dotychczas – znów się zanurzyła, natychmiast zmienił jego podejście do życia, rzucił mgiełkę odrealnienia na wszystko, co usiłował uważać za solidne i namacalne. Nie istniały już dla niego żadne konkrety poza kocimi łbami ulicy, na której stał, fasadą domu, w którym kryła się Susy, łańcuszkiem dzwonek, który już czuł w dłoni. Ruszył naprzód, był w pół drogi do jej progu, kiedy zza rogu wyłoniło się czyjeś prywatne auto, którego bliźniacze światła rzuciły na mokrą ulicę świetlisty dywan rozsnuwający się aż pod drzwi.

Lansing wrócił do cienia, a auto zajechało pod dom. Z pojazdu wyskoczył jakiś mężczyzna. Latarnia oświetliła wlokącą się postać Strefforda, jego leniwe, niezgrabne ruchy niezmienione mimo futra i całej nowej, majątnej otoczki.

Lansing stał bez ruchu z oczyma utkwionymi w drzwiach. Strefford zadzwonił i czekał. Czy Susy znów się ukáže? A może ukazała się wcześniej tylko dlatego, że go wyglądała?

Ale nie: po chwili ukazała się gosposia – zdyszana, zabiegana służąca do wszystkiego – i natychmiast zniknęła w mroku, wpuszczając gościa. Lansing był pewien, że tych dwoje nie zamieniło ani słowa, lord Altringham o nic nie pytał, służąca niczego nie potwierdziła. Nie ulegało wątpliwości, że był oczekiwany.

Za Streffordem zamknęły się drzwi, a obok okno rozbłysło światłem widocznym pomimo żaluzji: służąca poprowadziła gościa do salonu i zapaliła lampę. Tymczasem na górze Susy z pewnością rozczesuje sprawnymi palcami rozwiane włosy i maluje czerwienią blade usta. Och, Lansing znał dokładnie każdy ruch tego rytuału, aż po najmniejsze ściągnięcie brwi i lekkie wysunięcie dolnej wargi! Miał przed oczami kolejne pamiętane gesty, ogarnęły go mdłości... A ten drugi? Ten drugi, w środku, być może w tej właśnie chwili uśmiecha się, myśląc dokładnie o tym samym!

Z tą myślą Nick rzucił się w noc.

⁹ *rez-de-chaussée* (fr.) – parter, mieszkanie na parterze

Rozdział 27

Susy i lord Altringham siedzieli w niedużym salonie, po przeciwległych stronach stolika, na którym stała okopcona lampa i leżały sterty obszarpanych podręczników.

Za pół godziny wysłana po dzieci służąca wróci z odebranych z lekcji stadiem; w każdej chwili może się też rozleć władcze wołanie Geordiego, żądanie, aby jego niewolnica przybiegła na górę. W tym krótkim ułamku czasu, który był im dany, oboje siedzieli bez słowa, zastanawiając się, co powiedzieć.

Wszedłszy, Strefford rozejrzył się po ponurej izdebce. Na pianinie piętrzyły się poszarpane kajety z nutami, kulawa kanapa zasłana była dziecięcymi zabawkami, a spomiędzy bukietów suchej trawy i nadzianych na szpilki motyli łyptał zegar z litego brązu. Gość zwrócił się do Susy i zapytał prosto z mostu:

– Co ty tu, u licha, robisz?

Nawet nie próbowała mu tego tłumaczyć; od razu wiedziała, że to i tak na nic się nie zda. Nie mogła też wyznać, że w głębi duszy pragnie wrócić do Nicka, wiedziała przecież, że mąż podjął konkretne kroki w celu uzyskania rozwodu. Bała się, że Strefford słyszał już o tym i obwieści jej to, dołączając informacje o planowanym ślubie Nicka, a sama usłyszawszy, że jej obawy się ziściły, straci panowanie nad sobą. Wołała więc odrzec, siłąc się, by głos jej brzmiał jak najobojętniej:

– „Postępowanie”, czy jak to się po prawniczemu nazywa, się rozpoczęło. Póki trwa, wolałabym być w miarę na odosobnieniu... Nie wiem dlaczego...

Słyszając to, Strefford wbił w nią wzrok.

– Ach... – mruknął, wykrzywiając usta w swym dawnym, złośliwym uśmiechu. – Skoro już mowa o postępowaniach... – rzucił mimochodem – to ciekawe, na jakim etapie są postępowania Ellie? Dziś widziałem, jak wraz z Vanderlynem i Bockheimerem ucztowali sobie wesoło u Larue’a.

Susy aż poczerwieniała. Pamiętała tragiczny wieczór z Nelsonem Vanderlynem sprzed ledwo dwóch miesięcy. Pomyślała: „Więc może z biegiem czasu Nick i ja też...”.

Głośno natomiast powiedziała:

– Nie rozumiem, jak Nelson i Ellie mogą chcieć się jeszcze kiedykolwiek widzieć. I na domiar złego akurat w restauracji!

Strefford nadal się uśmiechał.

– Wybacz, moja droga, ale jesteś niepoprawnie staroświecka! Dlaczegoż by dwoje ludzi, którzy oddali sobie nawzajem największą przysługę, schodząc sobie z drogi w najlepszym momencie, miałyby później traktować się, jakby byli zaciętymi wrogami? Istny absurd, rażący humbug! Wiele można zarzucić naszemu pokoleniu, ale przynajmniej wyzbyliśmy się humbugów; tyle wystarczy nam na pomnik. Nie wątpię, że Nelson i Ellie lubią się dziś tak jak nigdy. Dwadzieścia lat temu nie odważyliby się do tego przyznać, ale dlaczego teraz mieliby się z tym kryć?

Susy patrzyła na rozmówcę. Zdawała sobie sprawę, że pod jego przemową kryje się ból, który sama mu zadała; równocześnie czuła, że ból ten nie jest tak obehładniającym uczuciem, na jakie być może Strefford miał nadzieję. Było to jedynie ukłucie na równi z tuzinem innych: nawet czując je, wiedział, że pewnego dnia cierpienie ustanie. Stwierdziła, że ta pewność, iż zapomnienie nieuchronnie nastąpi, musi być gorsza niż wszelka pewność wystąpienia bólu.

Zapadła cisza. Strefford przerwał ją, powstając i rzucając ze zdrygnięciem:

– W końcu doprowadzisz mnie do ożenku z Joan Senechal.

Susy uśmiechnęła się.

– W sumie dlaczego nie? Jest prześliczna i przemiała.

– Owszem, ale zanudzi mnie na śmierć.

– Biedny Streff! Ale i ja bym cię zanudziła...

– Być może. Jednak na pewno nie tak szybko... – Uśmiechnął się sardonicznie. –

Mielibyśmy większe pole manewru... – Czekał najwyraźniej na odpowiedź. Skoro jednak milczała, dodał: – No bo co innego, do diaska, zamierzasz zrobić?

– Och, Streff... Nie mogę wyjść za ciebie z takiego tylko powodu! – szepnęła w końcu.

– Więc wyjdź za mnie najpierw, a dopiero potem martw się o powody!

Jej usta skrzywiły się z niechęcią, po czym bez słowa podała mu dłoń na pożegnanie.

Chwycił ją oburącz, ale po chwili ruszył do wyjścia. Na progu jednak przystanął i spojrzał smutnie przymrużonymi oczyma.

Spojrzenie to ją poruszyło, dodała więc pospiesznie:

– Jedyne powód, jaki mi przychodzi do głowy, jest akurat przeciwko wyjściu za ciebie.

Po prostu nie czuję się jeszcze wystarczająco niezamężna.

– Wystarczająco niezamężna? Myślałem, że Nick robi, co może, abyś czuła się jak najmniej zamężna.

– Prawda. Ale nawet wtedy... Czasem myślę, że nawet to nic nie zmieni.

Wciąż z pewnym wahaniem przyglądał się jej uważnie – najbardziej ponurym wzrokiem, jaki kiedykolwiek widział na jego beztroskiej twarzy.

– Moja droga... To właśnie mniej więcej ja czuję wobec ciebie – odparł po prostu i wyszedł.

Wieczorem, kiedy dzieci poszły spać, Susy do późna siedziała w ponurym salonie. Nie myślała jednak o Streffordzie, tylko o Nicku. Przyjeżdżał do Paryża – a może już tu był? Myśl, że mógł w tej właśnie chwili znajdować się w tym samym mieście co ona, ale bez jej wiedzy, była tak dziwna, tak bolesna, że Susy poczuła, jak buntuje się w niej cała jej silna, kochająca młodość, jej umiłowanie radości. Dlaczego musi wciąż cierpieć, tak bez wytchnienia, tak boleśnie, tak podle? Ach, żeby tylko go zobaczyć, tylko usłyszeć jego głos! Nawet gdyby znów mówił rzeczy tak podle, tak upokarzające jak tego okropnego dnia w Wenecji; to i tak lepsze niż ta pustka, to całkowite i ostateczne wykluczenie z jego życia! Zachował się wobec niej okrutnie, niewyobrażalnie okrutnie: był ostry, arogancki, niesprawiedliwy – być może nawet specjalnie, może dlatego, że sam już wcześniej zapragnął być wolny. Susy jednak była gotowa nawet i na to, gotowa upokorzyć się bardziej, niż on ją upokorzył – była gotowa na wszystko, byleby go choć raz jeszcze zobaczyć.

Oparła bolącą głowę na dłoniach i dumiała. Co robić? Ale co mogła zrobić? Nie chciała uczynić nic, co mogłoby go zranić, co ingerowałoby w jego wolność czy byłoby sprzeczne z ich dawną umową – co do tego pozostawała nieugięta jak nigdy dotąd. Zawarła układ i zamierzała się go trzymać – nie z jakiegoś wydumanego powodu, lecz po prostu dlatego, że akurat tak go kochała. Tak... Ale chciała go jeszcze zobaczyć, choć tylko ten jeden, ostatni raz!

Nagle przypomniała sobie, co Strefford powiedział o Nelsonie Vanderlynie i jego żonie: „Dlaczegoż by dwoje ludzi, którzy oddali sobie nawzajem największą przysługę, miałyby później traktować się, jakby byli zaciętymi wrogami?”. Jeśli proponując Nickowi z powrotem stan wolny, rzeczywiście oddała mu tak ogromną przysługę, to może już jej nie nienawidzi i jednak zechce się z nią zobaczyć... W każdym razie mogła przecież do niego napisać, zaproponować spotkanie w celu „ustalenia wszystkiego”. „Ustalenia!” – to paskudne, formalne słowo dowiedzie, że ona wcale nie czyha na jego wolność; a Nick przecież nie może być aż tak do niej uprzedzony, jest zbyt nowoczesny, zbyt wolny od jakichkolwiek, jak to nazywa Strefford,

„humbugów”, aby taką propozycję zrozumieć opacznie i odrzucić. Może w gruncie rzeczy Strefford ma rację; może rzeczywiście nie lada dokonaniem było wyzucie relacji międzyludzkiej z wszelkiej hipokryzji, nawet jeśli przy okazji tyle zniszczono...

Pobiegła do swojego pokoju, nabazgrała wiadomość, z którą potem popędziła przez deszcz i mrok na róg, do skrzynki pocztowej. Gdy wracała pustą ulicą, naszło ją dziwaczne uczucie, że droga wcale jednak nie jest taka pusta – że być może Nick jest już w pobliżu, gdzieś nieopodal, pod osłoną nocy, że lada chwila za nią przekroczy próg domu, jak dawniej pójdzie za nią do sypialni. Jakie to osobliwe, że samo napisanie tej karteluszkii tak bardzo go przybliżyło!

W sypialni Geordie spał w łóżeczku rumianym snem, Susy zdmuchnęła więc świeczkę i rozebrała się ostrożnie, uważając, aby go nie zbudzić.

Następnego dnia Nick Lansing otrzymał list od niej, przekazany z kancelarii do jego hotelu.

Przeczytał go uważnie kilka razy, ważąc i oceniając ostrożne słowa. Proponowała spotkanie w celu „ustalenia”. Czego? I dlaczego miałby przystać na taką prośbę? Jaki ukryty cel pchnął ją do tego? Jakie to okropne, że teraz, gdy myśli o Susy, zawsze już podejrzewa jakieś podstępny! Że paskudnie węszy tajemne przekręty! W tej chwili zastanawiał się, co ona, do licha, próbuje teraz „załatwić”.

Kilka godzin wcześniej, gdy ją zobaczył, cała jego surowość stopniała, wyrzucał sobie okrucieństwo, niesprawiedliwość, każdy dumny grzech przeciw niej i sobie; pojawienie się Strefforda o tak późnej porze, to, że niewątpliwie był oczekiwany i radośnie przyjęty, znów jednak postawiło tamę przyływowi czułości.

Ale w gruncie rzeczy czemu tu się dziwić? Położenie żadnego z nich nie uległo zmianie. To on zostawił żonę, umyślnie i kierując się powodami, których nie zmodyfikowały żadne kolejne doświadczenia. Susy widocznie przystała na jego decyzję i wykorzystywała ją – miała do tego pełne prawo – aby zabezpieczyć swą przeszłość.

Przy tym wszystkim, dlaczegoż by dwoje ludzi – szcycących się trzeźwym spojrzeniem na świat, umiejętnością jak najlepszego wykorzystania ciężkiego losu, bez bezsensownych pretensji – miałyby teraz płakać i bić się w piersi? Miał rację: ich ślub był istnym szaleństwem. Jej urok przeważał i przysłonił mu rozum, mieli w końcu mieć ten rok... ten ich szaleńczy rok... A przynajmniej te dwa–trzy szalone miesiące. Pierwotny instynkt Nicka jednak był słuszny, a teraz oboje musieli zapłacić cenę szaleństwa. Mojry rzadko zapominały o zawartych układach, nie omieszczały domagać się odsetek. Powinien więc chyba, kiedy nadszedł na to czas, elegancko wyrównać rachunek i pamiętać z całego tego epizodu tylko to, co czyniło go tak bardzo wartym poniesionej ceny...

Pocztą pneumatyczną wysłał depeszę do pani Nicholasowej Lansing: oznajmił, że zjawi się u niej tego popołudnia o godzinie czwartej.

„To powinno dać nam wystarczająco dużo czasu – pomyślał gorzko – aby wszystko, jak to ujęła, »ustalić«, nie zakłócając wieczornej wizyty Strefforda”.

Rozdział 28

Mąż napisał krótko: „Dziś o czwartej. N.L.”.

Cały dzień roztrząsała te słowa. Cierpiała z tęsknoty, próbowała wyczytać z nich żal, uczucie, wspomnienia, jakiegokolwiek echo rozbrzmiewającego w jej piersi zgiełku. Ona podpisała się „Susy” – on tylko „N.L.”. Samo to zdawało się tworzyć pomiędzy nimi przepastną otchłań. W końcu ona była wolna, Nick nie. Może biorąc pod uwagę jego położenie, swą niekonwencjonalną prośbą o spotkanie sama zwiększyła dzielącą ich przepaść?

Siedziała w saloniku, zegar z litego brązu odmierzał kolejne minuty. Nie spojrzy przez okno: wyglądanie go mogłoby przynieść pecha. Zdawało się jej, że nacierają na nią tysiące niewidzialnych duchów, ukryte demony dobra i zła, które podsłuchują jej myśli, liczą bicie serca, czyhają na najmniejszy znak zbytnej pewności, by sprawnie zamienić go w kpinę. Och, gdyby tylko miała ołtarz, na którym mogłaby złożyć ofiary na ich przebłaganie! Ale cóż może dać im słodsze niż to przyduszone bicie serca i te siłą powstrzymywane łzy?

Zadzwoił dzwonek. Susy zerwała się na równe nogi, jak gdyby mocą jakiejś sprężyny. W lustrze, pomiędzy suchymi źdźbłami trawy, jej twarz wyglądała smutno, blado, bez życia. Och, oby tylko nie uznał, że za bardzo się zmieniła... Gdyby tylko miała czas pognać na górę i dodać obliczu odrobiny czerwieni...

Drzwi otwarły się – zamknęły – już był.

Powiedział:

– Chciałaś się spotkać?

Odpowiedziała:

– Tak! – I zdało jej się, że serce przestało w niej bić.

Z początku nie była w stanie pojąć, jaka to tajemnicza zmiana w nim zaszła, dlaczego widząc męża, odnosi wrażenie, że przygląda się obcemu. Potem zrozumiała, że przemówił głosem, którym zwykł rozmawiać z innymi. Zadrżała, uświadomiwszy sobie nieprzyjemną prawdę: stała się dla niego „kimś innym”.

Nastąpiła złowieszcza cisza, po czym Susy wydusiła, nie wiedząc dokładnie, co mówi:

– Nick... Może usiądziesz?

Odpowiedział „dziękuję”, ale nie zdawało się, że słyszał – wciąż stał nieruchomo, oddalony od niej o połowę długości pokoju. Powoli ogarnęło ją poczucie beznadziei, dotarł do niej bezsens całej wizyty. Pomiedzy nimi zdawała się wzrastać ściana z granitu. Miała wrażenie, że ten mur ją zasłania, że tymi nowymi, odległymi oczyma Nick patrzy na ścianę, nie na nią. Nagle przyszło jej na myśl: „On cierpi bardziej niż ja, żal mu mnie i boi się wyznać, że się żeni”.

Myśl ta zraniła jej dumę, podniosła więc głowę i z uśmiechem popatrzyła mu w oczy.

– Nie uważasz – rzekła – że tak jest rozsądnie... Biorąc pod uwagę, jak bardzo życie każdego z nas uległo zmianie... Że powinniśmy móc widzieć się właśnie tak, jako przyjaciele? Chciałam ci powiedzieć, że nie musi ci być... że nie powinno ci być z mojego powodu smutno.

Jego oblicze oblało się mocną czerwienią.

– Oj, wiem... dobrze zdaję sobie z tego sprawę... – oznajmił czym prędzej, po czym dodał z udanym ożywieniem: – Ale dziękuję, że mi to mówisz.

– Bo przecież naprawdę nie ma powodu... – ciągnęła Susy – aby nasze spotkanie miało być dla nas jakkolwiek upokarzające czy bolesne, skoro oboje znaleźliśmy... – urwała i podała mu rękę. – Słyszałam o tobie i Coral – skwitowała.

Ledwo musnął dłoń Susy lodowatymi palcami.

– Dziękuję – powiedział po raz trzeci.

– Nie usiądziesz?

Usiadł więc.

– Nie uważasz... – mówiła dalej – że nowy sposób... spotkania na przyjacielskiej stopie... obgadanie wszystkiego bez niezyczliwości... jest przyjemniejszym i w gruncie rzeczy rozsądniejszym rozwiązaniem?

Nick uśmiechnął się.

– Niezwykle miło, że tak uważasz.

– Uważam tak, naprawdę! – Urwała nagle, zastanawiając się, co, na Boga, ma dalej powiedzieć, dlaczego tak nagle straciła wątek.

Podczas tej pauzy usłyszała, jak Nick kaszle lekko i odchrząkuje.

– Pozwól mi więc powiedzieć – zaczął – że też się cieszę... niezmiernie... że i twoja przyszłość jest zabezpieczona w tak satysfakcjonujący sposób.

Znów spojrzała, jakby zza tej granitowej ściany, na jego twarz, na której nie drgnął ani mięsień.

– Tak... To ułatwia ci sprawę, prawda?

– Mam nadzieję, że i tobie... – Umilkł, po czym ciągnął dalej: – Chcę cię też zapewnić, że doskonale rozumiem...

– Och... – przerwała mu – ja też; to jest, rozumiem twój punkt widzenia.

Znów milczeli.

– Nick, dlaczego nie możemy być przyjaciółmi, prawdziwymi przyjaciółmi? Przecież tak będzie łatwiej... – wyrzuciła w końcu drżącymi wargami.

– Łatwiej?

– Chodzi mi o obgadanie tego wszystkiego, ustalenie... Trzeba chyba coś ustalić, prawda?

– Chyba tak. – Nick zawahał się. – Robię, co mi każą, według instrukcji. Wydaje się, że to całkiem prosta sprawa, podjąłem niezbędne kroki...

Susy oblała się lekkim rumieńcem i westchnęła.

– Jakie są te niezbędne kroki? Prawnicy tak zawile to wszystko tłumaczą... W ogóle nie rozumiem jeszcze... Jak to się robi...

– Pytasz, co ja mam zrobić? Och, to niezwykle proste. – Znów urwał, po czym dodał z wymuszoną lekkością: – Jutro wybieram się do Fontainebleau...

Susy osłupiała; nic nie rozumiała.

– Do Fontainebleau?

Widząc jej zdumienie, Nick po raz pierwszy szczerze się uśmiechnął.

– Cóż... Obrałem Fontainebleau... Nie wiem czemu... Chyba tylko dlatego, że nigdy tam razem nie byliśmy.

Wtedy nagle zrozumiała i poczerwieniała. Wstała, nie wiedząc, co robi; serce skoczyło jej do gardła.

– Jakie to groteskowe... Odrażające!

Nick wzruszył ramionami.

– Nie ja wymyśliłem to prawo...

– Ale czy to nie głupie, nie upokarzające, że takie rzeczy są konieczne, kiedy dwoje ludzi chce się rozstać? – Znów zamilkła, uciszona echem tego morderczego „chce się rozstać”...

On widocznie wolał nie wgłębiać się dalej w konieczności wynikające z obowiązującego prawa.

– Nie wyjaśniłaś mi jeszcze – zaczął – jak to się stało, że akurat tu mieszkasz.

– Tu? Z dziećmi Fulmerów? – Starła się mówić żywiej, naśladować jego swobodniejszy

już ton. – Ach, po prostu przez kilka tygodni bawię się w guwernantkę, póki Nat i Grace są na Sycylii. – Nie dodała: „Bo rozstałam się ze Streffordem”. Z jakiegoś powodu łatwiej jej było znieść to wszystko, zataiwszy informację o ryzykownym stanie niezależności, w którym się obecnie znajdowała.

Widać było po nim zdziwienie.

– Całkiem sama poza tą oszołomioną gosposią? Ile ich właściwie jest? Pięcioro? Przebóg!

– Utkwił niewidzący wzrok w zegarze, po czym znów spojrzał na żonę. – Myślałem, że taka gromada dzieci będzie ci działać na nerwy.

– Och, nie tych! One są dla mnie takie dobre.

– Cóż, to chyba nie na długo.

Znów wysłał oczy na wędrowną po pokoju, rozbierając go rozkojarzonym wzrokiem na żalodne części składowe, po czym dodał, bez wątpienia siląc się na zwykłą rozmowę:

– Słyszałem, że od czasu wielkiego powodzenia Nata Fulmerom nie układa się najlepiej.

Czy to prawda, że zamierza ożenić się z Violet Melrose?

Susy poczerwieniała.

– Och, nie! To nieprawda! Teraz podróżują razem z Grace.

– Ach tak... Nie wiedziałem. Ludzie wygadują różne rzeczy... – Poznała, że zawstydył się i żałował, że w ogóle obrał ten temat.

– Niektóre plotki rzeczywiście są prawdziwe. Ale Grace to nie obchodzi. Mówi, że razem z Natem należą do siebie. Twierdzi, że nic na to nie poradzą, w końcu tyle razem przeszli.

– Kochana Grace!

Nick wstał z fotela, a Susy tym razem nawet nie próbowała go powstrzymać. Wyglądało na to, że odzyskał panowanie nad sobą, a Susy zabolalo, wręcz upokorzyło, że z taką lekkością mówił o jutrzejszej wyprawie do Fontainebleau... Cóż, stwierdziła, mężczyźni myślą inaczej... i przypomniała sobie, że już raz tak o Nicku pomyślała.

Już na końcu języka miała okrzyk: „Ale czekaj, czekaj! Nie wychodzę w końcu za Strefforda!”, jednak byłoby to błaganie męża o litość, o wyrozumiałość – a przecież nie o to jej chodziło. Nigdy nie zapomni mu tego, że zostawił ją, gdyż nie mógł wybaczyć jej „załatwiania” – za żadne skarby nie pozwoli, by pomyślał, że specjalnie właśnie tak zaplanowała to spotkanie.

„Jeśli on dalej nie rozumie, że mimo wszystko jestem inna... Że jego oskarżenia nigdy nie były prawdziwe... jeśli przez ten cały czas tego nie zrozumiał, to na cóż zda się przekonywanie go teraz?” – rozważała. Potem pomyślała jeszcze: „Może i on cierpi? Tak, chyba tak... W każdym razie przez wzgląd na mnie, jeśli nie na siebie. Ale jeśli już jest przyrzeczony Coral, to co może zrobić? Co pomyślałby o mnie, gdybym próbowała go skłonić, aby złamał dane jej słowo?”.

Stał tam – człowiek, który „jutro wybiera się do Fontainebleau”; dla którego było to „podjęcie niezbędnych kroków”! Który potrafił uśmiechać się, rzucając coś takiego mimochodem! Już odniosła wrażenie, że dzieli ich cały świat: że ich rozstanie już się dokonało. Wszystkie kłębiące się w niej skrzydlate słowa, błaganie, argumenty zamarły i przerodziły się w ciszę. Pozostała tylko jedna myśl: „Jak długo on zamierza tu dalej stać?”.

Nick chyba wyczytał to pytanie z jej twarzy, gdyż porzucił wnikliwe kontemplowanie zasłon i rzekł:

– Już wszystko?

– Wszystko?

– Mówiłaś, że coś trzeba ustalić...

Na nagle wspomnienie pretekstu, pod którym go ściągnęła, Susy oblała się rumieńcem.

– Ach tak... – wykrztusiła. – Nie wiedziałam... Myślałam, że może będzie trzeba... Ale

prawnicy chyba...

Dostrzegła, że na jego wykrzywionym obliczu pojawił się wyraz pełen ulgi.

– No właśnie. Zawsze uważałem, że najlepiej im to zostawić. Możesz mieć pewność... –

Na jego napiętych wargach znów na chwilę pojawił się uśmiech. – Nie będę rzucał ci kłód pod nogi, nie będę opóźniał jak najszybszego rozwiązania.

Susy stała bez ruchu, czuła, jak kamienieje. Nick wydawał się jej już bardzo, bardzo daleki; był znikającą na horyzoncie sylwetką.

– A więc: żegnaj! – usłyszała głos męża w oddali.

– Ach, tak: żegnaj! – wykrztusiła, jak gdyby nie wiedziała, co powiedzieć, jakby z ulgą przyjęła jego podpowiedź.

Nick znów przystanął w progu, spojrzął na żonę i zaczął:

– Ja... – Ale urwał i powtórzył tylko „Żegnaj”, jak gdyby chciał się upewnić, że nie zapomniał tego powiedzieć; następnie zamknęły się za nim drzwi.

To już koniec! Nie wykorzystwała ostatniej szansy. Teraz cokolwiek nastąpi, nigdy już nie będzie miała tego, czego pragnęła, tego, co stanowiło sens jej egzystencji. Przyszedł, a ona znów pozwoliła mu odejść...

Jak to się stało? Jak będzie mogła kiedykolwiek sobie to wytłumaczyć? Jak to się stało, że właśnie Susy, taki przebiegły strateg, zazwyczaj tak wprawna we wszelkich kobiecych sztuczkach, stała przed nim bezsilna, nie mogła wydusić ani słowa, niczym pensjonarka, która przy pierwszej miłości zapomina języka w gębie? Odszedł, nigdy nie wróci – a to wszystko jej wina, tylko jej. Czy uczyniła choć gest, by go poruszyć, zatrzymać, wzmocnić jego bicie serca i zawroty w głowie na podobieństwo jej własnego bicia i zawrotów? Dziwiła się własną nieporadnością, własnym kamiennym brakiem ekspresji...

Nagle chwyciła się rękami za pulsujące skronie i zawołała:

– Ale to właśnie miłość! To musi być miłość!

Sądziła, że kochała go i wcześniej; jak inaczej mogła nazwać to, co ją tak w nim pociągało, skąd wiedziała, jak przezwyciężyć jego opory i porwać go w tę szaleńczą przygodę? Cóż, jeśli tamto to była miłość, to teraz czuła coś znacznie większego, głębszego – teraz tamto poprzednie uczucie wydawało się jedynie marnym podrygiwaniem jej krwi w tym samym rytmie co w jego żyłach...

Ale – nie! Prawdziwa miłość, wielka miłość – taka, którą sławili poeci, przez którą żyły i umierały zarówno uprzywilejowane, jak i umęczone istoty – ta miłość miała własne, wspanialsze przejawy, pewne panowanie nad tym, jak się ją wyraża. Nędzne kokieterijne sztuczki były od niej tak samo dalekie jak otepienie niedoświadczonej panienki. Wielka miłość była mądra, silna, potężna – niczym geniusz, jak każda dominująca forma ludzkiej potęgi. To uczucie było samoświadome, wiedziało, czego potrzebuje, jak należy je zdobyć.

A więc to nie była wielka miłość... A więc czuła tylko zwyczajną, skromną, przeciętną miłość dostępną zwykłym ludziom. Spłynęła na nią w tak nowy sposób, tak obezwładniająco, z tak ponurą, przerażającą ciut twarzą, że Susy aż zamarła, nie dowierzając odczuwanej właśnie pokorze. Zrozumiała, że to, co kiedyś brała za miłość, było marną radością z przyjemności i wiosny, zwykłym posmakiem młodości.

– Ale skąd mogłam to wiedzieć? A teraz jest już za późno! – zaskąkała.

Rozdział 29

Mieszkańcy domku w Passy z konieczności zaczęli dzień dość wcześnie; jednak następnego ranka, kiedy Susy wyskoczyła z łóżka, nikt jeszcze nie wstał, budzik gospośki miał zadzwonić dopiero za niecałą godzinę.

Przez chwilę Susy wychylała się przez okno, z ciemnego pokoju w jeszcze ciemniejszą noc. Zimna mżawka zmoczyła jej twarz, przeszedł ją dreszcz i wróciła do środka. Wówczas zapaliła świeczkę, swoim zwyczajem osłoniła ją, by nie obudzić małego, po czym przywdziała szlafrok i otworzyła drzwi. Na progu przystanęła i spojrzała na zegarek. Dopiero wpół do szóstej! Miała wyrzuty sumienia, że przerwie sen Junie w tak podły sposób; zważywszy jednak na wagę sytuacji, skrupuły te nie miały wielkiej mocy. Biedna Junie po prostu będzie musiała odespać w niedzielę!

Susy wymknęła się na korytarz, otworzyła drzwi i oświetliła twarz śpiącej dziewczynki.

– Junie! Najdroższa Junie! Obudź się, proszę!

Junie leżała w zapomnieniu młodzieńczego snu; usłyszawszy swe imię, wstała jednak szybko jak dorosły, na którym już dawno ciężą domowe obowiązki.

– Które? – spytała, jedną stopą już na podłodze.

– Och, nie... Nie, Junie... Z małymi wszystko w porządku... Nikomu nic nie doskwiera... – wykszusiła Susy, klęcząc przy łóżku.

W świetle świeczki spostrzegła, jak zmarszczone czoło dziewczynki pochmurnieje z wyrzutem.

– Och, Susy... więc czemu mnie budzisz? Akurat śniło mi się, że jeździmy sobie wszyscy, z tatusiem i mamusią, po Rzymie wielkim automobilem!

– Bardzo przepraszam, kochanie. Co za cudny sen! Ależ paskudnie z mojej strony, że go przerwałam...

Poczuła, że w dziewczynce budzi się zaciekawienie.

– Skoro nikomu nic nie doskwiera, to czemu płaczesz? Czy to tobie coś dolega? Co się stało?

– Ja płaczę? – Susy podniosła się z kolan i usiadła na narzucie. – Tak, to mi coś dolega, dlatego musiałam cię obudzić.

– Och, Susy... kochana Susy! Co się stało? – Junie w trymiga rzuciła się Susy na szyję, a ta mocno objęła dziewczynkę.

– Słuchaj, Junie... Muszę natychmiast wyjechać... Zostawić was wszystkich na cały dzień. Wrócę pewnie dopiero bardzo późno dziś wieczór, może już w nocy... Nie wiem; obiecałam twojej mamie, że was nie zostawię, ale muszę, naprawdę muszę...

Junie przyglądała się jej zdenerwowanej twarzy całkiem obudzonymi już oczkami.

– Och, na pewno na ciebie nie doniosę, przyjaciółko! – zapewniła.

Susy uścisnęła ją.

– Junie, Junie... Jaka ty jesteś kochana! Ale nie o to mi chodzi. Oczywiście, że możesz donieść mamusi, nawet musisz jej o tym powiedzieć! Sama do niej napiszę. Martwi mnie natomiast to, że muszę wyjechać... wyjechać z Paryża... na cały dzień, kiedy Geordie jeszcze pokasłuje, i ktoś z was będzie musiał zostać z tą głupiotką Angele, a na ciebie spadnie obowiązek odprowadzenia i zaprowadzenia wszystkich do szkoły. Ale Junie, Junie... Ja naprawdę muszę jechać! – Załkała, mocniej tuląc dziewczynkę.

Junie Fulmer, która tę sprawę – jak i zapewne każdą inną kwestię, którą by jej rzucił los – przyjęła z zadziwiającą dojrzałością, tkwiła przez chwilę bez ruchu w uścisku Susy. Następnie

jednym zgrabnym ruchem nadgarstków oswoiła się, opadła ponownie na poduszki i zawyrokowała roztropnie:

– Skoro tak się cackasz z cudzymi dziećmi, to nigdy, przenigdy nie uda ci się wychować własnych!

Słyszając to Susy, mimo całego wewnętrznego poruszenia, nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Och, własnych... Nie jestem godna własnej rodziny po tym, jak teraz zajmuję się wami...

Junie wciąż przyglądała jej się bacznie, po czym oznajmiła:

– Myślę, droga Susy, że mała odmiana dobrze ci zrobi. Potrzebujesz jej.

Susy wstała ze śmiechem i westchnieniem.

– Wcale nie wiem, czy to się na coś zda! Ale i tak muszę jechać... Denerwuję się tylko... a nawet nie mogę zostawić wam adresu!

Junie wciąż zdawała się ważyć w myślach tę sprawę.

– Nie możesz nam nawet powiedzieć, gdzie jedziesz? – spytała niepewnie, jak gdyby nie była przekonana, czy wypada jej tego dociekać.

– Cóż... Nie, chyba nie... Dopóki nie wrócę. Poza tym nawet gdybym mogła, to na niewiele by się to zdało, bo i tak nie znam adresu.

– Ale jakie to ma znaczenie, jeśli rzeczywiście wrócisz dziś w nocy?

– Oczywiście, że wrócę! Jak mogłaś pomyśleć, że zostawiłabym was na dłużej niż dzień?

– Och, ja wcale bym się nie bała... W każdym razie nie bardzo... Mam w końcu pogrzebac i pistolet na wodę Nata – dodała Junie, wciąż niezmiernie roztropnie.

Susy znów przytuliła ją co siłą, a następnie zajęła się praktyczniejszymi kwestiami.

Wyjaśniła, że postara się złapać pociąg o ósmej trzydzieści z Gare de Lyon, że nie ma chwili do stracenia, bo przecież trzeba ubrać i nakarmić dzieciarnię, a przed popędzeniem na metro musi jeszcze napisać instrukcje dla Junie i Angele.

Kiedy kąpała Geordiego, a następnie pospiesznie sama się ubierała, wciąż dziwiła się własną troską wobec podopiecznych. Z ukłuciem wstydu przypominała sobie, jak często opuszczała Clarissę Vanderlyn na cały dzień, a czasem nawet na dwa czy trzy – a przecież dobrze wiedziała, że biedna mała Clarissa jest taka samotna, tak narażona na bardzo złe wpływy. Susy była wówczas zbyt chciwie pochłonięta własnym szczęściem, by bez przerwy zawracać sobie głowę dzieckiem. Teraz jednak ani najgłębszy smutek, ani najbardziej absorbujące szczęście nie były w stanie odciągnąć jej od bliźnich.

I jakże inne były te dzieci! Prześliczna Clarissa już z góry skazana została na bycie ofiarą swego środowiska: jej kielkującą duszyczkę oddzielała od Susy ta sama bariera niezrozumienia, która tkwiła pomiędzy Susy a panią Vanderlyn. Clarissa nie mogła nauczyć Susy niczego poza tym, jak okropne były jej własne małe chciwości – natomiast towarzystwo tych głośnych, kłótliwych fulmerzątek okazało się szkołą mądrości i wyrzeczeń.

Zaaplikowała szczotkę na błyszczącą łepetynę najmłodszego chłopca, a następnie chusteczką wytarła jego zakatarzony nos. Wtem uświadomiła sobie, ile jest malcowi winna, więc przerwała wycieranie i przytuliła go do serca.

– Jeśli obiecasz, że cały dzień będziesz grzeczniutki, to jak wrócę wieczorem, w nagrodę opowiem ci wspaniałą opowieść! – usiłowała go przekupić.

Geordie natomiast odparł ze zwykłą sobie przebiegłością:

– Zanim obiecuję, chciałbym wiedzieć, co to za opowieść.

W końcu zapanował porządek. Dokładność wskazówek oświeciła Junie i oszołomiła Angele; następnie Susy – solidnie obuta i odziana w płaszcz przeciwdeszczowy – wyszła z domu,

po czym zatrzymała się na chwilę, by pomachać tęsknie wyglądającej z górnego okna piramidzie główek.

Kiedy szła ponurą i jak zwykle wyludnioną ulicą, ledwo świtało, a deszcz wciąż siąpił. Na rogu jednak dostrzegła niepewną taksówkę, w której miejsce przy kierowcy wypchane było bagażami. Może należały do jakiegoś właśnie przyjeżdżającego porannego podróżnego, a Susy będzie mogła wsiąść do zwolnionego pojazdu. To pozwoliłoby jej uniknąć wędrówki do metra, a następnie jazdy w ścisku – w końcu o tej porze ludzie dojeżdżali do pracy. Susy pognęła co sił w kierunku samochodu, który przestał się wahać i jechał teraz prosto na nią. Zauważywszy to, przystanęła, aby zobaczyć, gdzie auto się zatrzyma i dokona wyładunku. Wówczas taksówka stanęła, a ładunek sam wyszedł – i to pod postacią Nicka Lansinga.

Oboje gapili się na siebie w deszczu, aż w końcu Nick wypalił:

– Gdzie tak pędzisz? Właśnie po ciebie przyjechałem.

– Po mnie? Po mnie? – powtarzała. Nagle zauważyła, że przy kierowcy leży stara walizka, z której to kiedyś mąż zmusił ją, by wyciągnęła cygara Strefforda, gdy wyjeżdżali znad Como; wraz z tym gwałtownym, bolesnym wspomnieniem wszystko, co zdarzyło się później, zdawało się rozmywać i rozplýwać w wilgotnym powietrzu.

– Owszem, po ciebie, naturalnie. – Mówił niezwykle stanowczo, zupełnie jak gdyby te słowa były rozkazem. – Gdzie tak pędzisz? – powtórzył.

Susy, nie odpowiadając, ruszyła w stronę domu. Nick poszedł za nią, a tył procesji zamykała obładowana taksówka.

– Dlaczego w taką pogodę nie masz parasola? – drażył tym samym poważnym tonem, osłaniając ją swoim.

– Och, bo parasol Junie jest w strzępach, a skoro wyjeżdżałam na cały dzień, to musiałam zostawić jej mój. – Te słowa Susy wypowiedziała jak gdyby w transie.

– Na cały dzień? O tej porze? Dokąd?

Dotarli już do progu, gdzie automatycznie zaczęła szukać klucza. Znalazszy go, otworzyła drzwi i weszła, prowadząc męża do salonu. Od poprzedniego wieczoru nie było w nim sprzątane. Na stole i kanapie wciąż wały się podręczniki szkolne dzieci, a zimny kominek wypełniony był starym popiołem. W bladym świetle pokoju Susy zwróciła się do Nicka:

– Jechałam zobaczyć się z tobą... – wydusiła. – Chciałam pojechać za tobą nawet do Fontainebleau, żeby powiedzieć ci... aby cię powstrzymać...

On powtórzył równie porywczo:

– Co mi powiedzieć? Przed czym powstrzymać?

– Chciałam powiedzieć ci, że musi być jakieś inne wyjście... jakieś przyzwoite wyjście z naszej separacji... Bez tego koszmaru, że musisz uciec z inną kobietą...

Patrzył na nią zdumiony, a w końcu wybuchnął śmiechem. Krew uderzyła jej do głowy. Zabolęło ją, że w tym śmiechu pobrzmiwał dobrze znany ton. Jak on mógł w takiej chwili śmiać się po staremu?

– Strasznie mi przykro, ale obawiam się, że innego wyjścia nie ma. No, może jedno... – poprawił się.

Susy natychmiast podniosła głowę.

– Jakie?...

– Że to ty będziesz tą kobietą... Ach, moje kochanie! – Z jego ust opadł już złośliwy uśmiech; już był u jej boku, już oburącz chwycił jej dłonie. – Och, kochanie! Nie rozumiesz, że oboje czuliśmy to samo o tej samej porze? Prawda, że i ty nie zmrużyłaś tej nocy oka, tylko o tym myślałaś? Ja też! Za każdym razem, gdy zegar wybijał godzinę, myślałem sobie: „I ona to słyszy”. Wstałem więc przed świtem, zapakowałem manatki... Moja noga już nie postanie w tym

parszywym hotelu, w którym przez ostatnie trzy dni przeżyłem piekło. Przynależem sobie, że pierwszym możliwym pociągiem wyjadę z kobietą... I taki mam zamiar, najdroższa!

Stała przed nim w zupełnym odrętwieniu. Tak, właśnie w odrętwieniu: to było najgorsze! Jego reakcja była tak gwałtowna, że Susy ledwo potrafiła zrozumieć, co mówił. Zauważyła natomiast, że znowu ktoś urwał sznurek od rolety (ach, te dzieci!), i zaczęła lekko się kłopotać, czy aby na pewno w czekającej taksówce jego bagaż jest bezpieczny. Słyszało się historie...

Nagle znów dotarł do niej głos męża.

– Słuchaj, Susy! – nalegał. – Sama chyba rozumiesz, że tak dalej być nie może. Jesteśmy przecież małżeństwem... Czy to się nie liczy? Och, wiem... Zachowałem się paskudnie... Byłem przeklętym, aroganckim osłem! Nawet nie wiesz, jak ciężkie manto mu spuściłem! Ale przecież nie o to chodzi. Chodzi o to, że jesteśmy małżeństwem... Małżeństwem... Czy nie ma to dla ciebie jakiegoś... jakiegoś... niezwyklego znaczenia? Dla mnie ma. Nigdy nie przypuszczałem, że właśnie tak będę myślał. Ale jedyne, co mogę powiedzieć, to... chyba po prostu, że ci, co nie czują, że naprawdę są małżeństwem... oni powinni się rozstać... tak jest lepiej. Ale my...

Szepnęła przez łzy:

– Doszłam do tego samego wniosku... Właśnie to powiedziałam Streffowi...

Mąż tulił ją już z całych sił.

– Kochana! Najukochańsza! Powiedziałas mu to?

– Tak... – wyduśliła. – Dlatego właśnie tu mieszkam... A ty powiedziałeś Coral?

Poczuła, że poluznił uścisk. Wciąż ją trzymając, odsunął się trochę i spuścił głowę.

– Nie... nie powiedziałem.

– Och, Nick! Ale przecież...

Znów ją przytulił, tym razem z pewną urazą.

– No... Przecież co? O co ci chodzi? Co to, u licha, zmienia?

– Ale skoro obiecałeś, że się z nią ożenisz... – Wbrew jej usilnym staraniom w jej głosie srebrzyście pobrzmiwało szczęście.

– Że się z nią ożenię? Absurd! – zawołał. – Jak bym mógł? I co w sumie znaczy małżeństwo? Jeśli znaczy cokolwiek... to tylko z tobą! A przecież Coral nie mogę poprosić o tak, by ze mną mieszkała, czyż nie?

Susy śmiała się i na przemian płakała na jego piersi, a mąż głaskał ją po włosach.

Przez moment milczeli. Po chwili Nick znów przemówił:

– Sama to wczoraj powiedziałaś, prawda?

Susy wróciła ze świetlistej dali.

– Wczoraj?

– Tak: powiedziałaś, że według Grace Fulmer nie można rozdzielić dwojga ludzi, którzy tyle razem przeszli...

– Ach, no właśnie razem... Tu nawet nie chodzi o „tyle”, ale właśnie o to „razem” – przerwała.

– Razem! No właśnie! O to chodzi! – Uczepił się tego słowa, jak gdyby dopiero teraz zostało wymyślone do opisanego przypadku, jak gdyby teraz wreszcie mógł przestać się nad nim głowić.

Zadzwoił dzwonek. Podskoczyli. Przez okno zobaczyli taksówkarza, który gestami pytał, co począć z bagażem.

– Chce wiedzieć, czy ma to tu zostawić! – zaśmiała się Susy.

– Ależ nie! Jedziesz ze mną! – zarządził jej małżonek.

– Jadę z tobą? – Na tę jakże absurdalną propozycję Susy zaśmiała się w głos.

– Oczywiście, w tej chwili! A co myślałaś? Że pojedę bez ciebie? Pędź na górę i spakuj

swoje rzeczy! – rozkazał.

– Moje rzeczy? Moje rzeczy? Ale przecież nie mogę zostawić dzieci!

Spojrzał na nią w osłupieniu: nie wiedział, czy go to smuci, czy bawi.

– Nie możesz zostawić dzieci? Nonsens! Sama mówiłaś przecież, że chciałaś jechać za mną do Fontainebleau...

Znów pokraśniała, tym razem czując lekkie ukłucie.

– Sama nie wiedziałam, co robię... Musiałam cię odnaleźć... Ale i tak wróciłabym dziś wieczór, niezależnie od wszystkiego.

– Niezależnie od wszystkiego?

Skinęła i z pełnym zdecydowaniem spojrzała mu w oczy.

– Nie, ale naprawdę...

– Naprawdę nie mogę zostawić dzieci do czasu, aż Nat i Grace wrócą. Obiecałam.

– Tak, ale wtedy nie wiedziałaś... Dlaczego, u licha, nie może zająć się nimi opiekunka?

– Ja jestem ich jedyną opiekunką.

– Wielkie nieba!

– Ale zostały jeszcze tylko dwa tygodnie – tłumaczyła. – Tylko dwa tygodnie! A wiesz, jak długo musiałam się bez ciebie obyć?

Chwyił ją za nadgarstki i ponownie przyłożył jej dłonie do serca.

– Wyjedź ze mną przynajmniej na dwa dni... Proszę, Susy! – błagał.

– Och! – krzyknęła. – Pierwszy raz zwracasz się do mnie moim imieniem!

– W takim razie: Susy, Susy! Moja Susy... Susy! A ty moje imię powiedziałaś tylko

raz...

– Nick... – westchnęła, spokojna, jak gdyby ta jedna sylaba była magicznym ziarenkiem, z którego wyrosły otaczające ich potężne gałęzie.

– No więc, Susy, bądź rozsądna! Chodź!

– Rozsądna... Ach, rozsądna! – Załkała przez śmiech.

– Bądź więc nierozsądna! Nawet lepiej!

Uwolniła się z jego uścisku i odsunęła na kilka kroków.

– Nick, przyrzekłam, że ich nie zostawię. Nie mogę. I nie chodzi tu wyłącznie o obietnicę złożoną ich matce... Chodzi o to, co ja sama im zawdzięczam. Ty tego nie rozumiesz... Nawet nie zdajesz sobie sprawy, czego te dzieci mnie nauczyły. Czasami potrafią być strasznie niegrzeczne, to dlatego, że są takie bystre; ale kiedy są grzeczne, są najmądrzejszymi znanymi mi istotami. – Przerwała, doznawszy nagłego olśnienia. – A może weźmiemy je ze sobą? – zawołała.

Mąż puścił ją, osłupiały.

– Mamy je ze sobą zabrać?

– Dlaczego nie?

– Całą piątkę?

– Oczywiście! Przecież nie możemy ich rozdzielić. A Junie i Nat pomogą nam opiekować się młodszymi.

– Pomogą... – jęknął.

– Oj, zobaczysz, nie będą ci przeszkadzać. Zostaw to mnie, ja to załatwię... – To słowo zamarło na jej ustach. Susy oblała się bolesnym karmazynem od czoła po szyję. Ich spojrzenia się spotkały. Nick bez słowa nachylił się i delikatnie przyłożył usta do czerwonej plamy na szyi żony.

– Nick... – szepnęła, trzymając go za rękę.

– Ale te dzieci...

Zamiast odpowiedzieć, zapytała:

– Dokąd jedziemy?

Rozpromienił się.

– Gdziekolwiek, najdroższa, twój wybór.

– A więc... wybieram Fontainebleau! – zawołała radośnie.

– Ja też! Ale przecież nie możemy tej całej hałastury zabrać do hotelu w Fontainebleau, prawda? – jęknął. – Widzisz, kochanie... To takie drogie...

Jej oczy i myśli dawno już go wyprzedziły.

– To wcale nie musi być takie drogie! Właśnie sobie przypomniałam, że Angele, nasza gosposia, ma siostrę, a ta siostra gotuje tam w takim miłym, staroświeckim pensjonacie, który o tej porze roku będzie prawie pusty. Z pewnością uda mi się wszystko z łatwością za... urządzić

– dodała pospiesznie, prawie potykając się znów o tamto nieszczęsne słowo. – I tylko pomyśl, jaką to im sprawi radość! Dziś piątek, mogę więc zwolnić je z popołudniowych zajęć i trzymać na wsi aż do poniedziałku. Biedactwa, całe miesiące nie były poza Paryżem! I to z pewnością wyleczy kaszel Geordiego... Geordie to ten najmłodszy... – wyjaśniła, sama dziwiąc się, że w całej tej ekstazie wciąż tak bardzo zależy jej na dobru fulmerzątek.

Zdawała sobie sprawę, że zaskoczyło to i jej męża. Jednak zamiast wciąż próbować ją nakłonić do zmiany zdania, po prostu zapytał:

– Czy Geordie to ten malec, którego miałaś na rękach, kiedy przedwczoraj wieczór otwierałaś drzwi frontowe?

Zdziwiła się.

– Kiedy przedwczoraj wieczór otwierałam drzwi frontowe?

– Chłopcu z przesyłką.

– Ach... – załkała. – A więc tam byłeś? Widziałeś?

Przytulił ją mocno i znów przeszły przez nich tak ciepłe i pełne prądy jak wtedy w Como, gdy świecił ich księżyc.

Chwilę potem Susy miała już całą sprawę w garści i wykorzystywała swój talent stratega. Zapłacono taksówkarzowi, wyłożono bagaż Nicka w przedpokoju, a dzieci – które właśnie schodziły gromadnie na śniadanie – zwołano i obwieszczono im nowinę.

Nie ulegało wątpliwości, że rodzeństwo – choć przywykłe do niespodzianek – było trochę speszone obecnością Nicka. Kiedy jednak wśród śmiechu i uścisków wyjaśniono, kto to taki i jakie ma prawo tu być, Junie zakończyła sprawę, zadając jak zwykle praktyczne pytanie:

– A więc w takim razie wolno nam wreszcie z Susy o panu rozmawiać?

Następnie już cała piątka oddała się wizji czekających ich wakacji.

Od tej chwili domek stał się istnym centrum trąby powietrznej. Takie wielkie niespodziewane gratki były w życiu fulmerzątek czymś rzadkim i gdyby nie pacyfikujące zabiegi Junie, podopieczni Susy mogliby wymknąć się spod kontroli. Nickowi jednak udało się przekonać Nata Juniora – odwołując się do łączącego ich pokrewieństwa płci – aby zaniechał uczczenia tej okazji za pomocą klaksonu (tego samego, który niegdyś tak torturował echa New Hampshire) i zamiast tego przejął władanie nad najmłodszymi. W końcu z chaosu wyłonił się plan, do którego każde dziecko pasowało jak kawałek układanki.

Susy ujeżdżała to tornado ze swą zwykłą stanowczością, mimo to jednak była lekko zdenerwowana. Nie mieli jeszcze z Nickiem czasu porozmawiać o kwestiach pieniężnych; choć skoro pieniędzy mieli tak mało, nie było oczywiście wiele do gadania. To kolejny powód, dla którego samą Susy zdziwiło, że tak nieugięcie nie chce się rozstać z podopiecznymi. Trzydniowy „miodowy miesiąc” z pięciorgiem dzieci – i to mających iście fulmerowskie apetyty – musiał być wyzwaniem niezwykle kosztownym. Tak więc gdy Susy ustalała szczegóły, wyprawiała dzieci na rano do szkoły i miotała się wśród pojemników, które w tym domu mogły uchodzić za bagaż, jej

myśli wciąż krążyły wokół dobrze znanych problemów finansowych.

Tak – to okrutne, że ta bestia znów wychylała zniechęcony łeb zza pączkujących gałęzi nowej wiosny... Nie dało się jednak uwolnić od tego nieposkromionego rajskiego węża, którego trzeba było przekupywać, karmić, usypiać ochłapami wyżebranymi, zapożyczonymi czy wykradzionymi. Susy uznała, że taka widocznie jest cena, którą musi zapłacić Mojrom za szczęście – była już całkiem pewna, że jest tego warte. Tylko jak ma teraz prowadzić interesy w oparciu o nowe zasady?

Trzeba było pakować manatki dzieci, przygotować posiłek i zadzwonić do pensjonatu w Fontainebleau, tak więc nie można było tracić czasu na moralną kazuistykę. Susy zastanawiała się – dostrzegając ironię losu – czy przypadkiem ten chroniczny brak czasu, aby zająć się problemami finansowymi, nie był właśnie główną przyczyną jej poprzednich upadków. Ale i o tym myśleć nie było kiedy. Czas był – krótko mówiąc – tylko na to, by dać się unosić rwącej wichurze planów i przygotowań. Posłała Nicka, by zakupił trochę *charcuterie*¹⁰ na drugie śniadanie, a potem zadzwonił do Fontainebleau.

Kiedy poszedł – i miała pewność, że bezpiecznie zniknął za rogiem – ona przywdziała płaszcz, po czym – wsunąwszy do kieszeni zabraną z walizki paczuszkę – wybiegła w przeciwnym kierunku.

¹⁰ *charcuterie* (fr.) – wędlina

Rozdział 30

Potrzeba było dwóch wypełnionych po brzegi taksówek, aby zawieźć państwa Nicholasów Lansingów na dworzec, skąd mieli się udać w drugą podróż poślubną. Do pierwszego auta zmieścił się Nick, Susy i bagaż całej hałastry (w tym, jako ostatnie ustępstwo, klakson małego Nata, w nagrodę, że chłopiec dotychczas cierpliwie powstrzymał się od trąbienia); do drugiego pięcioro fulmerzątek, służąca, która w ostatniej chwili nie pozwoliła się zostawić, a ponadto klatka pełna kanarków oraz kotek-znajda o morderczych zakusach na jej mieszkańców – zwierzęta musiały być zabrane, jako że pod nieobecność gosposi nie było nikogo, kto mógłby się nimi zająć.

Na rogu jeszcze Susy wyrwała się z ramion Nicka, wstrzymała korowód i pobiegła do drugiej taksówki, aby upewnić się, czy służąca zabrała klucze. Okazało się oczywiście, że nie, ale wzięła je Junie; wtenczas karawana ruszyła znów i dotarła na dworzec akurat, kiedy pociąg ruszał. Tam jakimś cudem trafili na wyjątkowo miłego konduktora, który wpakował wszystkich do jednego pustego przedziału – Susy twierdziła, że to z pewnością dlatego, że urzędnicy kolejowi zawsze potrafili wypatrzeć w tłumie nowożeńców, których traktowali niezwykle życzliwie.

Dzieci, nad którymi straż pełniła Junie, na samym początku przyrzekły, że będą nadludzko grzeczne. W końcu jednak nie potrafiły zapanować nad natłokiem emocji i udało się je uciszyć dopiero przykazaniem, że na każdym przystanku Natowi wolno będzie zatrąbić klaksonem, bliźniakom wykrzyzczyć głośno nazwę stacji, a dzierżącemu kanarki i kotka Geordiemu udawać, że przesiada się do innego pociągu.

Na szczęście przystanków było niewiele. Jednak wrażenia związane z podróżą w połączeniu z nadmiernym spożyciem nieroztropnie zapewnionych przez Nicka czekoladek wywołały u Geordiego nagły przypływ melancholii, którą Susy udało się ukoić tylko opowiadaniem mu bajek aż do przyjazdu do Fontainebleau.

Dzień był łagodny, delikatne promienie słońca rozświetlały zwiędłe listowie. Gdy bagaże i żywy inwentarz odstawiono do pensjonatu, Susy wyznała, że obiecała dzieciom przechadzkę po lesie, a potem bułeczki w *salon de thé*¹¹. Nick przystał na to z dużym spokojem. Ciemność już dawno zapadła i zjedzono bardzo dużo bułeczek, zanim cały długi pochód w końcu ruszył z powrotem do pensjonatu; na czele szedł Nick, niosąc na ramieniu śpiącego Geordiego, reszta dzieci natomiast – którym zmęczenie i duże ilości jedzenia odjęły mowę – uczepliły się Susy.

Stwierdzono, że skoro dołączyła do nich służąca, można na noc powierzyć dzieci jej opiece, tak więc Nick z Susy zamieszkali w sąsiadującym z pensjonatem hotelu. Nick łudził się, że może ich tam przenieść tuż po powrocie z herbaciarni; Susy jednak wyraźnie ten pomysł zdziwił i przypomniała mężowi, że przecież wprawdzie trzeba nakarmić i położyć spać podopiecznych. Zasugerowała, żeby on tymczasem zaniósł ich walizki do hotelu, i obiecała, że dołączy, jak tylko uda jej się uśpić Geordiego.

Długo nie przychodziła, lecz samo czekanie na nią, nawet w opuszczonej i niedostatecznie ogrzewanej rozchwierutany piecykiem hotelowej czytelnicy, wydawało się Nickowi pełne słodyczy. Przejrzał poranną pocztę, którą tuż przed wyjazdem z Paryża pospiesznie wsunął do kieszeni, po czym popadł w stan sennej błogości. To wszystko było, rzecz jasna, istnym szaleństwem, jednak tym razem nie naszło go poczucie odrealnienia, przez które ich pierwsza przygoda zdawała się ledwie złotym snem. Nick czekał na żonę z pewnością człowieka, w którym głęboko zakorzeniły się drogie sercu zwyczaje. W tym jakże uległym nastroju nawet obecność pięcioro fulmerzątek wydawała mu się naturalną i niezbędną kolejną

rzeczy – a kiedy w końcu nadeszła lekko błada i zmęczona Susy, w zamyśleniu typowym dla zabieganej matki, która właśnie opuściła pokój dziecinniej, i to wydało mu się naturalnym i niezbędnym elementem nowego porządku.

Na kolację poszli do taniej restauracji, a teraz pod niebem pełnym deszczowych chmur wracali wilgotną grudniową nocą do hotelu. Zdawało im się, że powiedzieli sobie już wszystko, a równocześnie jak gdyby ledwo zaczęli opowiadać to, co było do opowiedzenia. Z każdym krokiem ich zmęczone stopy dźwigały nowy ciężar szczęścia.

Prawie wszystkie światła w hotelu dawno już zgasły i po omacku szukali swego pokoju na trzecim piętrze – jedyne na tyle taniego, by Susy mogła się na niego zgodzić. Przez niezastłonięte żaluzje wpadł promień latarni, a kiedy Nick ożywił ogień na kominku, przysunęli do niego fotele i przez chwilę siedzieli w milczeniu w ciemności.

Ich cisza była tak słodka, że Nick nie miał serca jej przerwać. Dawało to jego niespokojnemu duchowi świadomość wielkiej stałości – czuł, że wreszcie ma przed sobą nieskończenie długi okres, w którym może kosztować radości i dać się ponieść strumieniowi słodczy. W końcu jednak postanowił przemówić:

– Jaki dziwny zbieg okoliczności. Dostałem dziś rano list, który zawiera trochę dobrych wiadomości.

Susy przyjęła to wyznanie spokojnie.

– Ależ oczywiście, tak musiało być – stwierdziła, pewna wyraźnie, że dzień ten był po prostu stworzony do szczęścia, co nie mogło umknąć uwadze jego szafarzy.

– No właśnie – ciągnął Nick z odrobiną wybaczalnej dumy. – Na jachcie popełniłem kilka artykułów o Krecie... Zwykłych wrażeń z podróży, rzecz jasna, nic nadzwyczajnego. Spodobały się jednak redaktorowi „New Review”, przyjął je do druku i prosi o więcej. A tu, jeśli pani pozwoli, czek od niego! Widzisz, jednak mogłaś mi pozwolić wynająć ten śliczny pokój poniżej z różowymi zasłonkami. Dzięki temu mam bardzo duże nadzieje co do mojej książki...

Spodziewał się entuzjastycznego wybuchu radości, a może i powtórzenia wiary żony w to, że *Pochód Aleksandra* czeka świetlista przyszłość. Głęboko pod ogarniającym go miłosnym dobrostanem autor poczuł lekkie ukłucie, gdy Susy zerwała się na równe nogi i zawołała, entuzjastycznie i bez pochwalnych wstępów:

– Och! Nick! Nick! Pokaż, ile ci zapłacili!

W świetle kominka rozwinął przed nią czek.

– Parę setek dolarów, ty moja paskudna materialistko!

– Ach! Ach! – westchnęła, jak gdyby te dobre wieści to było ciut za dużo dla jej nadszarpniętych nerwów; po czym ku jego zaskoczeniu uklękła na ziemi i ukryła twarz w kolanach męża.

– Susy! Moja Susy... – szepnął i położył dłoń na jej drżących ramionach. – Kochanie ty moje, co się stało? Nie płaczesz chyba?

– Och, Nick... Nick! Aż dwieście? Dwieście dolarów? A więc muszę ci wyznać... Tak, natychmiast!

Poczuł lekki mroźny dreszcz i odruchowo odsunął rękę znad jej ugiętej postaci.

– Teraz? Czemu teraz? – błagał. – Cokolwiek to jest, jakie to może mieć teraz znaczenie?

– Ale ma! I to większe, niż się możesz spodziewać!

Wyprostowała się, wciąż klęcząc przed mężem. Uniosła głowę tak, że światło kominka zdawało się przemieniać jej włosy w rudawą aureolę.

– Nick... Ta bransoletka... Bransoletka Ellie... Ja jej w końcu nigdy nie oddałam... – wyznała.

Nick poczuł, że instynktownie cofa się od rąk trzymających jego kolana. Przez ułamek

sekundy nie wiedział nawet, o czym żona właściwie mówi; samo wspomnienie Ellie Vanderlyn rzuciło pomiędzy nich mrozący cień. Ale z niego niepoprawny głupiec! Jak mógł się łudzić, że kiedykolwiek uda im się wyrzucić tamte wspomnienia, że przestaną być niewolnikami tak strasznej przeszłości!

– Jaka bransoletka... Ach, ta... – powiedział, zrozumiałwszy nagle. Jego usta powoli zamarzyły w lodowatym grymasie.

– Tak, właśnie ta bransoletka... Ach, Nick... Naprawdę chciałam ją od razu oddać, naprawdę! Tylko że wtedy, kiedy odszedłeś, zapomniałam o wszystkim. Znalazłam ją wiele tygodni później na dnie torby, ale wtedy myślałam, że między nami już wszystko skończone. W dodatku zaczęłam akurat znowu widywać Ellie, a ona była dla mnie taka miła, więc jak mogłam...? – Nick nie był w stanie znaleźć na to żadnej odpowiedzi, a Susy ciągnęła dalej: – Dziś rano, kiedy zobaczyłam, jak bardzo przerażają cię koszty zabrania z nami wszystkich dzieci, a wiedziałam, że ani ich, ani ciebie nie mogę zostawić... wtedy przypomniałam sobie o bransoletce. Wysłałam cię, abyś zatelefonował, a sama pobiegłam na róg do takiego małego zakładu jubilerskiego, w którym już wcześniej byłam, i zastawiłam ją, abyś nie musiał płacić za dzieci... Ale teraz widzisz, kochanie, skoro masz tyle pieniędzy, to zaraz mogę ją wziąć z powrotem, prawda? I wreszcie odesłać ją Ellie!

Rzuciła mu się w ramiona, a on tulił ją mocno. Ciekawe, czy te łzy, które czuł, były jej, czy jego? Wciąż nic nie mówił. Kiedy przyciągnął ją jeszcze mocniej do serca, żona dodała ze swym zwykłym, nieposkromionym przekąsem:

– Nie żeby Ellie kiedykolwiek zrozumiała, dlaczego ją odsyłam. Wciąż się głowi, czemu oddałeś przypinkę.

Potem długo jeszcze tuliła się do niego, jak wówczas na tarasie nad Como, w ostatnią noc ich miodowego miesiąca. Zamilkła i Nick też milczał, powoli gładząc ją po włosach. Pierwsze uniesienia ustąpiły trzeźwiejszym uczuciom. Wyznanie żony przełamało dumną zmarzlinę otaczającą jego serce i sprowadziło go z pokorą na ziemię. Jednakże obudziło również to, co zapomniane: wszystkie wspomnienia i opory odrzucone w pierwszych płomiennych godzinach ich pojednania. Zrozumiał już, że wraz z Susy należą do siebie na zawsze. Ten impuls, który po raz pierwszy ich do siebie przyciągnął – wbrew rozsądkowi, wręcz prawie wbrew im samym – ta głęboka, instynktowna potrzeba siebie nawzajem: od tego nigdy nie będą w stanie się uwolnić. Nick jednak, siedząc tak, głaszcząc żonę, myślał o Streffordzie, myślał o Coral Hicks. Względem Coral postąpił jak tchórz, Susy natomiast zachowała się szczerze i odważnie wobec Strefforda. On jednak myślał o Coral czule, z żalem i wyrzutami sumienia; był natomiast prawie pewien, że Susy już całkiem przestała sobie Streffordem zawracać głowę.

W końcu na tym polega różnica w tych dwóch sposobach kochania – inaczej kocha mężczyzna, inaczej kobieta. Po chwili Nick uznał, że to całkiem naturalne, że w chwili zejścia się z nim Susy przestała czuć wobec tamtego mężczyzny jakiegokolwiek współczucie czy żal, jak gdyby nigdy nic między nimi nie zaszło. W końcu w takich układach czuć było rękę opatrności.

Nachylił się bliżej żony, obiema rękami objął jej śniącą głowę i wyszeptał:

– Wstawaj! Pora spać!

Powstała. Już miała iść włączyć lampę, gdy mąż chwycił ją za dłoń i przyciągnął do okna. W ciemności opierali się o parapet, a zza chmur, z których zaczynały spadać już pierwsze krople deszczu, wychynał wspinający się ociężałe księżyc – wpłynął na wolny kawałek nieba, skierował na nich swój blask i znów skrył swe zafrasowane oblicze.

¹¹ *salon de thé* (fr.) – herbaciarnia